

AMY TAN

CÓRKA NASTAWIACZA KOŚCI

Tytuł oryginału:

THE BONESETTER'S DAUGHTER

(Przełożył Łukasz Praski)

*Ostatniego dnia, jaki moja matka spędziła na ziemi,
poznałam jej prawdziwe imię,
a także imię mojej babci.
Im dedykuję tę książkę*

Oto rzeczy, które na pewno są prawdziwe: Nazywam się LuLing Liu Young. Moi mężowie nazywali się Pan Kai Jing i Edwin Young, ale obaj już odeszli, zabierając ze sobą nasze tajemnice. Moją córką jest Ruth Luyi Young. Urodziła się w Roku Wodnego Smoka, a ja w Roku Ognistego Smoka. Jesteśmy więc takie same, lecz z zupełnie różnych powodów.

Wiem o tym wszystkim, jednak nie potrafię sobie przypomnieć pewnego imienia. Tkwi w najdalszych zakamarkach mojej pamięci, do których nie potrafię dotrzeć. Setki razy wracałam do tamtego ranka, kiedy Droga Ciocia napisała je dla mnie. Miałam wówczas zaledwie sześć lat, ale byłam już dość bystra. Umiałam liczyć. Umiałam czytać. Zapamiętywałam wszystko, a oto, co zapamiętałam z tamtego zimowego poranka.

Chciało mi się jeszcze spać i wciąż leżałam w k'ang na ceglach, które dzieliłam z Drogą Ciocią. Przewód kominowy, ogrzewający nasz pokój, sięgał najdalej od pieca we wspólnym pokoju, więc cegły pode mną dawno już wystygły. Poczułam, że ktoś szarpie mnie za ramię. Kiedy otworzyłam oczy, Droga Ciocia zaczęła coś pisać na skrawku papieru, który mi po chwili pokazała.

- Nic nie widzę - poskarżyłam się. - Jest za ciemno.

Sapnęła zniecierpliwiona, odłożyła papier na niską szafkę i ponagliła mnie gestem, dając mi do zrozumienia, że powinnam wstać. Rozpaliła w piecyku do gotowania wody, a gdy zaczął dymić, obwiązała sobie nos i usta szalem. Do dzbanka nalała wody do mycia twarzy i kiedy woda zawrzała, rozpoczął się nowy dzień. Droga Ciocia wyszorowała mi twarz i uszy. Rozdzieliła moje włosy i rozczesła grzywkę. Zwilżyła kosmyki sterczące jak nogi pająka. Potem zebrała włosy w dwa pęki, które zaplotła w warkocze. Jeden związała czerwoną wstążką, drugi zieloną. Potrząsnęłam głową, a warkocze zakolysały się niczym uszy wesołych pałacowych psów. Droga Ciocia pociągnęła nosem, jak gdyby też była psem, który zastanawia się: co tak ładnie pachnie? Właśnie tak wymawiała moje przezwisko - Piesek. W ten sposób mówiła.

Zamiast głosem porozumiewała się posapywaniem, westchnieniami, prychnięciami w różnym rytmie. Mówiła mi o rozmaitych rzeczach za pomocą grymasów i pomruków, marszcząc brwi, rzucając krótkie spojrzenia. Pisała o świecie na mojej małej przenośnej tablicy. Poczerniałymi dłońmi pokazywała mi też różne obrazy. Wychowywałam się w otoczeniu bezgłośnego i wyrazistego języka - mowy rąk, twarzy i kredy.

Zwijiała włosy w ciasny węzeł tuż przy skórze, ja tymczasem bawiłam się jej szkatułką ze skarbami. Wyjęłam śliczny grzebień z kości słoniowej, na którego końcach były wyrzeźbione

koguty. Droga Ciocia urodziła się pod znakiem Koguta.

- Włóż - zażądałam, trzymając ozdobę w wyciągniętej dłoni. - To ładne.

Byłam jeszcze na tyle mała, by wierzyć, że źródłem piękna są rzeczy, i chciałam, żeby Matka była jej bardziej przychylna. Droga Ciocia pokręciła jednak głową. Zdjęła szal, pokazała na swoją twarz i ściągnęła brwi. Po co mi piękność? - mówiła w ten sposób.

Grzywka opadała jej do samych brwi, tak samo jak mnie. Włosy z tyłu były związane i spięte srebrną szpilką. Miała brzoskwińowe czoło, szeroko osadzone oczy i pełne policzki, zwężające się ku pulchnemu nosowi. Tak wyglądała górna część jej twarzy. Była jeszcze dolna.

Jej poczerwiałe opuszki migały jak skaczące płomienie. Zobacz, co zrobił ogień.

Nie uważałam, by była brzydka, w przeciwieństwie do innych członków rodziny.

Kiedyś usłyszałam, jak Matka powiedziała:

- Aj-ja, nawet demon wyskoczyłby ze skóry, gdyby ją zobaczył.

Kiedy byłam mała, lubiłam dotykać palcami ust Drogiej Cioci. Stanowiły dla mnie zagadkę. Połowa była szorstka i nierówna, a połowa gładka i zawsze zamknięta. Wnętrze prawego policzka było sztywne jak wyprawiona skóra, a lewego wilgotne i miękkie. W miejscach poparzeń z dziąseł wypadły zęby. Język przypominał spieczony korzeń. Nie mogła kosztować smaku przyjemności życia: słonego ani gorzkiego, kwaśnego ani cierpkiego, ostrego, słodkiego ani tłustego.

Nikt poza mną nie rozumiał mowy Drogiej Cioci, więc musiałam powtarzać na głos wszystko, co chciała powiedzieć. Tak naprawdę nie wszystko, bo nie powtarzałam naszych sekretnych opowieści. Często mówiła mi o swoim ojcu, Sławnym Nastawiaczu Kości z Ust Góry, o jaskini, gdzie znaleźli smocze kości, które były święte i mogły uleczyć każdy ból z wyjątkiem bólu zasmuconego serca.

- Opowiedz mi jeszcze raz - powiedziałam tamtego ranka, chcąc posłuchać historii o tym, jak poparzyła sobie twarz i została moją piastunką.

Byłam połykaczką ognia - zaczęły mówić jej ręce i oczy. Setki ludzi przychodziły obejrzeć moje występy na rynku. Wrzucałam sobie do ust jak do kociołka na ogniu kawałki surowej wieprzowiny, dodawałam papryczki i pastę fasolową, mieszałam, a potem częstowałam ludzi kąskami takiej potrawy. Kiedy mówili: "Pyszne!", otwierałam usta jak sakiewkę, żeby wrzucali do nich miedziaki. Ale pewnego dnia połknęłam ogień, a on wrócił, żeby połknąć mnie. Postanowiłam wtedy, że nie chcę już być garnkiem, więc zostałam twoją piastunką.

Śmiałam się i klaskałam w dłonie, bo ta zmyślona opowieść podobała mi się najbardziej. Poprzedniego dnia Droga Ciocia powiedziała mi, że przyglądała się, jak z nieba spada nieszczęśliwa gwiazda, która po chwili wpadła jej do ust i poparzyła twarz. Dzień wcześniej natomiast mówiła, że zjadła coś, co - jak sądziła - było ostrą potrawą z Hunanu, a okazało się używanym do gotowania węglem.

Koniec z opowiadaniem, oświadczyła Droga Ciocia, poruszając szybko dłońmi. Już prawie czas na śniadanie, a wcześniej musimy się pomodlić. Wzięła z szafki tamten skrawek papieru, złożyła go na pół i wsunęła za wyściółkę buta. Włożyłyśmy ocieplane zimowe ubrania i wyszłyśmy na zimny korytarz. W powietrzu unosiła się woń palonego węgla z innych skrzydeł domu. Zobaczyłam Starego Kucharza, który wytężał siły, żeby obrócić korbę przy studni. Słyszałam, jak jeden z lokatorów wrzeszczy na leniwą synową. Minęłam pokój, który z Matką dzieliła moja siostra, GaoLing - obie jeszcze spały. Pobieśmy do wychodzącego na południe pokoiku, naszej kapliczki przodków. Na progu Droga Ciocia posłała mi ostrzegawcze spojrzenie. Zachowuj się przyzwoicie. Zdejmij buty. W samych pończochach stanęłam na zimnych szarych płytach. Lodowaty chłód natychmiast przeszył moje stopy, pomknął w górę po nogach, przebiegł przez całe ciało i na koniec kapnął z nosa. Zaczęłam drżeć.

Ściana naprzeciw mnie była zawieszona zwojami z wypisanymi dwuwierszami - podarunkami od różnych uczonych, którzy używali naszego tuszu od dwustu lat. Nauczyłam się kiedyś czytać jeden wymalowany wiersz: "Cienie ryb mkną w dół rzeki", co oznaczało, że nasz tusz jest ciemny, piękny i łagodnie spływa na papier. Na długim stole ołtarza stały dwie figurki, Boga Długowieczności, z długą, białą jak wodospad brodą, i Bogini Miłosierdzia, o spokojnej, pozbawionej trosk twarzy. Jej czarne oczy były utkwione w moich. Droga Ciocia mówiła, że tylko ona wysłuchiwała żalów i życzeń kobiet. Wokół figurek umieszczone były tablice przodków rodu Liu z wyrzeźbionymi w drewnie imionami. Droga Ciocia powiedziała, że nie ma tu wszystkich moich przodków, lecz tylko ci, których rodzina uważała za najważniejszych. Tablice tych mniej znaczących oraz kobiet spoczywały w kufrach albo zupełnie o nich zapomniano.

Droga Ciocia zapaliła kilka kadzidełek. Zdmuchnęła z nich płomyki, by zaczęły się tlić. Wkrótce unosiły się nad nami gęste kłęby dymu - para naszych oddechów, dym ofiarny - gęste obłoki, które, jak mi się wydawało, były duchami próbującymi porwać mnie do Świata Jin.

Droga Ciocia mówiła mi kiedyś, że martwe ciało robi się zimne. Tego ranka przemarzałam do szpiku kości, więc bardzo się bałam.

- Zimno mi - załkałam i z oczu pociekły mi łzy.

Droga Ciocia usiadła na taborecie i posadziła mnie sobie na kolanach. Przestań, Piesku, zbesztala mnie łagodnie, bo inaczej łzy zamarzną i zmienia się w sople, które wyklują ci oczy. Szybko rozmasowała mi stopy, ugniatając je, jakby wyrabiała ciasto. Lepiej? Już lepiej?

Kiedy przestałam płakać, Droga Ciocia zapaliła więcej kadzidełek. Wróciła na próg pokoiku i wzięła swój but. Wciąż go widzę - zakurzony niebieski materiał, czarna lamówka, dodatkowy ozdobny listek, wyhaftowany w miejscu, gdzie zrobiła się dziura. Myślałam, że na koniec Droga Ciocia chce spalić własny but w ofierze zmarłym. Ale ona wyciągnęła zza podszewki zapisany zwitek papieru, który pokazała mi wcześniej. Dała znak, a jej ręce powiedziały: To nazwisko mojej rodziny, nazwisko wszystkich nastawiaczy kości. Podsunęła mi karteczkę przed oczy, mówiąc: Nigdy go nie zapomnij. Potem położyła ją na ołtarzu. Kłaniałyśmy się i prostowały, kłaniały i prostowały. Ilekroć podnosiłam głowę, patrzyłam na zapisane na papierze nazwisko. Brzmiało ono...

Dlaczego nie potrafię go dziś ujrzeć? Kazałam ustom wymówić setki nazwisk, ale ani jedno z nich nie zdołało trącić żadnej struny pamięci. Czy dlatego, że było to rzadkie nazwisko? Czy zapomniałam się, bo zbyt długo trzymałam je w tajemnicy? Może straciłam je w taki sam sposób, w jaki gubiłam wszystkie swoje ulubione rzeczy - żakiet, który dała mi GaoLing, gdy wyjeżdżałam do sierocińca, suknię, w której, zdaniem mojego drugiego męża, wyglądałam jak gwiazda filmowa, pierwszą dziecinną sukienkę, z której wyrosła Luyi. Ilekroć darzyłam jakiś przedmiot szczególnym uczuciem, chowałam go w kufrze z najlepszymi rzeczami. Trzymałam je tam tak długo, że niemal zupełnie o nich zapomniałam.

Tego ranka przypomniałam sobie o kufrze. Poszłam schować prezent od Luyi. Niewiarygodnie piękne szare perły z Hawajów. Kiedy uniosłam wieko, w powietrze wzbil się obłok moli i mnóstwo rybników. Wewnątrz zobaczyłam sieć złożoną z powiązanych ze sobą dziur. Nie było już haftowanych kwiatów i żywych barw. Zniknęło prawie wszystko, co było w moim życiu ważne. Najgorsze jednak było to, że straciłam nazwisko Drogiej Cioci.

Droga Ciociu, jak się nazywamy? Zawsze uważałam to nazwisko za własne. Pomóż mi je sobie przypomnieć. Już nie jestem małą dziewczynką. Nie boję się duchów. Nadal się na mnie gniewasz? Nie poznajesz mnie? Jestem LuLing, twoja córka.

Od ośmiu lat zawsze dwunastego sierpnia Ruth Young traciła głos.

Pierwszy raz zdarzyło się to po przeprowadzce do mieszkania Arta w San Francisco. Przez

kilka dni Ruth potrafiła tylko wydawać piski niczym pozostawiony na ogniu czajnik. Doszła do wniosku, że to wirus, a może uczulenie na szczególny rodzaj pleśni w budynku.

Drugi raz straciła głos w pierwszą rocznicę wspólnego mieszkania i Art żartował, że jej zapalenie krtani musi mieć podłoże psychosomatyczne. Ruth zastanawiała się, czy to prawda. Kiedy złamała rękę, jeszcze jako mała dziewczynka, straciła głos. Dlaczego? W ich drugą rocznicę oglądali gwiazdy w parku Grand Teton. Według wydanej przez park narodowy broszury informacyjnej: "Podczas maksimum perseidów, około 12 sierpnia, co godzina na niebie widać setki smug «spadających gwiazd». Są to fragmenty meteorów, które płoną, wchodząc w atmosferę ziemską". Ruth wraz z Artem w milczeniu podziwiała świetlny spektakl rozgrywający się na czarnym jak aksamit niebie. Nie wierzyła, by jej kłopoty z krtanią miały być zapisane w gwiazdach ani by deszcz meteorów mógł mieć coś wspólnego z jej utratą mowy. Kiedy jednak Ruth była mała, matka często mawiała, że spadające gwiazdy są w rzeczywistości "topniejącymi ciałami duchów", a ich widok zwiastuje nieszczęście. Jeżeli ktoś zobaczył spadającą gwiazdę, oznaczało to, że stara się z nim porozumieć jakiś duch. Dla matki Ruth prawie wszystko stanowiło znaki od duchów: stłuczone miseczki, szczekanie psów, a także głuche telefony, gdy po drugiej stronie panowała cisza albo słychać było tylko czyjś ciężki oddech.

W sierpniu następnego roku Ruth, zamiast czekać na atak niemoty, oznajmiła swoim klientom i przyjaciółom, że zamierza zupełnie zamilknąć na cały tydzień.

- To coroczny rytuał - mówiła. - Żeby mogła wyostrzyć wyczucie słowa i jego roli.

Jeden z jej klientów, psychoterapeuta i zwolennik New Age, uznał to dobrowolne milczenie za "cudowny proces" i postanowił pójść w ślady Ruth, by później włączyć ich wspólne doświadczenia do rozdziału o dynamice w rodzinie dysfunkcyjnej albo milczeniu jako terapii.

Odtąd owa przypadłość została podniesiona do rangi usankcjonowanego dorocznego wydarzenia. Ruth przestawała mówić na dwa dni przed utratą głosu. Gdy Art zaproponował jej, by spróbowali się porozumiewać za pomocą języka migowego, uprzejmie odmówiła. Zaczęła traktować swą niemotę nie jak chorobę czy tajemnicę, lecz jak akt woli. Właściwie spodobał jej się nawet krótki odpoczynek od mowy; przez cały tydzień nie musiała pocieszać klientów, przypominać Artowi o umówionych spotkaniach, przypominać jego córkom, by były ostrożne, nie miała też wyrzutów sumienia, że nie dzwoni do matki.

Nadszedł dziewiąty rok. Ruth, Art i dziewczynki pojechali spędzić Dni bez Mowy - bo tak je nazywali - nad oddalone o dwieście mil jezioro Tahoe. Ruth wyobrażała sobie, jak wszyscy

czworo, trzymając się za ręce, idą nad rzekę Truckee, by z niemym podziwem oglądać deszcz meteorów. Okazało się jednak, że komary nie zamierzają udać się na spoczynek, a Dory piszczała ze strachu, bo zobaczyła nietoperza.

- Kto by się przejmował wścieklizną, kiedy w lesie jest pełno morderców z siekierami? - zakpiła Fia.

Kiedy schronili się w domku, dziewczynki oświadczyły, że się nudzą.

- Nie ma kablówki - narzekały.

Art zawiózł je więc do Tahoe City i wypożyczył parę kaset wideo, prawie same horrory. Potem wszyscy troje przespali większość filmów, a Ruth nie mogła się oderwać od ekranu, choć były okropne. Później śniły jej się obłąkane opiekunki do dzieci i oślizłe ciała kosmitów.

W niedzielę, gdy rozdrażnieni i spoceni wrócili do San Francisco, stwierdzili, że w domu nie ma ciepłej wody. Wszystko wyciekło z bojlera, w którym widocznie spaliła się grzałka. Musieli się zadowolić kąpielą w wodzie grzanej w czajnikach; Art nie miał ochoty rujnować się na kosztowne usuwanie awarii. Pozbawiona głosu, Ruth nie mogła protestować, lecz cieszyła się z tego w duchu. Gdyby zaczęła się z nim sprzeczać, oznaczałoby to, że chce sama uregulować rachunek; ponieważ w ciągu lat ich wspólnego mieszkania bardzo często tak robiła, Art zaczął tego od niej oczekiwać. Nie złożony jednak takiej propozycji, poczuła się jak osoba małaostkowa. Art ani słowem nie wspomniał później o całej sprawie, co jeszcze bardziej ją zirytowało. Już w łóżku wtulił twarz w jej szyję, przywierając całym ciałem do pleców. Gdy Ruth zeszywniała, mruknął: "Jak chcesz", i odwrócił się. Czując się odrażona, chciała wytłumaczyć, co jest nie tak - ale zdała sobie sprawę, że sama nie wie. Jej nastrój nie miał konkretnych przyczyn. Niedługo potem donośne chrapanie Arta, połączone z jej rozdrażnieniem, zupełnie wybiło ją ze snu, więc leżała w ciemności z otwartymi oczyma.

Dochodziła północ i za kilka godzin Ruth miała odzyskać mowę. Stała w Kąciku, dawnej spiżarni, która pełniła funkcję jej gabinetu. Weszła na podnózek, by otworzyć małe okno. I ujrzała skrawek cudownego widoku: czerwone wieże mostu Golden Gate, które zdawały się wyznaczać granicę między zatoką a oceanem. Na twarzy poczuła dotyk wilgoci i oczyszczającego chłodu. Przyjrzała się niebu, lecz było za jasno i zbyt mglisto, by mogła dojrzeć płonące "ciała duchów". Zaczęły porykiwać syreny mgłowe. Po minucie Ruth zobaczyła biały opar, który niby zwiewna kołderka przykrył ocean, sunąc wolno w stronę mostu. Matka mawiała, że mgła to para wydzielana przez walczące ze sobą smoki, wodę i ogień.

- Ogień i woda razem robią parę - mówiła LuLing swoim dziwnym brytyjskim akcentem, który przyswoiła sobie w Hongkongu. - Wiesz, jak wygląda. Jak z czajnika. Dotykasz, parzysz się w palec.

Mgła podpełzła pod podpory mostu, pochłaniając reflektory samochodów. Ruth czytała kiedyś, że o tej godzinie dziewięciu na dziesięciu kierowców jest pijanych. A może sama pisała na ten temat dla jakiegoś klienta. Zeszła z podnóżka, lecz zostawiła otwarte okno.

Syreny nadal zawodziły. Brzmiały trochę jak tuby w operze Szostakowicza, komicznie i tragicznie zarazem. Ale czy tragedia w ogóle może być zabawna? A może było tak, że to publiczność reagowała śmiechem, wiedząc, że bohaterowie wchodzą do zapadni albo fałszywych luster?

Wciąż nie czując oznak senności, Ruth odwróciła się w stronę biurka. W tym momencie zdjął ją nagły niepokój, jak gdyby zapomniała o czymś, o czym powinna była pamiętać. Czyżby rzecz dotyczyła pieniędzy, któregoś z klientów, a może złożonej dziewczynkom obietnicy? Przystąpiła do porządkowania biurka, ustawiając książki naukowe, układając faksy i szkice, oznaczając kolorami materiały związane z konkretnym klientem i książką. Jutro będzie musiała wrócić do codziennych obowiązków i terminów, a posprzątane biurko dawało jej poczucie, że zaczyna ze świeżymi siłami i jasnym umysłem. Wszystko miało swoje ustalone miejsce. Jeżeli jakiś przedmiot był mniej ważny lub wartościowy, wrzucała go na dno prawej szuflady. Teraz jednak szuflada była wypchana listami, na które nie odpisała, zarzuconymi szkicami, kartkami pełnymi zanotowanych pomysłów, które miały się kiedyś przydać. Wyciągnęła z dna szuflady plik spiętych ze sobą arkuszy i przyszło jej do głowy, że właściwie mogłaby wyrzucić rzeczy, które przez zaniedbanie leżały tam najdłużej.

Kartki były zapisane po chińsku, ręką jej matki. Ruth dostała je od LuLing pięć czy sześć lat temu.

- Takie tam stare historie o rodzinie - mówiła matka z niezręczną nonszalancją, która w jej wypadku niezbitnie świadczyła, że papiery te są dla niej bardzo ważne. - O moim życiu, od malej dziewczynki. Piszę dla siebie, ale może przeczytasz, zobaczysz, jak dorastałam, przyjechałam do tego kraju.

Ruth słyszała co nieco o życiu matki, ale wzruszyła ją nieśmiałość, z jaką prosiła o przeczytanie wspomnień, nad którymi musiała się ciężko napracować. Na każdej stronie widniały równiutkie kolumny liter, bez żadnych skreśleń, dlatego Ruth domyślała się, że matka przepisała

na czysto wszystkie wcześniejsze próby.

Usiłowała już rozszyfrować treść tych zapisków. Matka włączała jej kiedyś do odpornej głowy chińską kaligrafię i Ruth nadal umiała rozpoznać niektóre znaki: "rzecz", "ja", "prawda". Jednak aby odcyfrować resztę, musiałaby dopasować ozdobione zakrętasami ideogramy LuLing do standardowych znaków w słowniku chińsko - angielskim. Pierwsze zdanie brzmiało: "Oto rzeczy, które na pewno są prawdziwe". Ruth tłumaczyła je przez godzinę. Postanowiła odczytywać jedno zdanie dziennie, więc trzymając się planu, następnego dnia wieczorem przetłumaczyła drugie zdanie: "Nazywam się LuLing Liu Young". To było proste, przekład trwał nie dłużej niż pięć minut. Potem w tekście pojawiły się nazwiska mężów LuLing, z których jeden był ojcem Ruth. Mężów? Ruth z zaskoczeniem przeczytała, że w życiu matki był ktoś inny. Co to znaczy: "odeszli, zabierając ze sobą nasze tajemnice"? Musiała się natychmiast dowiedzieć, ale nie mogła zapytać o to matki. Z doświadczenia wiedziała, co się będzie działo, gdy poprosi ją o tłumaczenie chińskich znaków na angielski. Najpierw matka zacznie ją besztać za to, że w dzieciństwie nie przykładła się do nauki chińskiego, a później, żeby wyjaśnić ideogramy, będzie wracała do przeszłości, roztrzásając najdrobniejsze niuanse znaczeniowe chińskich słów:

- Tajemnica nie znaczy tylko nikomu nie mówić. Są tajemnice, co ranią albo rzucają klątwę, czasem robią na zawsze krzywdę i taka jak dawniej nigdy nie będziesz ...

Potem rozgada się na temat kogoś, kto wyjawiał tajemnicę, ale nie powie, czego właściwie dotyczył ów sekret, następnie zacznie opowiadać, jak straszną śmiercią zginął ten człowiek, dlaczego tak się stało i jak można było uniknąć tragedii, gdyby to i to nie zdarzyło się tysiąc lat wcześniej. Gdyby Ruth, słuchając tego, zdradziła oznaki zniecierpliwienia, LuLing wpadłaby w gniew i wyrzuciła z siebie, że wszystko jest bez znaczenia, bo i tak niedługo umrze, przypadkiem albo z powodu złej wróżby, albo z własnej woli. Później zapadnie uzdrawiające milczenie, kara, która będzie trwać kilka dni lub miesięcy, dopóki Ruth pierwsza się nie złamie i jej nie przeprosi.

Tak więc Ruth nie zwróciła się z prośbą do matki. Postanowiła natomiast odłożyć wszystko na parę dni i skupić się na tłumaczeniu. Powiedziała o tym matce, a LuLing przestrzegła ją, by za długo nie zwlekała. Później za każdym razem, gdy matka pytała ją, czy już skończyła, Ruth odpowiadała:

- Właśnie miałam skończyć, ale nagle się okazało, że trzeba coś zrobić dla klienta.

Przeszkadzały jej inne problemy, które miały związek z Artem, dziewczynkami, domem albo wakacjami.

- Nie znajdzie czasu dla matki, tyle pracy - skarżyła się LuLing. - Na kino, wizytę u przyjaciółki zawsze czas.

W zeszłym roku matka przestała się dopytywać, co zastanowiło Ruth. Czyżby dała za wygraną? Niemożliwe. Pewnie zapomniała. Kartki zapisane chińskimi znakami spoczęły już na dnie szuflady.

Kiedy znów ujrzały światło dzienne, Ruth poczuła wyrzuty sumienia. Może powinna zlecić to komuś biegle władającemu chińskim. Art mógłby kogoś spytać - studenta językoznawstwa, jakiegoś starego profesora na emeryturze, który poza uproszczonymi znakami będzie znał tradycyjne. Zrobi to, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę. Położyła kartki na stosie papierów i zamknęła szufladę, czując się już odrobinę mniej winna.

Gdy zbudziła się rano, Art już wstał i w pokoju obok ćwiczył jogę.

- Cześć - powiedziała sama do siebie. - Jest tu kto? - Wrócił jej głos, choć po długim milczeniu brzmiał nieco piskliwie.

Myjąc zęby w łazience, usłyszała przeraźliwy krzyk Dory:

- Chcę to oglądać! Włącz z powrotem! To jest też mój telewizor.

- Ten program jest dla małych dzieci! - odwrzasnęła Fia. - Dla takich maluchów jak ty, tiu, tiu, tiu!

Od rozvodu Arta dziewczynki mieszkały trochę w domu matki i ojczyma w Sausalito, a trochę w edwardiańskim mieszkaniu Arta przy Yallejo Street. Co drugi tydzień wszyscy czworo - Art, Ruth, Sofia i Dory - gnieździł się w pięciu miniaturowych pokoikach, z których jeden był tak ciasny, że udało się tam wepchnąć tylko piętrowe łóżko. W mieszkaniu znajdowała się jedna zaledwie staroświecka i niewygodna łazienka, której Ruth szczerze nie znosiła. Żelazna wanna na nóżkach dawała tyle ciepła, co sarkofag, a z dwóch kurków nad ustawioną na postumencie umywalką leciał albo wrzątek, albo ciekły lód. Sięgając po nią dentystyczną, Ruth przewróciła wszystkie rzeczy stojące na parapecie pod oknem: płyn przeciw zmarszczkom, środki na pryszcze, nożyczki do wycinania włosów w nosie i plastikowy kubek z dziewięcioma szczoteczkami do zębów, o których nigdy nie było wiadomo, do kogo właściwie należą i kiedy zostały kupione. Gdy sprzątała rozsypane przedmioty, rozległo się głośnie walenie do drzwi.

- Musisz poczekać! - zawołała schrypniętym głosem.

Łomotanie nie ustawało. Ruth zerknęła na sierpniowy rozkład korzystania z łazienki, przybity do drzwi z obu stron. Plan określał precyzyjnie co do kwadransa, czyja kolej przypada na

którą godzinę. Ruth zapisała się na sam koniec, a ponieważ reszta domowników zwykle była spóźniona, musiała ponosić wszystkie konsekwencje swojego wyboru. Pod rozkładem dziewczynki dopisały dodatkowe prawa i poprawki oraz listę kar i sankcji za naruszenie harmonogramu, dotyczącego korzystania z umywalki, toalety i prysznicza, a także zasadę, według której prawo do prywatności może być zastrzeżone w BARDZO WYJĄTKOWEJ SYTUACJI (co trzykrotnie podkreślono).

Walenie powtórzyło się.

- Ruth! Mówię, że ktoś dzwoni! - Dory uchyliła drzwi i przez szparę wsunęła telefon bezprzewodowy. Kto mógł dzwonić dwadzieścia po siódmej rano? Matka, nie ma wątpliwości. Ilekroć Ruth nie dzwoniła do niej przez kilka dni, LuLing przeżywała kryzys.

- Ruthie, wrócił ci głos? Możesz mówić? - To była Wendy, jej najlepsza przyjaciółka. Rozmawiały ze sobą prawie codziennie. Ruth usłyszała, jak Wendy czyści nos. Czyżby płakała?

- Co się stało? - szepnęła Ruth. Nie mów, tylko mi tego nie mów, powtarzała w duchu w rytm głośnych uderzeń serca. Wendy na pewno zaraz jej powie, że ma raka. Wczorajszy niepokój wrócił do Ruth ze zdwojoną siłą, mroząc jej krew w żyłach.

- Nie mogę wyjść z szoku - ciągnęła Wendy. - Właśnie... Zaczekaj chwileczkę. Mam drugi telefon.

Ruth była już prawie pewna, że nie chodzi o raka. Może ktoś ją napadł albo złodzieje włamali się do domu, więc dzwonią do niej ludzie z policji. W każdym razie musiało się stać coś poważnego, skoro Wendy zaczęła płakać. Co ma jej powiedzieć? Przytrzymując słuchawkę podbródkiem, Ruth przeczesła palcami krótko przycięte włosy. Zauważyła, że zaczęły odpadać kawałki srebrzystej powłoki lustra. A może po prostu widać siwe korzonki włosów? Niedługo skończy czterdzieści sześć lat. Kiedy jej twarz zaczęła tracić dziecienną pucołowatość? Pomyśleć, że kiedyś nie cierpiała swojej cery wiecznej nastolatki! Teraz miała zmarszczki w kącikach ust. Wyglądała przez to na zde gustowaną, zupełnie jak matka. Ruth ożywiła nieco wargi pomadką. Dzięki Bogu, pod innymi względami nie przypominała matki. LuLing była wiecznie ze wszystkiego niezadowolona, a przez całe dzieciństwo Ruth pogrążała córkę w atmosferze beznadziejnej rezygnacji. Dlatego Ruth nie cierpiała kłótni z Artem. Ze wszystkich sił starała się pohamować gniew. Czasem jednak dochodziła do punktu, w którym musiała wybuchnąć, a potem nie mogła się nadziwić, jak mogła stracić nad sobą panowanie.

Po drugiej stronie znów odezwała się Wendy: - Jesteś tam jeszcze? Przepraszam. Robimy

obsadę do filmu o trzęsieniu ziemi i dzwoni mnóstwo ludzi naraz. - Wendy prowadziła własną agencję, zajmującą się łowieniem statystów, którzy mieli nadawać filmom lokalny koloryt San Francisco - wąsatych policjantów, wysokich jak koszykarze transwestytów i innych postaci, które nie miały pojęcia, że wyglądają niczym własne karykatury. - Na dodatek parszywie się czuję - powiedziała Wendy, po czym kichnęła i znów wydmuchała nos. A więc nie płacze, pomyślała Ruth, ale chwilę później usłyszała w słuchawce dwa suche trzaski. - Cholera - odezwała się Wendy. - Zaczekaj. Szybko załatwię ten telefon.

Ruth nie lubiła czekać na linii. Cóż to mogła być za nie - cierpiąca zwłoki sprawa, o której Wendy musiała jej powiedzieć tak wcześnie? Czyżby jej mąż miał romans? Joe? Nie, na pewno nie poczciwy Joe. A więc o co chodzi?

W drzwiach ukazała się głowa Arta, który wymownie postukał w zegarek. "Dwadzieścia pięć po siódmej" - powiedział bezgłośnie. Ruth miała go właśnie poinformować, że dzwoni Wendy w bardzo pilnej sprawie, lecz on już zawrócił wąskim korytarzem.

- Dory! Fia! Szybko. Za pięć minut Ruth zabiera was na lodowisko. Ruszać się z życiem. - Dziewczynki zaczęły pisać, Ruth natomiast poczuła się jak koń przed barierą startową.

- Za moment przyjdę! - zawołała. - Dziewczynki, jeżeli nie zdążyłyście zjeść śniadania, wypijcie po całej szklance mleka, żebyście nie umarły na szok hipoglikemiczny.

- Nie mów "umarły" - jęknęła Dory. - Nie cierpię, kiedy tak mówisz.

- Boże, co tam się dzieje? - odezwał się ponownie głos Wendy w słuchawce.

- Normalny początek tygodnia - odparła Ruth. - Pokutą za odrobinę wolnego jest chaos.

- Zgadza się, kto to powiedział?

- Ja. No więc o czym wcześniej mówiłaś?

- Najpierw mi obiecaj, że nikomu nie powiesz. - Wendy znów kichnęła.

- Oczywiście.

- Nawet Artowi, a zwłaszcza pannie Giddy.

- Gideonowi? Boże, nie wiem, czy mogę obiecać, jeśli chodzi o niego.

- A więc wczoraj wieczorem - zaczęła Wendy - zadzwoniła do mnie matka, bardzo rozentuzjasmowana. - Słuchając Wendy, Ruth pobiegła do sypialni, by dokończyć ubierania. Kiedy się nie śpieszyła, zawsze chętnie słuchała paplaniny przyjaciółki. Wendy była jak różdżka zdolna wykryć dziwne zaburzenia w ziemskiej atmosferze. Była świadkiem dziwnych widoków: kiedyś ujrzała trzech bezdomnych albinosów, mieszkających w parku Golden Gate, bmw, które

nagle wpadło do szamba w Woodside, bizona swobodnie galopującego po Taraval Street. Była ekspertem od organizowania przyjęć, po których ludzie urządali sobie nawzajem sceny, zaczynali romansować lub wdawali się w rozliczne skandale. Ruth wydawało się, że Wendy rozpromienia trochę jej życie, ale dziś nie miała na to czasu.

- Ruth! - powiedział ostrzegawczym tonem Art. - Dziewczynki się spóźnią.

- Naprawdę mi przykro, Wendy. Muszę zawieźć dziewczynki do szkółki łyżwiarskiej... Wendy nie pozwoliła jej skończyć.

- Mamusia wyszła za własnego trenera! Zadzwoń, żeby mi o tym powiedzieć. On ma trzydzieści osiem lat, ona sześćdziesiąt cztery. Możesz w to uwierzyć?

- Rany. - Ruth zdębiała. Wyobraziła sobie panią Scott z jej oblubieńcem ubranym w muszkę i spodenki gimnastyczne, jak oboje recytują przysięgę małżeńską, nie przerywając ćwiczeń na bieżni treningowej. Czy Wendy denerwowała się właśnie tym? Ruth chciała powiedzieć to, co należało. Tylko co? Pięć lat temu jej własna matka też znalazła sobie równie udanego chłopaka, ale tamten miał osiemdziesiątkę. Ruth miała nadzieję, że T.C. ożeni się z LuLing, która będzie miała dzięki temu coś do roboty, ale T.C. zmarł na atak serca.

- Posłuchaj, Wendy, wiem, że to ważne, może zadzwonię, kiedy odwiozę dziewczynki, dobrze?

Odłożywszy słuchawkę, Ruth powtórzyła sobie wszystkie rzeczy, które miała dziś do zrobienia. Było ich dziesięć, więc zaczęła od kciuka. Po Pierwsze, zawieźć dziewczynki do szkółki łyżwiarskiej. Po Drugie, odebrać z pralni garnitur Art. Po Trzecie, zrobić zakupy na kolację. Po Czwarte, odebrać dziewczynki z lodowiska i podrzucić je do domu ich przyjaciółki przy Jackson Street. Po Piąte i Szóste, zadzwonić do tego aroganckiego klienta, Teda, a potem do Agapi Agnos, którą właściwie lubiła. Po Siódme, skończyć szkic rozdziału książki Agapi Agnos. Po Ósme, zadzwonić do Miriam, byłej żony Art, żeby ją zapytać, czy pozwoli dziewczynkom zostać u nich przez weekend na kolacji z okazji Święta Pełni Księżyc, kiedy odbywał się doroczny zjazd rodziny Youngów, którego Ruth miała być w tym roku gospodynią.

A co Po Dziewiąte? Zawsze organizowała sobie plan dnia według liczby palców dłoni. Co dzień miała do zrobienia pięć albo dziesięć rzeczy. Nie przestrzegała tego zbyt dokładnie: dodatkowe i niespodziewane zadania mieściły się na palcach stóp. Po Dziewiąte, Dziewiąte... Mogła umieścić telefon do Wendy na początku kolejki, spychając tym samym resztę o jedno oczko do przodu. Ale wiedziała, że telefon będzie nadprogramową sprawą, Po Jedenaste. A co było Po

Dziewiąte? Po Dziewiąte zwykle miała do zrobienia coś ważnego, bo była to ważna liczba, którą matka nazywała liczbą pełni, liczbą, która oznaczała: "Nie zapomnij, bo inaczej możesz wszystko stracić". Czy Po Dziewiąte miało coś wspólnego z matką? Ruth zawsze znajdowała jakiś powód do niepokoju, związany z matką. Ale nie była to jakaś szczególna rzecz, o której musiałyby pamiętać. Chodziło o ogólny stan umysłu.

To LuLing nauczyła ją zapamiętywać, licząc na palcach. Dzięki tej metodzie LuLing nigdy o niczym nie zapominała, zwłaszcza o kłamstwach, oszustwach i innych złych uczynkach, popełnionych przez Ruth od dnia jej narodzin. Ruth wciąż miała przed oczyma matkę liczącą po chińsku, zaginając palce do wewnątrz dłoni, poczynając od najmniejszego, i widok tego gestu utwierdzał Ruth w przekonaniu, że nie ma już wyjścia i żadnej drogi ucieczki. Ona sama, licząc, trzymała palce rozcapierzone, po amerykańsku. Co było Po Dziewiąte? Włożyła ciężkie sandały.

W drzwiach stanął Art.

- Kochanie, nie zapomnij zadzwonić do hydraulika w sprawie bojlera.

Hydraulik na pewno nie był Po Dziewiąte, Ruth była tego absolutnie pewna.

- Przepraszam, ale czy nie mógłbyś sam tego zrobić? Jestem dziś zajęta cały dzień.

- Mam spotkania, szykują się trzy apelacje. - Art był konsultantem językowym, a w tym roku zajmował się sprawami niesłyszących więźniów, których aresztowano i osądzono, nie umożliwiając im skorzystania z usług tłumaczy.

Ruth miała ochotę powiedzieć mu, że to jego dom, lecz zmusiła się do rozsądnego i łagodnego tonu, jakim przemawiał do niej Art.

- Nie możesz zadzwonić z biura w przerwie między spotkaniami?

- Wtedy musiałbym później zadzwonić do ciebie i sprawdzić, kiedy będziesz w domu, żeby mogli przyjść to naprawić.

- Nie wiem dokładnie, kiedy będę w domu. Zresztą znasz takich fachowców. Mówią, że będą o pierwszej, a przychodzą o piątej. To, że pracuję w domu, nie znaczy, że nic nie robię. Naprawdę mam dzisiaj ciężki dzień. Po pierwsze, muszę... - I zaczęła wyliczać wszystkie rzeczy do zrobienia.

Art zgarbił się i westchnął.

- Dlaczego tak wszystko utrudniasz? Myślałem tylko, że gdybyś mogła, gdybyś znalazła czas... ach, nieważne. - Odwrócił się.

- Dobrze już, dobrze, zajmę się tym. Ale jeśli byś skończył jakieś spotkanie wcześniej,

możesz przyjechać do domu?

- Oczywiście. - Art pocałował ją w czoło. - Dzięki. Nie prosiłbym cię o to, gdybym nie był taki zaganiany. - Znow ją pocałował. - Kocham cię.

Nie odpowiedziała, a po wyjściu Arta chwyciła płaszcz i kluczyki. Zobaczyła dziewczynki stojące w korytarzu i przyglądające się jej krytycznie. Poruszyła dużym palcem u nogi. Po Dwunaste, ciepła woda.

Ruth uruchomiła silnik i kilkakrotnie wcisnęła hamulec, żeby sprawdzić, czy działa. Wioząc Fię i Dory na lodowisko, nie przestawała zachodzić w głowę, co miała zrobić Po Dziewiąte. Przebiegła w myślach cały alfabet w nadziei, że jakaś litera naprowadzi ją na właściwy trop. Nic. Jaki miała sen, gdy w końcu udało się jej dzisiaj zasnąć? Okno sypialni, ciemny kształt we wnęce. Przypomniała sobie, że zasłony we śnie okazały się przezroczyste, a ona była naga. Zobaczyła uśmiechnięte twarze sąsiadów z mieszkania obok, którzy przyglądali się jej w najintymniejszych chwilach, oglądali najintymniejsze miejsca jej ciała. Nagle ryknęło radio. Łup, łup, łup! "Był to test sygnału wczesnego ostrzegania przed katastrofą, transmitowany przez Amerykański System Nadawczy". Potem odezwał się inny głos, należący do jej matki: "Nie, nie! To nie test! Prawda!". Ciemny kształt okna wzniósł się i zmienił w ogromną falę. Może Po Dziewiąte miało jednak coś wspólnego z hydraulikiem: potężna fala, pęknięty bojler. Zagadka rozwiązana. Ale co z przezroczystymi zasłonami? Co mogły oznaczać? Znow wezbrał w niej niepokój.

- Znasz tę nową dziewczynę, co Darien ją lubi? - zapytała siostry Fia. - Ma najfajniejsze włosy. Chciałabym ją zabić.

- Nie mów "zabić"! - jęknęła Dory. - Pamiętasz, co nam mówili na zgromadzeniu w zeszłym roku? Jak powiesz to słowo, pójdziesz do więzienia.

Obie dziewczynki siedziały z tyłu. Ruth proponowała, aby jedna usiadła obok niej, żeby nie czuła się jak szofer. Ale Dory odparła:

- Łatwiej otworzyć tylko jedne drzwi.

Ruth nie odpowiedziała. Często podejrzewała, że dziewczynki poddają ją różnym próbom, sprawdzając, czy da się ją wyprowadzić z równowagi. Ruth wiedziała, że gdy były młodsze, kochały ją. Na myśl o tym czuła miłe mrowienie w sercu. Kłóciły się kiedyś o to, która będzie ją trzymać za rękę albo siedzieć obok niej. Tuliły się do niej, kiedy się bały, często nawet udając strach i piszcząc jak małe kotki. Teraz wydawało się, że prześcigają się w doprowadzaniu jej do

ostateczności, tak że czasem musiała sobie przypominać, że nastolatki też mają ludzkie uczucia.

Dory miała trzynaście lat i była krępa, masywniejsza od swej piętnastoletniej siostry. Obydwie czesały się w koński ogon na czubku głowy, więc kasztanowe włosy spływały im na ramiona jak kaskada z fontanny. Ruth zauważyła, że wszystkie ich przyjaciółki miały identyczne fryzury. Kiedy sama była w ich wieku, chciała mieć długie włosy, tak jak inne dziewczynki, ale matka kazała jej obcinać je bardzo krótko.

- Długie włosy wyglądają jak dziewczyna samobójca - powiedziała wtedy LuLing.

Ruth wiedziała, że ma na myśli swoją piastunkę, która odebrała sobie życie, gdy matka była dziewczynką. Ruth miała nawet koszmary, w których zjawiał się długowłosy, ociekający krwią duch, dyszący żądzą zemsty.

Ruth zatrzymała się na placu przed lodowiskiem. Dziewczynki wygramoliły się z samochodu i zarzuciły plecaki na ramię.

- Na razie! - krzyknęły.

Nagle Ruth zauważyła, w co się ubrała Fia - miała na sobie dzinsy biodrówki i postrzępioną koszulę, spod której wycierał pasek gołej skóry szerokości dobrych sześciu cali. Gdy wychodziły z domu, miała pewnie zapiętą kurtkę. Odkręciwszy okno, Ruth zawołała:

- Fia, kochanie, chodź tu na chwilę!... Czy mi się wydaje, czy w ciągu ostatnich dziesięciu minut twoja koszula mocno się zbiegła?

Fia odwróciła się wolno i przewróciła oczami. "Dory wyszczerzyła zęby w uśmiechu. "

- Mówiłam ci, że nie wytrzyma. Ruth utkwiała spojrzenie w pępku Fii.

- Matka wie, że nosisz coś takiego? Fia otworzyła usta w udawanym przestraszu. Reagowała w ten sposób na większość rzeczy.

- Sama mi to kupiła, wiesz?

- Nie sędzę, żeby twój tata to pochwalał. Masz nie zdejmować kurtki, nawet kiedy będziesz jeździć na łyżwach. Dory, powiesz mi potem, jeżeli nie posłucha.

- Nie będę na nikogo skarżyć! Fia bez słowa odeszła.

- Fia? Fia! Chodź tutaj. Obiecuj mi to zaraz, bo zabiorę cię do domu, żebyś się przebrała.

Fia przystanęła, lecz nie zamierzała się odwracać.

- Dobrze - mruknęła. Zapinając kurtkę po szyję, powiedziała do Dory, ale na tyle głośno, by Ruth słyszała: - Tato ma rację. Ona wszystko utrudnia.

Słyszając tę uwagę, Ruth poczuła gorycz i upokorzenie. Dlaczego Art powiedział coś

takiego, i to przy dziewczynkach? Dobrze wiedział, jaką przykrość może jej tym sprawić. Były chłopak powiedział jej kiedyś, że niepotrzebnie komplikuje życie. Odkąd z nim zerwała, przerażona, że jego oskarżenia mogą się okazać prawdziwe, ze wszystkich sił starała się być rozsądna i konkretna oraz wystrzegać się narzekań. Wiedząc o tym, Art zapewniał ją, że tamten chłopak był kretynem. A jednak czasem dokuczał jej, że przypomina psa biegającego w kółko za swoim ogonem i nie potrafi dostrzec jałowości własnych poczynań.

Ruth pomyślała o książce, którą kilka lat temu pomagała pisać, "Fizyka natury ludzkiej". Autor wykorzystał prawa fizyki do zilustrowania podstawowych nauk życiowych, przypominając o nieskutecznych wzorcach zachowań. "Relatywistyczna teoria grawitacji": nie przywiązuj wagi do wszystkiego. Ciężar każdego problemu zależy tylko od tego, jak ty go traktujesz. "Zjawisko Dopplera w komunikacji": zawsze istnieje rozdźwięk między tym, co ktoś mówi, a tym, jak słuchacz chce rozumieć wypowiedziane słowa. "Siła odśrodkowa argumentów": im dalej odsuwasz się od istoty problemu, tym szybciej sytuacja wymyka się spod kontroli.

Ruth uważała wówczas takie rady i analogie za zbyt uproszczenie. Nie sposób zredukować życia do jednozdaniowych maksym. Ludzie są przecież bardziej złożeni. W każdym razie ona na pewno. A może jest zbyt skomplikowana? Złożona, skomplikowana, co za różnica? Art natomiast był wcieleniem wyrozumiałości. Przyjaciele często jej mówili rzeczy w rodzaju: "Ależ ty masz szczęście". Słyszając to po raz pierwszy, była bardzo dumna z tego, że tak dobrze ulokowała uczucia. Ostatnio jednak zaczęła się zastanawiać, czy nie chcieli przez to powiedzieć, iż należy podziwiać Arta za to, że z nią wytrzymuje. Potem Wendy przypomniała jej:

- Przecież to ty nazwałaś Arta pieprzonym świętym.

Ruth nie mogła sformułować tego w ten sposób, ale rzeczywiście odniosła takie wrażenie. Dobrze pamiętała, że zanim się w nim zakochała, podziwiała go - za jego spokój i zrównoważenie emocjonalne. Czy nadal wzbudzał w niej podziw? Czy to on się zmienił, czy może ona? Rozmyślając nad tym, jechała w stronę pralni.

Poznała Arta prawie dziesięć lat temu, na wieczornych zajęciach jogi, na które chodziła razem z Wendy. Udział w ćwiczeniach był jej pierwszą od wielu lat próbą rozruszania mięśni. Ruth był z natury szczupła i z początku nie miała żadnej motywacji, by wstąpić do klubu.

- Tysiąc doków rocznie - dziwiła się - za to, że będę mogła skakać na maszynie jak chomik w wirującym kole?

Oświadczyła Wendy, że woli stres jako formę ćwiczeń fizycznych.

- Napinasz mięśnie, wytrzymujesz tak przez dwanaście godzin, potem rozluźniasz się, liczysz do pięciu i znów napinasz.

Z kolei Wendy od szkoły średniej, kiedy uprawiała gimnastykę, przybrała na wadze trzydzieści pięć funtów, miała więc ochotę wrócić do dawnej formy.

- Przejdźmy przynajmniej bezpłatny test sprawnościowy - zaproponowała. - Nie musimy od razu wstępować do klubu.

Ruth triumfowała w duchu, kiedy uzyskała lepszy wynik od Wendy w robieniu "brzuszków". Wendy pobiła Ruth w pompkach, co skwitowała radosnym okrzykiem. Współczynnik tkanki tłuszczowej u Ruth utrzymywał się w normie, na poziomie dwudziestu czterech procent, u Wendy natomiast wynosił trzydzieści siedem procent.

- To pewnie czynnik genetyczny, pozostałość po moich chińskich chłopskich przodkach - oznajmiła taktownie Ruth, ale potem w teście na gibkość uzyskała wynik "bardzo słabo".

- Według tabeli - zauważyła Wendy - to o jeden punkt wyżej od ciała w stężeniu pośmiertnym.

- Patrz, mają jogę - powiedziała później, gdy przeglądały klubowy plan zajęć. - Słyszałam, że joga może odmienić ludzkie życie. I zajęcia są wieczorem. - Dała Ruth kuksańca. - Łatwiej ci będzie wyleczyć się z Paula.

Tamtego wieczoru podsłuchały rozmowę dwu kobiet w szatni.

- Facet obok mnie pytał, czy chciałabym iść z nim na zajęcia o północy. Joga bez togi. Znaczący nago.

- Nago? Ale drań!... Był chociaż przystojny?

- Niezły. Ale wyobrażasz sobie dwadzieścia gołych tyłków, jak będą robić Leżącego Psa?

Kobiety wyszły z szatni, a Ruth zwróciła się do Wendy:

- Kto, do cholery, chciałby uprawiać jogę nago?

- Na przykład ja - odparła Wendy. - Nie patrz na mnie takim zgorszonym wzrokiem, panno Porządnicka. Przynajmniej nie byłoby nudno.

- Naga, wśród zupełnie obcych ludzi?

- Nie, z moim księgowym, dentystą i szefem. A jak sądzisz?

W zatłoczonej sali ćwiczeń trzydzieścioro adeptów, głównie kobiety, znaczyło swój teren, rozkładając i poprawiając maty, podczas gdy maruderzy dopiero wchodzili. Kiedy jakiś mężczyzna tuż obok Ruth rozwinął swoją matę, starała się na niego nie patrzeć, podejrzewając, że

to właśnie może być ów drań. Rozejrzała się po sali. Większość kobiet miała wypielęgnowane i polakierowane paznokcie. Stopy Ruth były szerokie, a palce przypominały świnki z wierszyka dla dzieci. Nawet stopy mężczyzny obok wyglądały lepiej - o gładkiej skórze i pięknych, wąskich palcach. Zaraz się jednak zmytygowała. Przecież nie powinna przychylnie myśleć o potencjalnym zboczeniu.

Zajęcia zaczęły się od czegoś, co brzmiało jak rytualna inkantacja, a potem ludzie przybierali różne pozycje, jak gdyby oddawali cześć pogańskiemu bożkowi. Urdhva Muka Svanasana! Adho Muka Svanasana! Wszyscy z wyjątkiem Ruth i Wendy znali układy. Ruth naśladowała ruchy pozostałych jak w zabawie "Ojciec Wirgiliusz...". Od czasu do czasu podchodziła do niej muskularna instruktorka, by zgiąć, poprawić lub podnieść którąś część jej ciała. Pewnie wyglądam jak ofiara tortur, pomyślała Ruth, albo jeden z tych dziwolągów bez kości, których matka widziała w Chinach - małych żebraków, co ku uciesze widowni wyginali swoje ciała, jakby były zrobione z gumy. Zaczął po niej płynąć pot, ale zdążyła się za to uważnie przyjrzeć mężczyźnie obok, żeby umieć później podać policji jego rysopis, gdyby było trzeba. "Gwałciciel od nagiej jogi miał pięć stóp jedenaście cali wzrostu i ważył jakieś sto sześćdziesiąt funtów. Ciemne włosy, duże brązowe oczy, gęste brwi oraz przystrzyżona broda i wąsy. Paznokcie czyste i starannie obcięte".

Był też niewiarygodnie zręczny. Potrafił założyć sobie nogi na szyję, utrzymując przy tym równowagę niczym Barysznikow. Ona natomiast wyglądała, jak gdyby właśnie badał ją ginekolog. Biedna pacjentka. Miała na sobie starą koszulkę i wyblakłe leginsy z dziurą na kolanie. Przynajmniej nikt nie podejrzewał, że przyszła tu kogoś upolować, w odróżnieniu od tamtych wymalowanych bab w drogich sportowych ciuchach.

Potem zauważyła obrączkę na palcu tego faceta, szeroki grawerowany pasek złota na palcu prawej dłoni. Na lewej ręce niczego nie nosił. Oczywiście, nie wszyscy żonaci mężczyźni noszą obrączki, ale noszenie jej na prawej dłoni było, przynajmniej w San Francisco, jawną manifestacją homoseksualizmu. Zastanowiwszy się nad tym, Ruth dostrzegła inne sugestywne znaki: zadbana broda, szczupły tors, pełne wdzięku ruchy. Odetchnęła. Przyglądała się, jak brodac, chwyciwszy się dłońmi za podeszwy stóp, przycisnął czoło do kolan. Heteryk by tego nie potrafił. Ruth pochyliła się ciężko, sięgając rękami ledwie do połowy łydek.

Pod koniec zajęć było stanie na głowie. Nowicjusze przesunęli się pod ścianę, a ci najgorliwsi w mgnieniu oka zmienili się w słoneczniki wycelowane prosto w tarczę słońca w

południe. Pod ścianą nie było już miejsca, więc Ruth usiadła po prostu na macie. Chwilę później usłyszała głos brodacza:

- Może pomóc? Mogę panią potrzymać za nogi, dopóki nie chwyci pani równowagi.
- Dzięki, ale chyba nie skorzystam. Boję się, że dostałabym wylewu. Uśmiechnął się.
- Zawsze wszędzie podejrzewa pani tyle niebezpieczeństw?
- Zawsze. Życie jest wtedy bardziej ekscytujące.
- Stanie na głowie to jedna z najważniejszych postaw, jakie można przyjąć. Staje pani do góry nogami i całe życie może się odwrócić. I człowiek się cieszy.

- Doprawdy?
- Widzi pani? Już się pani śmieje.
- Wygrał pan - odparła, opierając czubek głowy na złożonym kocu. - Niech pan dźwiga.

Jeszcze w pierwszym tygodniu Wendy zrezygnowała z jogi i przesiadła się na jakiś domowy przyrząd do ćwiczeń, przypominający riksę wyposażoną w wiosła. Ruth chodziła na zajęcia trzy razy w tygodniu. Znalazła taką formę ćwiczeń, która ją relaksowała. Szczególnie podobała się jej zasada koncentracji, myślenia o niczym z wyjątkiem oddechu. Polubiła też Arta, mężczyznę z brodą. Był miły i zabawny. Zaczęli chodzić po zajęciach do kafejki za rogiem.

Pewnego dnia przy bezkofeinowym cappuccino dowiedziała się, że Art wychował się w Nowym Jorku i zrobił doktorat z językoznawstwa na Uniwersytecie Berkeley.

- W ilu językach mówisz? - zapytała.
- Właściwie nie jestem poliglotą - odrzekł. - Większość lingwistów, których znam, też nie jest. Na Berkeley specjalizowałem się w amerykańskim języku migowym. Teraz pracuję w ośrodku głuchych na Uniwersytecie San Francisco.
- Zostałeś ekspertem od ciszy? - zażartowała.
- Nie jestem ekspertem od niczego. Ale podoba mi się język w każdej postaci - dźwięki i słowa, wyraz twarzy, gesty rąk, postawa, rytm ciała - wszystko, co ludzie chcą wyrazić, niekoniecznie słowami. Zawsze podobała mi się siła słów.

- A jakie jest twoje ulubione słowo?
- Doskonałe pytanie. - Zamilkł, gładząc w zamyśleniu brodę.

Ruth poczuła dreszczyk emocji. Szukał zapewne jakiegoś wielosylabowego słowa, znanego tylko wtajemniczonym, które można znaleźć jedynie w wielkim słowniku oksfordzkim.

- Opar - powiedział w końcu.

- Opar? - Ruth pomyślała o przejmującym chłodzie, mgle i duchach samobójców. Ona na pewno nie wybrałaby takiego słowa.

- Przemawia do wszystkich zmysłów - wyjaśnił. - Może nie być przezroczysty, ale nie ma stałej formy. Można go poczuć, ale nie ma trwałego kształtu. Może być gorący albo zimny. Niektóre opary mają okropny zapach, inne wspaniałe. Niektóre są niebezpieczne, inne nieszkodliwe. Niektóre są jaśniejsze od innych, na przykład płonącej rtęci i sodu. Opar może człowiekowi wejść przez nos i przeniknąć do płuc. A brzmienie tego słowa, układ warg i języka - oparrrr - doskonale pasuje do jego znaczenia.

- Rzeczywiście - zgodziła się Ruth. - Oparrrr - powtórzyła, rozkoszując się wibrowaniem języka.

- I jeszcze prężność oparu - pary wodnej - ciągnął Art.

- Kiedy osiąga stopień równowagi między dwoma stanami, sto stopni Celsjusza. - Ruth skinęła głową, posyłając mu inteligentne w jej mniemaniu spojrzenie, które miało sugerować skupienie. Czuli się głupia i niedouczeni. - Raz masz wodę - mówił Art, wykonując rękami faliste ruchy. - Ale pod wpływem ciśnienia temperatury woda zmienia się w parę. - Jego palce gwałtownie zatrzepotały.

Ruth energicznie kiwała głową. Woda zmienia się w parę, to mniej więcej rozumiała. Matka opowiadała jej o ogniu i wodzie, które łącząc się, tworzą parę, a para wygląda na niegroźną, lecz potrafi obedrzeć cię ze skóry.

- Jak jin i jang? - zaryzykowała.

- Dwoistość natury. Oczywiście, że tak.

Ruth wzruszyła ramionami. Czuli się jak oszustka.

- A ty? - spytał. - Jakie jest twoje ulubione słowo? Przybrała kretyńską minę.

- Ojej, czy ja wiem, tyle ich jest! Zaraz. "Wakacje". "Wygrana". Poza tym jeszcze "gratis". "Wyprzedaż". "Promocja". Normalnie.

Roześmiał się, kiedy mówiła, więc zrobiło jej się przyjemniej.

- Pytam serio - rzekł po chwili. - Jakie?

Serio? Zastanowiła się, co pierwsze przychodzi jej na myśl. Same banały: pokój, miłość, szczęście. Co te słowa mogłyby powiedzieć o Ruth? Że brakuje jej tych wartości? Że nie ma wyobraźni? Wahala się, czy nie powiedzieć "onomatopeja" - dzięki temu słowu wygrała w piątej klasie konkurs ortograficzny. Ale "onomatopeja" stanowiła zlepek sylab, w ogóle

nieprzypominający prostych dźwięków, jakie miała oznaczać. Trach, bum, bach.

- Jeszcze nie mam ulubionego - oświadczyła wreszcie.

- Chyba za długo żyję ze słów, żeby umiała myśleć o nich inaczej niż w kategoriach praktycznych.

- Czym się zajmujesz?

- Kiedyś zajmowałam się komunikacją zbiorową. Potem zostałam niezależnym wydawcą, a kilka lat temu zaczęłam na większą skalę współpracować przy tworzeniu książek, głównie na temat inspiracji i samodoskonalenia. Jak poprawić własne zdrowie, jak lepiej uprawiać seks, jak mieć lepszą duszę i tak dalej.

- Czyli jesteś lekarzem książek.

Ruth spodobało się to określenie. Lekarz książek. Nigdy tak nie powiedziała o sobie ani o innych. Większość ludzi nazywała ją po prostu murzynem, wykonującym pracę za kogoś.

- Tak - powiedziała do Arta. - Chyba rzeczywiście można mnie nazwać lekarzem książek. Chociaż sama uważam się za kogoś w rodzaju tłumacza, który pomaga ludziom przelać na papier ich myśli. Niektórym książkom trzeba pomóc bardziej niż innym.

- Nigdy nie chciałaś napisać własnej książki?

Zawahala się. Oczywiście, że tak. Chciała napisać powieść w stylu Jane Austen, obyczajową, o klasie wyższej, powieść, która nie będzie miała nic wspólnego z jej życiem. Wiele lat temu marzyła o pisaniu opowiadań, które stanowiłyby formę ucieczki. Mogłaby dokonać korekt we własnym życiu i stać się kimś innym. Mogłaby być gdzie indziej. W wyobraźni mogła zmienić wszystko, siebie, matkę, przeszłość. Ale z drugiej strony, myśl, że mogłaby poprawić własne życie, przerażała ją, jak gdyby posługując się tylko wyobraźnią, skazywała na potępienie wszystko, czego nie lubiła w sobie i innych. Pisanie, o czym się tylko zechce, było najniebezpieczniejszą formą wyrażania życzeń.

- Przypuszczam, że wiele osób ma ochotę napisać własną książkę - odpowiedziała. - Ale chyba lepiej idzie mi tłumaczenie tego, co mają do powiedzenia inni.

- Podoba ci się to? Daje satysfakcję?

- Tak. Na pewno. Pozostaje mi jeszcze dużo wolności na rzeczy, które chcę robić.

- Masz szczęście.

- Owszem - przytaknęła. - Jasne, że mam szczęście.

Rozmowa z nim o takich sprawach sprawiała jej przyjemność. Z Wendy gadała zwykle o

tym, co ją irytuje, a nie pasjonuje. Narzekały na szerzącą się mizoginię, chamstwo i depresję swoich matek, z Artem natomiast Ruth rozmawiała po to, żeby dowiedzieć się czegoś o sobie i o nim. Chciał wiedzieć, co ją inspiruje, czy istnieje różnica między jej oczekiwaniami a celami, jakie sobie w życiu wyznaczyła, między motywacją a tym, w co wierzy.

- Różnica? - zapytała.

- Pewne rzeczy robisz dla siebie - wyjaśnił. - A pewne rzeczy dla innych. Może to jedno i to samo.

Dzięki tym rozmowom Ruth uświadomiła sobie, że ma szczęście, pracując jako niezależny redaktor, lekarz książek. Odkrycie to było krzepiące.

Pewnego wieczoru, jakieś trzy tygodnie po ich pierwszym spotkaniu, zaczęli rozmawiać o bardziej osobistych sprawach.

- Naprawdę lubię mieszkać sama - usłyszała własny głos. Wcześniej przekonała samą siebie, że tak jest naprawdę.

- A jeżeli spotkasz ideał partnera?

- To ideał może mieszkać u siebie, a mnie będzie idealnie samej. Przynajmniej nie będziemy się kłócić o to, czyj włos łonowy jest na sitku odpływowym w wannie.

Art zachichotał.

- Boże! Naprawdę mieszkałaś z kimś, kto narzekał na takie rzeczy?

Ruth parsknęła wymuszonym śmiechem, wbijając wzrok w filiżankę z kawą. To ona na to narzekała.

- Mielśmy odmienne poglądy na temat czystości - odrzekła. - Dzięki Bogu, że się nie pobraliśmy. - Poczula, że nareszcie mówi prawdę, bo wcześniej starała się zamaskować tymi słowami ból.

- A więc zamierzaliście się pobrać.

Nigdy nie potrafiła się zwierzyć nikomu, nawet Wendy, z tego, co stało się między nią a Paulem Shinnem. Opowiadała Wendy o różnych cechach Paula, z których powodu nieraz miała ochotę od niego odejść. Kiedy jej oznajmiła, że ze sobą zerwali, przyjaciółka wykrzyknęła:

- Nareszcie! Brawo!

Z Artem łatwiej było rozmawiać o przeszłości, ponieważ on do niej nie należał. Był jej kolegą z zajęć jogi, które stanowiły mniej ważną część życia. Nie znał dawnych nadziei i lęków Ruth. Potrafiła przy nim dokonać wivisekcji przeszłości inteligentnie i z dystansem

emocjonalnym.

- Myśleliśmy o małżeństwie - powiedziała. - To całkiem normalne, skoro mieszka się razem cztery lata. Ale wiesz co? Namietność z czasem słabnie, a różnice pozostają. Któregoś dnia oświadczył mi, że złożył podanie o przeniesienie do Nowego Jorku i dostał zgodę. - Ruth przypomniała sobie, jak była wówczas zaskoczona i miała Paulowi za złe, że nic jej wcześniej nie powiedział.

“Naturalnie, ja mogę pracować wszędzie - mówiła mu wtedy. Perspektywa przeprowadzki na Manhattan irytowała ją, lecz jednocześnie przejmowała dreszczem emocji. - Ale tu mam swoje korzenie, nie wspominając o tym, że musiałabym zostawić matkę i przenieść się do miasta, gdzie nie mam żadnych kontaktów. Dlaczego zawiadamiasz mnie w ostatniej chwili?”. Pytanie było retoryczne. Odpowiedzią było niezręczne milczenie Paula.

- Nie chciałam jechać, on nie nalegał - powiedziała po prostu. Starła się nie patrzeć na Artę. - Rozstaliśmy się w cywilizowany sposób. Oboje zgodziliśmy się, że trzeba żyć dalej, tylko osobno. Okazał się na tyle przyzwoity, że wziął winę na siebie. Stwierdził, że był niedojrzały, a ja bardziej odpowiedzialna. - Posłała Artowi idiotyczny uśmiech, jak gdyby była to najbardziej ironiczna uwaga, wygłoszona kiedykolwiek pod jej adresem. - Najgorsze było jednak to, że Paul zachowywał się bardzo uprzejmie - krępował się, że musi mi to zrobić. Naturalnie przez cały zeszły rok analizowałam, dlaczego nam nie wyszło, co w nas, co we mnie było nie tak. Rozmyślałam o każdej naszej kłótni. Mówiłam mu, że jest lekkomyślny, on twierdził, że w najprostszych sprawach szukam najtrudniejszych rozwiązań. Wyrzucałam mu, że nigdy nic nie planuje, on mówił, że mam obsesję, która niemal zabija spontaniczność. Uważałam, że jest samolubny, on dowodził, że za bardzo się nim przejmuję, a potem użalam się nad sobą, bo Paul mi za to nie dziękuje. Być może oboje mieliśmy rację i dlatego nie mogliśmy być razem.

Art dotknął jej ręki.

- Moim zdaniem, stracił fantastyczną kobietę. Poczula ogarniającą ją falę wdzięczności i skrępowania.

- Naprawdę jesteś fantastyczna. Jesteś szczerą i zabawną. Inteligentną, ciekawą świata.

- Nie zapomnij dodać, że także odpowiedzialna.

- Co złego jest w odpowiedzialności? Chciałbym, żeby więcej ludzi czuło jej brzemień. I wiesz, co jeszcze? Chcesz być bezbronna. Moim zdaniem, to ujmujące.

- O rany.

- Poważnie.

- Jesteś uroczy. Następnym razem ja stawiam kawę. - Roześmiała się, kładąc dłoń na jego rękę. - A ty? Opowiedz mi o swoich ukochanych i katastrofach w swoim życiu. Jesteś z kimś?

- Chwilowo z nikim. Połowę życia mieszkam sam, a drugą spędzam na zbieraniu zabawek i pieczeniu bułeczek z marmoladą dla swoich dwóch córek.

A to niespodzianka.

- Adoptowałeś je?

Wyglądał na zaskoczonego.

- To moje dzieci. I mojej byłej żony, oczywiście. Byłej żony? To będzie trzeci znany jej gej, który się ożenił.

- Dawno po ślubie się przyznałeś?

- Przyznałem? - Zmierzył ją zbaraniałym wzrokiem. - Chwileczkę. Myślisz, że jestem gejem?

W jednej chwili zrozumiała własny błąd.

- Oczywiście, że nie! - zdołała wykrztusić. - Pytałam, czy dawno... przyjechałeś z Nowego Jorku.

Roześmiał się głośno.

- Cały czas myślałaś, że jestem gejem, tak?

Ruth oblała się rumieńcem. Jak mogła to powiedzieć?

- To przez obrączkę - przyznała, wskazując na złotą ozdobę na jego palcu. - Większość gejów, których znam, nosi obrączki na prawej ręce.

Zsunął obrączkę i obejrzał ją pod światło.

- Zrobił ją w prezencie ślubnym mój najlepszy przyjaciel - rzekł Art, poważniejąc nagle. - Ernesto, wyjątkowa postać. Był poetą i złotnikiem hobbystą, a zarabiał jako kierowca limuzyny. Widzisz ten grawerunek? Powiedział, że ma mi przypominać, ile wybojów czyha w życiu, i żebym pamiętał, co jest między nimi. Miłość, przyjaźń, nadzieja. Przestałem ją nosić po naszym rozstaniu z Miriam. Potem Ernesto zmarł, na raka mózgu. Postanowiłem włożyć obrączkę, żeby mi go przypominała. Był przyjacielem - ale nie kochankiem.

Podsunał Ruth obrączkę, żeby dokładniej się jej przyjrzała. Wziąwszy do ręki kawałek złota, stwierdziła, że jest cięższy, niż przypuszczała. Przyłożyła obrączkę do oka, patrząc przez nią na Artę. Był taki łagodny. Wcale nie chciał jej oceniać. Poczula ściśnięcie serca, które sprawiło jej

ból, lecz jednocześnie zapragnęła śmiać się i krzyżeć. Jak mogła go nie pokochać?

Odbierając z pralni ubrania Arta, Ruth zgięła duży palec u nogi i przypomniała sobie, że ma zadzwonić do Wendy. Pani Scott z młodym chłopcem, ale szok. Woląla poczekać z tym, aż znajdzie się na parkingu przed sklepem spożywczym, ponieważ nie chciała ryzykować zderzenia czołowego podczas rozmowy przez komórkę na tak pikantne tematy.

Ruth i Wendy były w tym samym wieku. Znały się od szóstej klasy, ale bywały już czasy, że nie widywały się przez kilka lat. Ich przyjaźń krzepła dzięki przypadkowym spotkaniom i uporowi Wendy. Nie była to osoba, którą Ruth sama wybrałaby na swoją najbliższą przyjaciółkę, mimo to cieszyło ją, że wytworzyła się między nimi silna więź. Ruth potrzebowała hałaśliwości Wendy, by zrównoważyć własną ostrożność, bezceremonialnością Wendy chciała uleczyć rezerwę, z jaką sama traktowała ludzi.

- Przestań być taką marudą - strofowała ją często Wendy, albo: - Nie musisz się ciągle zachowywać tak uprzejmie. Przy tobie czuję się jak ostatnia chamka.

Wendy odebrała telefon po pierwszym dzwonku.

- Możesz w to uwierzyć? - odezwała się, jak gdyby nie przestawała tego powtarzać od zakończenia ich ostatniej rozmowy. - A mnie się wydawało, że przesadziła, robiąc sobie lifting twarzy. Wczoraj wieczorem powiedziała mi, że robią to z Patrickiem dwa razy w nocy. Mnie - wyobrażasz sobie - powiedziała to własnej córce, którą sama kiedyś wysłała do spowiedzi za to, że spytałam ją, skąd się biorą dzieci.

Ruth wyobraziła sobie panią Scott, jak zdejmuje swój kostium od Chanel, trójdzielne okulary i wysadzany brylantami krzyżyk, a potem bierze w objęcia opalonego młodzieńca.

- Uprawia seks częściej ode mnie! - wykrzyknęła Wendy. - Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz miałam ochotę na coś więcej z Jimem niż sen. Wendy często żartowała na temat swojego wędzącego popędu seksualnego. Ruth nie sądziła jednak, by przyjaciółka miała na myśli zupełny brak ochoty. Czyżby ją też to czekało? Rzeczywiście nie byli już z Artem tak namiętnymi kochankami jak dawniej. Mniej było gry miłosnej, częściej usprawiedliwiali się zmęczeniem i łatwiej to akceptowali. Poruszyła palcem u nogi: sprawdzić poziom estrogenów. Może właśnie wahania hormonów są powodem jej niepokojów? Życie było wprawdzie dalekie od ideału, ale wszystkie kłopoty bywały raczej mało istotne. I lepiej, żeby tak zostało. Obiecała sobie, że będzie czulsza dla Arta.

- Rozumiem twoje zdenerwowanie - pocieszyła ją Ruth.

- Właściwie bardziej się martwię, niż denerwuję - odparła Wendy. - To bardzo dziwne. Im jest starsza, tym częściej zachowuje się jak młoda dziewczyna. Z jednej strony, mówię sobie: świetnie, brawo, mam. Ale z drugiej, myślę: co ją opętało? Mam jej teraz pilnować i matkować jej, żeby nie wpakowała się w żadne kłopoty? Wiesz, o co mi chodzi?

- Z moją matką mam to przez całe życie - powiedziała Ruth. I nagle przypomniała sobie to, co miało być dziś Po Dziewiąte. Matka miała o czwartej po południu wizytę u lekarza.

W ciągu zeszłego roku Ruth nie przejmowała się szczególnie jej zdrowiem. Nie było powodów do niepokoju: LuLing czuła się po prostu trochę niewyraźnie. Przez jakiś czas Ruth wydawało się, że matka jest zmęczona, że może traci słuch albo gorzej rozumie po angielsku. Z właściwą sobie przezornością nie wykluczała też najgorszego - guz mózgu, wylew, choroba Alzheimera - wierząc jednocześnie, że jeśli dopuszcza do siebie takie myśli, to na pewno okaże się to nieprawdą. Historia dowodziła, że Ruth zawsze martwiła się niepotrzebnie. Jednak przed kilkoma tygodniami, gdy matka wspomniała, że umówiła się na badanie, Ruth obiecała, że zawiezie ją do lekarza.

Skończywszy rozmowę z Wendy, wysiadła z samochodu i ruszyła do sklepu, pogrążona w myślach. Po Dziewiąte, mama. Zaczęła wyliczać na palcach pytania, jakie powinna zadać lekarzowi. Dzięki Bogu, że odzyskała głos.

Na stoisku warzywnym Ruth skierowała się w stronę kosza z rzepami o pięknym kształcie. Każda była wielkości jabłka, symetryczna i dokładnie wyszorowana, z fioletowymi prążkami. Większość ludzi nie docenia estetyki rzepy, myślała Ruth, wybierając pięć dorodnych sztuk. Uwielbiała te chrupkie warzywa, które cudownie wchłaniały aromat każdego sosu i marynaty, w których je zanurzano. Ruth lubiła posłuszne warzywa. A rzepę lubiła najbardziej pokrojoną w duże kawałki i zamarynowaną w occie z papryczkami, cukrem i solą.

Co roku przed kolacją z okazji wrześniowego zjazdu rodzinnego matka robiła dwa słoje marynowanej ostrej rzepy, z których jeden dawała Ruth. Kiedy Ruth była małą dziewczynką, nazywała rzepę la - la, "gorące - gorące". Ssała ją i żuła, dopóki spuchnięty język i wargi nie zaczęły jej piec jak ogień. Teraz też opychała się nią od czasu do czasu. Miała większą ochotę na sól czy ból? Gdy rzepy ze słoja ubywało, Ruth dorzucała więcej pokrojonych warzyw i szczyptę soli i zostawiała jeszcze na kilka dni. Art uważał, że jej smak jest w porządku w małych dawkach. Dziewczynki natomiast twierdziły, że rzepa ma zapach, "jakby coś puszczało bąki w lodówce". Czasem Ruth ukradkiem podjadała ją rano, rozkoszując się w ten sposób początkiem dnia. Nawet

matka uważała, że to trochę dziwne.

Matka - Ruth trąciła swój serdeczny palec, by przypomnieć sobie o dzisiejszej wizycie u lekarza. O czwartej. Musiała ze wszystkim zdążyć w krótszym czasie. Pośpiesznie chwyciła parę jabłek Fuji dla Fii, Granny Smith dla Dory i Braeburn dla Arta.

Przy stoisku mięsnym Ruth zamyśliła się. Dory nie zje niczego, co ma oczy, a Fia od czasu, gdy zobaczyła film "Świnka z klasą" też próbuje być wegetarianką. Obie dziewczynki robiły wyjątek dla ryb, ponieważ owoce morza były "niefajne". Kiedy to oznajmiły, Ruth zapytała je:

- Jeżeli coś nie jest fajne, czy to znaczy, że jego życie jest mniej warte? Czy dziewczyna, która wygra konkurs piękności, jest lepsza od tej, która nie wygra?

Krzywiąc się, Fia odpowiedziała:

- O czym ty mówisz? Ryby nie występują w konkursach piękności.

Ruth popchnęła wózek w stronę działu rybnego. Marzyła o swoich ulubionych krewetkach w skorupce. Art na pewno by ich jednak nie tknął. Twierdził, że smak każdego skorupiaka i mięczaka przywodzi na myśl przewód pokarmowy. Zdecydowała się na chilijskiego okonia.

- Tego poproszę - powiedziała do człowieka za ladą, lecz zaraz zmieniła zdanie: - Nie, proszę większego.

Skoro szły razem do lekarza, mogła przecież zaprosić matkę na kolację. LuLing zawsze narzekała, że nie lubi gotować tylko dla siebie.

Już przy kasie Ruth zobaczyła przed sobą kobietę, która brała całe wiązanki białych i brzoskwiniowych tulipanów za co najmniej pięćdziesiąt dolarów. Ruth zdumiewała łatwość, z jaką niektórzy kupowali kwiaty, jak gdyby był to towar pierwszej potrzeby w rodzaju papieru toaletowego. I do tego jeszcze tulipany! Już po kilku dniach więdły i gubiły płatki. Może kobieta organizowała w weekend jakieś ważne przyjęcie? Kiedy Ruth kupowała kwiaty, musiała przed podjęciem decyzji ocenić pod różnym kątem ich wartość. Stokrotki były tanie i urocze, ale miały nieprzyjemną woń. Gipsówki o drobnych kwiatuśkach kosztowały jeszcze mniej, ale jak zauważył Gideon, były to kwiatki w najgorszym guście, typowe dla podstarzałych gejów, którzy stawiali je na koronkowych serwetkach, odziedziczonych po babciach. Tuberozy pachniały wspólnie i stanowiły silny akcent dekoracyjny, ale w tym sklepie były bardzo drogie, prawie cztery dolary za sztukę. Na straganie można je było kupić już za dolara. Ruth lubiła hortensje w doniczkach. Ostatnio zaczęły odzyskiwać dawną popularność, a jeśli pamiętało się o regularnym podlewaniu, mogły wytrzymać nawet dwa miesiące. Sztuczka polegała na tym, aby tuż przed

śmiercią ściąc je i włożyć do glinianego dzbanka, żeby wyschły, a potem można było nimi ozdobić mieszkanie na stałe, to znaczy dopóki ktoś taki jak Art ich nie wyrzuci, mówiąc, że i tak są przecież martwe.

Ruth nie wychowywała się w domu pełnym kwiatów. Nie pamiętała, by LuLing kiedykolwiek je kupowała. Aż do dnia, w którym z cicią Gal i kuzynkami poszła do sklepu spożywczego, nie sądziła, by czegoś jej w życiu brakowało. W supermarkecie w Saratodze dziesięcioletnia Ruth patrzyła, jak jej towarzyszki wrzucają do koszyka wszystko, na co im przyszła ochota, wszystkie smakołyki, których Ruth nigdy nie wolno było jeść: mleczko czekoladowe, pączki, gotowe mrożone dania, lody w waflu, słodkie krówki. Potem przystanąły przy stoisku, gdzie ciocia Gal kupiła cięte kwiaty, różowe róże, chociaż wcale nikt nie umarł ani nie miał urodzin.

Przypominając sobie tamte czasy, Ruth postanowiła jednak zaszaleć i kupić małą orchideę o kwiatach barwy kości słoniowej. Orchidee wyglądały na delikatne roślinki, ale najlepiej rozwijały się, kiedy się o nie w ogóle nie dbało. Wystarczało podlać je raz na dziesięć dni. Mogły się wydawać drogie, lecz kwitły sześć miesięcy i dłużej, a potem przechodziły w okres spoczynku, po którym znów w zdumiewający sposób okrywały się nowymi kwiatami. Nigdy nie umierały - można było liczyć, że będą odradzać się wiecznie. Pod tym względem były najcenniejsze.

Wróciwszy do domu, Ruth poukładała zakupy na swoim miejscu, postawiła orchideę na stole w jadalni i poszła do Kącika. Lubiła myśleć, że ograniczona przestrzeń nie - ograniczenie pobudza wyobraźnię. Ściany były tu pomalowane na czerwono i upstrzone błyszczącymi metalicznie złotymi plamkami - pomysł Wendy. Górne światło łagodził blask lampki na stole, przysłoniętej bursztynowym kloszem z miki. Na czarnych lakierowanych półkach zamiast słoików z dżemem stały encyklopedie i słowniki. Laptop był ustawiony na blacie do krojenia, spod którego usunięto pojemnik na mąkę, by zrobić miejsce na nogi.

Usiadła przed komputerem i zanim jeszcze dotknęła klawiszy, poczuła się wyczerpana. Co robiła dziesięć lat temu? To samo. A co będzie robiła za dziesięć lat? To samo. Nawet tematy książek, które pomagała pisać, nie zmieniały się, tylko fachowe słownictwo było różne. Wzięła głęboki oddech i zadzwoniła do nowego klienta, Teda. Jego książka, "Duchowość Internetu", traktowała o etyce tworzonej przez kosmiczne łącza komputerowe i była bardzo na czasie, ale autor podejrzewał, że mogłaby stracić aktualność, gdyby wydawcy ociągali się z jej publikacją. Mówił o tym w kilku pilnych wiadomościach, jakie nagrał w ciągu weekendu, kiedy Ruth była w

Tahoe.

- Nie mam żadnego wpływu na terminy wydania - starała się teraz tłumaczyć Ruth.

- Przestań myśleć w kategoriach ograniczeń - odrzekł. - Jeżeli jesteś współautorką, musisz uwierzyć w zasady, o których mówi książka. Wszystko jest możliwe, dopóki dzieje się dla dobra świata. Z jednym wyjątkiem. Trzeba żyć wyjątkowo. Jeśli nie jesteś do tego zdolna, może powinniśmy się zastanowić, czy jesteś odpowiednią do tego przedsięwzięcia osobą. Pomyśl o tym, a jutro porozmawiamy.

Ruth odłożyła słuchawkę. Zamyśliła się nad tym. Dobrem świata zajmuje się mój agent, mruknęła do siebie. Ostrzeże Gideona, że klient jest natarczywy, i być może będzie usiłował wpłynąć na datę wydania. Tym razem pozostanie nieugięta. Żeby spełnić żądania klienta, nie zaniedbując przy tym innych obowiązków, musiałaby pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Piętnaście lat temu byłaby gotowa to zrobić - w czasach, kiedy paliła papierosy i uważała, że jeśli na nic nie ma czasu, to znak, że jest potrzebna. Dziś było już inaczej. Rozluźnij mięśnie, upomniała się w myśli. Wzięła kolejny głęboki oddech i wypuściła powietrze, spoglądając na półki z książkami, które pomogła napisać i zredagować.

“Kult wolności osobistej”. “Kult współczucia”. “Kult zazdrości”.

“Biologia atrakcyjności seksualnej”. “Fizyka natury ludzkiej”. “Geografia duszy”.

“Jin i jang samotności”. “Jin i jang małżeństwa”. “Jin i jang rozvodu”.

Do najpopularniejszych tytułów należały: “Pokonaj depresję dzięki psom”, “Graj na zwłokę dla własnej korzyści” oraz “Do diabła z winą”. Ostatnia książka stała się wzbudzającym liczne kontrowersje bestsellerem. Przełożono ją nawet na niemiecki i hebrajski.

Nazwisko “Ruth Young” jako współautorki, jeżeli w ogóle je wymieniało, drukowano na stronie tytułowej małą czcionką jako drugie. Po piętnastu latach miała na swoim koncie prawie trzydzieści pięć książek. Większość wczesnych zleceń dostawała od klientów zajmujących się komunikacją zbiorową. Później Ruth sama się zajęła komunikacją w ogóle, potem problemami komunikacji, wzorcami zachowań, problemami emocjonalnymi, związkami ciała z umysłem oraz przebudzeniem duchowym. Tkwiąc w tej tematyce dość długo, była świadkiem ewolucji terminologii fachowej: najpierw “czakry”, potem chi, “prana”, “energia witalna”, “siła życia”, “siła biomagnetyczna”, “pola bioenergetyczne” i wreszcie znowu “czakry”. W księgarniach większość mądrości jej klientów można było znaleźć w działach literatury popularnej - “Poradniki”, “Lepsze życie”, “Źródła inspiracji”, “New Age”. Ruth wolałaby pracować przy

powstawaniu książek z działów "Filozofia", "Nauka", "Medycyna".

Często sobie powtarzała, że książki, które pomagała pisać, na ogół były ciekawe, a jeśli nie, jej zadanie polegało na tym, by je uatrakcyjnić. I jeśli sama skromnie wyrażała się o własnej roli z pewnym lekceważeniem, drażniło ją, gdy inni nie traktowali jej poważnie. Nawet Art nie rozumiał, jaka to ciężka praca. Po części była to jednak wina jej, Ruth. Chciała, by inni uważali, że ma łatwe zajęcie. Wolalała, żeby sami się przekonali, z jakim trudem zmienia niepotrzebne nikomu śmieci w czyste złoto. Oczywiście, nigdy tego nie zauważyli. Nie wiedzieli, jak ciężko jest stworzyć z nieskładnych przemyśleń żywą prozę, zachowując się z najwyższą dyplomacją. Musiała zapewniać klientów, że proste przeformułowanie słów nie sprawi, iż ich idee przestaną być zrozumiałe, mądre i ważne. Musiała mieć na uwadze fakt, że książki są dla ich autorów formą nieśmiertelności, że słowa wydrukowane na papierze będą żyły dłużej niż ich ciała. Po wydaniu nowego poradnika Ruth na przyjęciach musiała siedzieć cicho, podczas gdy klienci zbierali pochwały za wspaniałe dzieło. Często twierdziła, że nie potrzebuje podziękowań, by czuć satysfakcję z pracy, lecz nie była do końca szczerą. Pragnęła choć odrobiny uznania, i to nie w rodzaju tego, z jakim spotkała się przed dwoma tygodniami na przyjęciu z okazji siedemdziesiątych siódmych urodzin matki.

Ciocia Gal i wuj Edmund przyprowadzili swoją przyjaciółkę z Portland, starszą panią w grubych okularach, która zapytała Ruth o pracę.

- Jestem współpracownikiem literackim - powiedziała Ruth.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy? - zbesztła ją LuLing. - To źle brzmi, jak zdrajca i szpieg.

Wtedy ciocia Gal wyjaśniła autorytatywnie:

- Ruth jest współautorką książek, jedną z najlepszych w tej branży. Znasz takie książki, gdzie na okładce jest dopisek "opowiedziane przez autora" - i tu nazwisko? To właśnie robi Ruth - ludzie opowiadają jej swoje historie, a ona zapisuje je dokładnie słowo po słowie. - Ruth nie zdążyła sprostować słów ciotki.

- Tak jak stenografki sądowe - powiedziała starsza pani. - Podobno muszą być bardzo szybkie i dokładne. Przeszła pani specjalne szkolenie?

Zanim Ruth otworzyła usta, by odpowiedzieć, ciocia Gal zaszczębiotała:

- Ruthie, powinnaś opowiedzieć moją historię! Jest pasjonująca, na dodatek zupełnie prawdziwa. Tylko nie wiem, czy będziesz mogła nadążyć. Bardzo szybko mówię!

Nagle wtrąciła się LuLing:

- Nie tylko pisze, dużo pracy! - Ruth poczuła wdzięczność za tę nieoczekiwaną obronę, dopóki matka nie dodała: - Poprawia też błędy!

Ruth uniosła wzrok znad notatek sporządzonych po konferencji telefonicznej z autorem "Duchowości Internetu" i wyliczyła sobie w myślach dobre strony swojego zajęcia. Pracuje w domu, nieźle zarabia i zyskuje uznanie przynajmniej w oczach wydawców oraz ludzi od public relations, którzy dzwonili do niej z mnóstwem pytań, gdy umawiali autorów na wywiady radiowe. Miała zawsze mnóstwo pracy w przeciwieństwie do niektórych niezależnych pisarzy, którzy wściekali się, gdy mieli na warsztacie kilka pilnych rzeczy naraz.

- Tyle pracy, sukces - mówiła ostatnio matka, kiedy Ruth powiedziała jej, że nie znajdzie czasu, żeby się z nią zobaczyć. - Nie ma wolnej chwili - dodała LuLing - za każdą minutę trzeba płacić. Ile mam dać, pięć, dziesięć dolarów, żebyś przyszła do mnie?

Prawda była taka, że Ruth w swoim przekonaniu nie miała zbyt dużo wolnego czasu. Wolny czas był najcenniejszy, by robić to, co się najbardziej lubi, lub przynajmniej żeby na chwilę zwolnić i przypomnieć sobie, dlaczego życie warte jest takiej gonitwy i co naprawdę daje szczęście. Jej wolny czas zwykle pożerały sprawy, które w danej chwili wydawały się najpilniejsze, a później okazywały się niepotrzebne. Wendy mówiła to samo:

- Pojęcie wolnego czasu już nie istnieje. Trzeba go zaplanować, określając wartość każdej chwili w dolarach. Jesteś pod ciągłą presją, żeby znać wartość odpoczynku, relaksu i wizyt w restauracjach, do których trudno się dostać.

Usłyszawszy to, Ruth przestała się dreczyć ograniczeniami czasowymi. To nie jej wina, że nie ma czasu, żeby robić to, co jest konieczne. Problem dotyczył wszystkich. Ale spróbuj to wytłumaczyć matce.

Wyciągnęła notatki dotyczące siódmego rozdziału ostatniej książki Agapi Agnos, "Prostowanie krzywych dróg dziecka", po czym wykreśliła numer autorki. Ruth należała do niewielu osób, które wiedziały, że Agnos naprawdę nazywa się Doris DeMatteo i wybrała taki pseudonim, ponieważ agapi oznacza "miłość", a agnos odnosi się do niewiedzy, lecz ona przyjęła na swój użytek inną definicję - - znaczenie. Tak właśnie podpisywała własne książki "Miłość i Niewinność, Agapi Agnos". Ruth lubiła z nią pracować. Mimo że Agapi była psychiatrą, człowiek nie czuł się przy niej onieśmielony. Wiedziała, że jej urok polega przede wszystkim na sztuczkach (la Zsa Zsa Gabor, specyficznym akcencie, zalotności i inteligencji, którą skrzył się każdy jej wywiad w radiu czy telewizji).

W rozmowie telefonicznej Ruth omówiła rozdział o pięciu zakazach i dziesięciu nakazach dla zaangażowanych rodziców.

- Kochana - mówiła Agapi. - Dlaczego taka lista zawsze ma liczyć pięć i dziesięć pozycji? Nie zawsze mogę się ograniczyć to okrągłych liczb.

- Ludziom po prostu łatwiej zapamiętać rzeczy w zbiorach po pięć i dziesięć - odrzekła Ruth. - Czytałam na ten temat jakąś pracę. - Prawda, że czytała? - Pewnie ma to coś wspólnego z liczeniem na palcach.

- Rzeczywiście, to ma sens, moja droga! Wiedziałam, że musi być jakiś powód.

Odłożywszy słuchawkę, Ruth zabrała się do rozdziału zatytułowanego "Żadne dziecko nie jest wyspą". Włączyła taśmę z nagraniem rozmowy z Agapi.

- ...Jedno z rodziców, rozmyślnie lub nie, narzuca małemu dziecku kosmologię... - Agapi zrobiła pauzę. - Chcesz coś powiedzieć?

Jaki mogła nadać sygnał, dzięki któremu Agapi się domyśliła, że ona chce dodać jakąś myśl? Ruth rzadko komuś przerywała.

- Powinnyśmy tu zdefiniować termin "kosmologia" - usłyszała własny głos. - Może damy przypis. Nie chcemy chyba, żeby ludzie myśleli, że jest mowa o kosmetyce albo astrologii.

- Tak, tak, dobra uwaga, moja droga. Kosmologia, sprawdźmy... to, w co wierzymy, podświadomie lub otwarcie i bezgranicznie, na temat działania wszechświata - chcesz coś dodać?

- Czytelnicy pomyślą, że chodzi o planety czy teorię Wielkiego Wybuchu.

- Jesteś taka cyniczna! No dobrze, sama sformułuj to wyjaśnienie, ale wspomnij coś na temat, jak każdy znajduje swoje miejsce w rodzinie, społeczeństwie, środowisku, z jakim się kontaktuje. Napisz o tych rozmaitych rolach i o tym, jak, zdaniem ludzi, ich nabywamy - czy decyduje przeznaczenie, fatum, szczęście, przypadek, własna determinacja, no wiesz, i tak dalej, i tak dalej. Aha, Ruth, moja złota, napisz to ślicznie i zrozumiale.

- Nie ma sprawy.

- Dobrze, załóżmy więc, że wszyscy rozumieją, co to kosmologia. Dalej mówimy, że rodzice poprzez swoje zachowanie, reakcje na codzienne zdarzenia, często przyziemne, przekazują dzieciom tę kosmologię. Zdaje mi się, że trochę nie nadążasz.

- Przykłady przyziemnych zdarzeń.

- Dajmy na to, posiłki. Być może obiad zawsze podaje się o szóstej, a mama drobiazgowo wszystko planuje, obiad jest pewnym obrzędem, ale nic się nie dzieje, żadnej rozmowy, chyba że

kłótnia. Albo posiłki jada się na łapu - capu, o różnych porach. Dziecko może więc dorastać w przekonaniu, że albo dzień i noc są przewidywalne, choć nie zawsze przyjemne, albo że świat jest chaotyczny, szalony, czy rozwija się w niekontrolowany sposób. Niektóre dzieci radzą sobie doskonale, bez względu na wczesne doświadczenia. Z innych natomiast wyrastają dorośli, którzy przez całe życie wymagają bardzo, bardzo drogiej psychoterapii.

Ruth słuchała nagranych na taśmę śmiechu. Sama nie chodziła do terapeuty, w przeciwieństwie do Wendy. Pracując z wieloma terapeutami, stwierdziła, że są normalnymi, pełnymi słabostek ludźmi, którzy często sami potrzebują pomocy. Wendy ceniła sobie świadomość, że profesjonalista poświęca tylko jej osobie dwie godzinne sesje w tygodniu, Ruth natomiast nie potrafiłaby uzasadnić płacenia pięciuset dolarów za godzinę słuchania samej siebie. Wendy często mówiła, że przyjaciółka powinna się skonsultować z analitykiem w sprawie swojej obsesji liczenia wszystkiego. Ruth liczenie wydawało się jednak praktyczne, nie obsesyjne; pomagało zapamiętywać, wcale nie służyło odpędzaniu żadnych zabobonnych lęków.

- Ruth, kochana - ciągnął głos Agapi z taśmy. - Możesz zerknąć do teczki z napisem "Fascynujące przypadki" i wybrać stosowne przykłady do tego rozdziału?

- Dobrze. Zastanawiałam się, czy nie włączyć też części na temat kosmologii narzucanej przez telewizję jako sztucznego opiekuna. Proponuję, bo mógłby to być punkt odniesienia w wywiadach radiowych i telewizyjnych.

- Tak, tak, wspaniale! Jakie programy masz na myśli?

- Zaczniemy od tych z lat pięćdziesiątych, wiesz, "Howdy Doody", "Klub Myszki Mickey" aż do "Simpsonów" i "Miasteczka South Park"...

- Nie, moja droga, pytam, w jakich programach ja mogłabym wystąpić. "Sześćdziesiąt minut", "Dziś", "Charlie Rose"... och, bardzo bym chciała się tam pokazać, ten facet jest taki seksowny...

Ruth zaczęła szkicować na podstawie notatek. Bez wątpienia Agapi zadzwoni do niej wieczorem, żeby spytać, co napisała. Ruth podejrzewała, że jest jedyną pisarką w tej branży, która sądzi, że wyznaczony termin to konkretna data.

O jedenastej odezwał się brzęczyk zegarka. Ruth dotknęła palca: Po Ósme, zadzwonić do Gideona. Kiedy się odezwał, zaczęła go naciskać w sprawie autora "Duchowości Internetu".

- Ted chce, żebym odłożyła wszystko na bok i zajęła się jego projektem jako najpilniejszym. Kiedy bardzo stanowczo powiedziałam mu, że nie mogę tego zrobić, dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że może mnie zastąpić kimś innym. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby mnie zwolnił - powiedziała Ruth. Spodziewała się usłyszeć odmowę.

- Nie zwolni cię - odparł Gideon. - Złamiesz się jak zwykle. Prawdopodobnie pod koniec tygodnia zaczniesz wydzwaniać do Harper San Francisco i przekonywać ich, żeby zmienili plany wydawnicze.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Spójrz prawdzie w oczy, skarbie, jesteś bardzo uczynna. Chętnie się sprężysz. Poza tym masz talent i potrafisz wmówić każdemu palantowi, że jest najlepszy w tym, co robi.

- Uważaj - rzekła Ruth. - Opisujesz przymioty dziwki.

- Ale to prawda. Jesteś wymarzonym współpracownikiem - ciągnął Gideon. - Słuchasz tych bredni klientów, a ci, nie przejmując się niczym, robią z tobą, co chcą. Jesteś łatwym celem.

Dlaczego Art tego nie słyszy? Ruth miała ochotę zatriumfować: "Widzisz, innym wcale się nie wydaje, że jestem trudna". Po chwili zrozumiała, że - zdaniem Gideona - jest po prostu oferumą. Ruth zdawało się jednak, że prawda wygląda inaczej. Znała granice swoich możliwości, ale nie należała do osób skłonnych walczyć o sprawy, które ostatecznie nie okazywały się aż tak ważne. Nie rozumiała ludzi, którzy znajdowali przyjemność w kłótni i przekonaniu, że zawsze mają rację. Jej matka taka była i co jej z tego przyszło? Same nieszczęścia, niezadowolenie i złość. Według kosmologii matki, cały świat sprzysiął się przeciw niej i nikt nie jest w stanie tego zmienić, ponieważ klątwy nie można pokonać.

Lecz Ruth miała wrażenie, że LuLing wdaje się w sprzeczki przede wszystkim z powodu swojej kiepskiej angielszczyzny. Nie rozumiała innych albo inni nie rozumieli jej. Ruth zawsze uważała, że właśnie ona cierpi z tego powodu. Ironia sytuacji polegała na tym, że matka była dumna, że sama nauczyła się angielskiego - chropawej mowy, którą przyswoiła sobie w Chinach i Hongkongu. Od przyjazdu do Stanów Zjednoczonych pięćdziesiąt lat temu ani nie poprawiła wymowy, ani nie wzbogaciła słownictwa. Jej siostra, GaoLing, przyjechała do Stanów mniej więcej w tym samym czasie, ale jej angielski był niemal perfekcyjny. Potrafiła rozmawiać o różnicach między krynoliną a organdyką, nazwać swoje ulubione drzewa: dąb, klon, ginkgo, sosna. Dla LuLing tkaniny dzieliły się na kategorie "za dużo kosztują", "za śliskie", "drapią skórę" i "długo się noszą". Istniały też tylko dwa rodzaje drzew: "dają cień" oraz "ciągle gubią liście".

Matka nie potrafiła nawet poprawnie wymówić imienia Ruth. Zawsze gdy wołała przez całą ulicę: "Lootie! Lootie!", Ruth płonęła ze wstydu. Dlaczego matka wybrała dla niej imię składające się z głosek, których nie umiała wypowiedzieć?

Najgorsze jednak było to, że Ruth - jedyne dziecko wdowy - zawsze musiała służyć LuLing jako rzecznik. Zanim skończyła dziesięć lat, została mówiącą po angielsku "panią LuLing Young", która odbierała telefony, umawiała się na wizytę u lekarza, pisała do banku. Raz musiała nawet zredagować upokarzający dla siebie list do pastora.

- Lootie sprawia mi kłopot - dyktowała LuLing, jak gdyby Ruth była niewidzialna. - Może ją wysłać na Tajwan, szkoła dla złych dzieci? Co pan myśli?

Ruth poprawiła to w następujący sposób: "Może Ruth mogłaby uczęszczać do szkoły dla dziewcząt z wyższych sfer, gdzie nauczyłaby się manier i zwyczajów młodej damy. Jaka jest ojca opinia w tej sprawie?".

Przyszło jej teraz do głowy, że w tak osobliwy sposób to właśnie matka nauczyła ją zawodu lekarza ksiązek. Ruth musiała ulepszać swoje życie, wprowadzając do niego poprawki.

Dziesięć po trzeciej Ruth zapłaciła hydraulikowi. Art nie przyszedł do domu ani nie zadzwonił. Okazało się, że trzeba wymienić cały bojler, nie tylko zepsutą część. Z powodu przecieku hydraulik musiał wyłączyć prąd w całym mieszkaniu do czasu wypompowania stojącej wody i usunięcia starego zbiornika. Ruth nie mogła pracować.

Była już prawie spóźniona. Przesłała Agapi faksem szkic rozdziału, po czym zaczęła biegać po domu, zbierając notatki, łapiąc telefon komórkowy i notes z adresami. Wskoczywszy do samochodu, pojechała do Presidio Gate, a potem przez las eukaliptusowy do California Street. Matka mieszkała pięćdziesiąt przecznic na zachód, w części San Francisco znanej jako Dzielnica Zachodzącego Słońca, niedaleko Land's End, Końca Ziemi.

Wizyta u lekarza była rzekomo rutynowa. Matka przez ostatnich kilka lat zaniedbała coroczne badanie, choć mieściło się w zakresie usług zdrowotnych. LuLing nigdy nie chorowała, Ruth nie pamiętała, kiedy ostatni raz złapała grypę czy choćby zwykłe przeziębienie. W wieku siedemdziesięciu siedmiu lat matka nie miała żadnego z typowych problemów geriatrycznych - artretyzmu, wysokiego poziomu cholesterolu czy osteoporozy. Najgorszą dolegliwością, na jaką często uskarżała się w rozmowach z Ruth - nie oszczędzając najdrobniejszych szczegółów - były zaparcia.

Ostatnio Ruth zaczęła się jednak niepokoić, bo matka, nie zdradzając wprawdzie oznak

sklerozy, stała się nieuważna. Mówiła "wstążka", mając na myśli "papier do pakowania" lub "koperta", kiedy chodziło jej o "znaczek". Ruth wymieniła w myślach całą listę takich przykładów, o których chciała powiedzieć lekarzowi. Powinna też wspomnieć o wypadku z marca. LuLing wjechała samochodem w tył ciężarówki. Na szczęście uderzyła tylko głową o kierownicę, nikt też nie został ranny. Ale auto nadawało się do kasacji.

- Przestraszył mnie do żywa - opowiadała LuLing. - Skóra o mało mi nie odeszła. - Obwiniała o wypadek gołębia, który przeleciał tuż przed szybą.

Ruth pomyślała teraz, że być może nie był to ruch ptasich skrzydeł, ale jakaś raptowna zmiana w jej mózgu, wylew, a uderzenie w głowę było poważniejsze, niż się mogło wydawać, i matka doznała wstrząsu mózgu, pęknięcia czaszki. W każdym razie - według policji i towarzystwa ubezpieczeniowego - wina leżała po stronie LuLing, nie gołębia. LuLing tak to oburzyło, że zerwała umowę na ubezpieczenie samochodu, a potem skarżyła się, że nie chcą jej odnowić polisy.

Ruth zrelacjonowała wydarzenie Agapi Agnos, która uznała, że nieuwaga i złość mogą mieć związek z depresją wieku podeszłego.

- Moja matka całe życie jest w depresji i od zawsze zła - odparła Ruth. Nie wspominała o groźbach samobójstwa, których wysłuchiwała tak często, że starała się na nie nie reagować.

- Znam cudownych terapeutów, którzy pracowali z pacjentami z Chin - poinformowała ją Agapi. - Świetnie się znają na różnicach kulturowych - myśleniu magicznym, dawnych presjach społecznych, przepływie ch'i.

- Wierz mi, Agapi, moja matka nie jest taka jak inni Chińczycy. - Ruth wolałaby, żeby matka była bardziej podobna do cioci Gal, która nie mówiła o duchach czy pechu, ani nie roztrząsała sposobów własnej śmierci.

- W każdym razie, moja droga, powinnaś zaprowadzić ją do lekarza na bardzo, bardzo dokładne badania. I mocno ją ode mnie uściskaj i serdecznie pozdrów.

Miła myśl, ale Ruth rzadko ścisnęła LuLing. Kiedy próbowała wziąć ją w objęcia, ramiona matki sztywniały, jak gdyby ktoś ją atakował.

Jadąc w stronę domu LuLing, Ruth znalazła się w typowej dla lata mgle. Potem zaczęły się z niej wyłaniać bungalowy budowane w latach dwudziestych, domki z lat trzydziestych, a po nich nijakie budynki mieszkalne z lat sześćdziesiątych. Widok oceanu w oddali szpecyły przecinające linię horyzontu przewody elektryczne, biegnące od słupa do domu i od domu do słupa. Na szybach wielu okien widniały smugi morskiej wilgoci. Rury ściekowe i rynny pokrywała rdza, podobnie

jak zderzaki starych samochodów. Ruth skręciła w ulicę trochę lepszych domów, wzorowanych na eleganckich projektach Bauhausu, ozdobione ogródkami o krzewach przyciętych w wymyślne kształty niczym puszyste nogi pudli na wystawach psów.

Zatrzymała samochód przed domem LuLing, piętrowym budynkiem w stylu śródziemnomorskim z łukowatym frontem morelowego koloru oraz fałszywym balkonem w wykuszowym oknie, zaopatrzonym w kratę z kutego żelaza. LuLing niegdyś z dumą doglądała swojego ogródka. Sama podlewała i przycinała żywopłot, poprawiała białe kamienie, okalające krótki chodnik. Kiedy Ruth tu mieszkała, musiała kosić trawniczki o wymiarach siedem na siedem stóp. LuLing zawsze krytykowała krawędzie wzdłuż chodnika. Narzekała także na żółte plamy moczu od strony ulicy, pozostawiane przez psy.

- Lootie, powiedz temu człowiekowi, nie pozwalał psu tak robić - powiedziała kiedyś.

Ruth z ociąganiem przeszła ulicę, zapukała do drzwi i zapytała sąsiada, czy nie widział czarno - białego kota, a potem wróciła i powiedziała matce, że człowiek będzie się starał powstrzymać psa przed brudzeniem trawy. Później, gdy zaczęła się już uczyć w college'u i przyjechała do domu z wizytą, ledwie przestąpiła próg, matka znów zaczęła ją prosić, żeby poszła do sąsiada w sprawie psa. Numer z zaginionym kotem wydawał się już ograny, a trudno było wymyślić inny powód niepokojenia człowieka z naprzeciwka. Ruth zazwyczaj zwlekała, tymczasem LuLing coraz bardziej zrzędziła na żółte plamy, lenistwo Ruth, jej zapominalstwo, brak troski o rodzinę i tak dalej. Ruth próbowała nie zwracać na to uwagi, czytając lub oglądając telewizję.

Pewnego dnia zebrała się na odwagę i poradziła LuLing, żeby wynajęła adwokata i pozwała sąsiada albo zatrudniła ogrodnika, by poprawił trawnik. Takie wyjście doradziła jej koleżanka z pokoju, twierdząc, że Ruth musi być stuknięta, skoro pozwała matce pomiatać sobą, jakby miała sześć lat.

- Płaci ci za to, żebyś była jej workiem treningowym? - pytała koleżanka, przekonując ją do swojego planu.

- No, daje mi pieniądze na college - przyznała Ruth.

- Tak, wszyscy rodzice to robią. Taka ich rola. Ale nie daje im to prawa, żeby robić z ciebie niewolnicę.

Podbudowana w ten sposób Ruth stawiła czoło matce:

- Jeżeli tak ci to przeszkadza, sama się tym zajmij. LuLing patrzyła na nią, milcząc przez

dobrych pięć minut. A potem wybuchnęła jak gejzer:

- Chcesz, żeby umarłam? Zęby nie było matki, która powie, co masz robić? Dobrze, może umrę niedługo!

I w jednej chwili pokonała Ruth, zbijając wszystkie argumenty i wytrącając ją z równowagi. Groźby LuLing, że umrze, były jak trzęsienie ziemi. Ruth wiedziała, że wciąż istnieje potencjalne zagrożenie, iż w każdej chwili mogą nastąpić nowe wstrząsy. A mimo tej świadomości, gdy w końcu dochodziło do katastrofy, wpadała w panikę i najchętniej uciekłaby, gdzie pieprz rośnie, zanim cały świat się zapadnie.

Jednak, dziwnym trafem, po tym zdarzeniu LuLing nie wspominała już więcej o psie sikającym na trawnik. Teraz ilekroć Ruth przyjeżdżała do domu, matka demonstracyjnie brała łopatę, zgięta w pół wykopywała z wysiłkiem żółte plamy i siała nową trawę, po dwa cale kwadratowe naraz. Ruth wiedziała, że ma to być dla niej tortura psychiczna, a mimo to - udając, że w ogóle jej to nie wzrusza - czuła bolesne skurcze żołądka. LuLing w końcu wynajęła do usunięcia żółtych plam fachowca, betoniarza, który zbudował ramę i formę, po czym wylał posadzkę w czerwone i białe betonowe romby. Chodnik też był czerwony. Z biegiem lat czerwień rombów wyblakła. Białe pokryły się szarym brudem. Niektóre miejsca wyglądały, jak gdyby nastąpiła tam erupcja lilipucich wulkanów. Z pęknięć wyrastały chwasty i kępki traw. Powinnam zatrudnić kogoś, żeby doprowadził dziedziniec do porządku, pomyślała Ruth, zbliżając się do drzwi. Smutne, że matka nie dba już o wygląd otoczenia tak jak kiedyś. Czuła także wyrzuty sumienia, że nie pomagała jej w zajmowaniu się domem. Może zadzwoni po swojego majstra od wszystkiego i poprosi go o posprzątanie i naprawę paru rzeczy.

Kiedy Ruth zbliżyła się do schodów prowadzących na piętro, z domu wyszła lokatorka mieszkająca na dole i dała jej znak, że chce z nią rozmawiać. Francine była trzydziestokilkuletnią kobietą o sylwetce anorektyczki; wyglądała, jakby na ciele numer dwa nosiła skórę numer osiem. Rozmawiając z Ruth, często marudziła o koniecznych w budynku naprawach. Ciągłe dochodziło do zwarć w instalacji elektrycznej. Czujniki dymu były stare i należało je wymienić. Schody z tyłu - nierówne, i mogło dojść na nich do wypadku, a w konsekwencji procesu sądowego.

- Nigdy zadowolona! - mówiła LuLing do Ruth.

Ruth wiedziała, że nie powinna brać strony lokatorki. Niepokoiła się jednak, że kiedyś rzeczywiście może zdarzyć się jakiś wypadek, na przykład pożar. Bała się nagłówków w gazetach: "Właścicielka slumsu w więzieniu. Kara za lekceważenie śmiertelnych niebezpieczeństw".

Dlatego Ruth zaczęła ukradkiem załatwiać sprawy, z którymi można się było uporać najszybciej. Kiedy kupiła Francine nowy czujnik dymu, dowiedziała się o tym LuLing i zareagowała histerycznie.

- Myślisz, że ona ma rację, ja nie? - I tak samo jak przez całe dzieciństwo Ruth, matka wściekała się coraz bardziej, aż nie była w stanie wykrztusić nic poza dawną groźbą: - Może umrę niedługo!

- Musisz porozmawiać ze swoją mamą - jęczała teraz Francine. - Oskarża mnie o to, że nie płacę za mieszkanie. A ja zawsze płacę w terminie, pierwszego każdego miesiąca. Nie wiem, o co jej chodzi, ale ona powtarza w kółko to samo, jak zacięta płyta.

W Ruth zamarło serce. Właśnie tego nie chciała usłyszeć.

- Pokazałam jej nawet anulowany czek, a ona na to: "Widzisz, masz jeszcze czek!". Dziwne, jakby nic nie rozumiała.

- Zajmę się tym - powiedziała cicho Ruth.

- Nęka mnie ze sto razy dziennie. Zaczynam przez to wariować.

- Wyjaśnię to.

- Mam nadzieję, bo chciałam już dzwonić na policję, żeby wydano w tej sprawie jakiś zakaz sądowy! Zakaz sądowy? Kto tu jest stuknięty?

- Przykro mi, że tak się stało - rzekła Ruth, przypominając sobie jedną z książek, którą pomagała pisać i która mówiła o tym, że należy odbijać jak lustro odczucia dziecka. - Pewnie czujesz się sfrustrowana, ponieważ się okazało, że nie zrobiłaś nic złego.

Podziałało.

- No dobrze - rzuciła Francine i zniknęła w swoich drzwiach jak kukułka ze szwajcarskiego zegara.

Ruth otworzyła mieszkanie matki własnym kluczem. Usłyszała głos LuLing, która wołała do niej:

- Czemu tak późno?

Siedząc w swoim brązowym winylowym fotelu, LuLing wyglądała jak nadąsane dziecko na tronie. Ruth obrzuciła ją krótkim badawczym spojrzeniem, szukając zmian w jej wyglądzie, drgającej powieki albo lekkiego paraliżu połowy twarzy. Niczego nie znalazła, wciąż ta sama mama. LuLing miała na sobie fioletowy sweter ze złotawymi guzikami, jej ulubiony, oraz czarne spodnie i czarne czółenka numer cztery na niskim obcasie. Włosy miała zaczesane do tyłu i spięte

jak u Fii i Dory, tylko że zamiast końskiego ogona zwinęła je w okryty siatką kok, pogrubiony treską. Włosy były kruczoczarne, z wyjątkiem nasady kosmyków z tyłu, których nie widziała za dobrze, gdy je farbowała. Z daleka wyglądała o wiele młodziej, najwyżej na sześćdziesiąt lat. Jej cera była gładka i jednolitej barwy, nie potrzebowała podkładu ani pudru. Dopiero z odległości jednej stopy można było zauważyć delikatne linie i zmarszczki na policzkach. Najgłębsze bruzdy widniały w kącikach ust, które często były opuszczone, tak jak teraz.

- Mówiłaś lekarz o pierwszej - odezwała się gderliwie LuLing.

- Powiedziałam, że wizyta jest o czwartej.

- Nie! O pierwszej! Mówiłaś bądź gotowa. Ja gotowa, ty nie przychodzisz.

Ruth niemal poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Spróbowała inaczej.

- Może zadzwonię do lekarza i sprawdzę, czy przyjmie nas o czwartej. - Skierowała się w głąb mieszkania, do pokoju, gdzie matka malowała obrazy i swoje chińskie znaki, a który dawno temu należał do niej. Na stoliku do rysowania leżał duży arkusz papieru do akwareli. Matka zaczęła kaligrafować wiersz, ale przerwała w połowie znaku. Wyschnięty i sztywny pędzelek leżał na papierze. LuLing nigdy nie była nieporządna. Z pędzelkami obchodziła się zawsze niezwykle pieczołowicie, myła je w wodzie źródlanej, nigdy z kranu, żeby chlor nie uszkodził włosów. Może podczas malowania usłyszała gwizd czajnika, więc rzuciła wszystko i pobiegła zdjąć go z ognia. Może zaraz potem zadzwonił telefon. Ale Ruth przyjrzała się dokładniej. Matka próbowała kilkakrotnie namalować ten sam znak, za każdym razem przerywając w tym samym miejscu. Co to za znak? I dlaczego rezygnowała w połowie?

Kiedy Ruth dorastała, matka dorabiała do pensji młodszej nauczycielki, mając się innych zajęć, wśród których była dwujęzyczna kaligrafia, chińska i angielska. Robiła wywieszki z cenami dla supermarketów i sklepów jubilerskich w Oakland i San Francisco, transparenty z dwuwierszami na otwarcie restauracji, szarfy na wieńce pogrzebowe oraz zawiadomienia o narodzinach i ślubach. Ludzie przez wiele lat mówili Ruth, że kaligrafia matki jest na prawdziwie artystycznym poziomie, klasyczna pod każdym względem. LuLing zyskała sobie wspaniałą reputację, a w jej sukcesie pewną rolę odegrała córka, sprawdzając pisownię angielskich słów.

- To są "ziemniaki" - powiedziała kiedyś zniecierpliwiona ośmioletnia Ruth. - Nie "zimniaki". Rosną w ziemi, a nie w zimnie.

Tego samego dnia wieczorem LuLing zaczęła ją uczyć techniki pisania po chińsku. Ruth wiedziała, że ma to być kara za to, co jej wcześniej powiedziała.

- Patrz - rozkazała jej po chińsku matka. Roztarła kamieniem pałeczkę tuszu i za pomocą kropłomierza dodała słoną wodę jak kilka łez. - Patrz - powtórzyła, wybierając pędzelek spośród kilkudziesięciu zawieszonych włosiem w dół.

Ruth starała się śledzić sennymi oczyma ruchy matki, gdy ta zwilżyła pędzelek, a potem przyłożyła go do papieru prawie prostopadle, trzymając w powietrzu nadgarstek i łokieć. Wreszcie zaczęła pisać, lekko potrząsając nadgarstkiem, tak że jej dłoń trzepotała niby ćma nad białą plamą papieru. Po chwili zjawiły się pajęczne napisy: "Za pół ceny!", "Niewiarygodne obniżki!", "Ostatnia okazja!".

- Pisanie chińskich znaków - wyjaśniła LuLing - to zupełnie co innego niż pisanie angielskich słów. Inaczej się myśli. Inaczej się czuje. - Rzeczywiście, pisząc albo malując, matka była inna. Spokojna, zorganizowana i pewna.

- Pisać nauczyła mnie Bao Bomu - powiedziała pewnego wieczoru LuLing. - Nauczyła mnie, jak myśleć. Kiedy piszesz, mówiła, musisz zebrać w jeden strumień wszystkie swobodne prądy serca. - Aby to zademonstrować, namalowała ideogram oznaczający "serce". - Widzisz? Każda linia ma swój rytm, równowagę i swoje miejsce. Bao Bomu mówiła, że wszystko w życiu powinno tak wyglądać.

- Kto to jest Bao Bomu? - zapytała Ruth.

- Opiekowała się mną, kiedy byłam mała. Bardzo mnie kochała, jak matka. Bao znaczy "drogi", a razem z Bomu znaczy "Droga Ciocia".

Ach, ta Bao Bomu, szalony duch. LuLing zaczęła malować prostą poziomą linię. Ale jej ruchy wcale nie były proste. Dotykała papieru tylko czubkiem pędzelka, który przypominał przez to tancerkę na puentach. Czubek lekko przegiął się w dół, dygnął, a potem, jakby niesiony podmuchem kapryśnego wiatru, śmignął w prawo, przystanął, obrócił się o pół kroku w lewo i poderwał w górę. Ruth westchnęła. Po co w ogóle miałyby próbować? Matka mogłaby się tylko zdenerwować, że ona nic nie potrafi.

W niektóre wieczory LuLing znajdowała sposób, by pomóc Ruth zapamiętywać chińskie ideogramy.

- Każdy znak pochodzi od starego obrazu sprzed bardzo dawna. - Namalowała poziomą linię i spytała Ruth, czy widzi, co to jest. Ruth zmrzyła oczy i pokręciła głową. LuLing zrobiła identyczną linię. Powtarzała ją kilkakrotnie, za każdym razem pytając Ruth, co przedstawia. Wreszcie matka prychnęła, wyrażając w zwiężłej formie rozczarowanie i niesmak.

- Ta linia wygląda jak promień światła. Widzisz to czy nie?

Ruth uważała, że raczej ogryzione do czysta żeberko.

- Każdy znak jest wszystkim naraz - ciągnęła LuLing. - Myślą, uczuciem, sensem, historią.

- Namalowała jeszcze kilka linii - kropek i kresek, pałeczek i ogonków, zakrętasów i haczyków. - Widzisz to? - pytała co chwila. - Ta linia, ta i ta - kształt boskiej świątyni. - A kiedy w odpowiedzi Ruth wzruszyła ramionami, matka dodała: - Świątyni w dawnym stylu. - Jak gdyby słowo "dawny" miało przestawić umysł córki na myślenie po chińsku. Ping! Aha!

Później LuLing poleciła Ruth, by spróbowała namalować ten sam znak, wciąż wtłaczając w jej oporną głowę chińską logikę:

- Trzymaj nadgarstek w ten sposób, pewnie, ale luźno, jak gałąź młodej wierzby - aj, nie tak bezwładnie jak żebrak leżący na ulicy... Maluj linię z wdziękiem, jak ptak lądujący na gałązce, nie jak kat, który odrąbuje diabłu głowę. Namalowałaś tę linię... jakby cały znak miał się za chwilę przewrócić. Zrób to tak... najpierw światło, potem świątynia. Widzisz? Razem oznacza to "wieści od bogów". Widzisz, że wiedza zawsze przychodzi z góry? Widzisz, jaki sens mają chińskie słowa?

Matka potrafiła myśleć logicznie, jeżeli chodziło o chińskie słowa. Czy aby na pewno?

Ruth zadzwoniła do lekarza. Telefon odebrała pielęgniarka.

- Mówi Ruth Young, córka LuLing Young. Miałyśmy zamówioną wizytę na szesnastą, ale chciałam powiedzieć o kilku sprawach... - Poczula się jak zdrabcyżni i szpieg.

Wróciwszy do salonu, Ruth zobaczyła, że matka szuka torebki.

- Nie musimy brać żadnych pieniędzy - powiedziała Ruth. - A gdyby nawet, mogę zapłacić.

- Żadne płacić! Nikt nie płacić! - zawołała LuLing. - W torebce mam kartę zdrowia. Nie pokażę karty, doktor każe mi płacić. Wszystko ma być darmo.

- Jestem pewna, że mają tam twoją kartotekę. Nie będą chcieli oglądać karty.

LuLing szukała dalej. Nagle wyprostowała się i oznajmiła:

- Wiem. Zostawiłam torebkę w domu GaoLing. Zapomniała mi powiedzieć.

- Kiedy tam byłaś?

- Trzy dni. Poniedziałek.

- Dziś jest poniedziałek.

- Jak to poniedziałek? Byłam trzy dni dawniej, nie dzisiaj!

- Pojechałaś kolejką? BART - em? - Od wypadku samochodowego, kiedy Ruth nie mogła

jej służyć za kierowcę, LuLing korzystała z transportu publicznego.

- Tak, a GaoLing zabrała mnie późno! Czekałam dwie godziny! Nareszcie przyjechała. Potem mnie oskarża, mówi, dlaczego wcześniej, miała przyjechać o jedenastej. Mówię, nie, nie mówiłam o jedenastej. Po co, kiedy wiem, że przyjeżdżam o dziewiątej? Miała mnie za wariatkę, wściekła!

- Nie sądzisz, że mogłaś ją zostawić w kolejce?

- Co zostawić? :

- Torebkę.

- Dlaczego zawsze bierzesz stronę od niej?

- Nie trzymam niczyjej strony...

- Może ma torebkę, nie mówi nic. Zawsze chciała mieć moje rzeczy. Zazdrosna o mnie. Dawniej chciała moją sukienkę chipao, chciała mój melon, chciała, żeby wszyscy na nią patrzyli.

Dramaty rozgrywane się w ciągu wielu lat między matką a ciocią przypominały sztuki grane w małych teatrzykach, gdzie dwie postaci odgrywają wszystkie role: najlepszych przyjaciół i śmiertelnych wrogów, zażartych przeciwników i entuzjastycznych konspiratorów. Była między nimi różnica zaledwie roku, matka miała siedemdziesiąt siedem, ciocia siedemdziesiąt sześć lat, i chyba to właśnie powodowało taką rywalizację.

Obie siostry przyjechały do Ameryki osobno i wyszły za dwóch braci, synów właściciela sklepu spożywczego. Mąż LuLing, Edwin Young, studiował medycynę i jako starszemu i inteligentniejszemu "było mu pisane", jak się wyraziła LuLing, odnieść w życiu większy sukces. W rodzinie też cieszył się większym szacunkiem i przywilejami. Mąż GaoLing, Edmund, młodszy z braci, studiował stomatologię. Uważano go za lekkomyślnego i leniwego chłopaka, który zawsze potrzebuje opieki starszego brata. Lecz pewnego wieczoru starszy brat Edwin, wychodząc z biblioteki uniwersyteckiej, zginął pod kołami samochodu, którego kierowca uciekł z miejsca wypadku. Ruth miała wówczas dwa lata. Najważniejszą osobą w rodzinie został jej wuj Edmund, szanowany dentysta, obdarzony niezwykłym talentem do inwestowania w nieruchomości, szczególnie w przynoszące niewielki dochód lokale czynszowe.

Po śmierci sklepikarza i jego żony w latach sześćdziesiątych większa część spadku - pieniądze, dom, sklep, złoto i biżuteria, zdjęcia rodzinne - przypadła Edmundowi, LuLing natomiast, która była żoną Edwina krótko, dostała jedynie skromną sumkę.

- Dali tylko tyle - powtarzała często LuLing, składając palce, jak gdyby trzymała pchłę. -

Bo nie jesteś chłopak.

Za pieniądze z ubezpieczenia i całe swoje oszczędności LuLing kupiła dwukondygnacyjny dom przy Cabrillo i Czterdziestej Siódmej, gdzie zamieszkały z Ruth na piętrze. GaoLing i Edmund przeprowadzili się do Saratogi, miasteczka domków jednorodzinnych, otoczonych wielkimi trawnikami oraz półksiężycowatymi basenami. Od czasu do czasu proponowali LuLing meble, które zamierzali zastąpić czymś lepszym.

- Po co mam brać? - zżymała się. - Że mnie załują? Tak im dobrze, dają mi rzeczy, co ich nie chcą?

W ciągu tych lat LuLing często lamentowała po chińsku:

- Aj-ja, gdyby twój ojciec żył, na pewno wiodłoby mu się lepiej niż twojemu stryjowi. I na pewno rozsądniej byśmy wydawali pieniądze! - Nie omieszkała też zaznaczyć, co z majątku rodziny należało się Ruth: pierścionek babki Young z nefrytem i pieniądze na college. Nie powinno mieć znaczenia, że Ruth jest dziewczyną ani że Edwin nie żyje.

Te staroświeckie chińskie poglądy! LuLing powtarzała to z taką częstotliwością, że Ruth ciągle fantazjowała, jak wyglądałoby ich życie, gdyby ojciec żył. Mogłaby kupować lakierki, spinki do włosów ze sztucznymi brylantami i różyczki. Czasem wpatrywała się w zdjęcie ojca, złoścąc się na niego, że nie żyje. Potem ogarniała ją wyrzuty sumienia i lęk. Próbowała przekonać samą siebie, że bardzo kochała ojca, którego nawet nie pamiętała. Zrywała przypominające kwiaty chwasty rosnące w szczelinach chodników i kładła przed oprawioną w ramki fotografią.

Ruth przyglądała się teraz, jak matka przekopuje szafę w poszukiwaniu torebki. Nadal wypominała GaoLing wszystkie przewinienia.

- Potem, w dorosłym życiu, też chciała moje rzeczy. Chciała, żeby twój tatuś się z nią ożenił. Tak, nie wiesz. Chciała Edwina, nie Edmunda, bo starszy, więcej powodzenia. Codziennie uśmiechała się do niego, pokazywała zęby jak małpa. - LuLing odwróciła się, by to zademonstrować. - Ale on nie wolał jej, tylko mnie. Ona wściekła. Potem ożeniła się z Edmundem i kiedy tatuś umarł, mówiła, och, jakie szczęście, że nie ożeniłam się z Edwinem! Tak głupio mówiła. Przy mnie! Mnie się nie przejmowała, tylko sobą. Nic nie mówiłam. Nie skarżyłam. Czy ja skarzę się kiedyś?

Ruth przyłączyła się do poszukiwań, sprawdzając pod poduszkami na fotelach.

LuLing wyprostowała się - cztery stopy i jedenaście cali urażonej dumy.

- A teraz zobacz! Czemu GaoLing ciągle chce moje pieniądze? Wariatka. Zawsze myśli, że mam więcej, że chowam gdzieś. I dlatego zabrała torebkę.

Na stole w jadalni, z którego LuLing nigdy nie korzystała, piętrzył się stos przesyłek reklamowych. Ruth odsunęła na bok chińskie gazety i czasopisma. Matka zawsze przykładła ogromną wagę do higieny, ale nie była zbyt porządna. Choć nie cierpiała brudu, nie miała nic przeciwko chaosowi. Trzymała w domu wszystkie reklamówki i kupony, jak gdyby były to pocztówki z pozdrowieniami tylko dla niej.

- Jest! - zawołała Ruth. Co za ulga. Spod sterty czasopism wyciągnęła zieloną torebkę.

LuLing sprawdzała, czy nie brakuje w niej pieniędzy ani kart kredytowych, tymczasem Ruth zwróciła uwagę na to, co przywalało torebkę: nowe numery "Nowoczesnego Stolarstwa", "Seventeen", "Magazynu Audio - Video", "Świata Biegacza", "Cosmopolitan", "Mojego Przyjaciela Psa", "Narciarstwa", "Mieszkania na Wsi" - czasopism, których matka nigdy nie czytała i nie przeczyta.

- Po co ci to wszystko?

LuLing uśmiechnęła się wstydliwie.

- Najpierw myślę, wezmę pieniądze, dopiero powiem. Ale pytasz, to ci pokażę. - Podeszła do szuflady w kuchni, gdzie trzymała roczniki dawno nieważnych kuponów, i wyciągnęła z niej wielką kopertę.

- "Więści od bogów" - mruknęła. - Wygrałam dziesięć milionów dolarów! Otwórz i zobacz.

Oczywiście, w kopercie był promocyjny kupon konkursowy, który przypominał czek, oraz arkusz z miniaturami okładek czasopism do odrywania. Brakowało połowy mini - - okładek. LuLing zamówiła pewnie ze trzy tuziny czasopism. Ruth wyobraziła sobie listonosza dźwigającego codziennie pełną torbę, z której na podjazd przed domem wysypywały się czasopisma, kolorowe i niedorzeczne nadzieje matki.

- Zdziwiona? - LuLing wyglądała na absolutnie szczęśliwą. ; - Powinnaś przekazać tę dobrą nowinę doktorowi.

LuLing rozpromieniła się i dodała:

- Wszystko dla ciebie wygrałam.

Ruth poczuła ukłucie w piersi, które szybko przerodziło się w ból. Zapragnęła objąć matkę, osłonić ją, a równocześnie chciała, żeby matka ją przytuliła i przysięgła, że nic jej nie dolega, że nie dostała żadnego wylewu czy czegoś gorszego. Taka zawsze była matka: trudna, sroga i dziwna. I

taka była miłość LuLing do Ruth. Nikt nigdy nie kochał jej bardziej, Ruth dobrze o tym wiedziała. Może lepiej, ale na pewno nie bardziej.

- Dzięki, mamie, wspaniale. Później porozmawiamy, co zrobić z pieniędzmi. Ale teraz musimy iść. Doktor powiedział, że możemy przyjść o czwartej, lepiej, żebyśmy się nie spóźniły.

LuLing wrócił opryskliwy ton.

- Twoja wina.

Ruth musiała jej przypomnieć, żeby wzięła dopiero co znalezioną torebkę, potem płaszcz, wreszcie klucze. Czuła się, jakby znów miała dziesięć lat i musiała tłumaczyć matce, jak działa świat, wyjaśniać zasady, ograniczenia, tłumaczyć, że istnieje określony termin gwarancyjny, dopuszczający zwrot pieniędzy. Wtedy ją to drażniło. Dzisiaj przerażało.

W poczekalni szpitalnej Ruth stwierdziła, że poza jednym łysiejącym mężczyzną wszyscy pacjenci to Azjaci. Przeczytała wywieszane na tablicy nazwiska lekarzy: Fong, Wong, Wang, Tang, Chin, Pon, Kwak, Koo. Rejestratorka wyglądała na Chinkę, pielęgniarki też.

Ruth zadumała się. W latach sześćdziesiątych ludzie buntowali się przeciw jednolitym rasowo instytucjom, które uważano za formę tworzenia nowych gett. Teraz jednak domagali się ich ze względu na zróżnicowaną wrażliwość kulturową. Zresztą wśród mieszkańców San Francisco jedna trzecia to Azjaci, więc nastawiona na Chińczyków placówka medyczna mogła być też przemyślanym posunięciem marketingowym. Mężczyzna z łysiną rozglądał się nerwowo, jak gdyby szukał drogi ucieczki. Może nosił nazwisko w rodzaju "Young", które ślepy komputer mylnie rozpoznał jako chińskie? Może dzwoniły też do niego chińskie firmy usługowe, proponując mu specjalne taryfy rozmów z Hongkongiem i Tajwanem? Ruth dobrze wiedziała, co to znaczy czuć się odmieńcem, ponieważ jako dziecko często doświadczała tego uczucia. Osiem przeprowadzek wystarczyło, by się zorientowała, że nie pasuje do otoczenia.

- Fia zaczyna szóstą klasę? - zapytała LuLing.

- Masz na myśli Dory - odrzekła Ruth. Dory straciła jeden rok szkolny z powodu zaburzeń uwagi. Teraz chodziła na specjalne zajęcia.

- Jak to Dory?

- Fia jest starsza, chodzi do dziesiątej. Dory ma trzynaście lat. Będzie teraz w siódmej klasie.

- Wiem, kto jest kto! - odburknęła LuLing. Zaczęła liczyć, odginając palce. - Dory, Fia, najstarsza Fu - Fu, siedemnaście. - Ruth żartowała kiedyś, że Fu - Fu, jej półdzika kotka o

złośliwym usposobieniu, była wnuczką, której LuLing nigdy nie miała. - Jak się czuje Fu - Fu? - spytała matka.

Czyżby jej nie powiedziała, że Fu - Fu nie żyje? Niemożliwe. Na pewno LuLing słyszała o tym od niej albo od Art. Wszyscy wiedzieli, że Ruth chodziła potem przygnębiona przez kilka tygodni.

- Fu - Fu nie żyje - przypomniała matce.

- Aj-ja! - Twarz LuLing skrzywiła się z żalu. - Jak to! Co się stało?

- Mówiłam ci...

- Nie, nigdy!

- No... parę miesięcy temu wyskoczyła za płot. Gonił ją pies i nie zdążyła wspiąć się z powrotem.

- Po co macie pies?

- To był pies sąsiada.

- To po co pozwalacie psu wchodzić do podwórka? Widzisz, co się stało! Aj-ja, śmierć bez powodu!

Matka mówiła o wiele za głośno. Ludzie unosili głowy znad gazet i robótek ręcznych, nawet człowiek z łysiną. Ruth czuła się dotknięta. Kotka była jej dzieckiem. Trzymała ją tuż po narodzinach, maleńką, dziką futrzaną kulkę, znaną deszczowego dnia w garażu Wendy. Ruth trzymała ją też w chwili, gdy weterynarz dawał Fu - Fu śmiertelny zastrzyk, aby skrócić jej cierpienia. Rozmyślając o tym, Ruth była bliska łez, a nie miała ochoty płakać w poczekalni pełnej obcych ludzi.

Na szczęście w tym momencie rejestratorka zawołała:

- LuLing Young!

Pomagając matce zabrać płaszcz i torebkę, Ruth zobaczyła, że łysiejący mężczyzna zrywa się z miejsca i podchodzi do starszej Chinki.

- Mamo - powiedział. - I jak, wszystko w porządku? Możesz już iść do domu?

Kobieta ze skwaszoną miną podała mu receptę. Pewnie zięć, uznała Ruth. Czy Art zaprowadziłby kiedyś jej matkę do lekarza? Mało prawdopodobne. A gdyby musiał, gdyby nagle LuLing dostała ataku serca albo wylewu?

Pielęgniarka zaczęła mówić dialektem kantońskim, a matka odpowiadała w mandaryńskim. W końcu zdecydowały się na łamany angielski. LuLing milcząco zgodziła się

poddać badaniom wstępnym. Najpierw na wagę. Osiemdziesiąt pięć funtów. Ciśnienie krwi. Sto na siedemdziesiąt. Podwinąć rękaw i zacisnąć dłoń. LuLing nawet nie drgnęła. Nauczyła też tego Ruth - patrzeć prosto na igłę i nie wydawać żadnego dźwięku. Ruth odwróciła się, gdy w gabinecie matka zdjęła bawełnianą koszulkę i została tylko w długich kwiecistych majtkach.

LuLing włożyła papierową koszulkę i wgramoliwszy się na stół, usiadła na nim, dyndając w powietrzu nogami. Wyglądała jak bezbronne dziecko. Ruth opadła na stojące obok krzesło. Kiedy wszedł doktor, obie się wyprostowały. LuLing zawsze darzyła lekarzy ogromnym szacunkiem.

- Pani Young! - powitał ją jowialnie lekarz. - Jestem doktor Huey. - Spojrzał przelotnie na Ruth.

- Jestem jej córką. To ja dzwoniłam do pana.

Skinął głową, przypominając sobie. Doktor Huey był człowiekiem o miłej powierzchowności, młodszym od Ruth. Zaczai zadawać LuLing pytania po kantońsku, a matka udawała, że rozumie, dopóki Ruth nie wyjaśniła:

- Matka mówi dialektem mandaryńskim, nie kantońskim.

Doktor spojrzał na LuLing.

- Guoyu?

Kiwnęła głową, a doktor przepaszająco wzruszył ramionami.

- Mój mandaryński pozostawia wiele do życzenia. Jak pani angielski?

- Dobrze. Nie ma sprawy.

Pod koniec badania doktor Huey uśmiechnął się i rzekł:

- Jest pani silną kobietą, pani Young. Serce i płuca działają bez zarzutu. Ciśnienie krwi wspaniałe. Zwłaszcza u osoby w pani wieku. Sprawdźmy. W którym roku się pani urodziła? - Przebiegł spojrzeniem kartę, po czym uniósł głowę i popatrzył na matkę. - Może mi pani zdradzić?

- Roku? - Wzrok LuLing powędrował w górę, jak gdyby odpowiedź była zapisana na suficie. - Nie tak łatwo powiedzieć.

- Chciałbym usłyszeć prawdę - zażartował lekarz. - Nie to, co zwykle mówi pani znajomym.

- Naprawdę w 1916 - rzekła LuLing.

- Chciała powiedzieć... - wtrąciła się Ruth i już miała poprawić, że w 1921, ale doktor powstrzymał ją gestem.

Znowu patrząc w kartę LuLing, spytał: - A więc ma pani... ile lat?

- Osiemdziesiąt dwa, w tym miesiącu! - odparła. Ruth przygryzła wargę, spoglądając na doktora.

- Osiemdziesiąt dwa. - Huey zapisał. - Proszę mi więc powiedzieć, urodziła się pani w Chinach? Tak? W jakim mieście?

- Ach, to też nie tak łatwo powiedzieć - zaczęła nieśmiało LuLing. - Bo to nie miasto, ale mniejsze miejsce, nazywaliśmy je różnie, bardzo różnie. Czterdzieści sześć kilometrów od mostu do Pekinu.

- Ach, Pekin - rzekł lekarz. - Kilka lat temu byłem tam na wycieczce. Razem z żoną widzieliśmy Zakazane Miasto. LuLing ożywiła się.

- W tamtych czasach dużo rzeczy zakazanych, nie można oglądać. Dzisiaj każdy płaci, żeby oglądać zakazane. Mówi się, to zakazane, tamto zakazane, dodatkowa opłata.

Ruth była bliska załamania. Doktor Huey na pewno uważa, że matka nie umie logicznie myśleć. Martwiła się o nią, ale chciała, by jej lęki okazały się nieuzasadnione. Jej niepokój miał zapobiec prawdziwym kłopotom. Zawsze tak było.

- Chodziła tam pani do szkoły? - pytał dalej Huey. LuLing przytaknęła.

- Moja piastunka uczyła mnie dużo rzeczy. Malować, czytać, pisać...

- Doskonale. Czy mogłaby pani zrobić dla mnie małe ćwiczenie matematyczne? Proszę liczyć wstecz od stu, odejmując za każdym razem siedem.

LuLing wyglądała na skonsternowaną.

- Proszę zacząć od stu.

- Sto! - powiedziała LuLing pewnym głosem i zaraz zamilkła.

Doktor Huey odczekał chwilę, a potem rzekł:

- Teraz proszę odjąć siedem. LuLing zawahała się.

- Dziewięćdziesiąt dwa... aha, dziewięćdziesiąt trzy. Dziewięćdziesiąt trzy!

To nie fair, chciała zawołać Ruth. Matka musi tłumaczyć sobie liczby na chiński, potem obliczyć, zapamiętać i odpowiedzieć po angielsku. Ruth zaczęła gorączkowo myśleć. Żałowała, że nie potrafi telepatycznie przekazać matce odpowiedzi. Osiemdziesiąt sześć! Siedemdziesiąt dziewięć!

- Osiemdziesiąt... osiemdziesiąt... - utknęła LuLing.

- Nie ma pośpiechu, pani Young.

- Osiemdziesiąt - powiedziała w końcu. - Potem osiemdziesiąt siedem.

- Dobrze - oznajmił doktor Huey bez drgnienia powieki. - Teraz proszę wymienić ostatnich pięciu prezydentów w odwrotnej kolejności.

Ruth chciała zaprotestować: Nawet ja tego nie potrafię!

LuLing zmarszczyła brwi, zastanawiając się.

- Clinton - powiedziała po dłuższej chwili. - Ostatnich pięć lat też Clinton.

Matka nawet nie zrozumiała pytania! Na pewno nie. Zawsze polegała na Ruth, która dokładnie jej tłumaczyła, co ktoś chciał powiedzieć. Teraz szepnęłyby jej, że "odwrotna kolejność" oznacza "do tyłu". Gdyby doktor Huey zadał to pytanie po mandaryńsku, LuLing nie miałaby żadnego kłopotu z udzieleniem poprawnej odpowiedzi.

"Ten prezydent, tamten - powiedziałyby bez wahania. - Żadna różnica, wszyscy kłamcy. Przed wyborami żadnych podatków, po wyborach większy podatek. Żadnej zbrodni przed, więcej zbrodni po. I zawsze nie obcinać zasiłków. Przyjechałam do tego kraju, nie dostałam żaden zasiłek. Komu za siłę? Ludzie za leniwi, żeby pracować!"

Lekarz zaczął zadawać kolejne niedorzeczne pytania.

- Wie pani, jaka jest dziś data?

- Poniedziałek. - Data i dzień stanowiły dla niej jedno i to samo.

- A jaka była data pięć miesięcy temu?

- Też poniedziałek. - Jeśli się zastanowić, miała rację.

- Ile ma pani wnuków?

- Nie wiem. Ona jeszcze nie mężatka. - Lekarz nie zorientował się, że matka żartuje!

LuLing przypominała przegranego zawodnika z "Va banque". Liczba punktów - minus pięćset. A teraz przystępujemy do rundy finałowej turnieju...

- Ile lat ma pani córka?

LuLing zawahała się.

- Czterdzieści, może czterdzieści jeden. - Matce zawsze wydawała się młodsza.

- W którym roku się urodziła?

- W tym samym co ja. Rok Smoka. - Spojrzała na Ruth, szukając potwierdzenia swoich słów. Matka była spod znaku Koguta.

- Którego miesiąca? - nie ustępował doktor Huey.

- Którego miesiąca? - zapytała LuLing córki, która bezradnie wzruszyła ramionami. - Nie wiem.

- Który mamy teraz rok?

- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem! - Spojrzała na lekarza jak na idiotę. Jak mógł nie wiedzieć?

Ruth poczuła ulgę, ponieważ przynajmniej na jedno pytanie matka odpowiedziała dobrze.

- Pani Young, zechce pani tu poczekać, gdy ja tymczasem wyjdę z pani córką ustalić termin następnej wizyty?

- Tak, tak. Nigdzie nie idę.

Kierując się już w stronę drzwi, doktor Huey przystanął.

- Dziękuję, że odpowiedziała pani na wszystkie pytania. Na pewno czuła się pani jak świadek na sali sądowej.

- Jak OJ. Simpson. Doktor Huey roześmiał się.

- Chyba wszyscy oglądali w telewizji ten proces. LuLing pokręciła głową.

- Nie, nie w telewizji. Byłam tam wtedy. Zabił żonę, przyjaciela, przyniósł jej okulary. Wszystko widziałam. Serce Ruth zaczęło się tłuc jak szalone.

- Widziałaś film dokumentalny - powiedziała, zwracając się właściwie do lekarza. - Rekonstrukcję wydarzeń, prawdopodobnych wydarzeń, dlatego miałaś wrażenie, że to prawda. Nie to chciałaś powiedzieć?

LuLing machnęła niecierpliwie ręką.

- Może ty widziałaś dokumentalny. Ja widziałam naprawdę. - Pokazywała zamaszystymi ruchami. - Złapał ją tak, ciął szyję tutaj, bardzo głęboko, dużo krwi. Okropne.

- Była pani tego dnia w Los Angeles? - spytał ją doktor Huey.

LuLing pokiwała głową.

Ruth rozpaczliwie starała się nakłonić matkę do logicznego myślenia.

- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek jeździła do Los Angeles.

- Jak jeździłam, nie wiem. Ale tam byłam. To prawda! Szłam za nim, och, jaki podstępny. OJ. schowany w krzaku. Później ja też wchodzę do domu. Patrę, on bierze rękawiczkę, idzie do ogrodu, wraca do środka, przebiera się... - LuLing urwała zawstydzona. - Jak się przebierał, nie patrzyłam, odwróciłam oczy. Potem biegnie na lotnisko, prawie spóźniony, wskakuje do samolotu. Widziałam wszystko.

- Widziała to pani i nikomu nie powiedziała?

- Bałam się!

- Widok morderstwa musiał być dla pani okropnym przeżyciem - zauważył doktor Huey.
LuLing bohatercko skinęła głową.

- Dziękuję, że podzieliła się pani ze mną tą wiadomością. Proszę teraz poczekać kilka minut, a ja wstąpię z pani córką do innej sali i ustalimy termin następnej wizyty.

- Nie śpieszę nigdzie.

Ruth poszła za lekarzem do drugiego gabinetu.

- Od jak dawna obserwuje pani takie zaburzenia orientacji? - zapytał bez ogródek doktor Huey. Ruth westchnęła.

- Zaczęło się pogarszać jakieś pół roku temu, może trochę wcześniej. Ale dziś, wydaje mi się, jest w gorszym stanie niż zwykle. Z wyjątkiem tej ostatniej rewelacji nigdy nie mówiła tak dziwnych rzeczy i nie miała takich kłopotów z pamięcią. Częściej chodzi po prostu o zwykłe pomyłki, bo, jak pan zapewne zauważył, matka nie mówi zbyt dobrze po angielsku. Historia o OJ. Simpsonie... to też może być problem językowy. Nigdy nie potrafiła wyrazić się...

- Mnie się wydaje zupełnie jasne, że pani matka jest przekonana, iż była tam wtedy - przerwał jej łagodnie lekarz.

Ruth odwróciła wzrok.

- W rozmowie z pielęgniarką wspominała pani coś o wypadku samochodowym. Doszło do urazu czaszki?

- Matka uderzyła głową w kierownicę. - W Ruth odżyła nagle nadzieja, że właśnie to okaże się brakującym elementem układanki.

- Czy zauważyła pani u matki jakieś zmiany osobowości? Może matka wydaje się przybita, bardziej kłótniwa?

Ruth próbowała odgadnąć, co może znaczyć twierdząca odpowiedź na to pytanie.

- Moja matka całe życie miała skłonność do kłótni. Jest bardzo impulsywna. I od kiedy pamiętam, zawsze przygnębiona. Jej mąż, mój ojciec, zginął czterdzieści cztery lata temu w wypadku. Jakiś samochód potrącił go i uciekł. Po tym nigdy nie doszła do siebie. Być może jej depresja się pogłębia, ale ja nie potrafię tego stwierdzić, bo za bardzo się do niej przyzwyczyłam. Co do zaburzeń orientacji, zastanawiałam się, czy to nie wstrząs mózgu, jakiego mogła doznać w wypadku, albo mały udar. - Ruth próbowała sobie przypomnieć poprawny termin medyczny. - Mam na myśli przejściowe niedokrwienie.

- Na razie nie zauważyłem żadnych objawów. Sprawność motoryczna bez zarzutu, odruchy

dobrze. Ciśnienie krwi wspaniałe. Trzeba będzie jednak przeprowadzić dodatkowe badania, aby wykluczyć na przykład anemię lub cukrzycę.

- Możliwe, żeby to była przyczyna jej problemów?
- Możliwe, tak samo jak choroba Alzheimera albo inne formy demencji.

Ruth poczuła się, jakby ktoś wymierzył jej cios w żołądek. Z matką na pewno nie jest aż tak źle. Doktor mówił o strasznych, śmiertelnych chorobach. Dzięki Bogu, że Ruth nie powiedziała mu o innych rzeczach, które dawały więcej powodów do niepokoju: o kłótniach matki z Francine na temat czynszu; o czeku na dziesięć milionów dolarów, wygranych w konkursie promocji czasopism; o tym, że LuLing zapomniała o śmierci Fu - Fu.

- Czyli to może także być depresja - powiedziała Ruth.
- Nie wykluczyliśmy jeszcze żadnej możliwości.
- Cóż, jeśli tak, będzie pan jej musiał powiedzieć, że najlepszym lekiem antydepresyjnym jest żeń-szeń albo pigułki po chai.

Doktor Huey wybuchnął śmiechem.

- Często spotykam się z oporami przed lekami Zachodu wśród moich starszych pacjentów. Kiedy tylko poczują się lepiej, przestają je brać, żeby zaoszczędzić pieniędzy. - Podał Ruth formularz. - Proszę to oddać Lorraine, która siedzi przy komputerze za rogiem korytarza. Skierujemy pani matkę na badania w oddziale neurologiczno - psychiatrycznym, a za miesiąc zgłosi się do mnie.

- W okolicach Święta Pełni Księżycy.

Doktor Huey uniósł głowę. T

- To już teraz? Nigdy nie pamiętam dokładnie.
- Wiem, ponieważ w tym roku będę miała zjazd rodzinny i uroczystą kolację.

Wieczorem, przygotowując rybę na parze, Ruth rzuciła od niechcienia do Art:

- Zabrałam mamę do lekarza. Zdaje się, że ma jakąś depresję.
- Nic nowego - skwitował Art.

Podczas kolacji LuLing siedziała obok Ruth.

- Za słone - zauważyła po chińsku, dziobiąc swój kawałek. - Powiedz dziewczynkom, żeby skończyły rybę - dodała. - Nie pozwalaj im marnować jedzenia.

- Fia, Dory, dlaczego nie jecie? - zwróciła się do dziewczynek Ruth.
- Nie mogę - odrzekła Dory. - Wcześniej wstąpiłyśmy do Burger Kinga w Presidio i

zjadłyśmy frytki.

- Nie powinnaś im pozwalać jeść takich rzeczy! - skarciła ją LuLing, wciąż mówiąc po mandaryńsku. - Powiedz im, że to był ostatni raz.

- Dziewczynki, wołałabym, żebyście się nie napychały takim niezdrowym jedzeniem.

- A ja bym wołała, żebyście przestały gadać po chińsku jak szpiedzy - oświadczyła Fia. - To niegrzeczne.

LuLing zgromiła córkę wzrokiem, a Ruth zerknęła na Arta, ten jednak patrzył w swój talerz.

- Waipo mówi po chińsku - powiedziała Ruth - bo jest przyzwyczajona do tego języka.

Ruth kazała im mówić na LuLing waipo. Była to chińska forma grzecznościowa zwracania się do babci. Na szczęście dziewczynki używały jej, lecz sądziły, że to przydomek.

- Ale umie też mówić po angielsku - powiedziała Dory.

- Tss! - mruknęła do Ruth LuLing. - Dlaczego ojciec ich nie skarci? Powinien im kazać, żeby cię słuchały. Czemu bardziej się tobą nie przejmuje? Nic dziwnego, że się z tobą nie ożenił. W ogóle cię nie szanuje. Powiedz mu, żeby był dla ciebie miłszy...

Ruth zapragnęła znów stać się niema. Chciała krzyknąć na matkę, żeby przestała narzekać na rzeczy, których nie jest w stanie zmienić. Równocześnie pragnęła jej bronić przed dziewczynkami, zwłaszcza teraz, gdy coś z nią wydawało się nie tak. LuLing zawsze była osobą silną, lecz nie znaczyło to, że jest niewrażliwa. Dlaczego Fia i Dory nie potrafią tego zrozumieć i wysilić się na odrobinę więcej uprzejmości?

Ruth przypomniwała sobie, jaka sama była w ich wieku. Też nie cierpiała, gdy LuLing mówiła po chińsku w obecności innych, wiedząc, że nie rozumieją jej uwag.

"Patrz, jaka gruba pani" - potrafiła powiedzieć LuLing. Albo: "Luyi, poproś tego człowieka, żeby trochę spuścił z ceny".

Ruth dobrze pamiętała, że kiedy spełniała polecenie matki, czuła się potwornie zawstydzona. A jeśli jej nie słuchała, konsekwencje mogły być bardziej zgubne.

Za pomocą chińskich słów LuLing potrafiła wtłoczyć w głowę Ruth każdą mądrość. Umiała ją przestrzec przed niebezpieczeństwem, chorobą i śmiercią.

- Nie baw się z nią, za dużo zarazków - powiedziała pewnego dnia do sześciolatniej Ruth LuLing, pokazując dziewczynkę z naprzeciwka. Dziewczynka miała na imię Teresa, brakowało jej dwóch przednich zębów, na kolanie miała strup, a na sukience ciemne plamy od brudnych rąk. -

Widziałam, jak podnosiła z chodnika cukierek i jadła. Popatrz na jej nos, cieknie z niego choroba.

Ruth lubiła Teresę, która dużo się śmiała i zawsze trzymała w kieszeniach znalezione rzeczy: kulki ze złotką, pęknięte kule do gry, kwiatki. Ruth właśnie zaczęła chodzić do nowej szkoły, a Teresa była jedyną dziewczynką, która się z nią bawiła. Obie nie były zbyt lubiane.

- Słyszałaś? - spytała LuLing.

- Tak - odpowiedziała Ruth.

Nazajutrz Ruth bawiła się na szkolnym podwórku. Matka była po drugiej stronie placu, pilnując innych dzieci. Ruth rażno wspięła się na zjeżdżalnię, by pomknąć srebrzystą rynną w dół, prosto w ciemny, chłodny piasek. Robiły to już kilkanaście razy z Teresą, kiedy matka nie widziała.

Ale nagle z przeciwległej strony podwórka rozległ się znajomy i przenikliwy krzyk:

- Nie! Luyi, przestań! Co ty robisz? Chcesz się złamać na pół?

Ruth stała na szczycie zjeżdżalni sparaliżowana ze wstydu. Matka pilnowała grupy przedszkolaków, a wtrącała się w sprawy Ruth, która była już w pierwszej klasie! Niektórzy pierwszoklasiści na dole zaczęli się śmiać.

- To twoja mama? - krzyczeli. - Co ona bez sensu gada?

- To nie moja mama! - odkrzyknęła Ruth. - Nie wiem, kto to jest!

Matka utkwiała wzrok w jej oczach. Mimo że dzieliło je całe podwórko, wszystko słyszała i widziała. Z tyłu głowy miała parę magicznych oczu.

Nie zatrzymasz mnie, pomyślała z wściekłością Ruth. Rzuciła się głową naprzód, z wyciągniętymi przed siebie ramionami - tak zjeżdżali tylko najodważniejsi chłopcy - byle szybciej w dół, na piasek. Wylądowała na twarzy z taką siłą, że przegryzła wargę, uderzyła się w nos, zgięła okulary i złamała rękę. Leżała zupełnie nieruchomo. Świat płonął, jak gdyby rozświetliła go jaskrawoczerwona błyskawica.

- Ruthie nie żyje! - wrzasnął jakiś chłopiec. Dziewczynki zaczęły krzyczeć.

Przecież żyję, próbowała zawołać Ruth, ale czuła się, jakby mówiła we śnie. Usta nie chciały wypowiedzieć niczego tak, jak im kazała. A może rzeczywiście nie żyła? Może właśnie wtedy z nosa cieknie coś ciepłego, boli głowa i ręka, a ciało porusza się wolno i ciężko jak słoń w wodzie? W chwilę potem poczuła na głowie i szyi dotyk znajomych dłoni. Matka podnosiła ją z ziemi, mrużąc cicho:

- Aj-ja, jak mogłaś być taka głupia? Jak ty wyglądasz.

Z obolałego nosa krew kapiała prosto na białą bluzkę, plamiąc szeroki koronkowy kołnierz. Ruth leżała bezwładnie na kolanach matki, spoglądając na Teresę i twarze innych dzieci. Widziała w ich oczach strach, ale także ogromny podziw. Gdyby mogła się poruszyć, uśmiechnęłaby się do nich. Wreszcie zwrócili na nią uwagę, na nową w szkole. Potem zobaczyła twarz matki zalaną łzami, które padały na jej, Ruth, policzki jak mokre pocałunki. Matka nie była zła, ale zdenerwowana i zmartwiona, pełna miłości. Ruth ze zdumienia zapomniała o bólu.

Później leżała w gabinecie szkolnej pielęgniarki. Krwotok z nosa został zatamowany gazą, rana wargi oczyszczona. Ruth miała na czole zimny kompres, a pod ramię podłożono jej torebkę z lodem.

- Może mieć złamaną rękę - powiedziała do LuLing pielęgniarka. - I zerwane nerwy. Mocno napuchło, ale mała nie skarży się specjalnie na ból.

- Ona grzeczna, nie skarży się nigdy.

- Musi ją pani zaprowadzić do lekarza. Rozumie pani? Trzeba iść do lekarza.

- Dobrze, dobrze, iść do lekarza. Kiedy LuLing wyprowadzała ją ze szkoły, jedna z nauczycielek powiedziała:

- Popatrzcie, jaka dzielna. Nawet nie płacze.

Dwie lubiane przez inne dzieci dziewczynki uśmiechnęły się do Ruth z podziwem. Pomachały do niej. Była tam też Teresa, do której Ruth uśmiechnęła się tajemniczo.

W samochodzie, którym jechały do lekarza, Ruth zauważyła, że matka jest dziwnie milcząca. Cały czas patrzyła na Ruth, która lada chwila spodziewała się potoku ostrych słów: "Mówiłam ci, że duża zjeżdżalnia jest niebezpieczna. Dlaczego mnie nie słuchałaś? Głowa mogła ci się rozlecieć na kawałki jak arbuz! Teraz będę musiała jeszcze więcej pracować, żeby za to zapłacić". Ruth czekała, ale matka pytała tylko od czasu do czasu, czy boli. Za każdym razem Ruth kręciła przecząco głową.

Gdy lekarz badał rękę Ruth, LuLing głośno syknęła i jęknęła zbolałym głosem:

- Aj-ja, ostrożnie, ostrożnie, ostrożnie. Bardzo ją boli. Po założeniu gipsu LuLing mówiła z dumą:

- Nauczycielka, dzieci, wszyscy duże wrażenie. Lootie nie płakała, nie skarżyła nic, była cicho.

Zanim przyjechały do domu, emocje opadły i Ruth poczuła pulsujący ból w głowie i ramieniu. Starła się nie płakać. LuLing posadziła ją na rozkładanym winylowym fotelu, żeby

czuła się jak najwygodniej.

- Chcesz, żebym ci ugotowała kleiku ryżowego? Musisz jeść, żeby wyzdrowieć. Może chcesz ostrej rzepy? Dać ci teraz, zanim zrobię kolację?

Im mniej Ruth mówiła, tym bardziej matka starała się odgadnąć, czego by sobie życzyła. Dziewczynka leżąc w wygodnym fotelu, słyszała, jak LuLing rozmawia przez telefon z ciocią Gal.

- O mały włos się nie zabiła! Śmiertelnie mnie przeraziła. Naprawdę! Nie przesadzam. Prawie pożegnała się z życiem i już była w drodze do żółtych źródeł... Widziałam, jak bardzo ją bolało, o mało nie wyskoczyłam ze skóry. .. Nie, nie płakała, musiała odziedziczyć siłę po babce. Teraz trochę je. Nie może mówić i na początku myślałam, że odgryzła sobie język, ale to chyba ze strachu. Przyjdziecie do nas? Dobrze, dobrze, ale powiedz dzieciom, żeby były ostrożne. Nie chciałabym, żeby straciła rękę.

Przyszli obładowani prezentami. Ciocia Gal przyniosła buteleczkę wody toaletowej. Wujek Edmund podarował Ruth nową szczoteczkę do zębów i kubek w takim samym kolorze. Kuzyni dali jej książki do kolorowania, kredki i pluszowego psa. LuLing przysunęła telewizor bliżej fotela, ponieważ bez okularów Ruth gorzej widziała.

- Boli cię? - pytała młodsza kuzynka, Sally.

Ruth wzruszyła ramionami, choć ręka paliła jak ogień.

- Ojej, ale chciałbym mieć gips - odezwał się Billy. Był rówieśnikiem Ruth. - Tato, mogę też mieć gips?

- Nie mów takich rzeczy, to przynosi nieszczęście - ostrzegła ciocia Gal.

Kiedy Billy próbował przełączyć telewizor na inny program, wujek Edmund kategorycznie nakazał mu zostawić ten, który oglądała Ruth. Nigdy nie słyszała, żeby wuj był tak surowy dla kuzynów. Billy był rozpieszczonym bachorem.

- Dlaczego nie mówisz? - zapytała Sally. - Połamałaś sobie też buzię?

- Tak - dodał Billy. - Jak upadłaś, to rozum straciłaś, czy jak?

- Billy, przestań stroić sobie żarty - powiedziała ciocia Gal. - Ruth odpoczywa. Za bardzo ją boli, żeby mogła mówić.

Ruth zastanawiała się, czy to prawda. Może wyda cichutki dźwięk, tak żeby nikt nie słyszał? Gdyby to jednak zrobiła, mogły zniknąć wszystkie miłe rzeczy, które działy się wokół niej. Wszyscy uznają, że nic jej już nie jest, i życie wróci do normy. Matka zacznie na nią krzyżeć, że była lekkomyślna i nieposłuszna.

Dwa dni po wypadku Ruth stała się zupełnie bezradna; matka musiała ją karmić, ubierać i kąpać. LuLing mówiła jej dokładnie, co ma robić.

- Otwórz usta. Zjedz jeszcze trochę. Włóż tu rękę. Spróbuj nie ruszać głową, kiedy będę cię czesała.

Wygodnie było znów stać się małym dzieckiem, kochanym i niewinnym.

Po powrocie do szkoły Ruth zobaczyła wiszącą nad drzwiami swojej klasy wielką płachtę papieru z napisem "Witamy z powrotem w szkole Ruth!". Nauczycielka, panna Sondegard, poinformowała ją, że nad transparentem pracowały wszystkie dzieci w klasie. Pierwsza zaczęła klaskać, a potem cała klasa zgotowała owację na cześć odwagi Ruth, która uśmiechała się nieśmiało. Jej serce przepelniała duma i szczęście. Żałowała, że nie złamała ręki wcześniej.

Podczas przerwy na lunch dziewczynki na wyścigi ofiarowywały jej swą wyimaginowaną biżuterię i chciały wszędzie z nią chodzić. Ruth została zaproszona do "tajemnego zamku", czyli otoczonego kamieniami kawałka podwórka obok drzewa, tuż przy piaskownicy. Tylko najbardziej lubiane dziewczynki mogły być księżniczkami. Wszystkie księżniczki na zmianę rysowały na gipsie Ruth. Jedna z nich zapytała niepewnie:

- Ciągłe jest złamana?

Ruth skinęła głową, a inna dziewczynka szepnęła głośno:

- Dajmy jej czarodziejskich eliksirów.

Księżniczki rozpierzchnęły się po podwórku w poszukiwaniu kapsli od butelek, rozbitego szkła i wysokiej koniczyny.

Pod koniec dnia do klasy przysłała matka Ruth, żeby zabrać ją do domu. Panna Sondegard wzięła LuLing na bok, a Ruth musiała udawać, że nie słyszy.

- Wydaje mi się, że mała jest trochę zmęczona, co jest zupełnie normalne pierwszego dnia w szkole. Ale martwię się, że tak milczy. Przez cały dzień nie powiedziała ani słowa, nie wydała nawet żadnego dźwięku, choć chyba ją boli.

- Nigdy się nie skarży - przytaknęła LuLing.

- Być może to nie jest żaden problem, ale trzeba będzie obserwować, czy to nie trwa za długo.

- Żaden problem - zapewniła ją LuLing. - Ruth żaden problem.

- Musi ją pani zachęcać do mówienia, pani Young. Nie chcę, żeby zmieniło się to w coś poważniejszego.

- Żaden problem - powtórzyła LuLing.

- Proszę kazać jej mówić "hamburger", zanim dostanie hamburgera. Proszę kazać jej powiedzieć "ciastko", zanim da jej pani ciastko.

LuLing potraktowała rady nauczycielki dosłownie i tego samego dnia dała Ruth na kolację hamburgera, choć nigdy nie gotowała ani nie jadła wołowiny pod żadną postacią. Mięso to przepelniało ją wstrętem i przywodziło na myśl pokryte bliznami ciało. Jednak przemogła się dla dobra córki, przed którą wieczorem postawiła talerz z kotлетem. Ruth była szczerze poruszona tym, że matka jeden jedyny raz podała jej amerykańskie jedzenie.

- Hamburger? Powiedz "hamburger", potem zjedz.

Ruth czuła pokusę, by przemówić, ale bała się, że czar pierzchnie. Jedno słowo i mogły zniknąć wszystkie miłe rzeczy w jej życiu. Pokręciła głową. LuLing namawiała ją jeszcze długo, aż tłuszcz z hamburgera zastygł, tworząc na talerzu nieapetyczne białe kałuże. Matka włożyła kotlet do lodówki, po czym dała Ruth miseczkę kleiku ryżowego, który i tak był dla niej zdrowszy, jak powiedziała.

Po kolacji LuLing uprzątnęła stół w jadalni i zabrała się do pracy. Położyła na blacie zwój papieru, pędzelki i postawiła tusz. Szybko i zręcznie napisała dużymi chińskimi znakami: "Ostatnia okazja. Jeszcze tylko kilka dni! Przyjmujemy wszystkie oferty!". Odłożyła planszę na bok, by tusz wysechł, a potem ucięła z rolki następną porcję papieru.

Ruth oglądała telewizję i dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że matka na nią patrzy.

- Dlaczego się nie uczysz? - spytała LuLing. Od przedszkola kazała Ruth ćwiczyć czytanie i pisanie, żeby zawsze była "o krok przed innymi".

W odpowiedzi Ruth uniosła złamaną rękę w gipsie.

- Chodź tu i usiądź - poleciła matka po chińsku. Ruth powoli wstała. Oho, pomyślała, wraca do dawnego tonu.

- Trzymaj. - LuLing włożyła w lewą dłoń Ruth pędzelek. - Teraz napisz swoje imię.

Pierwsze próby były niezdarne, "R" prawie w ogóle nie przypominało "R", a "h" zdawało się zjeżdżać z papieru jak rower po pochyłości. Ruth zachichotała.

- Trzymaj prosto pędzelek - instruowała ją matka. - Nie skośnie. I dotykaj papieru lekko, o tak.

Za drugim razem efekty były trochę lepsze, ale napis zajął prawie cały arkusz.

- Spróbuj pisać drobniej.

Lecz litery nadal wyglądały jak plamy zrobione przez zanurzoną w kałamarzu muchę, która jeździła po papierze na grzbiecie. Zanim przyszła pora, by Ruth poszła spać, zdążyły zużyć na pierwszą lekcję dwadzieścia arkuszy, które zapełniły się po obu stronach. Był to znak powodzenia, ale i rozrzutności. LuLing nigdy niczego nie marnowała. Zebrała zużyte kartki i wsunęła w kąt pokoju. Ruth wiedziała, że matka zużyje je później do własnych ćwiczeń kaligraficznych, wykorzysta jako suszki do kleksów albo podkładki pod gorące naczynia.

Następnego wieczoru po kolacji LuLing podsunęła Ruth dużą tacę do podawania herbaty, wypełnioną drobnym, wilgotnym piaskiem, który przyniosła ze szkolnego podwórka.

- Masz - powiedziała. - Będziesz ćwiczyć na tym. - Trzymaną w lewej dłoni pałeczką napisała na miniaturowej plaży słowo "uczyć". Gdy skończyła, wygładziła piasek grubszym końcem pałeczki.

Naśladowując ją, Ruth odkryła, że takie pisanie jest łatwiejsze i zabawniejsze. Metoda piasku i pałeczki nie wymagała delikatnego manipulowania pędzelkiem. Ruth mogła naciskać z taką siłą, jaka jej odpowiadała. Napisała własne imię. Równno! Pisanie przypominało zabawę "znikopisem", który jej kuzyn Billy dostał na Boże Narodzenie.

LuLing wyjęła z lodówki zimnego hamburgera.

- Jutro co chcesz jeść?

Ruth w odpowiedzi wyskrobała pałeczką w piasku: "B - U - R - G - E - R".

LuLing roześmiała się.

- Aha! To tak teraz mi będziesz odpowiadać?

Nazajutrz LuLing zabrała tacę do szkoły i nasypała do niej piasku z tej samej części podwórka, gdzie Ruth złamała rękę. Panna Sondegard zgodziła się, by Ruth odpowiadała na pytania w ten sposób. Kiedy na arytmetyce podczas ćwiczenia Ruth podniosła rękę i wyskrobała "7", wszystkie dzieci poderwały się z miejsc, żeby to zobaczyć. Zaraz potem zaczęły krzyczeć, że też chcą pisać na piasku. W czasie przerwy Ruth była oblegana. Dzieci robiły wielkie zamieszanie.

- Ja spróbuję!

- Nie, ja! Powiedziała, że teraz ja!

- Musisz pisać lewą ręką, bo inaczej oszukujesz!

- Ruth, pokaż Tommy'emu, jak to się robi. Jest za głupi.

Oddali pałeczkę Ruth, która szybko i łatwo napisała odpowiedzi na ich pytania: Boli cię

ręka? Trochę. Mogę dotknąć gipsu? Tak. Czy Ricky kocha Betsy? Tak. Dostanę na urodziny nowy rower? Tak.

Traktowali ją, jakby była nową Helen Keller, która na przekór własnej niemocy udowodniła swój geniusz. Jak

Helen Keller, musiała po prostu więcej pracować i może dzięki temu przekonała innych, że jest mądrzejsza. Nawet w domu matka pytała często:

- Co o tym myślisz? - Jak gdyby Ruth mogła wiedzieć tylko dlatego, że odpowiadała, pisząc na piasku.

- Jak smakowała potrawa z tofu? - spytała kiedyś po kolacji LuLing.

Ruth wyskrobała w piasku: Słone. Nigdy nie powiedziała nic złego o kuchni matki, ale LuLing zawsze tak mówiła, krytykując własne dzieła kulinarne.

- Też tak sądziłam - przytakiwała matka. Zdumiewające! Niebawem matka zaczęła ją pytać o zdanie w każdej sprawie.

- Idziemy kupić rzeczy na kolację teraz czy później? Później.

- A akcje? Jak zainwestuję, będę miała szczęście? Będziesz.

- Podoba ci się ta sukienka?

Nie, jest brzydka.

Ruth nigdy nie doświadczyła tak wielkiego oddziaływania słów.

Matka zmarszczyła brwi, a potem mruknęła po mandaryńsku:

- Twój ojciec bardzo lubił tę starą sukienkę, nie mogę jej wyrzucić. - W jej oczach zalśniły łzy. Westchnęła i powiedziała po angielsku: - Myślisz, że tatuś tęskni?

Ruth natychmiast napisała: Tak. Matka rozpromieniła się. Nagle Ruth zaświtał pewien pomysł. Zawsze chciała mieć małego pieska. Chyba nadszedł czas poprosić. Na - skrobała na piasku: Piesek.

Matka osłupiała ze zdumienia. Wpatrywała się w napis, kręcąc głową z niedowierzaniem. Cóż, pomyślała Ruth, tego życzenia chyba nie spełni. Ale po chwili matka zaczęła cichutko jęczeć po chińsku:

- Piesek, piesek. - LuLing drgnęła, a jej pierś unosiła się i opadała. - Droga Ciociu - krzyknęła - wróciłaś! To ja, twój Piesek. Wybaczysz mi?

Ruth odłożyła pałeczkę.

LuLing zaczęła łkać.

- Droga Ciociu, och, Droga Ciociu! Chciałabym, żebyś żyła! To była tylko moja wina. Gdybym mogła odwrócić los, zabiłabym się zamiast żyć bez ciebie...

O nie. Ruth wiedziała już, o co tu chodzi. Matka czasem mówiła o duchu tej Drogiej Cioci, która źle się zachowywała i została na Końcu Świata. Tam trafiali wszyscy źli ludzie: do bezdennej przepaści, gdzie nikt nie mógł ich odnaleźć i gdzie zostawali na wieki, wędrując z wiszącymi do samej ziemi włosami, zlepionymi krwią.

- Proszę, daj mi znak, że już się na mnie nie gniewasz - ciągnęła matka. - Mały znak. Próbowałam ci powiedzieć, jak mi przykro, ale nie wiem, czy słyszałaś. Słyszysz mnie teraz? Kiedy zjawiałaś się w Ameryce?

Ruth siedziała bez ruchu. Chciała wrócić do rozmowy o ubraniach i jedzeniu.

Matka włożyła jej w dłoń pałeczkę.

- Masz, zrób to. Zamknij oczy, zwróć twarz ku niebu i mów do niej. Zaczekaj na odpowiedź, a potem ją napisz. Szybciej, zamknij oczy.

Ruth zacisnęła powieki. Zobaczyła panią z włosami do ziemi.

Znów usłyszała mówiącą po chińsku matkę.

- Droga Ciociu, wcale nie chciałam powiedzieć tego, co powiedziałam przed twoją śmiercią. I kiedy umarłaś, próbowałam odnaleźć twoje ciało.

Ruth otworzyła raptownie oczy. Duch w jej wyobraźni zaczął chodzić w kółko.

- Weszłam do wąwozu. Szukałam i szukałam. Och, oszalałam z rozpacz. Gdybym cię znalazła, zabrałabym twoje kości do jaskini i urządziła ci stosowny pogrzeb.

Ruth poczuła dotyk na ramieniu i podskoczyła.

- Zapytaj, czy zrozumiała wszystko, co powiedziałam - poleciła LuLing. - Zapytaj, czy odmieniło się moje szczęście. Czy klątwa przestała już działać? Jesteśmy bezpieczne? Napisz odpowiedź.

Jaka klątwa? Ruth utkwiała spojrzenie w piasku, prawie wierząc, że za chwilę ukaże się tam twarz umarłej kobiety w kałuży krwi. Jakiej odpowiedzi oczekiwała matka? Czy Tak oznaczało, że klątwa już nie działa? Czy odwrotnie? Zanurzyła pałeczkę w piasku i nie wiedząc, co napisać, zrobiła kreskę, a pod nią następną. Dorysowała jeszcze dwie kreski i kwadrat.

- Usta! - wykrzyknęła matka, śledząc zarys kwadratu. - To znak "usta"! - Spojrzała na Ruth. - Napisałaś to, chociaż nie wiesz, jak się pisze po chińsku! Czulaś, jak Droga Ciocia kieruje twoją ręką? Jakie to uczucie? Powiedz.

Ruth pokręciła głową. Co się działo? Chciała się rozplakać, lecz nie śmiała. Przecież nie mogła wydać żadnego dźwięku.

- Droga Ciociu, dziękuję, że pomogłaś mojej córce. Wybacz mi, że mówi tylko po angielsku. Na pewno trudno ci było porozumiewać się z nią w tym języku. Ale już wiem, że mnie słyszysz. I wiesz, o czym mówię. Chcę zabrać twoje kości do Ust Góry, do Małpiej Szczęki. Nie zapomniałam. Gdy tylko będę mogła pojechać do Chin, dopełnię obowiązku. Dziękuję, że mi przypomniałaś.

Ruth zastanawiała się, co takiego właściwie napisała. Jak zwykły kwadrat mógł mieć takie znaczenie? Czy rzeczywiście w pokoju był duch? Co było w jej dłoni i palczce? Dlaczego ręka jej się trzęsie?

- Ponieważ zapewne przez długi czas nie będę mogła pojechać do Chin - ciągnęła LuLing - mam nadzieję, że mimo to wybaczysz mi. Musisz wiedzieć, że po twojej śmierci życie nie było dla mnie łaskawe. Dlatego, jeśli nie można zmienić klątwy, proszę cię, żebyś odebrała mi życie, ale ocaliła moją córkę. Wiem, że jej ostatni wypadek to było ostrzeżenie.

Ruth upuściła palczkę. Pani z zakrwawionymi włosami próbowała ją zabić! A więc to prawda, wtedy na podwórku o mały włos nie umarła. Tak jej się wydawało i była to prawda.

LuLing podniosła palczkę i usiłowała włożyć ją do ręki Ruth, która zacisnęła dłoń w pięść. Odsunęła od siebie tacę z piaskiem. Matka przysunęła ją z powrotem, cały czas mamrocząc bez sensu:

- Tak się cieszę, że w końcu mnie odnalazłaś. Tyle lat czekałam. Nareszcie możemy rozmawiać. Codziennie możesz mnie prowadzić. Codziennie możesz mi mówić, jak powinnam pokierować swoim życiem. - LuLing zwróciła się do Ruth: - Poproś ją, żeby przychodziła codziennie.

Ruth pokręciła głową. Próbowwała ześliznąć się z krzesła.

- Poproś - upierała się LuLing, stukając w blat stołu przed tacą.

Nagle Ruth odzyskała głos.

- Nie - powiedziała głośno. - Nie mogę.

- O! Umiesz już mówić. - Matka przerzuciła się na angielski. - Droga Ciocia cię wyleczyła?

Ruth skinęła głową.

- To znaczy klątwy nie ma?

- Tak, ale mówi, że musi już wracać. I powiedziała, że muszę odpocząć.

- Wybaczyla mi? Czy ona...

- Powiedziala, ze wszystko bedzie dobrze. Wszystko. Wystarczy? Masz sie juz niczym nie martwic. Matka zaszlochala z ogromna ulga.

Wiozac matke do domu po kolacji, Ruth dziwila sie lekcom, jakich doswiadczala w tak mlodym wieku. Ale to bylo nic w porownaniu z tym, co dzieci musza znosić dzisiaj. Nieszczesliwa matka? Cóz to bylo wobec broni, gangów i chorób przenoszonych droga płciowa, nie wspominając o zmartwieniach rodziców: pedofilach w Internecie, wykwinnych narkotykach w rodzaju ecstasy, strzelaninach w szkołach, anoreksji, bulimii, samookaleczeniach, warstwie ozonowej, superbakteriach. Ruth odruchowo wyliczala to wszystko na palcach, dzięki czemu przypomniala sobie o jeszcze jednej rzeczy, która miała dzisiaj zrobić: zadzwonic do Miriam w sprawie pozwolenia na udział dziewczynek w zjeździe rodzinnym.

Zerknela na zegarek. Dochodzila dziewiąta, niepewna pora na telefony do osób, które nie należą do najbliższych przyjaciół. Owszem, łączyla ją z Miriam ważne sprawy, dziewczynki i ich ojciec. Ale traktowaly się z uprzejmością obcych sobie osób. Ruth często widywala Miriam przy okazji odwożenia lub przywożenia dziewczynek, podczas szkolnych zawodów sportowych, a raz spotkaly się na ostrym dyżurze w szpitalu, gdzie Ruth zawiozła Dory ze złamaną w kostce nogą. Rozmawialy wtedy o ostatnich chorobach, pogodzie i korkach ulicznych. Gdyby nie okoliczności, może nawet spotkanie byłoby przyjemne. Miriam była inteligentna, zabawna i upierała się przy swoim zdaniu, a Ruth podobaly się takie cechy. Jednak nie przepadala za rzucanymi przez Miriam mimochodem uwagami na temat intymnych szczegółów jej małżeńskiego życia z Artem: o tym, jak świetnie się bawili w podróży do Włoch, o pieprzyku na jego plecach, który należało zbadać, bo nasuwał podejrzenia o czerniaka, o masażu, który Art uwielbial. W zeszłym roku Miriam podarowala mu na urodziny kartę na dwie sesje u jej ulubionego masażysty, co Ruth uznala za nieprzyzwoicie osobisty prezent. "Dalej co roku badasz ten pieprzyk?", spytala go innym razem Miriam, a Ruth udawala, że nie słyszy, zastanawiając się równocześnie, jak im było razem, gdy byli mlodsi i zakochani. Sama pilnie obserwowala pieprzyk, by w porę zauwazyć zmianę jego rozmiarów. Oczyma wyobraźni widziala ich wylegajacych się w sypialni willi toskańskiej, której okno wychodzilo na pokryte sadami wzgórze, jak, chichocząc, ogladaja sobie nawzajem pieprzyki na nagich plecach i nadaja im nazwy niby konstelacjom gwiazd. Masuja sobie oliwką uda dlugimi i spokojnymi ruchami. Art próbował kiedyś masażu z nią, a Ruth domyslila się, że musial się tego od kogoś nauczyć. Za każdym razem, gdy próbował masowac jej uda, natychmiast czula się spięta,

nie umiała się zrelaksować. Najpierw ją łaskotało, potem wpadała w popłoch, jakby miała atak klaustrofobii, chciała zerwać się i uciec.

Nigdy nie mówiła Artowi o tej panice; twierdziła tylko, że dla niej masaż to strata czasu i pieniędzy. I choć interesowało ją życie seksualne Arta z Miriam i innymi kobietami, nigdy nie pytała, co robił z kochankami w łóżku. On też nie pytał o jej przeszłość. Ruth była w szoku, usłyszawszy, że Wendy dręczy Joego, by opowiadał jej ze szczegółami o swoich wyczynach w łóżku i na plaży, a także żeby opisywał, co czuł, idąc z nią do łóżka pierwszy raz.

- I odpowiada, o cokolwiek go zapytasz? - dziwiła się Ruth.

- Podaje nazwisko, datę urodzenia, numer ubezpieczenia. A potem go tłukę, dopóki mi nie powie.

- Jesteś przez to szczęśliwsza?

- Szlag mnie trafia!

- To po co pytasz?

- Bo wydaje mi się, że cały należy do mnie, że muszę znać jego uczucia i fantazje. Wiem, że nie powinnam, ale czuję przymus. Jego przeszłość jest moją przeszłością. Cholera, gdybym mogła znaleźć jego pudełko z zabawkami z dzieciństwa, zajrzałabym do środka i powiedziała: "Moje". Chciałabym zobaczyć świerszczyki, które trzymał pod materacem i przy których się onanizował.

Słuchając tego, Ruth śmiała się w głos, ale w środku czuła niepokój. Czy większość kobiet zadaje mężczyznom takie pytania? Może Miriam pytała o to Arta? Czy większa część przeszłości Arta należy do niej, czy do Miriam?

Drgnęła na dźwięk głosu matki.

- To jak się czuje Fu - Fu?

Znowu to samo. Ruth głęboko nabrała powietrza.

- Z Fu - Fu wszystko w porządku - powiedziała.

- Naprawdę? - zdziwiła się LuLing. - To stary kot. Masz szczęście, że jeszcze nie martwy.

Ruth była tak zdumiona, że parsknęła śmiechem. Jak gdyby torturowano ją łaskotkami. Nie mogła tego znieść, nie będąc jednocześnie w stanie opanować odruchu śmiechu. Do oczu napłynęły jej łzy, ale na szczęście w samochodzie było ciemno.

- Dlaczego się śmiejesz? - skarciła ją LuLing. - Nie żartuję. Nie wpuszczaj tylko psa w podwórko. Znam kogoś, kto tak robił. I kot martwy!

- Masz rację - odrzekła Ruth, starając się skoncentrować na prowadzeniu wozu. - Będę

ostrożniejsza.

W wieczór Święta Pełni Księżycza restauracja Fountain Court pękała w szwach, a kolejka ciągnąca się od drzwi przypominała ogon smoka. Art i Ruth precyzyjnie się przecisnęli przez tłum.

- Przepraszamy. Mamy rezerwację.

Sala jadalna huczała od rozmów setki rozradowanych ludzi. Dzieci bębniły pałeczkami w filiżanki i szklanki z wodą. Kelner, który przyprowadził Ruth i Arta do stolika, musiał przekrzykiwać szcęk przynoszonych i odnoszonych talerzy. Idąc za nim, Ruth czuła mieszające się ze sobą aromaty kilkudziesięciu różnych przystawek. Przynajmniej czekało ich dziś dobre jedzenie.

Ruth wybrała Fountain Court, ponieważ była to jedna z niewielu restauracji, gdzie matka nie miała zastrzeżeń do podawanych dań, zachowania kelnerów ani czystości naczyń. Pierwotnie Ruth zarezerwowała dwa stoliki, przy których miała zasiąść jej rodzina i przyjaciele oraz dziewczynki i rodzice Arta przyjeżdżający z New Jersey. Nie liczyła natomiast byłej żony Arta, Miriam, jej męża Stephe - na i ich dwóch synów, Andy'ego i Beauregarda. Miriam dzwoniła do Arta z prośbą tydzień wcześniej.

Gdy Ruth dowiedziała się, co to za prośba, wzdrygnęła się.

- Nie ma miejsca na cztery dodatkowe osoby.

- Znasz Miriam - odrzekł Art. - Nie przyjmuje do wiadomości odmowy. Poza tym to jedyna okazja, żeby moi staruszkowie zobaczyli się z nią przed wyjazdem do Carmel.

- To gdzie będą siedzieć? Przy innym stoliku?

- Zawsze można wcisnąć więcej krzeseł - odparł Art. - Przecież to tylko kolacja.

Dla Ruth ten szczególny wieczór był czymś więcej niż "tylko kolacją". Było to chińskie Święto Dziękczynienia, a ona pierwszy raz miała być gospodynią zjazdu. Długo rozmyślała nad oprawą uroczystości, nad jej znaczeniem, nad znaczeniem rodziny, składającej się nie tylko z krewnych, ale także z ludzi, których wspólna przeszłość połączyła na długie lata i których obecność w życiu Ruth była bardzo ważna. Chciała podziękować wszystkim uczestnikom uroczystości za to, że bardzo zmienili jej obraz rodziny. Osoba Miriam mogłaby jej przypomnieć, że przeszłość nie zawsze jest dobra, a przyszłość bywa niepewna. Gdyby to jednak powiedziała, Art uznałby ją za małostkową, a Fia i Dory pomyślałyby, że jest po prostu złośliwa.

Nie sprzeciwiając się więcej, Ruth w ostatniej chwili zmieniła rezerwację. Zadzwoiła do

restauracji, by poinformować o innej liczbie biesiadników. Poprawiła plan rozmieszczenia osób przy stole. Zamówiła więcej dań dla dwojga dorosłych i dwójki dzieci, którzy niespecjalnie gustują w chińskiej kuchni. Podejrzewała, że wybrzydzenie na nieznane jedzenie Fia i Dory odziedziczyły po matce.

Pierwsi w restauracji zjawili się rodzice Arta.

- Arlene, Marty - przywitała ich Ruth. Ucałowała oboje w policzki. Arlene uściskała syna, a Marty trącił go lekko w bark i szczękę.

- Nokaut - rzekł Art, dopełniając tradycyjnego powitania ojca z synem.

Kamenowie byli ubrani z nienaganną elegancją i wyróżniali się na tle tłumu swobodnie odzianych klientów restauracji. Ruth miała na sobie indonezyjską batikową bluzkę oraz marszczoną spódnicę. Uświadomiła sobie, że Miriam ubiera się - tak jak Kamenowie - w markowe rzeczy, które trzeba oddawać do pralni chemicznej i prasowania. Miriam uwielbiała rodziców Arta, a oni uwielbiali ją, wobec Ruth natomiast nigdy nie zdobywali się na podobną serdeczność. Mimo że zaczęła się spotykać z Artem dopiero pod koniec jego sprawy rozwodowej, Marty i Arlene prawdopodobnie uważali ją za intruza, przez którego Art i Miriam nie mogli się pogodzić. Ruth wyczuwała, iż Kamenowie mają nadzieję, że jest tylko epizodem w życiu ich syna. Nigdy nie wiedzieli, jak ją komuś przedstawiać.

- To Art, a to, hm... Ruth - mówili.

Naturalnie, byli dla niej bardzo mili. Na urodziny dawali jej piękne prezenty, jedwabną apaszkę, buteleczkę Chanel 5, lakierowaną tacę do podawania herbaty, ale nie dostała od nich nic, co mogłaby dzielić z Artem albo przekazać kiedyś jego córkom - ani innym dzieciom, ponieważ Ruth nie mogła już dać Kamenom nowych wnuków. Za to Miriam miała na zawsze pozostać matką wnuczek Kame - nów, strażniczką dziedzictwa Fii i Dory. Marty i Arlene dali jej już rodzinne srebra i porcelanę, a także mezuzę całowaną przez pięć pokoleń Kamenów, od kiedy rodzina zamieszkała na Ukrainie.

- Miriam! Stephen! - wykrzyknęła Ruth z wymuszonym entuzjazmem. Podała im rękę, a Miriam uścisnęła przelotnie Ruth, po czym pomachała do siedzącego po drugiej stronie stołu Arta.

- Cieszę się, że mogliście przyjść - powiedziała zmieszana Ruth. - Andy, Beauregard - zwróciła się do chłopców. - Jak się macie?

Młodszy, który miał cztery lata, pisnął:

- Teraz mam na imię Boomer.

- Strasznie nam miło, że nas zaprosiliście - rozplywała się w zachwytach Miriam. - Mam nadzieję, że nie sprawiamy kłopotu.

- Ależ żadnego.

Na widok Arlene i Marty'ego Miriam rozpostarła ramiona i ruszyła ich uściskać. Była ubrana w bordowo - oliwkowy kostium z okrągłym plisowanym kołnierzem. Miedziane włosy miała obcięte krótko, na pazia. Patrząc na nią, Ruth nie mogła mieć wątpliwości, skąd wzięła się nazwa tej fryzury. Miriam do złudzenia przypominała pazia z renesansowego obrazu.

Zjawił się kuzyn Ruth, Billy - którego nazywano teraz Billem - wraz z drugą żoną, Dawn, i ich czworgiem dzieci w wieku od dziewięciu do siedemnastu lat. Ruth i Billy utonęli we wzajemnych objęciach. Kuzyn grzotnął Ruth w plecy, jakby była jego kumplem. Kiedyś był strasznie chudzielcem i znęcał się nad nią, ale później się okazało, że był to przejaw zdolności przywódczych, które wykorzystał w dorosłym życiu. Dziś Bili miał firmę biotechnologiczną, a sukces w widoczny sposób odbił się na jego figurze.

- Boże, jak dobrze znowu cię widzieć - powiedział i perspektywa kolacji od razu wydała się Ruth przyjemniejsza.

Sally, zawsze dusza towarzystwa, już od wejścia wykrzykiwała imiona gości i piszczała, a za jej plecami sunęli mąż i dwaj synowie. Była inżynierem lotnictwa i bez przerwy podróżowała jako ekspert świadczący usługi firmom prawniczym, ale tylko tym, które pozywały kompanie lotnicze. Badała zapisy i miejsca katastrof lotniczych, głównie małych samolotów. Zawsze rozgadana, wesola i otwarta, nigdy nie bała się nowych przygód ani kontaktów. Jej mąż, George, był skrzypkiem w orkiestrze symfonicznej San Francisco i zwykle milczał, ale chętnie się odzywał, gdy Sally podsuwała mu temat.

- George, opowiedz im o tym psie, co wybiegł na scenę w Stern Grove, obsikał mikrofon i zrobił zwarcie w całym nagłośnieniu.

Wówczas George powtarzał słowo w słowo to, co przed chwilą powiedziała Sally.

Ruth dostrzegła Wendy i Joego rozglądających się w tłumie. Za nimi zjawił się Gideon, jak zwykle elegancko ubrany i wymuskany, z bukietem drogich egzotycznych kwiatów w ręku. Gdy Wendy odwróciła się i ujrzała go, uśmiechnęła się z udawaną radością, a on odwzajemnił się równie sztucznym entuzjazmem. Kiedyś nazwała go "gwiazdojebcą z nadwerężonymi mięśniami szyi, który rozmawiając z tobą, cały czas się rozgląda w poszukiwaniu ważniejszych osób". Gideon nie pozostał dłużny, stwierdzając, że Wendy to "wulgarna dziewczyna, która nie ma

pojęcia o tym, że raczenie słuchaczy drastycznymi szczegółami problemów menstruacyjnych przy stole nie jest w zbyt dobrym tonie". Ruth zastanawiała się, czy zaprosić tylko jedno z nich, ale w przypływie głupiej nadziei uznała, że będą musieli jakoś się ze sobą ułożyć, nawet gdyby jej miało to sprawić przykrość.

Zauważywszy Ruth, Wendy pomachała do niej obiema rękami, a potem razem z Joem ruszyli między stolikami slalomem. Gideon trzymał się w bezpiecznej odległości za nimi.

- Znaleźliśmy miejsce parkingowe przed samym wejściem! - triumfowała Wendy. Pokazała swój amulet - plastikowego anioła z tarczą parkometru. - Mówię ci, za każdym razem działa! - Dała kiedyś taki sam Ruth, która umieściła go na desce rozdzielczej, ale dostawała same mandaty.

- Cześć, skarbie - rzekł Gideon z typową dla siebie powściągliwością. - Promieniejesz radością. Czy może pocisz się ze zdenerwowania?

Ruth powiedziała mu wcześniej przez telefon, że na przyjęcie wprosiła się Miriam. Całując Gideona w policzki, poinformowała go szeptem, gdzie siedzi była żona Arta. Już wcześniej zadeklarował się, że będzie szpiegiem i doniesie jej o wszystkich okropnościach, jakie będzie wygadywała Miriam.

Do Ruth podszedł Art.

- Jak sobie radzisz?

- Gdzie Fia i Dory?

- Poszły zobaczyć jakąś płytę w Green Apple.

- Puściłeś je same?

- To na tej samej ulicy, poza tym powiedziały, że wrócą za dziesięć minut.

- A więc gdzie są?

- Prawdopodobnie zostały porwane.

- To nie jest śmieszne. - Matka zawsze powtarzała, że mówienie takich rzeczy sprowadza nieszczęście.

Jak na komendę w drzwiach stanęła LuLing, której filigranowa sylwetka przy tęższej GaoLing wydawała się jeszcze drobniejsza. Kilka sekund później do restauracji wszedł wuj Edmund. Ruth czasem się zastanawiała, czy tak właśnie wyglądałby dziś jej ojciec - wysoki i barczysty, z gęstą czupryną siwych włosów, o szerokich i zamaszystych ruchach. Wuj Edmund z upodobaniem psuł puentę każdego dowcipu, pocieszał przestraszone dzieci i udzielał wskazówek,

w które akcje należy inwestować. LuLing często mówiła, że bracia w ogóle nie byli do siebie podobni, bo ojciec Ruth był znacznie przystojniejszy, mądrzejszy i bardziej szczerzy. Jego jedyną wadą była nadmierna ufność, a także fakt, że gdy zbyt mocno skupiał się na jednej rzeczy, bywał roztargniony, zupełnie jak Ruth. LuLing wiele razy opowiadała o okolicznościach jego śmierci, by przestrzec Ruth, kiedy nie zwracała uwagi na matkę.

- Twój tatuś widział światło zielone, myślał, auto się zatrzyma. Bach! Ciągnęło go jedno, dwa skrzyżowania, i nie chciało zatrzymać.

Mówiła, że ojciec zginął przez klątwę, tę samą, która miała być powodem wypadku Ruth. Ponieważ temat klątwy często powracał, kiedy LuLing była z niej niezadowolona, w dzieciństwie Ruth sądziła, że klątwa i śmierć ojca mają jakiś związek z nią. Miała koszmarne sny o masakrowaniu ludzi w pozbawionym hamulców samochodzie. Zanim wyruszyła w drogę, zawsze kilka razy sprawdzała działanie hamulców.

Mimo że dzieliła je całą przestrzeń sali, Ruth zobaczyła, że LuLing promienieje macierzyńską miłością. Poczula ukłucie w sercu, ciesząc się i smucąc jednocześnie na jej widok. Dlaczego jej stosunki z matką nie mogą zawsze tak się układać? Ile jeszcze takich uroczystości spędzą wspólnie?

- Wszystkiego dobrego z okazji Pełni Księżyca - powiedziała Ruth, kiedy LuLing dotarła do stołu.

Wskazała matce miejsce obok siebie. Ciocia Gal zajęła krzesło po drugiej stronie Ruth, a potem do stołu zasiadła reszta rodziny. Ruth dostrzegła, że Art siedzi z Miriam przy drugim stole, który szybko zmienia się w strefę nie - chińską.

- Hej, znaleźliśmy się w jakimś getcie dla białych, czy jak? - zawołała Wendy. Siedziała zwrócona do Ruth plecami.

Gdy wreszcie pojawiły się Fia i Dory, Ruth doszła do wniosku, że nie może dać im bury w obecności ich matki oraz Arlene i Marty'ego. Dziewczynki przywitały się ze wszystkimi, machając do gości, po czym zagruchały:

- Cześć, babciu, cześć, dziadku - i zarzuciły im ręce na szyję. LuLing nigdy z własnej woli nie ścisnęła.

Kolacja rozpoczęła się od mnóstwa różnorodnych przystawek, podanych na obrotowej tacy, którą LuLing nazywała "karuzelą". Dorośli zaczęli wydawać ochy i achy, dzieci krzyczały, że są głodne. Kelnerzy podali to, co Ruth zamówiła telefonicznie: rybę w słodkiej galarecie, wege-

tariańskiego kurczaka, przyrządzonego z pomarszczonych kawałeczków tofu, oraz meduzy, ulubione danie matki, z olejem sezamowym i posiekaną cebulą.

- Powiedz mi - odezwała się Miriam - czy to jest zwierzę, roślina czy minerał?

- Proszę, mam - powiedziała Ruth, podając LuLing półmisek z meduzami. - Zaczniemy od ciebie, bo jesteś najstarszą dziewczynką.

- Nie, nie - odrzekła odruchowo LuLing. - Częstujcie sobie.

Ignorując ustalony rytuał wzbraniania się, Ruth nałożyła na talerz matki porcję przypominających długi makaron meduz. LuLing natychmiast zabrała się do jedzenia.

- Co to? - zapytał przy sąsiednim stoliku Boomer, przyglądając się podejrzliwie drżącemu kopczykowi meduz.

- Robaki! - zakpiła Dory. - Spróbuj.

- Fuuu! Zabierzcie to! Zabierzcie! - wrzasnął chłopiec.

Dory wybuchnęła histerycznym śmiechem. Art podał Ruth cały półmisek meduz z ich stolika, a Ruth nagle zabolął żołądek.

Na stołach zjawiły się nowe dania, sądząc po minach nie - Chińczyków, coraz dziwniejsze. Tofu z marynowaną zieleniną. Strzykwy, ulubione danie cici Gal. Kleiste ciasteczka ryżowe. Ruth sądziła, że dzieciom będą smakować. Okazało się, że była w błędzie.

W połowie kolacji Nicky, sześciolatek syn Sally, zakręcił mocno tacą, myśląc zapewne, że pofrunie jak latający talerz, a trącony dzbanek do herbaty przewrócił szklankę z wodą. LuLing wydała głośny okrzyk i zerwała się z miejsca. Z jej kolan kapła woda.

- Aj-ja! Dlaczego tak robisz?

Nicky założył ręce na piersi, a do oczu napłynęły mu łzy.

- Wszystko w porządku, kochanie - powiedziała do niego Sally. - Tylko przeproś i następnym razem ostrożniej obracaj tacę.

- Krzyczała na mnie. - Wskazał z naburmuszoną buzią LuLing, która pieczołowicie osuszała się serwetką.

- Skarbie, cioteczna babcia była po prostu zaskoczona. Że jesteś taki silny - jak baseballista.

Ruth miała nadzieję, że matka nie będzie już besztać małego Nicky'ego. Przypomniała sobie, jak LuLing wyliczała, ile razy Ruth rozlała jedzenie czy mleko, a potem pytała niewidzialnych mocy, dlaczego jej córka nie potrafi się nauczyć zasad dobrego wychowania. Patrząc na Nicky'ego, Ruth wyobraziła sobie, jak ona by się zachowywała, gdyby miała własne

dzieci. Może zareagowałyby tak jak matka i nie umiałyby przestać krzyczeć, dopóki dziecko nie wyraziłoby skruchy.

Zamówiono nowe drinki. Ruth zauważyła, że Art pije drugi kieliszek wina. Zdawało się, że prowadzi też bardzo ożywioną rozmowę z Miriam. Na szczęście podano nowe dania, co pomogło rozładować atmosferę. Bakłazany smażone z listkami świeżej bazylii, delikatną rybę w płatkach czosnku, chińską wersję polenty w ostrym sosie mięsny, dorodne czarne grzyby, klopsiki z mielonego mięsa z cienkim makaronem ryżowym w glinianym naczyniu w kształcie głowy lwa. Według LuLing, wszystko smakowało nawet "cudzoziemcom". Wokół panował gwar, więc ciocia Gal nachyliła się bliżej Ruth i powiedziała:

- Twoja matka i ja w zeszłym tygodniu jadłyśmy wspaniałe rzeczy w Sun Hongkong. Ale potem omal nie trafiłyśmy do więzienia!

Ciocia Gal lubiła częstować słuchaczy takimi sensacjami i czekać, aż połkną haczyk.

Ruth nie mogła jej zawieść.

- Do więzienia?

- O tak! Twoja matka wdała się w kłótnię z kelnerem, twierdząc, że już zapłaciła rachunek.
- Ciocia Gal pokręciła głową. - Kelner miał rację, jeszcze nie płaciłyśmy. - Poklepała Ruth po ręce.
- Nie przejmuj się! Potem, kiedy twoja nie widziała, zapłaciłam. I tak, jak widzisz, nie trafiłyśmy za kratki! - GaoLing przeżuła kilka kęsów, cmoknęła i jeszcze raz nachyliła się nad uchem Ruth, by szepnąć: - Dałam twojej matce dużą torebkę żeń-szenia. Świetnie leczy takie sprawy. - Skinęła głową, Ruth odpowiedziała jej tym samym. - Raz dzwoni do mnie z dworca i mówi, że przyjechała, a ja w ogóle nie wiedziałam, że się do mnie wybiera! W porządku, zawsze się cieszę z jej przyjazdu. Ale o szóstej rano? Nie jestem aż takim skowronkiem! - Zachichotała, a Ruth, nie mogąc zebrać myśli, zawtórowała jej głuchym śmiechem.

Co się działo z matką? Czy depresja mogła spowodować aż taką dezorientację? W przyszłym tygodniu będzie musiała porozmawiać o tym z doktorem Hueyem, przy okazji kolejnej wizyty. Gdyby polecił matce brać leki antydepresyjne, może by posłuchała. Ruth wiedziała, że powinna ją częściej odwiedzać. LuLing często skarżyła się na samotność, więc pewnie dlatego składała GaoLing wizyty o dziwnych porach.

Podczas przerwy przed deserem Ruth wstała, by wygłosić krótką mowę.

- W miarę upływu lat coraz lepiej rozumiem, co znaczy rodzina. Przypomina nam o tym, co jest naprawdę ważne. Łączy nas z przeszłością. Te same żarty, że starzejemy się, mimo że jesteśmy

Young. Tradycje. Nie możemy się od siebie uwolnić, gdybyśmy nawet bardzo chcieli. Idziemy przez wieki razem, połączeni więzami, które scementował kleisty ryż i pudding z tapioki. Dziękuję wam za to, kim jesteście. - Nie dziękowała każdemu z osobna, ponieważ nie miała nic do powiedzenia na temat Miriam i jej rodziny.

Następnie rozdała dzieciom opakowane pudełka z ciasteczkami księżycowymi i zającami z czekolady.

- Dziękujemy! - krzyczały. - Ale super!

Wreszcie Ruth trochę się uspokoiła. Chyba jednak dobrze, że zorganizowała tę kolację. Mimo trudnych chwil takie zjazdy były ważne jako rytuał ocalenia tego, co pozostało z rodziny. Nie chciała, by kuzyni stawali się jej obcy, bała się jednak, że kiedy starsze pokolenia odejdą, będzie to koniec rodzinnych więzów. Musieli się starać.

- To nie koniec prezentów! - zawołała, rozdając paczuszki. Znalazła kiedyś wspaniałe stare zdjęcie LuLing i cici Gal jako małych dziewczynek z ich matką. Kazała zrobić negatyw i duże odbitki, które potem oprawiono w ramki. Chciała, żeby był to wyraz uznania dla rodziny, prezent, który pozostanie z nimi na zawsze. I rzeczywiście, obdarowani zaczęli wdychać z wdzięcznością.

- Fantastyczne - rzekł Billy. - Hej, dzieciaki, zgadnijcie, kim są te śliczne dziewczynki?

- Spójrz tylko, jakie małe - westchnęła tęsknie ciocia Gal.

- Ciociu Lu - odezwała się z nutką drwiny Sally. - Na zdjęciu wyglądasz na trochę zdołowaną.

- Dlatego, że moja matka umarła niedawno - odrzekła LuLing.

Ruth pomyślała, że matka źle usłyszała Sally. Terminu "zdołowany" raczej nie było w jej słownictwie. Matka LuLing i GaoLing zmarła w 1972 roku. Ruth pokazała LuLing zdjęcie.

- Widzisz? Twoja matka stoi tu między wami. A to jesteś ty.

LuLing pokręciła głową.

- To nie moja prawdziwa matka.

Ruth myślała gorączkowo, starając się przetłumaczyć sobie znaczenie słów matki. Ciocia Gal posłała jej znaczące spojrzenie, zaciskając wargi, by nic nie powiedzieć. Inni w milczeniu zmarszczyli brwi, zakłopotani.

- To przecież wai po, prawda? - zwróciła się do cici Gal Ruth, za wszelką cenę usiłując zachować beztroski ton. Gdy GaoLing skinęła głową, Ruth powiedziała wesoło do matki: - Skoro to matka twojej siostry, musi też być twoją matką.

- GaoLing nie moja siostra - prychnęła LuLing.

Ruth niemal słyszała pulsowanie własnej krwi w skroniach. Billy odchrząknął, najwyraźniej szykując się do zmiany tematu.

- Ona moja szwagierka - ciągnęła matka.

Przy obu stołach gruchnął gromki śmiech. LuLing powiedziała dowcip! Oczywiście, że były szwagierkami, ponieważ wyszły za dwóch braci. Co za ulga! Matka nie tylko mówiła z sensem, ale także błysnęła inteligencją.

Ciocia Gal odwróciła się do LuLing z udanym wzburzeniem.

- Dlaczego tak mnie traktujesz?

LuLing grzebała w portfelu, szukając czegoś. Po chwili wydobyła małe zdjęcie i podała Ruth.

- Proszę - powiedziała po chińsku. - Oto moja matka.

Głowę Ruth przeszył mróz. Fotografia przedstawiała piastunkę matki, Bao Bomu, Drogą Ciocię.

Miała na sobie kaftan z wysokim kołnierzem i przedziwne nakrycie głowy, które wyglądało, jakby było zrobione z kości słoniowej. Była to twarz o eterycznej urodzie. Szeroko otwarte skośne oczy patrzyły bez lęku prosto w obiektyw. Wygięte w łuk brwi zdradzały dociekliwy umysł, a pełne usta - zmysłowość, którą w tamtych czasach uznawano za nieprzyzwoitą. Zdjęcie zostało zrobione jeszcze przed wypadkiem, w którym dziewczyna poparzyła sobie twarz i odtąd zawsze wyglądała, jakby była wiecznie przerażona. Przyglądając się zdjęciu dokładniej, Ruth stwierdziła, że w jej wyrazie twarzy jest coś dziwnie niepokojącego, jak gdyby Droga Ciocia zobaczyła przyszłość, nad którą wisiała klątwa. Szalona kobieta opiekowała się matką Ruth od dnia jej narodzin, dręcząc ją lękami i zabobonami. LuLing mówiła, że gdy miała czternaście lat, jej piastunka popełniła samobójstwo w makabryczny sposób, który był "taki zły, że lepiej nie mówić". Droga Ciocia zginęła z własnej ręki, pozostawiając LuLing w przekonaniu, że to ona jest winna jej śmierci. Dlatego matka sądziła, że nigdy nie będzie szczęśliwa, zawsze spodziewała się najgorszego i gryzła się tym, dopóki najgorsze nie nastąpiło.

Ruth starała się po cichu naprowadzić matkę na tory logicznego myślenia.

- To była twoja piastunka - mówiła łagodnie. - Chcesz chyba powiedzieć, że była dla ciebie jak matka.

- Nie, to naprawdę moja matka - upierała się LuLing. - Tamta to matka GaoLing. - Uniosła

oprawione w ramki zdjęcie.

Ruth w oszołomieniu słyszała, jak Sally pyta Billy'ego o wyjazd na narty do Argentyny w zeszłym miesiącu. Wujek Edmund zachęcał wnuka, by spróbował grzybów. Ruth powtarzała bezgłośnie: "Co się dzieje? Co się dzieje?".

Poczuła, że matka stuka ją w ramię.

- Też mam dla ciebie prezent. Na urodziny, dam ci już teraz. - Sięgnąwszy do torebki, wydobyła z niej zwykle białe pudełko przewiązane wstążką.

- Co to jest?

- Otwórz, nie pytaj.

Pudełko było lekkie. Ruth zsunęła wstążkę, uniosła wieczko i ujrzała coś szarego i błyszczącego. Był to naszyjnik z czarnych pereł o nierównych kształtach i wielkości małych cukierków - kuleczek. Czyżby to miał być test? Matka naprawdę zapomniała, że dostała te perły od Ruth kilka lat temu? LuLing uśmiechnęła się domyślnie - aha, córka nie może uwierzyć we własne szczęście!

- Weź teraz najlepsze rzeczy - ciągnęła LuLing. - Nie trzeba czekać, aż umrę. - Odwróciła się, zanim Ruth zdążyła odmówić czy podziękować. - To i tak niewarte dużo. - Przyglądała kok, sprawiając wrażenie, jak gdyby starała się nie okazać rozpierającej ją dumy.

Ruth wiele razy widziała ten gest. "Jak ktoś się chwali, że daje dużo - mawiała matka - to wcale nie daje dużo". Wiele przestróg wygłaszanych przez LuLing dotyczyło nie - okazywania rozmaitych uczuć: nadziei, rozczarowania, a zwłaszcza miłości. Im mniej okazujesz, co naprawdę chcesz powiedzieć, tym więcej mówisz.

- Ten naszyjnik w mojej rodzinie jest od dawna - powiedziała matka. Ruth patrzyła na koraliki, przypominając sobie, jak pierwszy raz zobaczyła je na wystawie sklepu na Kauai. Napis na metce brzmiał: "Tahitańskie czarne perły". Świecełko za dwadzieścia dolarów, kupione po to, żeby mieć co nosić na spoconej szyi w dni tropikalnych upałów. Pojechali na wyspę z Artem, świeżo zakochani. Po powrocie do domu Ruth zorientowała się, że zupełnie zapomniała o urodzinach matki. Popijając maitais na gorącym piasku plaży, nie pomyślała nawet o tym, by zadzwonić. Zapakowała więc tę błyskotkę, którą włożyła tylko dwa razy, i podarowała LuLing w nadziei, że dając jej coś, co przybyło zza oceanu, da jednocześnie matce do zrozumienia, że o niej myślała. Niestety, zgubiła ją szczerą, z jaką upierała się, że naszyjnik to "nic takiego", ponieważ LuLing zrozumiała jej skromność opacznie, dochodząc do wniosku, że prezent był drogi, a więc

dowodził prawdziwej miłości córki. LuLing nosiła go wszędzie, a Ruth często czuła wyrzuty sumienia, słysząc, jak matka chwali się przed znajomymi:

- Patrzcie, co mi kupiła moja Lootie.

- O, bardzo ładne - mruknęła GaoLing, rzucając okiem na naszyjnik, który Ruth trzymała w dłoni. - Pokaż. - I zanim Ruth zdążyła pomyśleć, ciocia Gal schwyciła pudełko. Jej usta zacisnęły się. - Hm - powiedziała, oglądając badawczo świecidełko. Gal widziała już przedtem naszyjnik? Ile razy LuLing nosiła go, wybierając się do niej w gości, i przechwalała się jego wartością? I czy GaoLing wiedziała od początku, że jest podróbką, a Ruth też jest podróbką dobrej córki?

- Pokaż - odezwała się Sally.

- Ostrożnie - ostrzegła LuLing, gdy syn Sally wyciągnął rękę do pereł. - Nie dotykaj. Za dużo kosztowały.

Wkrótce perełki trafiły do gości siedzących przy drugim stole i zaczęły wśród nich krążyć. Matka Arta przyjrzała się naszyjnikowi wyjątkowo krytycznym okiem, ważąc go w dłoni.

- Po prostu śliczny - powiedziała do LuLing odrobinę za głośno.

- Bardzo duże te perełki - zauważyła po prostu Miriam.

Art tylko raz spojrział na perełki i chrząknął.

- Coś nie tak?

Odwróciwszy się, Ruth napotkała badawczy wzrok matki.

- Nie, nic - wymamrotała. - Chyba jestem trochę zmęczona.

- Nonsens! - odrzekła po chińsku matka. - Widzę, że dusisz coś w sobie i nie potrafisz tego wyrzucić.

- Uwaga! Szpiedzy rozmawiają! - krzyknęła od sąsiedniego stolika Dory.

- Coś jest nie tak - upierała się LuLing. Ruth zdziwiła się, że matka jest tak spostrzegawcza. Być może mimo wszystko nic jej nie jest.

- Chodzi o żonę Arta - szepnęła w końcu Ruth swoim łamanym dialektem mandaryńskim. - Wolałabym, żeby nie pozwolił jej tu przyjść.

- Aha! Widzisz, miałam rację! Wiedziałam, że coś jest nie tak. Matka zawsze wie.

Ruth ugryzła się mocno w wewnętrzną część policzka.

- No, już, nie martw się - uspokoiła ją matka. - Jutro porozmawiasz z Artem. Powiesz mu, żeby ci kupił prezent. Powinien wydać dużo pieniędzy, żeby pokazać, jak wysoko cię ceni. Powinien ci kupić coś takiego. - LuLing dotknęła naszyjnika, który wrócił już do rąk Ruth.

Ruth zaczęły piec oczy od wstrzymywanych łez.

- Podoba się? - zapytała z dumą LuLing, przechodząc na zrozumiały dla reszty gości angielski. - To prawdziwe.

Ruth uniosła naszyjnik. Zobaczyła, jak mocno błyszczą ciemne perły, ów prezent z dna morza.

Kiedy szły do szpitalnego garażu podziemnego, Ruth trzymała LuLing pod rękę. Okryte zwiotczoną skórą ramię przypominało w dotyku skrzydło pisklęcia.

LuLing była na przemian wesoła i nieznośna. Jej zachowanie nie zmieniło się pod wpływem tego, co przed chwilą wyszło na jaw w gabinecie lekarza. Jednak Ruth wyczuwała, że matka staje się coraz bardziej pusta i wkrótce będzie lekka jak dryfujący na rzece kawałek drewna. Demencja. Ruth rozmyślała nad diagnozą. Jak można wyniszczającą chorobę nazwać tak pięknym słowem? Mogłoby to być imię bogini: Demencja, przez którą jej siostra Demeter zapomniała zmienić zimę w wiosnę. Ruth wyobraziła sobie lodowe płytki, które tworzą się na mózgu matki, wysysając z niego wilgoć. Doktor Huey powiedział, że obraz z badania rezonansem magnetycznym wykazał ubytki w pewnych częściach mózgu, typowe dla choroby Alzheimera. Stwierdził także, że choroba prawdopodobnie rozwija się "od wielu lat". Ruth była zbyt oszołomiona, żeby zadawać pytania, ale teraz zastanawiała się, co lekarz miał na myśli. Od wielu lat, to znaczy od ilu? Od dwudziestu? Trzydziestu? Czterdziestu? Być może dlatego matka bywała taka trudna, gdy Ruth dorastała, dlatego mówiła o klątwach, duchach i groziła własną śmiercią. Demencja była odkupieniem matki, a Bóg obu im wybaczy, że przez te wszystkie lata zadawały sobie nawzajem cierpienie.

- Lootie, co doktor mówił? - Pytanie LuLing wytrąciło Ruth z rozmyślań. Stały przed samochodem. - Mówił, że umrę niedługo? - zapytała matka żartobliwie.

- Nie. - Ruth roześmiała się, jak gdyby ubawiła ją nedorzeczność tego pytania. - Oczywiście, że nie.

Przyjrząwszy się uważnie twarzy Ruth, matka powiedziała:

- Umrę, nieważne. Nie boję się. Wiesz.

- Doktor Huey powiedział, że z sercem wszystko w porządku - dodała Ruth. Próbowała wymyślić jakiś sposób, żeby przetłumaczyć diagnozę na przypadłość, którą LuLing będzie w stanie zaakceptować. - Ale powiedział, że możesz mieć inny problem - zaburzenie równowagi pierwiastków w organizmie. Dlatego mogą wystąpić kłopoty... z pamięcią. - Pomogła matce

wsiąść do samochodu i zapiąć pas.

LuLing pociągnęła nosem.

- Hnh! Nic nie mam z pamięcią! Pamiętam dużo rzeczy, więcej niż ty. Byłam małą dziewczynką, nasza wioska nazywała się Nieśmiertelne Serce, wyglądała jak serce, dwie rzeki, jeden strumień, obie wyschły... - Mówiła dalej, gdy tymczasem Ruth wsiadła z drugiej strony i uruchomiła silnik. - Co on wie? Ten doktor nawet nie słuchał mi serca teleskopem. Nikt mi nie słucha serca! Ty też nie słuchasz. GaoLing nie słucha. Wiesz, że moje serce boli zawsze. Ale nie skarzę się. Skarzę się?

- Nie...

- Widzisz!

- Ale doktor mówił, że czasem o czymś zapominasz, bo jesteś w depresji.

- W depresji, bo nie umiem zapomnieć! Widzisz, jakie smutne życie!

Ruth wcisnęła kilka razy pedał hamulca, aby sprawdzić, czy dobrze działa, a potem ruszyła krętym podjazdem, prowadzącym na ulicę. Głos matki brzęczał, wtórując warkotowi silnika:

- Oczywiście, depresja. Kiedy umarła Droga Ciocia, z ciała wyszła cała radość...

W ciągu trzech miesięcy, jakie upłynęły od postawienia diagnozy, LuLing prawie codziennie przychodziła na kolację do Ruth i Arta. Tego wieczoru Ruth przyglądała się, jak matka próbuje łososia. LuLing zaczęła wolno żuć, ale po chwili zakrztusiła się.

- Za słone - powiedziała, łapiąc z trudem powietrze, jakby podano jej blok soli dla jeleni.

- Waipo - wtrąciła się Dory. - Ruth w ogóle nie dodała soli. Widziałam. Ani trochę.

Fia kopnęła siostrę. Skrzyżowała palce wskazujące, robiąc znak, który odstraszał wszystkie wampiry w filmach. Dory oddała kopniaka.

Odkąd Ruth nie mogła już kłaść problemów matki na karb jej ekscentrycznej osobowości, zaczęła dostrzegać oznaki demencji we wszystkim. Były oczywiste. Jak mogła ich wcześniej nie zauważyć? Miejsca we wspólnych domach letniskowych i "wakacje za darmo", które matka zamawiała w firmach wysyłkowych. Oskarżenia cioci Gal, że ukradła jej pieniądze. Obsesyjne opowieści o kierowcy autobusu, który zarzucił jej, że nie zapłaciła za bilet. Pojawily się też nowe kłopoty, którymi Ruth gryzła się długo w noc. LuLing często zapominała zamknąć drzwi wejściowe. Wyjmowała z lodówki jedzenie, żeby je rozmrozić, i zostawiała na wierzchu, aż zaczynało się psuć. Odkręcała zimną wodę i pozwalała jej lecieć przez kilka dni, czekając, aż zrobi się ciepła. Niektóre zmiany jednak ułatwiały im życie. Na przykład LuLing nic nie mówiła, gdy

Art nalewał sobie kolejny kieliszek wina, tak jak tego wieczoru.

- Czemu tak dużo pijesz? - pytała kiedyś.

Ruth w duchu też zadawała sobie to pytanie. Wspomniała niegdyś, że mogłby trochę ograniczyć picie, zanim wejdzie mu w nawyk.

- Powinieneś przerzucić się z powrotem na soki. Wówczas spokojnie zauważył, że Ruth zachowuje się zupełnie jak własna matka.

- Kilka kieliszków wina do kolacji to żaden problem. To mój wybór.

- Tato? - odezwała się Fia. - Możemy mieć kotka?

- Tak - podchwyciła Dory. - Alice ma najpiękniejszego kota himalajskiego na świecie. Chcemy takiego.

- Może - odparł Art.

Ruth utkwiała wzrok w talerzu. Czyżby zapomniał? Powiedziała mu, że jeszcze nie jest gotowa na nowego kota. Czułaby się niełojalna wobec Fu - Fu. A kiedy przyjdzie pora na nowe zwierzątko, o które i tak prędzej czy później dbać będzie Ruth, wolałaby raczej małego pieska.

- Pojechałam kiedyś autem do Himalaje, sama, daleko bardzo - pochwaliła się LuLing. - Himalaje wysokie, wysokie, blisko księżycy.

Art i dziewczynki wymienili zdumione spojrzenia. LuLing często mówiła rzeczy, które wydawały się im zupełnie oderwane od tematu rozmowy i zjawiały się znikąd. Lecz Ruth była przekonana, że złudzenia LuLing mają jakieś głęboko ukryte powody. W tym wypadku chodziło o proste skojarzenie: kot himalajski i Himalaje. Ale dlaczego LuLing sądziła, że pojechała tam samochodem? Zadanie Ruth polegało na rozwiązywaniu takich zagadek. Gdyby udało się jej wytropić ich źródło, mogłaby pomóc matce odblokować ścieżki w mózgu i zapobiec gromadzeniu się w nim niebezpiecznych substancji. Jeśli się postara, uchroni ją przed upadkiem z niebezpiecznego urwiska w Himalajach. Nagle odpowiedź przyszła jej na myśl sama.

- W zeszłym tygodniu oglądałam z matką bardzo ciekawy film dokumentalny o Tybecie - powiedziała Ruth. - Pokazywali drogę, która prowadzi do...

Przerwała jej Dory, która zwróciła się do LuLing:

- Nie można stąd pojechać w Himalaje samochodem. LuLing zmarszczyła brwi.

- Czemu tak mówisz?

Dory, która podobnie jak LuLing często działała pod wpływem impulsu, wyrzuciła z siebie:

- Bo nie można. Chyba zwariowałaś, jeśli myślisz...

- Dobrze, zwariowałam! - prychnęła LuLing. - Czemu macie wierzyć? - Złość zaczęła w niej bulgotać jak woda w czajniku - Ruth niemal widziała unoszące się coraz szybciej bańki i parę - by w końcu wybuchnąć ostateczną groźbą: - Może umrę niedługo! Wtedy wszyscy zadowoleni!

Fia i Dory wzruszyły ramionami, spoglądając znacząco po sobie: znowu to samo. Wybuchy LuLing zdarzały się coraz częściej i w coraz bardziej nieoczekiwanych momentach. Na szczęście szybko mijały i nie dawały się tak bardzo we znaki dziewczynkom, które, jak zdawało się Ruth, wcale nie zaczęły traktować niedomagania jej matki z większą delikatnością. Kilka razy próbowała im tłumaczyć, że nie powinny sprzeciwiać się temu, co mówi LuLing:

- Wydaje się, że waipo mówi nielogicznie, to prawda. Nie zmienimy tego. To nie jest jej wina, tylko jej choroby.

Trudno im było jednak to zapamiętać, podobnie jak Ruth trudno było nie reagować na groźby matki, że umrze. Bez względu na częstotliwość, z jaką ich wysłuchiwała, za każdym razem czuła dławiący lęk. Teraz groźba stała się bardzo realna - matka umierała, najpierw konał mózg, potem ciało.

Dziewczynki zabrały swoje talerze.

- Muszę odrobić lekcje - powiedziała Fia. - Dobranoc, waipo.

- Ja też - dorzuciła Dory. - Cześć, waipo.

LuLing pomachała im zza stołu. Ruth prosiła kiedyś dziewczynki, aby ją całowały, ale w odpowiedzi na ich cmoknięcia LuLing zwykle sztywniała.

Art wstał.

- Muszę przejrzeć na jutro trochę dokumentów. Lepiej będzie, jeśli się wezmę do roboty.
Dobranoc, LuLing.

Gdy LuLing podreptała do łazienki, Ruth zajrzała do salonu, by porozmawiać z Artem.

- Coraz z nią gorzej.

- Zauważyłem. - Art przerzucał papiery.

- Boję się zostawić ją samą, kiedy pojedziemy na Hawaje.

- Co więc zrobisz?

Stwierdziła z niepokojem, że spytał, co ona robi, nie co "zrobimy". Od przyjęcia z okazji Święta Pełni Księżyca coraz boleśniej uświadamiała sobie fakt, że nie udało im się z Artem stworzyć rodziny. Mimo usilnych starań Ruth nie potrafiła o tym nie myśleć, co utwierdzało ją

przekonaniu, że uporczywe obawy nie są bezpodstawne. Dlaczego czuła się, jakby nie należała do nikogo? Czyżby nieświadomie postanowiła kochać tylko ludzi, którzy trzymali Drugą pomoc domowa pracowała niecały tydzień. W dni, kiedy nie odwiedzała matki, Ruth czuła się niespokojna i nie potrafiła się skupić. Nie spała dobrze, a w nocy tak mocno zgrzytała zębami, że złamała sobie trzonowy ząb. Była zbyt zmęczona, żeby gotować, kilka razy w tygodniu zamawiała więc pizzę, porzucając swoje wcześniejsze postanowienie, że będzie dawała Dory przykład zdrowego odżywiania, i narażając się na uwagi LuLing, że pepperoni jest za słona. Ostatnio dostała jakichś skurczów mięśni w barkach, które bardzo utrudniały pracę przy komputerze. Brakowało jej palców u rąk i nóg, aby o wszystkim pamiętać. Gdy znalazła Filipinkę, która specjalizowała się w opiece nad starymi ludźmi, poczuła się, jakby zdjęto z niej ogromny ciężar.

- Uwielbiam starych ludzi - zapewniała ją kobieta. - Jeżeli tylko znajdzie się czas, żeby ich dobrze poznać, nie są wcale uciążliwi.

Teraz jednak była noc i Ruth leżała bezsennie, słuchając dalekich syren, ostrzegających statki o czyhających mieliznach. Poprzedniego dnia, zabierając matkę na kolację, Ruth dowiedziała się, że Filipinka zrezygnowała z pracy.

- Nie ma - powiedziała LuLing, zdradzając wielkie zadowolenie.

- Kiedy odeszła?

- Nie pracowała!

- Ale była u ciebie, do kiedy? Przedwczoraj? Dzień wcześniej?

Wypytałszy dokładnie LuLing, Ruth ustaliła, że kobieta przestała przychodzić nazajutrz po rozpoczęciu pracy. Znalezienie kogoś innego na jej miejsce przed wyjazdem na Hawaje było niemożliwe. Mieli lecieć za dwa dni. Nie mogło być mowy o wakacjach za oceanem.

- Jedź sam - powiedziała rano Ruth do Arta. Dokonali już wszystkich opłat, a umowa nie przewidywała zwrotu pieniędzy.

- Jeśli ty nie pojedziesz, jak może być przyjemnie? Co ja będę robił?

- Nie będziesz pracował. Nie będziesz wcześniej wstawał. Nie będziesz musiał do nikogo dzwonić.

- To nie to samo.

- Będziesz za mną okropnie tęsknił, a potem opowiesz, jak ci było źle.

W końcu, ku rozgoryczeniu Ruth, zgodził się z logiką jej argumentów.

Nazajutrz rano Art wyjechał na Hawaje. Dziewczynki spędzały ten tydzień u Miriam, a

choć Ruth była przyzwyczajona do samotnej pracy w ciągu dnia, czuła wokół siebie przykrą pustkę. Zasiadła do pracy, a niedługo potem zadzwonił Gideon, żeby ją poinformować, że autor "Duchowości Internetu" zwolnił ją - pierwszy raz w swojej karierze została zwolniona. Mimo że skończyła jego książkę przed terminem, nie podobało mu się to, co napisała.

- Szlag mnie trafia, tak samo jak ciebie - mówił Gideon; Ruth wiedziała, że powinna być oburzona, może nawet upokorzona, ale w rzeczywistości poczuła ulgę. Przynajmniej jedno miała z głowy. - Postaram się zminimalizować straty z umowy z HarperSan Francisco - ciągnął Gideon. - Ale być może trzeba będzie udokumentować, że spędziłaś nad tym dużo czasu i udowodnić, że jego skargi są bezpodstawne... Halo? Ruth, jesteś tam?

- Przepraszam, przez chwilę nie uważałam...

- Skarbie, od jakiegoś czasu chcę z tobą o tym porozmawiać. Nie twierdzę, że ponosisz winę za to, co się stało. Ale martwię się, że jesteś inna niż zwykle. Wydaje się, jakbyś...

- Wiem, wiem. Nie jadę na Hawaje, więc mogę nadrobić zaległości.

- Świetny pomysł. A propos, chyba dowiemy się dzisiaj czegoś o tej nowej książce, ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy ją dostaniesz. Powinnaś im była wtedy powiedzieć, że masz operację usunięcia wyrostka czy coś w tym rodzaju.

Ruth nie pojawiła się ostatnio na rozmowie, ponieważ zadzwoniła do niej przerażona matka, która wzięła dzwonek budzika za sygnał alarmowy czujnika dymu.

O czwartej zadzwoniła Agapi, aby omówić ostateczne poprawki "Prostowania krzywych dróg dziecka". Mówiła ponad godzinę. Agapi miała ogromną ochotę zacząć nową książkę, którą chciała zatytułować "Zadawnione napięcia" lub "Zakorzenione ja". Ruth cały czas zerknęła na zegarek. O szóstej miała pojechać po matkę, żeby ją zabrać na kolację do Fountain Court.

- Nawyk, system nerwowy - mięśniowy i układ limbiczny to podstawa... - mówiła Agapi. - Od dzieciństwa i pierwszego doświadczenia utraty poczucia bezpieczeństwa wykonujemy określone gesty: ściskamy, chwytamy i wymachujemy. Zakorzeniaemy w sobie reakcję, ale zapominamy o zadawnionej przyczynie, niedokonanej... Ruth, kochana, wydaje mi się, że myślami jesteś gdzie indziej. Możesz do mnie zadzwonić później, kiedy będziesz miała świeższy umysł?

Piętnaście po piątej Ruth zadzwoniła do matki, żeby jej przypomnieć o swoim przyjeździe. LuLing nie odpowiadała. Pewnie była w łazience. Ruth odczekała pięć minut i znów zadzwoniła. Telefon LuLing nadal milczał. Może miała zaparcie? Zasnęła? Ruth uporządkowała papiery na biurku, włączyła głośnik w telefonie i wcisnęła guzik automatycznego powtarzania numeru. W

ciągu piętnastu minut monotonnego sygnału przeanalizowała wszystkie możliwości, dopóki nie pozostało najgorsze. Z garnka pozostawionego na kuchence buchnęły płomienie. LuLing gasi je olejem. Jej rękaw zaczyna płonąć. Jadąc do matki, Ruth przygotowała się na widok języków ognia strzelających spod dachu i poskręcanych, zwęglonych zwłok matki.

Jak gdyby na potwierdzenie swoich obaw, zobaczyła migoczące światło i tańczące cienie w oknach na piętrze. Co tchu wbiegła do środka. Drzwi frontowe były otwarte.

- Mamo? Mamusiu! Gdzie jesteś?

Ryczał włączony telewizor, pokazywano właśnie serial "Miłość bez granic". LuLing nigdy nie nauczyła się używać pilota, mimo że Ruth zalepiła taśmą wszystkie inne przyciski poza włącznikiem i przełącznikiem kanałów. Kiedy zgasła telewizor, nagle zapadła straszna cisza. Przerazenie ścisnęło Ruth za gardło.

- Mamusiu, gdzie jesteś? - załkała. - Odpowiedz. Zbiegła frontowymi schodami na parter i zapukała do lokatorki. Starła się mówić normalnym tonem.

- Nie widziałaś przypadkiem mojej matki? Przewracając oczami, Francine pokiwała znacząco głową.

- Jakież dwie czy trzy godziny temu popędziła gdzieś ulicą. Zwróciłam na to uwagę, bo miała na sobie piżamę i wyszła w kapciach. Powiedziałam do siebie: "Jezu, wygląda zupełnie jak stuknięta"... To właściwie nie moja sprawa, ale powinnaś ją zabrać do lekarza, niech jej zapisze jakieś leki czy coś. Mówię to w dobrej wierze.

Ruth wróciła biegiem na górę. Drżącymi palcami wykręciła numer telefonu byłego klienta, kapitana w departamencie policji. Kilka minut później w drzwiach stanął Latynos w policyjnym mundurze. Ugiął się pod ciężarem broni i fachowych akcesoriów i miał poważną minę, na widok której Ruth ogarnął jeszcze większy popłoch. Wyszła z domu.

- Matka ma chorobę Alzheimera - wyjąkała. - Ma siedemdziesiąt siedem lat, ale myśli jak dziecko.

- Rysopis.

- Cztery stopy jedenaście cali wzrostu, osiemdziesiąt pięć funtów wagi, czarne włosy spięte w kok, ubrana prawdopodobnie w różową albo liliową piżamę i kapcie... - Ruth wyobraziła sobie LuLing: zaskoczenie na twarzy, bezwładne ciało leżące na ulicy. Głos zaczął się jej załamywać. - O Boże, jest taka drobna i bezbronna...

- Podobna do tamtej pani?

Spojrząwszy we wskazanym przez policjanta kierunku, Ruth ujrzała LuLing stojącą bez ruchu na końcu chodnika. Miała na sobie sweter, który włożyła na pizamę.

- Aj-ja! Co stało się? - krzyknęła. - Włamanie? Ruth podbiegła do niej.

- Gdzie byłaś? - Obrzuciła matkę taksującym spojrzeniem, szukając uszkodzeń na jej ciele.

Podszedł do nich policjant.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - rzekł i ruszył w stronę radiowozu.

- Zostań tu - poleciła matce Ruth. - Zaraz wracam. - Gdy stanęła obok radiowozu, policjant odkręcił szybę. - Przepraszam za kłopot - powiedziała. - Nigdy wcześniej tego nie robiła. - Po chwili przemknęło jej przez myśl, że może robiła, tylko ona nic o tym nie wiedziała. Być może robiła to codziennie, co wieczór. Może LuLing wędrowała po okolicy w samej bieliźnie!

- Nic się nie stało - odrzekł funkcjonariusz. - Moja teściowa też wycinała takie numery. Kiedy zachodziło słońce, wychodziła się powłóczyć. Musieliśmy założyć alarmy na wszystkie drzwi. Przeżyliśmy ciężki rok, zanim umieściliśmy ją w domu opieki. Żona nie mogła już dłużej pilnować jej dzień i noc.

Dzień i noc? A Ruth sądziła, że sumiennie wywiązuje się ze swoich obowiązków, codziennie zabierając matkę na kolację i próbując wynająć dochodzącą gosposię.

- Mimo wszystko dziękuję - powiedziała. Gdy wróciła do matki, LuLing natychmiast się poskarżyła:

- Pamiętasz sklep za rogiem? Chodzę i chodzę, a on zniknął! Zrobili bank. Nie wierzysz, idź sama!

Ruth postanowiła spędzić tę noc u matki, w swojej starej sypialni. W tej części miasta syreny były głośniejsze. Przypomniała sobie, że kiedy miała kilkanaście lat, słuchała ich późno w nocy. Leżała w łóżku, licząc kolejne gwizdy i odgadując na tej podstawie liczbę lat, które miała jeszcze spędzić w tym domu. Dziś tu wróciła.

Rano Ruth otwierała szafki, szukając płatków na śniadanie. Znalazła poskładane i ułożone w stosy brudne papierowe serwetki. Setki. Otworzyła lodówkę. Była pełna plastikowych torebek z czarną i zielonkawą breją, kartonów ze zjedzonymi do połowy produktami, skórek z pomarańczy i melonów, dawno rozmrożonych mrożonek. W zamrażarce znalazła karton jajek, parę butów, budzik i coś, co prawdopodobnie było kiedyś kiełkami fasoli. Ruth ogarnęły mdłości. To wszystko stało się w ciągu zaledwie jednego tygodnia?

Zadzwoiła do Arta na Kauai. Nie odpowiadał. Pomyślała, że spokojnie leży na plaży, nie

zważając na żadne problemy świata. Ale jak mógł być na plaży? Na Hawajach była szósta rano. Gdzie on jest? Tańczy hula w czyimś łóżku? Jeszcze jedno zmartwienie. Ruth mogłaby zadzwonić do Wendy, ale Wendy po prostu wyraziłaby współczucie, mówiąc, że jej matka robi znacznie większe głupstwa. A Gideon? Ruth postanowiła zadzwonić do cioci Gal.

- Gorzej? Jak może z nią być jeszcze gorzej? - spytała GaoLing. - Dałam jej żeń - szeń i powiedziała, że bierze go codziennie.

- Lekarz mówił, że żaden z tych środków nie może pomóc...

- Lekarz! - prychnęła pogardliwie GaoLing. - Nie wierzę w tę diagnozę. Alzheimer. Twój stryj mówił to samo, a jest dentystą. Wszyscy się starzeją, wszyscy zapominają. Kiedy człowiek jest stary, ma za dużo do zapamiętania. Pytam cię, dlaczego dwadzieścia czy trzydzieści lat temu nikt na to nie chorował? Kłopot w tym, że dzisiaj dzieci nie mają czasu spotykać się z rodzicami. Twoja mama jest samotna i tyle. Nie ma z kim porozmawiać po chińsku. Oczywiście, jej umysł nie działa tak dobrze jak kiedyś. Jeżeli przestaje się rozmawiać, nie da się już naoliwić zardzewiałego mechanizmu!

- Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Czy mogłabyś ją zabrać do siebie, powiedzmy, na tydzień? Mam teraz dużo pracy i nie mogę poświęcać tyle czasu...

- Nie pytaj, zawsze ją przyjmę. Przyjadę po nią za godzinę. I tak muszę zrobić jakieś zakupy.

Ruth miała ochotę zapłakać z ulgą.

Po wyjściu cioci Gal z matką przespacerowała się kawałek na plażę, na Land's End. Musiała posłuchać miarowego huku fal, który mógłby zagłuszyć łomot jej serca.

Fala przyboju łagodnie omywała kostki idącej plażą Ruth i kusila. Chodź do morza, zdawała się mówić, jest wielkie i wolne.

Gdy Ruth miała kilkanaście lat, matka podczas kłótni pobiegła kiedyś do morza, grożąc, że utopi się w oceanie. Woda sięgała już jej ud i dopiero błagania i krzyki córki zdołały sprowadzić ją z powrotem. Ruth zastanawiała się teraz, czy gdyby nie jej prośby, LuLing pozwoliłaby oceanowi zdecydować o swoim losie?

Od dzieciństwa Ruth myślała o śmierci co dzień, czasem wiele razy dziennie. Sądziła, że wszyscy w sekrecie robią to samo, lecz nikt poza jej matką nie mówi o tym otwarcie. Rozważała w swym młodym umyśle, co właściwie oznacza śmierć. Czy ludzie znikają? Stają się niewidzialni? Dlaczego umarli stają się silniejsi, smutniejsi albo bardziej złośliwi? Tak zapewne myślała matka.

Gdy Ruth była starsza, próbowała wyobrazić sobie moment, w którym przestanie oddychać, mówić i widzieć, kiedy nie będzie już nic czuła i przestanie się nawet bać, że nie żyje. A może będzie jej towarzyszyć wielki strach i niepokój, złość i żal, tak jak duchom, z którymi rozmawiała matka? Śmierć niekoniecznie musi być bramą do czystej rozkoszy absolutnej nicości. To skok w nieznaną. Pociągający ze sobą wszystkie najgorsze możliwości. Właśnie z lęku przed nieznanym Ruth postanowiła, że bez względu na to, jak okropne i beznadziejne będzie jej życie, nigdy nie odbierze go sobie z własnej woli.

Choć dobrze pamiętała moment, w którym podjęła taką próbę.

Kończyła wtedy jedenaście lat. Ruth przeprowadziła się z matką z Oakland na równiny Berkeley, do krytego ciemnym gontem bungalowu, który stał za jasnożółtym domkiem, należącym do młodych, dwudziestoparoletnich małżonków, Lance'a i Dottie Rogersów. Bungalow był kiedyś szopą, spiżarnią i garażem; w czasie drugiej wojny światowej rodzice Lance'a zmienili go nielegalnie w budynek mieszkalny, wynajmowany kolejno kilku młodym żonom, których mężowie wyruszyli przez bazę morską w Ala - medzie na bitwę na Pacyfiku.

W domku były niskie sufity, często nawalała elektryczność, a o tylną i boczną ścianę wspierał się płotek, na który w nocy wspinały się zawadzące koty. Nie było wentylacji, nawet wentylatora nad dwupalnikową kuchenką, tak więc gdy LuLing gotowała, trzeba było otwierać okna, żeby się pozbyć z domu "tłustego zapachu", jak nazywała go matka. Ale czynsz był niski, a w dzielnicy znajdowała się dobra szkoła średnia, do której chodziły inteligentne i przebojowe dzieci profesorów z uniwersytetu. LuLing lubiła przypominać Ruth, że właśnie jej edukacja była najważniejszym powodem, dla którego ona postanowiła się tu przeprowadzić.

Bungalow z małymi oknami i żółtymi okiennicami przypominał domek dla lalek. Początkowa radość Ruth wkrótce ustąpiła jednak miejsca rozdrażnieniu. Nowy dom był tak mały, że w ogóle nie miała prywatności. Dzieliły z matką wspólną ciasną i ciemną sypialnię, gdzie dało się wstawić tylko dwa wąskie łóżka i komodę. W połączonych w jedno pomieszczenie salonie, jadalni i kuchni nie sposób się było nigdzie schować. Jedynym schronieniem dla Ruth stała się zatem łazienka i być może dlatego nękały ją tego roku liczne rozstroje żołądka. Matka zwykle przebywała w tym samym pokoju co ona, gotując, pracując nad swoimi kaligraficznymi napisami czy robiąc na drutach. Miała więc zajęte ręce, lecz wolny język, i przeszkadzała Ruth oglądać telewizję.

- Włosy za długie. Zaslaniają ci okulary jak kurtyna, nie widzisz. Wydaje ci się, że tak

ładnie. Mówię ci, nieładnie! Wyłączysz j telewizor, obetnę ci włosy... Słyszysz, wyłą - czyj telewizor...

Matka uważała, że Ruth ogląda telewizję, bo nie ma nic lepszego do roboty. Czasem uznawała, że to świetna okazja do rozmowy. Zdejmowała z lodówki tacę z piaskiem i stawiała na kuchennym stole. Ruth natychmiast czuła ucisk w gardle. Tylko nie to. Wiedziała jednak, że im bardziej będzie się opierała, tym bardziej matka będzie chciała się przekonać dlaczego.

- Droga Ciocia zła na mnie? - dopytywała się LuLing, gdy Ruth siedziała przez kilka minut, nie napisawszy nic na piasku.

- Nie, to nie to.

- Czujesz coś jeszcze ważnego?... Inny duch tu jest?

- Nie, to nie inny duch.

- Och. Już wiem... umrę niedługo... tak? Możesz mówić, ja nie boję się.

Matka nie przeszkadzała jej tylko wówczas, gdy Ruth odrabiała lekcje albo uczyła się do sprawdzianu. LuLing szanowała jej naukę. Kiedy jej przerywała, wystarczyło, że Ruth mówiła: "Cii, czytam". I prawie zawsze matka milkła. Ruth dużo czytała.

Kiedy była ładna pogoda, Ruth zabierała książkę na miniaturową werandę bungalowu i siadała z podwiniętymi nogami na sprężystym krześle ogrodowym w kształcie muszli. Lance i Dottie byli u siebie na podwórku i palili papierosy, wyrwali chwasty ze ścieżki albo przycinali pnącze, które okrywało ścianę domku niczym jasna kołdra. Ruth przyglądała się im ukradkiem, zerkając zza książki.

Durzyła się w Lansie. Uważała, że jest przystojny jak gwiazda filmowa. Miał ładnie przystrzyżone włosy, kwadratową szczękę i szczupłe, muskularne ciało sportowca. Był niezwykle spokojny i odnosił się do Ruth życzliwie, onieśmielając ją przez to jeszcze bardziej. Musiała udawać, że jest pochłonięta lekturą lub oglądaniem ślimaków na begoniach, aż wreszcie ją zauważył i mówił:

- Hej, szkrabie, oczy sobie popsujesz od tego czytania.

Jego ojciec był właścicielem kilku sklepów z alkoholem, a Lance pomagał w firmie rodzinnej. Często wyjeżdżał do pracy późnym rankiem i wracał wpół do czwartej albo o czwartej, później znów wyjeżdżał o dziewiątej i był z powrotem bardzo późno, kiedy Ruth przestała już nasłuchiwać warkotu samochodu.

Ruth zastanawiała się, jak to się stało, że za Lance'a wyszła Dottie. Musiała mieć dużo

szczęścia, bo nie była zbyt ładna, choć nowa przyjaciółka Ruth ze szkoły, Wendy, uznała, że Dottie jest niezłą lalą. Jak mogła tak powiedzieć? Dottie była wysoka i koścista, przytulić się do niej to jak przytulić się do dużego widelca. Poza tym, co zauważyła matka, Dottie miała duże zęby. Matka zademonstrowała to Ruth, rozciągając palcami wargi, tak że było widać jej dziąsła.

- Duże zęby, za dużo pokazuje, jak małpa.

Później w łazience Ruth oglądała się w lustrze, podziwiając swoje małe ząbki.

Była jeszcze jedna przyczyna, dla której - zdaniem Ruth - Dottie nie zasługiwała na Lance'a: była despotyczna, mówiła za głośno i za szybko. Czasami jej głos wydawał się słaby i niewyraźny, jakby Dottie musiała odchrząknąć. A kiedy krzyczała, brzmiał jak zardzewiały metal. W ciepłe wieczory otwierali okna z tyłu domu i Ruth słyszała przytłumione głosy Lance'a i Dottie, które niosły się przez podwórko, docierając do bungalowu. Kilka razy, kiedy się kłócili, słyszała wyraźnie, co mówią.

- Cholera jasna, Lance! - krzyczała jednego wieczoru Dottie. - Zaraz wyrzucę ci kolację, jak w tej chwili nie przyjdiesz!

- Odczep się. Siedzę na kiblu! - odpowiedział.

Potem, ilekroć Ruth była w łazience, wyobrażała sobie, że Lance robi to samo - stara się unikać ludzi, którzy cały czas mu dokuczają.

Innego wieczoru, gdy Ruth z matką siedziały przy stole w kuchni, na którym stała taca z piaskiem, rozległ się schrypnięty krzyk Dottie:

- Wiem, co zrobiłeś! Nie zgrywaj świętoszka!

- Nie mów mi, co zrobiłem, bo nic, kurwa, nie wiesz! Po chwili dwa razy trzasnęły drzwi i ryknął silnik czerwonego pontiaca, który ruszył spod domu z piskiem opon.

Serce Ruth waliło jak szalone. Matka pokręciła głową z niesmakiem, a później mruknęła po chińsku:

- Co cudzoziemcy to wariaci.

Ruth poczuła równocześnie dreszcz emocji i wyrzuty sumienia. Dottie odezwała się do Lance'a tak samo, jak matka często mówiła do niej, oskarżając ją bez powodu. Lance cierpiał tak samo jak ona. Z jedną różnicą - mógł się odgryźć. Powiedział dokładnie to, co Ruth chciałyby powiedzieć matce: nie mów mi, co myślę, bo nie wiesz!

W październiku matka kazała jej zanieść Rogersom czek z czynszem. Drzwi otworzyła Dottie i Ruth zauważyła, że oboje z Lance'em rozpakowują bardzo duże pudło. W środku był

nowiutki kolorowy telewizor, który, jak wyjaśniła Dottie, przynieśli właśnie dziś, żeby obejrzeć "Czarnoksiężnika z krainy Oz", którego o siódmej wieczorem miała pokazać telewizja. Ruth nigdy nie widziała kolorowego telewizora, jeśli nie liczyć wystawy w sklepie.

- Pamiętasz taki moment w filmie, kiedy wszystko ma się zmienić z czarno - białego w kolorowe? - zapytała Dottie. - W tym telewizorze naprawdę robi się kolorowe!

- Hej, szkrabie - odezwał się Lance. - Może wpadniesz wieczorem obejrzeć z nami film? Ruth spłonęła rumieńcem.

- Nie wiem...

- Powiedz mamie, żeby też przyszła - dodała Dottie.

- Nie wiem. Może. - Ruth popędziła do domu. Matka sądziła, że nie powinna iść.

- Grzeczność, naprawdę wcale nie zapraszają.

- Chcą, żebym przyszła. Zaprosili mnie dwa razy. - Ruth przemilczała fakt, że zaprosili także LuLing.

- W zeszłym roku na kartce z ocenami jeden dostateczny, nawet nie dobry. Powinny być bardzo dobry tylko. Dzisiaj lepiej ucz się więcej.

- Ale to było z wuefu! - jęknęła Ruth.

- I tak widziałas już ten program Ozzie.

- To jest "Czarnoksiężnik z krainy Oz", a nie "Ozzie i Harriet". Słynny film!

- Słynny! Hnh! Nie wszyscy oglądają, to już nie słynny! Ozzie, Oz, Zorro, wszystko to samo.

- Droga Ciocia sądzi, że powinnam go zobaczyć.

- Co mówisz?

Ruth nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała. Słowa po prostu same wyleciały z jej ust.

- Wczoraj wieczorem, pamiętasz? - Gorączkowo szukała odpowiedzi. - Kazała mi napisać coś, co wyglądało jak litera Z i nie wiedziałyśmy, co to może znaczyć.

LuLing zmarszczyła brwi, przypominając sobie napis.

- Chyba chciała, żebym napisała 0 - Z. Jeżeli nie wierzysz, możemy ją zaraz zapytać. - Ruth wspięła się na taboret i zdjęła z lodówki tacę z piaskiem.

- Droga Ciociu - mówiła po chińsku LuLing. - Jesteś tam? Co chcesz nam powiedzieć?

Ruth usiadła, trzymając w pogotowiu pałeczkę. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Ale przede wszystkim dlatego, że się denerwowała, bo miała oszukać matkę. A jeśli rzeczywiście

istniał duch zwany Drogą Ciocią? Ruth uważała, że pisanie na piasku jest tylko przykrym obowiązkiem, a ona musi po prostu odgadnąć, co matka chce usłyszeć, i jak najszybciej zakończyć seans. Jednak bywały chwile, gdy wierzyła, że jej ręką kieruje duch, dyktując jej, co ma napisać. Czasem pisała rzeczy, które później okazywały się prawdą, jak na przykład wskazówki dotyczące akcji, w które matka zaczęła inwestować, aby pomnożyć zaoszczędzone pieniądze. Matka prosiła Drogą Ciocię, żeby wybrała między akcjami dwóch firm, na przykład IBM i US Steel, a Ruth decydowała się na krótszą nazwę, którą łatwiej było zapisać. Bez względu na wybór, LuLing serdecznie dziękowała Drogiej Cioci. Raz matka zapytała, gdzie spoczywa ciało Drogiej Cioci, by mogła je odnaleźć i pogrzebać. Koniec napisała Ruth, na co matka zerwała się z miejsca, krzycząc:

- A więc to prawda! GaoLing mówiła prawdę. Jesteś na Końcu Świata.

Ruth poczuła na szyi muśnięcie przenikliwie zimnego oddechu.

Uspokoiła myśli i rękę, przywołując całą czarnoksięską mądrość, jaką mogłaby jej przekazać Droga Ciocia. 0 - Z, napisała, po czym zaczęła powoli i dużymi literami pisać film w dobrym guście. Kiedy zaczęła skrobać G - U, LuLing wykrzyknęła:

- Gul Gu to po chińsku "kość". Dlaczego kość? Czy to ma związek z dobrą rodziną lekarza kości?

I szczęśliwym trafem wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Droga Ciocia chciała najwyraźniej powiedzieć, że "Czarnoksiężnik z krainy Oz" opowiada również o dobrym lekarzu kości i będzie szczęśliwa, jeśli Ruth obejrzy film.

Za dwie siódma Ruth zapukała do Lance'a i Dottie.

- Kto tam? - spytał głośno Lance.

- To ja, Ruth.

- Kto? - Po chwili Ruth usłyszała, jak mruknął: - Niech to szlag.

Ruth stała, płonąc ze wstydu. Może rzeczywiście zaprosił ją przez grzeczność. Zbiegła pędem po schodkach prowadzących na werandę. Teraz przez dwie godziny będzie się musiała chować na podwórku, żeby matka nie domyśliła się jej gafy ani kłamstwa.

Drzwi otworzyły się szeroko.

- Cześć, szkrabie - rzekł serdecznie Lance. - Wejdz. Już myśleliśmy, że nie przyjdiesz. Dottie! Ruth przysła! Przynies jej z kuchni oranżady. Chodź, Ruth, siadaj na kanapie.

W trakcie filmu Ruth miała trudności ze skupieniem uwagi na ekranie. Musiała udawać, że czuje się bardzo swobodnie. Wszyscy troje siedzieli na żółto - turkusowej kanapie, pokrytej

obiciem z materiału o grubym splocie, przetykanego błyszczącą nitką, który drapał Ruth w gołe nogi. Poza tym Ruth zauważała szczegóły, które głęboko nią wstrząsnęły, na przykład to, że Dottie i Lance opierali na stoliku nogi - w butach! Gdyby widziała to matka, miałyby do powiedzenia dużo więcej prócz uwag o dużych zębach Dottie. Lance i Dottie popijali jakiś złotawy alkohol, choć przecież nie byli w barze. Ale najbardziej przeszkadzało jej kretyńskie zachowanie Dottie, która udając dziecko i głaszcząc Lance'a po kolanie i udzie, gruchała do niego:

- Ci kochany Lancey mozie źłobić tyciutko głośnieiej? W przerwie na reklamy Dottie przeciągnęła się, wstała i zachwiała się jak strach na wróble z filmu.

- Może chcecie trochę po... po... popcornu? Potem, wymachując szeroko ramionami, cofnęła się o krok i powlokła do drzwi, pośpiewując:

- Uuu, idziemy sobie do kuchni...

Ruth została sama z Lance'em na jednej kanapie. Wpatrywała się w telewizor, a serce mocno jej łomotało. Słyszała dobiegające z kuchni stukanie otwieranych i zamykanych szafek oraz nucenie Dottie.

- Jak ci się podoba? - spytał Lance, wskazując ruchem głowy telewizor.

- Naprawdę fajne - odrzekła Ruth cichym, poważnym głosem, nie odrywając oczu od ekranu.

Poczuła woń rozgrzanego oleju, usłyszała kanonadę sypanych do rondla ziaren kukurydzy. Lance zagrzechotał kostkami lodu w swojej szklance i zaczął mówić o programach, które miał nadzieję obejrzeć w kolorze: meczach piłki nożnej, "Mister Ed", "The Beverly Hillbillies". Ruth miała wrażenie, jakby była na randce. Zwróciła się nieznacznie w jego stronę. Słuchaj z zaciekawieniem. Wendy mówiła jej kiedyś, co ma robić dziewczyna, żeby chłopak poczuł się ważny i męski. Ale co potem? Lance siedział tak blisko. Naraz klepnął ją w kolano, wstał i oznajmił:

- Chyba skorzystam z kibla, zanim się zacznie.

Powiedział o bardzo krępującej i intymnej sprawie. Gdy po minucie wrócił, Ruth wciąż się rumieniła. Tym razem usiadł jeszcze bliżej. Mógł się odsunąć na miejsce, które wcześniej zajmowała Dottie, więc dlaczego tego nie zrobił? Celowo? Znow zaczął się film. Czy Dottie zaraz wejdzie? Ruth miała nadzieję, że nie. Wyobrażała sobie, jak będzie o tym opowiadała Wendy: "Myślałam, że z nerwów zsikam się w spodnie!". Tak się mówiło, ale miała wrażenie, że faktycznie musi iść siusiu. Okropne. Jak miała zapytać Lance'a, czy może skorzystać z łazienki?

Nie mogła tak po prostu wstać i łązić mu po domu. A może zachować się tak swobodnie jak on i rzucić od niechcenia, że też musi skorzystać z kibla? Napięła mięśnie, próbując powstrzymać fizjologię. Wreszcie gdy do pokoju weszła Dottie z miską prażonej kukurydzy, Ruth wyrzuciła z siebie:

- Muszę najpierw umyć ręce.
- Z tyłu za sypialnią - powiedziała Dottie.

Starając się zachowywać zupełnie swobodnie, Ruth ruszyła szybkim krokiem, zaciskając mięśnie ud. Przemykając obok sypialni, poczuła zastarzały zapach papierosów i zobaczyła niepościelone łóżko, poduszki, ręczniki i buteleczkę olejku do kąpieli Jean Nate stojącą w nogach łóżka. W łazience opuściła krótkie spodnie i usiadła, pomrukując z ulgi. Przed chwilą był tu Lance, pomyślała i zachichotała. Po chwili stwierdziła, że w łazience panuje okropny bałagan. Spoiny między różowymi płytkami na podłodze były szare z brudu. Na koszu na bieliznę leżał zmięty stanik i majteczki. Na półce wbudowanej naprzeciw toalety leżały upchnięte byle jak czasopisma motoryzacyjne. Gdyby matka mogła to zobaczyć!

Ruth wstała i dopiero teraz zauważyła krople wilgoci na pupie. Sedes był mokry! Matka zawsze ją przestrzegała, żeby nie siadać na toalecie u ludzi, nawet w domu znajomych. Mężczyźni powinni podnosić sedes, ale nigdy tego nie robili.

- Każdy zapomina - mówiła matka. - Ich nie obchodzi. Zostawiają zarazki, co przechodzą na ciebie.

Ruth w pierwszej chwili chciała zetrzeć ślady moczu papierem toaletowym. Uznała jednak, że to znak, jak przyrzeczenie miłości. Pozostawiając na skórze ślad po siusiu Lance'a i jego zarazki, czuła się jak dzielna bohaterka romansu.

Kilka dni później na lekcji gimnastyki Ruth obejrzała film przedstawiający drogę, jaką przebywają jajeczka w ciele kobiety, od początku aż do wypłynięcia ze strumieniem krwi. Film był stary i w wielu miejscach uszkodzony. Pani, która wyglądała jak pielęgniarka, mówiła o początku wiosny, a w środku opowieści o wypuszczaniu pięknych pąków zniknęła z trzaskiem, by pojawić się w drugim pokoju i opisywać pąki przesuwające się wewnątrz gałęzi. Kiedy tłumaczyła, że łono jest jak gniazdo, jej głos przeszedł w dźwięk przypominający trzepot ptasich skrzydeł, a postać zniknęła, ustępując miejsca białemu jak śnieg ekranowi. Zapalono światło i wszystkie dziewczynki zmrużyły zażenowane oczy, myśląc o poruszających się w nich jajeczkach. Nauczycielka musiała wezwać zgarbionego chłopaka o wydętych ustach z sekcji audiowizualnej; wtedy Wendy i inne

dziewczynki zaczęły piszczeć, że wolą umrzeć niż go zobaczyć. Chłopak skleił taśmę i film mógł się rozpocząć na nowo. Pokazano, jak kijanka, którą nazywano plemnikiem, jedzie przez łono w kształcie serca, a głos kierowcy autobusu wykrzykiwał nazwy kolejnych przystanków: "pochwa", "szyjka macicy", "macica". Dziewczynki wydawały piski i zasłaniały oczy, dopóki przygarbiony chłopak nie wyszedł z sali, krocząc dumnie, jakby zobaczył je wszystkie nago.

W dalszej części filmu Ruth widziała, jak kijanka znajduje jajeczko, które ją pożera. Zaczęła rosnąć wielkooka żaba. Pod koniec filmu pielęgniarka w nakrochmalonym białym czepku podawała dziecko o wylupiastych oczach pięknej kobiecie, ubranej w żakiet z różowej satyny, a jej bardzo męski mąż oświadczał: "To cud, cud życia".

Gdy zapalono światła, Wendy podniosła rękę i spytała nauczycielkę, jak w ogóle zaczął się ten cud, a dziewczynki, które znały odpowiedź, parskały i chichotały. Ruth też się śmiała. Nauczycielka posłała im karcące spojrzenie i powiedziała:

- Najpierw trzeba wziąć ślub.

Ruth wiedziała, że to nie jest cała prawda. Widziała kiedyś film z Rockiem Hudsonem i Doris Day. Wszystko polegało na chemii: dobra chemia to miłość, a w skład złej wchodził alkohol i sen. Ruth nie była do końca pewna, jak to się wszystko dzieje, ale wiedziała z pewnością, że są to najważniejsze elementy uruchamiające naukową przemianę: mechanizm był podobny do sposobu, w jaki tabletki alka - seltzer rozpuszcza się w wodzie, tworząc bąbelki. Plum, psss. To przez złą chemię niektóre kobiety miały dzieci bez małżeństwa, dzieci nieślubne, jak się mówiło, używając jednego z zakazanych słów.

Przed zakończeniem lekcji nauczycielka rozdała białe elastyczne paski z klamerkami i pudełka z grubymi białymi tamponami. Wyjaśniła, że dziewczynki niedługo będą mieć swój pierwszy okres, więc nie powinny być zdziwione ani przestraszone, kiedy zobaczą czerwoną plamkę na majteczkach. Plamka miała być znakiem i dowodem, że stały się kobietami i są "grzecznymi dziewczynkami". Wiele dziewczynek chichotało. Ruth pomyślała, że ma mieć okres tak jak zadanie domowe, czyli na jutro, pojutrze albo na przyszły tydzień.

Wracając z Ruth ze szkoły do domu, Wendy tłumaczyła jej to, co nauczycielka przemilczała. Wendy znała się na wielu rzeczach, bo zadawała się z kumplami swojego brata i ich wyzywającymi dziewczynami, które nosiły makijaż i zatrzymywały oczka w pończochach lakierem do paznokci. Wendy miała wielką, puszystą blond fryzurę, którą tapiro - wała i lakierowała podczas przerw, żując gumę, przechowywaną z lekcji na lekcję w kawałku srebrnej

folii. Pierwsza zaczęła nosić wysokie białe buty, a przed lekcjami i po szkole podwijiała spódniczkę, żeby kończyła się dwa cale nad kolanem. Trzy razy musiała zostać za karę po lekcjach, raz za spóźnienie, a dwa razy za używanie zakazanych słów "suka" i "szywny fiut" w rozmowie z nauczycielką gimnastyki. W drodze do domu chwaliła się Ruth, że pozwoliła się pocałować chłopakowi na "prywatce z macaniem".

- Właśnie zjadł neapolitańskiego loda i pachniał jak rzygi, to mu powiedziałam, żeby mnie pocałował w szyję, ale nie niżej. Jak pozwolisz zejść mu niżej, już po tobie. - Wendy rozchyliła kołnierzyk, a Ruth syknęła, zobaczywszy ślad, który wyglądał jak duży siniec.

- Co to?

- Malinka, głupia. Jasne, że takich rzeczy nie pokazywali w tym kretyńskim filmie. Jak się robi malinki, jak staje, jak się zalicza... jak to się robi. A właśnie na tej prywatce była dziewczyna, co ciągle rzygała w łazience. Z dziesiątej klasy. Bała się, że jest w ciąży z jednym chłopakiem z poprawczaka.

- Kocha go?

- Mówiła, że to czubek.

- W takim razie nie musi się martwić - oświadczyła ze znanstwem Ruth.

- O czym ty mówisz?

- W ciąży można być przez chemię. Miłość jest jednym ze składników - tłumaczyła jak najbardziej naukowo Ruth.

Wendy raptownie przystanęła. Otworzyła ze zdumienia usta, po czym szepnęła:

- To ty nic nie wiesz? - A potem wytłumaczyła jej to, o czym nie mówiła ani matka, ani pani na filmie, ani nauczycielka: że ten składnik wychodzi z penisa chłopaka.

Żeby Ruth wszystko jasno zrozumiała, Wendy dodała, nie pozostawiając żadnych wątpliwości: - Chłopak sika w dziewczynie, w środku.

- Nieprawda! - Ruth nienawdziła Wendy za to, co powiedziała, i za to, że zaczęła się histerycznie śmiać. Poczula ulgę, gdy dotarli do skrzyżowania, na którym musiały się rozstać.

Przez pozostałą część drogi do domu w głowie Ruth uparcie kołatały się wypowiedziane przez Wendy słowa. Okropna prawda o sikaniu miała sens. Dlatego chłopcy i dziewczynki mają oddzielne łazienki. Dlatego chłopcy powinni podnosić sedes, ale przez złośliwość tego nie robią. I dlatego matka zabraniała jej siadać na toalecie w obcej łazience. Mówiła o zarzkach, ale naprawdę chciała ją ostrzec przed plemnikami. Dlaczego matka nie nauczyła się dobrze mówić po angielsku

i rozróżniać nazw takich drobinek?

Nagle ogarnęła ją panika. Przypomniała sobie, że trzy dni temu usiadła na kroplach moczu mężczyzny, którego kochała.

Ruth sprawdzała swoją bieliznę kilkanaście razy dziennie. Od pokazu filmu minęły cztery dni, a ona wciąż nie dostała okresu. No i zobacz, co się stało, krzyczała w duchu. Chodziła po bungalowie z pustką w oczach. Sama zniszczyła sobie życie i nie można było już nic poradzić. Miłość, mocz, alkohol - bez końca wyliczała na palcach te składniki. Przypomniała sobie, jaka się czuła dzielna, gdy idąc wtedy spać, nie starła kropel wilgoci z pupy.

- Czemu jak wariatka się zachowujesz? - pytała często matka.

Oczywiście, Ruth nie mogła jej powiedzieć, że jest w ciąży. Doświadczenie nauczyło ją, że matka martwi się, nawet gdy nie ma żadnego powodu do zmartwienia. Jeżeli naprawdę coś byłoby nie tak, narobiłaby krzyku, wałąc się w pierś niczym goryl. Uczyniłaby to na oczach Lance'a i Dottie. Wydlubałaby sobie oczy, wołając duchy, żeby przyszły i ją zabrały. I naprawdę by się zabiła. Tym razem na pewno. Kazałaby Ruth na to patrzeć, aby jeszcze bardziej ją ukarać. Teraz, ilekroć Ruth zobaczyła Lance'a, zaczynała tak szybko i ciężko oddychać, że płuca niemal odmawiały jej posłuszeństwa, a ona prawie mdlała z braku powietrza. Bez przerwy bolał ją brzuch. Czasami dostawała skurczu żołądka i stała nad toaletą, usiłując wymiotować, lecz nic nie chciało wylecieć. Kiedy jadła, wyobrażała sobie, jak jedzenie wpada prosto do pyska małej żaby, którą w sobie nosi, i miała wrażenie, że jej żołądek to lepkie bagno, więc biegła do łazienki i zmuszała się do wymiotów, w nadziei że żaba skoczy do toalety, a ona będzie mogła spuścić po niej wodę i tak skończy się wreszcie jej udręka.

Chcę umrzeć, jęczała do siebie. Umrzeć, umrzeć, umrzeć. Na początku płakała w łazience, potem próbowała przeciąć sobie nadgarstek nożem stołowym. Na skórze została głęboka bruzda, nie było żadnej krwi i za bardzo bolało, żeby ciąć głębiej. Później Ruth znalazła w błocie na podwórku zardzewiałą pinezkę, którą nakłuła sobie palec, a potem czekała, aż zatruta krew wypełni jej całe ramię jak rtęć w termometrze. Tego wieczoru, wciąż żywa i zrozpaczona, napełniła wodą wannę i usiadła w niej. Zanurzyła się głębiej i już chciała szeroko otworzyć usta, ale w tej samej chwili przypomniała sobie, że w wodzie pływa brud z jej nóg, pupy i miejsca między nogami. Nie zmieniając postanowienia, wyszła z wanny, wytarła się, a potem napełniła umywalkę. Pochyliła się, dotykając twarzą wody. Otworzyła usta. Jak łatwo się utopić. W ogóle nic nie boli. To jakby napić się wody, co, jak się po chwili zorientowała, właśnie robiła. Zanurzyła

więc twarz głębiej i znów otworzyła usta. Głęboko nabrała powietrza, przygotowując się nareszcie na śmierć. Jej ciało gwałtownie zaprotestowało. Zaczęła głośno kaszleć i rzeźić, na co do łazienki wpadła bez pukania matka, klepnęła ją w plecy, potem położyła dłoń na jej czole i mruknęła po chińsku, że Ruth jest chora i powinna natychmiast iść do łóżka. Obawa i troska matki sprawiły, że Ruth poczuła się jeszcze gorzej.

Pierwszą osobą, której Ruth w końcu wyznała swoją tajemnicę, była Wendy. Znała się na wielu rzeczach i zawsze wiedziała, co zrobić. Ruth musiała czekać na spotkanie z nią w szkole, bo nie mogła rozmawiać o tym przez wspólny telefon, narażając się na ryzyko, że matka lub ktoś inny podsłucha.

- Musisz powiedzieć Lance'owi - rzekła Wendy, ściskając dłoń Ruth.

Ruth zaczęła płakać jeszcze żałośniej. Pokręciła głową. Przemknęło jej przed oczami całe okrucieństwo świata i rozumiała, że jej rojenia są zupełnie nierealne. Lance jej nie kochał. Gdyby mu powiedziała, znenawidziłby ją, Dottie też by ją znenawidziła. Wyrzuciliby ją i matkę z bungalowu. Szkoła wysłałaby Ruth do poprawczaka. Jej życie byłoby skończone.

- No, jak nie chcesz, to ja mu powiem - zaproponowała Wendy.

- Nie - wykrztusiła Ruth. - Nie możesz. Nie pozwolę ci.

- Jeśli mu nie powiesz, to jak się ma przekonać, że cię kocha?

- On mnie nie kocha.

- Na pewno cię kocha. W każdym razie pokocha. Tak się zdarza. Facet dowiaduje się, że dziecko jest w drodze, i trzask - prask - miłość, małżeństwo, wózeczek.

Ruth usiłowała to sobie wyobrazić. "Tak, to twoje" - mówi do Lance'a Wendy. Lance wygląda jak Rock Hudson, kiedy się dowiedział, że Doris Day będzie miała jego dziecko. Najpierw traci mowę ze zdumienia, potem powoli się uśmiecha, a później wybiega na ulicę, nie zważając na samochody i wpadając na ludzi, którzy krzyczą, że chyba oszalał. "Tak, oszalałem, oszalałem dla niej!" - wołał. Wraca do niej, rzuca się na kolana i wyznaje, że ją kocha, że zawsze ją kochał i chce się z nią ożenić. A Dottie, cóż, na pewno niedługo zakocha się w listonoszu czy kimś takim. Wszystko pięknie się ułoży. Ruth westchnęła. Tak, to było możliwe.

Po południu Wendy poszła z Ruth do domu. LuLing pracowała po południu w przedszkolu i miała wrócić dopiero za dwie godziny. O czwartej, kiedy obie były na dworze, zobaczyły Lance'a, który szedł do samochodu, pogwizdując i dzwoniąc kluczykami. Wendy ruszyła do niego, a Ruth pobiegła na drugą stronę bungalowu, żeby się schować, a jednocześnie wszystko widzieć. Prawie

nie mogła oddychać. Wendy szła w stronę Lance'a.

- Dzień dobry! - zawołała do niego.

- Cześć, mała - odrzekł. - O co chodzi?

Wtedy Wendy odwróciła się na pięcie i uciekła. Ruth rozplakała się. Gdy Wendy wróciła, zaczęła ją pocieszać i powiedziała, że ma lepszy plan.

- Nie martw się - mówiła. - Zajmę się tym. Coś wymyślę. - I rzeczywiście wymyśliła. - Zaczekaj tu - nakazała jej z uśmiechem, a potem ruszyła pędem na werandę domku.

Ruth pomknęła do bungalowu. Pięć minut później tylne drzwi domku otworzyły się gwałtownie i wypadła z nich Dottie. Ruth zobaczyła przez okno Wendy, która pomachała jej i szybko sobie poszła. Rozległo się łomotanie do drzwi bungalowu i gdy Ruth otworzyła, Dottie chwyciła ją za rękę. Spojrzała jej w oczy z udręczoną miną i wyszeptała swoim schrypniętym, zgrzytliwym głosem:

- Naprawdę jesteś?...

Ruth uderzyła w ryk, a Dottie objęła ją ramieniem i zaczęła uspokajać. Potem uścisnęła ją tak mocno, że Ruth miała wrażenie, jakby kości zaraz jej miały wyskoczyć ze stawów. To bolało, ale równocześnie sprawiało przyjemność.

- To drań, cholerny, parszywy gnój - mówiła Dottie przez zaciśnięte zęby.

Ruth była wstrząśnięta, słysząc same zakazane słowa, ale jeszcze bardziej zdumiała się, że Dottie była wściekła nie na nią, ale na Lance'a!

- Twoja mama wie? - spytała Dottie. Ruth pokręciła głową.

- Dobrze. Na razie nie musimy jej nic mówić, jeszcze nie. Najpierw muszę pomyśleć, jak to rozwiązać, dobrze? Nie będzie łatwo, ale coś wykombinuję, nie martw się. Pięć lat temu zdarzyło mi się to samo.

A więc dlatego Lance się z nią ożenił? Ale gdzie było dziecko?

- Wiem, co czujesz - ciągnęła Dottie. - Naprawdę.

Ruth płakała gorzko, wylewając z siebie więcej żalu, niż mogłoby pomieścić ludzkie serce. Znalazł się ktoś, kto wyrażał złość za to, co jej się przytrafiło. Kto wiedział, co trzeba zrobić.

Wieczorem matka gotowała, otworzywszy na oścież okna, a przez szum rozgrzanego oleju było słyhać dobiegające z domku podniesione głosy. Ruth udawała, że czyta "Dziwne losy Jane Eyre". Nasłuchiwała słów z zewnątrz, ale mogła zrozumieć tylko piskliwy wrzask Dottie, która powtarzała: "Ty cholerny draniu!". Głos Lance'a był niski i dudniący, jak silnik jego pontiaca.

Ruth weszła do kuchni i sięgnęła pod zlew.

- Wyniosę śmieci.

Matka rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie, ale dalej gotowała. Zbliżając się do kublów stojących obok domku, Ruth zwolniła, żeby posłuchać.

- Wydaje ci się, że taki z ciebie ogier! Ile jeszcze rżnąłeś?... Jesteś facetem na jeden szybki, niczym więcej - fiku miku i po krzyku!

- Ciekawe, od kiedy jesteś takim ekspertem!

- Bo wiem! Wiem, co to znaczy być prawdziwym facetem! Danny... tak, on był niezły, Danny to prawdziwy facet. Ale ty! Musisz wsadzać małym dziewczynkom, które nie znają lepszych.

- Ty pieprzona kurwo! - krzyknął Lance dziwnie wysokim głosem, jak zapłakany chłopiec.

Ruth wróciła do domu, wciąż się trzęsąc. Nie spodziewała się, że to wszystko jest takie paskudne i zwariowane. Nieostrożność może sprawić mnóstwo kłopotów. Można się okazać złym wbrew własnej woli.

- Co za ludzie, huli - hudu - mruknęła matka, stawiając na stole parujące jedzenie. - Wariaci, kłócą się o nic. - Potem pozamykała okna.

Kilka godzin później, gdy Ruth leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami, przytłumione krzyki i wrzaski nagle się urwały. Nasłuchiwała przez chwilę, ale jedynym odgłosem było tylko chrapanie matki. Wstała w ciemnościach i poszła do łazienki. Wspięła się na toaletę, żeby wyjrzeć przez okno na podwórko. W domku paliło się światło. Co się dzieje? Potem zobaczyła Lance'a, który wyszedł z domu i wrzucił do bagażnika samochodu duży worek. Chwilę później opony zachręściły na żwirze i auto odjechało z rykiem silnika. Co to znaczy? Powiedział Dottie, że ożeni się z Ruth?

Nazajutrz rano, w sobotę, Ruth prawie nie tknęła kle - iku ryżowego, który matka podgrzała jej na śniadanie. Czekwała niecierpliwie na powrót czerwonego pontiaca, ale panowała cisza. Ruth opadła z książką na kanapę. Matka wkładała brudne ubrania, ręczniki i pościel do torby nałożonej na wózek. Wyliczyła ćwierćdolarówki i dziesięciocentówki na automat, a potem powiedziała do Ruth:

- Chodźmy. Czas prania.

- Źle się czuję.

- Aj-ja, chora?

- Chyba będę wymiotować.

Matka zaczęła się krzątać wokół niej, mierząc temperaturę, wpytując, co jadła i jak wyglądała kupka. Zmusiła Ruth, by położyła się na kanapie, a obok postawiła wiadro na wypadek, gdyby naprawdę zrobiło jej się niedobrze. Wreszcie wyszła do pralni; miała wrócić dopiero za trzy godziny. Zawsze pchała swój wózek do pralni oddalonej o dwadzieścia minut drogi, ponieważ automaty były tam o pięć centów tańsze niż bliżej domu, a suszarki nie przypalały ubrań.

Ruth narzuciła kurtkę i wymknęła się na zewnątrz. Przycupnęła z książką na krześle na werandzie i czekała. Po dziesięciu minutach Dottie otworzyła drzwi z tyłu domku, zeszła po czterech schodkach i ruszyła przez podwórko. Miała podpuchnięte oczy, jak ropucha, a kiedy uśmiechnęła się do Ruth, rozciągnęła tylko usta, nie zmieniając nieszczęśliwego wyrazu twarzy.

- Ja się czujesz, dziecko?

- Chyba dobrze.

Dottie westchnęła i usiadła na werandzie, opierając podbródek na kolanach.

- Odszedł - powiedziała. - Ale nie martw się, za wszystko zapłaci.

- Nie chcę żadnych pieniędzy - zaprotestowała Ruth. Dottie zaśmiała się krótko i pociągnęła nosem.

- Chcę powiedzieć, że pójdzie do więzienia. Ruth przeraziła się.

- Dlaczego?

- Za to, co ci zrobił, oczywiście.

- Ale on wcale nie chciał. Zapomniał tylko...

- Że masz jedenaście lat? Jezu!

- To była też moja wina. Powinam bardziej uważać.

- Nie, skarbie, nie, nie! Nie musisz go bronić. Naprawdę. To nie twoja wina ani dziecka...

Posłuchaj, będziesz musiała porozmawiać z policją...

- Nie! Nie! Nie chcę!

- Wiem, że się boisz, ale on zrobił coś bardzo złego. To się nazywa stosunek z nieletnią i Lance musi być ukarany... Policja będzie ci pewnie zadawać dużo pytań, więc powiedz im po prostu prawdę, co ci zrobił, gdzie to się stało... W sypialni?

- W łazience.

- Jezu! - Dottie rozgoryczona pokiwała głową. - Tak, zawsze lubił to tam robić... Zabrał cię więc do łazienki...

- Sama poszłam.

- Dobrze, potem on poszedł za tobą i co się stało? Był w ubraniu?

Ruth zdjął błądy strach.

- Został w salonie i oglądał telewizję - powiedziała słabym głosem. - Byłam sama w łazience.

- No więc kiedy to zrobił?

- Przede mną. Najpierw on siusiał, potem ja.

- Chwileczkę... Co zrobił?

- Siusiu.

- Na ciebie?

- Na sedes. Potem przyszedłam i usiadłam na tym. Dottie wstała. Na jej twarzy malowała się zgroza.

- O nie, Boże! - Chwyciła Ruth za ramiona i mocno potrząsnęła. - Tak się nie robi dzieci. Siusiu na sedes. Jak mogłaś być taka głupia? Musiałby ci wsadzić kutasa. I spuścić się. Nie nasikać, ale mieć wytrysk spermy. Rozumiesz, co zrobiłaś? Oskarżyłaś niewinnego człowieka o gwałt.

- Nie... - wyszeptała Ruth.

- Właśnie tak. A ja ci uwierzyłam. - Ciężkim krokiem zeszła z werandy, klnąc pod nosem.

- Przepraszam! - zawołała za nią Ruth. - Powiedziałam, przepraszam. - Nadal nie do końca rozumiała, co właściwie zrobiła.

Dottie odwróciła się i prychnęła:

- Nie masz pojęcia, co to naprawdę znaczy. - Weszła do domu, zatraskując za sobą drzwi.

Choć Ruth nie była już w ciąży, wcale nie poczuła ulgi. Nadal wszystko było okropne, a może jeszcze gorsze niż poprzednio. Gdy matka wróciła z pralni, leżała w łóżku, udając, że śpi. Było jej głupio i bała się. Będzie musiała iść do więzienia? Wiedziała już, że nie jest w ciąży, mimo to jednak ciągle pragnęła umrzeć. Ale jak? Wyobraziła sobie siebie, jak leży pod kołami pontiaca, a Lance uruchamia silnik i odjeżdża, miażdżąc jej ciało i nawet o tym nie wiedząc. Gdyby zginęła jak ojciec, spotkaliby się w niebie. A może on też sądził, że jest zła?

- Ach, grzeczna dziewczynka - pochwaliła ją półgłosem matka. - Wyśpisz się, lepiej niedługo poczujesz.

Po południu Ruth usłyszała na podjeździe warkot samochodu. Ukradkiem wyjrzała przez

okno. Lance z ponurą miną wynosił z domku jakieś pudła, dwie walizki i kota. Potem wyszła Dottie, wycierając nos chusteczką. Ani razu nie spojrzawszy na siebie, odjechali. Po godzinie pontiac wrócił, lecz wysiadł z niego tylko Lance. Co Dottie mu powiedziała? Dlaczego musiała się wyprowadzić? Czy teraz Lance przyjdzie do nich, powie matce, co Ruth zrobiła, i każe im się natychmiast wynosić? Ruth była pewna, że Lance jej nienawidzi. Wcześniej zdawało się jej, że najgorszą rzeczą, jaka mogła się jej w życiu przytrafić, jest ciąża. Teraz było jednak znacznie gorzej.

W poniedziałek nie poszła do szkoły. LuLing coraz bardziej się bała, że to duch próbuje odebrać jej córkę. Jak inaczej wytłumaczyć złe samopoczucie Ruth? LuLing plotła coś o obnażonych zębach małpiej szczęki. Droga Ciocia wiedziała, mówiła. Wiedziała o klątwie. Miała to być kara za coś, co dawno temu zrobiła jej rodzina. Matka postawiła tacę z piaskiem na krześle obok łóżka Ruth, czekając.

- Obie umrzemy? - zapytała. - Czy tylko ja?

- Nie - napisała Ruth. - Wszystko dobrze.

- Jak "dobrze"? To czemu chora, bez powodu?

We wtorek Ruth nie mogła już dłużej znieść troskliwości matki. Powiedziała, że czuje się dobrze i może iść do szkoły. Przed wyjściem wyjrzała przez okno, a potem zerknęła na podjazd. O nie, pontiac dalej stał. Zaczęła się okropnie trząść, jakby zaraz miały się jej połamać wszystkie kości. Nabrawszy głęboko powietrza, wyskoczyła z domu, puściła się pędem skrajem podjazdu jak najdalej od domu Lace'a i Dottie, a potem ostrożnie przemknęła obok samochodu. Skręciła w lewo, mimo że do szkoły szło się w prawo.

- Hej, szkrabie! Czekałem na ciebie. - Lance palił na werandzie papierosa. - Musimy pogadać. - Ruth stanęła jak wryta na chodniku, niezdolna do najmniejszego ruchu. - Powiedziałem, że musimy pogadać. Nie sądzisz, że jesteś mi to winna?... Chodź. - Rzucił niedopałek na trawnik.

Ruth niepewnie postąpiła naprzód na drżących nogach. Miała wrażenie, jakby połowa jej ciała nadal uciekała. Gdy dotarła na werandę, była zupełnie zdrętwiała. Uniosła głowę.

- Przepraszam - pisnęła. Broda zaczęła się jej trząść, Ruth otworzyła usta i zaczęła głośno szlochać.

- Hej, hej - odezwał się Lance. Nerwowo wyjrzał na ulicę. - Daj spokój, nie rób tego. Chciałem z tobą porozmawiać, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Nie chcę, żeby coś takiego się powtórzyło, w porządku?

Ruth kiwnęła głową, pociągając nosem.

- No, już dobrze. Uspokój się. Nie bój się, nie jestem przecież taki straszny.

Ruth starła łzy z twarzy rękawem swetra. Najgorsze już miała za sobą. Ruszyła w stronę schodów.

- Hej, dokąd to? Ruth znieruchomiała.

- Mówiłem, że musimy porozmawiać. Odwróć się. - Jego głos brzmiał trochę mniej łagodnie, Ruth zauważyła, że otworzył drzwi do domu. - Wejdz - rozkazał.

Przygryzła wargi i wolno zawróciła, prześlizgując się obok niego. Usłyszała odgłos zamykanych drzwi, a w pokoju zrobiło się trochę ciemniej.

Salon był przesiąknięty zapachem alkoholu i papierosów. Zasłony były zasunięte, na stoliku piętrzyły się puste tacki po mrożonych posiłkach.

- Siadaj. - Lance wskazał drapiącą kanapę. - Chcesz oranżady?

Pokręciła głową. Jedynym źródłem światła w pokoju był włączony telewizor, w którym leciał stary film. Ruth cieszyła się, że panuje hałas. Potem zobaczyła na ekranie reklamę - jakiś mężczyzna sprzedawał samochody. W ręce trzymał atrapę szabli.

- Obcieliśmy ceny - zadrzyj więc do Chevroleta Rudy'ego i zapytaj o tego, co tnie najlepiej!

Lance usiadł na kanapie, lecz nie tak blisko jak tamtego wieczoru. Wyjął jej książki z rąk. Ruth poczuła się zupełnie bezbronna, przez łzy wszystko widziała niewyraźnie, starając się jednocześnie tak płakać, by nie wydać żadnego dźwięku.

- Zostawiła mnie, wiesz?

Z piersi Ruth wyrwało się głośne łkanie. Próbowwała powiedzieć, że bardzo jej przykro, ale była w stanie tylko pociągać nosem i spazmatycznie chlipać jak przestraszone zwierzątko.

Lance zaśmiał się.

- Właściwie sam ją wyrzuciłem. Tak, w pewnym sensie oddałeś mi przysługę. Gdyby nie ty, nie dowiedziałbym się, że rżnie się z innymi. Jasne, przez chwilę coś podejrzewałem. Ale powiedziałem sobie: stary, musisz jej ufać. I widzisz - ona mi nie ufała. Uwierzyłybyś - mnie nie ufała! Coś ci powiem, bez zaufania nie ma małżeństwa. Wiesz, co mam na myśli? - Spojrzał na nią.

Ruth zrozpaczona pokiwała głową.

- E, chyba nie wiesz i nie dowiesz się przez najbliższe dziesięć lat. - Zapalił następnego papierosa. - Za dziesięć lat popatrzysz za siebie i powiesz: "Rany, ale kiedyś miałam pojęcie o robieniu dzieci!" - Parsknął i przekrzywił głowę, obserwując jej reakcję. - Nie śmiejesz się? Mnie

się wydaje, że to śmieszne. Tobie nie? - Poglądził ją po ręce, a Ruth wzdrygnęła się bezwiednie. - O co chodzi? A... tylko mi nie mów, że ty też mi nie ufasz. Co, jesteś taka jak ona? Po tym, co zrobiłaś i czego ja nie zrobiłem, uważasz, że zasługuję na takie traktowanie?

Ruth milczała przez dłuższą chwilę, starając się zmusić własne usta do właściwego ułożenia. Wreszcie powiedziała urywanym głosem:

- Ufam ci.

- Tak? - Znów pogładził ją po ręce i tym razem nie szarpnęła się tak głupio jak poprzednio. Mówił dalej znużonym, ale dodającym otuchy głosem. - Posłuchaj, nie będę na ciebie wrzeszczał i tak dalej. Możesz się uspokoić. Dobrze? Hej, pytam cię - dobrze?

- Dobrze.

- No to się uśmiechnij.

Z trudem uniosła kąciki ust. :

- O, proszę! Oto uśmiech. Znowu zniknął! - Lance zgasił papierosa. - To co, znowu jesteśmy przyjaciółmi? - Wyciągnął do niej rękę. - Świetnie. Źle by było, gdybyśmy nie mogli zostać przyjaciółmi, przecież mieszkamy obok siebie.

Uśmiechnęła się do niego i tym razem wyglądało to naturalnie. Starła się oddychać przez zapchany nos.

- Jako sąsiedzi powinniśmy sobie nawzajem pomagać, a nie oskarżać niewinnych ludzi o złe uczynki...

Ruth skinęła głową, uświadamiając sobie w tym momencie, że wciąż zaciska palce nóg. Rozluźniła się. Niedługo wszystko się skończy. Dostrzegła na twarzy Lance'a ciemne cienie pod oczami i zmarszczki biegnące od nosa do szczęki. Zabawne. Wyglądał o wiele starzej, niż się jej ostatnio zdawało, już nie był taki przystojny. Zrozumiała, że to dlatego, że już go nie kocha. Dziwne. Myślała, że to była miłość, ale nie. Przecież prawdziwa miłość jest wieczna.

- Teraz już wiesz, jak się naprawdę robi dzieci, tak? Ruth wstrzymała oddech. Odchyliła głowę.

- Wiesz czy nie wiesz? ; Szybko skinęła głową.

- Jak? Powiedz.

Wierciła się, opanowując rozbiegane myśli. Przed oczyma stanęły jej okropne sceny. Z brązowego hot doga tryska żółta musztarda. Znała słowa: penis, sperma, pochwa. Jak mogła je jednak wypowiedzieć? Wówczas on także zobaczyłby ten brzydki obraz.

- Wiesz przecież - chlipnęła.

Spojrzał na nią surowo. Jak gdyby umiał ją przeświecić na wskroś wzrokiem.

- Tak - powiedział w końcu. - Wiem. - Przez kilka sekund milczał, po czym dodał życzliwszym tonem: - Rany, ale byłaś niemądra. Dzieci i sedes, Jezu.

Ruth miała spuszczoną głowę, ale zerknęła na niego. Lance uśmiechał się.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia lepiej nauczysz swoje dzieci życia. Sedes! Siusiu? A siusiaj sobie! Ruth zachichotała.

- Ha! Wiedziałem, że umiesz się śmiać. - Połaskotał ją palcem pod pachą.

Zapisała przez grzeczność. Znów ją połaskotał, tym razem między żebrami, a Ruth zareagowała paroksyzmem śmiechu. Nagle Lance wepchnął jej rękę pod drugą pachę i poczuła się bezbronna, za bardzo przestraszona, żeby mu powiedzieć, aby przestał, nie mogąc jednak opanować śmiechu. Jego palce przebiegały po jej plecach i brzuchu. Zwinęła się jak stonoga i zsunęła na dywan, wstrząsana atakami chichotu, który pozbawiał ją tchu.

- Pewnie dużo rzeczy cię śmieszy, co? - Przebierał palcami po jej żebrach jak po strunach harfy. - Tak, teraz widzę. Opowiedziałaś to wszystkim koleżankom? Ha, ha! Prawie wsadziłam faceta do więzienia.

Próbowała krzyknąć, nie, przestań, ale niepohamowany śmiech nie pozwalał jej zaczerpnąć tchu, nie panowała nad ruchami rąk i nóg. Spódniczka się jej zawinęła, ale Ruth nie umiała jej wygładzić. Jej ręce przypominały ręce marionetki drgające, posłuszne dotknięciom Lance'a. Starła się osłaniać przed jego palcami brzuch, piersi, pupę. Na policzkach czuła spływające łzy. Szczypał jej sutki.

- Jesteś tylko małą dziewczynką - dyszał. - Nie masz jeszcze nawet cycków. Dlaczego miałbym się z tobą zadawać? Cholera, załóż się, że nawet nie masz włosów na dupci...

I kiedy jego dłonie powędrowały ku jej majteczkom w kwiatki, żeby je zdjąć, nagle odzyskała głos, wydając z siebie skrzekliwy wrzask. Przerażliwy, przeciągły dźwięk dobywał się z nieznanego miejsca, jak gdyby odezwała się w niej jakaś inna osoba.

- Ho! Ho! - Uniósł ręce jak ktoś, kogo właśnie okradają. - Co ty wyprawiasz? Opanuj się... Uspokój się, na litość boską!

Dalej wyła jak syrena, odsuwając się od niego na pupie, podciągając majteczki i opuszczając spódniczkę.

- Nie robię ci krzywdy. Nie robię ci krzywdy! - powtarzał, dopóki jej krzyk nie przeszedł w

łkanie i rżenie. Po chwili słycać juź było tylko jej przyśpieszony oddech.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Czy mi się wydaje, czy jeszcze przed chwilą się śmiałaś? Raz się bawimy, a zaraz potem zachowujesz się jak... nie wiem, może mi powiesz. - Spojrzał na nią z ukosa. - Wiesz co, chyba masz poważny problem. Najpierw sobie ubzdurasz, że ludzie robią ci coś złego, a potem, zanim zrozumiesz, jak jest naprawdę, oskarżasz ich, wpadasz w szał i niszczysz wszystko dookoła. Mam rację?

Ruth wstała. Trzęsły jej się nogi.

- Pójdę juź - szepnęła. Z trudem podeszła do drzwi.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki mi nie obiecasz, że nie będziesz więcej wygadywać tych cholernych kłamstw. Wbij to sobie dobrze do głowy! - Zbliżył się do niej. - Lepiej nie mów, że coś ci zrobiłem, jeżeli nie zrobiłem. Bo jak będziesz mówić, mogę się naprawdę zdenerwować i zrobić ci coś znacznie gorszego, a wtedy będzie ci bardzo przykro, słyszysz?

Bez słowa kiwnęła głową.

Wypuścił powietrze przez nos, patrząc na nią z niesmakiem.

- Wynoś się stąd. Spadaj.

Tego dnia wieczorem Ruth próbowała powiedzieć matce, co się stało.

- Mamo, boję się.

- Czemu boisz? - LuLing prasowała. W pokoju unosił się zapach rozgrzanej wody.

- Ten Lance był dla mnie niedobry...

Matka spochmurniała, a potem powiedziała po chińsku:

- Dlatego, że ciągle mu zawracasz głowę. Wydaje ci się, że ma ochotę z tobą bawić się - ale wcale nie ma! Dlaczego zawsze sprawiasz tyle kłopotów?...

Ruth zrobiło się niedobrze. Jej matka widziała niebezpieczeństwo tam, gdzie nie istniało. A gdy naprawdę zdarzyło się coś okropnego, była ślepa. Gdyby Ruth powiedziała jej całą prawdę, LuLing prawdopodobnie by oszalała. Powiedziałyby, że nie chce dłużej żyć. Zresztą co za różnica? Ruth była sama. Nikt nie mógł jej uratować.

Godzinę później, gdy LuLing robiła na drutach i oglądała telewizję, Ruth sama zdjęła z lodówki tacę z piaskiem.

- Droga Ciocia chce ci coś powiedzieć - rzekła.

- Ach! - LuLing natychmiast wstała, wyłączyła telewizor i niecierpliwie zasiadła przy stole

kuchennym.

Ruth wygładziła piasek pałeczką. Zamknęła oczy, po chwili otworzyła i zaczęła.

Musicie się wyprowadzić, napisała. Zaraz.

- Wyprowadzić? - wykrzyknęła matka. - Aj-ja! Gdzie wyprowadzić?

Ruth nie zastanawiała się nad tym.

Daleko, zdecydowała w końcu.

- Jak daleko?

Ruth wyobraziła sobie odległość wielką jak ocean. Zatoka, most, długie podróże autobusem, podczas których zasypiała.

San Francisco, napisała wreszcie.

Matka wciąż wyglądała na zmartwioną.

- Która część? Gdzie dobrze?

Ruth zawahała się. Nie знаła zbyt dobrze San Francisco, poza Chinatown i paroma innymi miejscami, parkiem Golden Gate, wesołym miasteczkiem w Land's End. I tak wpadła na pomysł, który szybko wprowadził w ruch jej rękę. Land's End.

Ruth przypomniała sobie pierwszy dzień, gdy spacerowała po tej plaży. Było pusto, powierzchnia piasku przed nią - gładka, nietknięta ludzką stopą. Uciekła, żeby trafić do tego miejsca. Czowała, jak przenikliwie zimne fale chwytają ją za kostki, jakby chciały wciągnąć ją w wodę. Przypomniała sobie, jak krzyczała z ulgą, gdy wokół niej ryczały fale.

Teraz, trzydzieści pięć lat później, znów była tamtą jedenastoletnią dziewczynką. Wybrała życie. Dlaczego? Idąc brzegiem morza, odnajdywała ukojenie w stałości i przewidywalnym zachowaniu wody. Ilekroć fala się cofała, zmazывała wszystkie znaki pozostawione na brzegu. Ruth przypomniała sobie, jak stojąc na tej plaży po raz pierwszy, pomyślała, że piasek wygląda niby gigantyczna taca do pisania. Czysta, kusząca nieograniczonymi możliwościami. W tamtej chwili swego młodego życia jej serce odżyło nową żarliwą nadzieją. Nie musiała już wymyślać odpowiedzi. Mogła pytać.

I tak jak dawno temu, Ruth pochyliła się i podniosła ułamaną muszelkę. Wydrapała na piasku: NA POMOC. Potem przyglądała się, jak fale zabierają jej błaganie do innego świata.

Po powrocie do mieszkania LuLing Ruth zaczęła wyrzucać nagromadzone przez matkę rzeczy: brudne serwetki i plastikowe torebki, restauracyjne opakowania sosu sojowego i musztardy, jednorazowe pałeczki, zużyte słomki i nieważne kupony, waciki z fiolek z lekami i

puste fiolki. Wyciągała z szafek kartony i słoiki z oryginalnymi etykietami. Zepsutym jedzeniem z lodówki i zamrażarki napełniła trzy duże worki na śmieci.

Sprzątając, miała wrażenie, jak gdyby usuwała rupiecie z umysłu matki. Otwierała kolejne szafki. Zobaczyła ręczniki z motywami ostrokrzewu, które LuLing dostała w prezencie bożonarodzeniowym i których nigdy nie używała. Włożyła je do torby z rzeczami przeznaczonymi dla biednych. Znalazła również szorstkie ręczniki i pościel kupioną na wyprzedaży, które pamiętała jeszcze z dzieciństwa. Nowa bielizna pościelowa spoczywała wciąż w ozdobnych pudełkach, w jakie zapakowano ją w sklepie.

Sięgając po stare ręczniki, Ruth zdała sobie sprawę, że tak samo jak matka nie potrafi się ich pozbyć. W te przedmioty wsiąkło jej życie i przeszłość. Miały swoją historię, osobowość, łączyły się ze wspomnieniami. Na przykład ręcznik w fuksje, który teraz trzymała, kiedyś wydawał się jej piękny. Ruth owijała nim mokre włosy, udając królową w turbanie. Pewnego dnia wzięła go na plażę, a potem matka skrzyczała ją za to, że używa "najlepszych rzeczy" zamiast wziąć zielony ręcznik o postrzępionych brzegach. Z powodu swego wychowania Ruth nie potrafiła być taka jak Gideon, który co roku kupował włoską pościel za tysiące dolarów, a zeszłoroczną kolekcję wyrzucał z taką łatwością, jak gdyby był to numer "Przeglądu Architektonicznego" z zeszłego miesiąca. Nie była wprawdzie tak oszczędna jak matka, miała jednak świadomość, że mogłaby żałować jakiejś straty. Ruth weszła do sypialni LuLing. Na komodzie stało chyba dwadzieścia kilka buteleczek wody toaletowej w opakowanych w celofan pudełkach. Matka nazywała ją "śmierdzącą wodą". Ruth starała się kiedyś wytłumaczyć jej, że woda toaletowa to nie to samo, co woda w toalecie. Ale LuLing twierdziła, że ważna jest nazwa rzeczy, i uważała, że prezenty od GaoLing i reszty rodziny miały ją obrazić.

- Cóż, jeżeli ci się to nie podoba - powiedziała kiedyś Ruth - dlaczego zawsze powtarzasz, że chciałaś dostać właśnie coś takiego?

- A jak nie mam być uprzejma?

- Więc bądź uprzejma, ale potem wyrzuć, skoro tak bardzo ci to przeszkadza.

- Wyrzuć? Jak mogę wyrzucić? Strata pieniędzy!

- No to oddaj.

- Kto chce takie rzeczy? Woda toaletowa! Phi! Jakbym ich obraziła mocno.

Stało więc sobie dwadzieścia parę buteleczek, dwadzieścia kilka powodów do obrazy, niektóre od GaoLing, inne od córki GaoLing, ale ani jedna, ani druga nie miała pojęcia, że LuLing,

wstając codziennie rano i widząc te fla - szeczki, zaczyna dzień z przeświadczeniem, że cały świat sprzysiął się przeciw niej. Ruth z ciekawości otworzyła jedno pudełko, odkręciła wodę i powąchała. Śmierdziała! Matka miała rację. Zresztą jaka może być trwałość perfumowanej wody? Woda toaletowa raczej nie starzała się tak jak wino. Ruth zaczęła wkładać pudełka do torby z rzeczami do oddania, lecz po chwili zreflektowała się. Zdecydowanym ruchem przełożyła je do worka z rzeczami do wyrzucenia, mimo to nadal czuła się trochę zbyt rozrzutna. A co z pudrem? Otworzyła puzderko ze złotawego metalu, ozdobione motywem lilii burbońskiej. Miało chyba ze trzydzieści lat. Puder utlenił się, przybierając pomarańczową barwę, jak policzki kukiełek brzuchomówców. Substancja wyglądała, jakby mogła wywołać raka - albo chorobę Alzheimera. Wszystko na świecie, choćby wyglądało zupełnie niegroźnie, było potencjalnie niebezpieczne, kryjąc w sobie złośliwe toksyny, które mogły się ulotnić i zarazić człowieka w najmniej spodziewanym momencie. Tego nauczyła ją matka.

Wyciągnęła puszek do pudru. Na brzegach był jeszcze porowaty, ale środek stał się zupełnie gładki od codziennego ślizgania się po twarzy LuLing. Wyrzuciła puderniczkę i puszek do śmieci. Chwilę później wyciągnęła z powrotem puzderko w panice, bliska łez. Przecież to część życia matki! No to co, że jest sentymentalna? Znów otworzyła puderniczkę i ujrzała w lusterku swoją skrzywioną cierpieniem twarz, a potem zatrzymała wzrok na pomarańczowym pudrze. Nie, to nie miało nic wspólnego z sentymentami. Było niezdrowe i niesmaczne. Wrzuciła puderniczkę z powrotem do śmieci.

Zanim zapadł zmierzch, w kącie salonu urosła góra przedmiotów, do których, zdaniem Ruth, matka nie powinna być zbyt przywiązana: stary aparat telefoniczny z tarczą, wzory do szycia, pliki starych rachunków, pięć półprzeźroczystych szklanek do mrożonej herbaty, kilka kubków do kawy z różnymi napisami w różnych kolorach, lampa na trzech nogach - jednej brakowało - stare, zardzewiałe krzesło ogrodowe w kształcie muszli, toster z przetartym przewodem, kształtem przypominający krągły zderzak starego buicka, zegar kuchenny z trzema wskazówkami w kształcie noża, widelca i łyżki, torba z robótkami wraz z zawartością, którą stanowiły do połowy zrobione włóczkowe kapcie, fioletowe, turkusowe i zielone, przeterminowane lekarstwa oraz kłęb splątanych wieszaków na ubrania, wyglądający jak wielki pająk.

Mimo późnej godziny Ruth czuła w sobie energię, mając konkretny cel. Rozglądając się po mieszkaniu, wyliczała na palcach naprawy, które trzeba przeprowadzić, by zapobiec ewentualnym

wypadkom. Trzeba doprowadzić do porządku gniazdka w ścianach. Wymienić czujniki dymu.

Zmniejszyć moc grzałki w zbiorniku, żeby matka nie poparzyła się gorącą wodą. Czy ta brązowa plama na suficie to zaciek? Ruth sprawdziła miejsce, skąd mogła kapać woda, a jej bystre oko zatrzymało się na podłodze obok kanapy. Podbiegła tam, odchyliła dywan i spojrzała na deski podłogi. Była to jedna ze skrytek, w której matka zbierała kosztowności, jakie mogły się przydać na wypadek wojny albo, jak mawiała LuLing, "katastrofy, strasznej, że nie wyobrażasz sobie". Ruth nacisnęła koniec deski i proszę bardzo - uniósł się drugi koniec, jak na huśtawce. Aha! Złota bransoletka w kształcie węża! Ruth wydobyła ją i wybuchnęła beztróskim śmiechem, jak gdyby wybrała właściwą bramkę w teleturnieju. Matka zaciągnęła ją kiedyś do Royal Jade House przy Jackson Street i kupiła tę bransoletkę za sto dwadzieścia dolarów, mówiąc Ruth, że jest z dwudziestoczyterokaratowego złota i w razie nagłej potrzeby można ją zważyć i dostać za nią tyle, ile naprawdę jest warta.

A reszta skrytek LuLing? Ruth odstawiła na bok kosz z albumami fotograficznymi, który stał przy nieużywanym kominku. Podważyła obluzowaną cegłę, wyciągnęła ją i - oczywiście - nadal tkwiły tam cztery dolarowe banknoty, owinięte jednym dwudziestodolarowym. Nie do wiary! Ruth zakręciło się w głowie - znaleziony mały skarb był pamiątką z okresu jej dojrzewania. Kiedy się tu wprowadziły, LuLing włożyła pod cegłę pięć banknotów dwudziesto dolarowych. Zaglądając tam od czasu do czasu, Ruth zauważyła, że pieniądze cały czas są tak samo zwinięte w równiutki rulonik. Pewnego dnia położyła na nich włos; widziała tę sztuczkę w filmie o chłopcu - detektywie. Potem, ilekroć sprawdzała skrytkę, włos wciąż leżał w tym samym miejscu. Gdy Ruth miała piętnaście lat, zaczęła sobie pożyczać pieniądze ze schowka, żeby zaspokoić własne nagłe potrzeby - musiała mieć kilka dolarów na zakazane rzeczy: tusz do rzęs, bilet do kina, a trochę później na marlboro. Z początku bardzo się niepokoiła, dopóki nie wsunęła banknotu z powrotem na miejsce. Potem czuła ulgę i radość, że nie została przyłapana. Usprawiedliwiała się tym, że zasłużyła na pieniądze - za koszenie trawnika, zmywanie naczyń, za to, że matka krzyczała na nią bez powodu. Dwudziestki zastępowała dziesięciodolarówkami, potem piątkami, a w końcu w skrytce zostały same dolarówki, opakowane w ostatni banknot dwudziestodolarowy.

Dziś, trzydzieści jeden lat później, trzymając w ręku dowód swojej kradzieży, znów była dziewczyną z przeszłości, jednocześnie obserwując ją z boku. Przypomniła sobie nieszczęśliwą osobę, która mieszkała w jej ciele, impulsywną, szaloną i pełną złości. Zastanawiała się wtedy: czy mam wierzyć w Boga, czy zostać nihilistką? Być buddystką czy beatnikiem? Bez względu na swój

wybór, jaką miała wyciągnąć naukę z tego, że jej matka jest wiecznie nieszczęśliwa? Czy duchy istnieją? A jeśli nie, to czy matka jest naprawdę szalona? Czy istnieje coś takiego jak szczęście? Jeżeli nie, to dlaczego jej kuzyni mieszkają w Saratodze? Bywało, że Ruth postanawiała być absolutnym przeciwieństwem matki. Zamiast narzekać na cały świat, chciała robić coś konstruktywnego. Może wstąpi do Korpusu Pokoju i wyjedzie do dalekich dżungli. Innym razem myślała, że zostanie weterynarzem i będzie pomagać chorym zwierzętom. Później zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej być nauczycielką upośledzonych dzieci. Nie będzie zwracała uwagi na ich ułomność, w przeciwieństwie do matki, która często krzyczała na nią, że ma chyba tylko pół mózgu. Będzie traktowała je jak istoty ludzkie, które nie różnią się od innych.

Dała upust tym uczuciom, zapisując je w pamiętniku, który dostała na Boże Narodzenie od ciotki Gal. Właśnie skończyła czytać "Pamiętnik Anny Frank" - lekturę z angielskiego w drugiej klasie - i jak inne dziewczynki, była przeświadczona, że ona także jest inna, że mimo swej niewinności zmierza ku tragedii, dzięki której po śmierci zyska powszechny podziw. Pamiętnik miał być śladem jej istnienia, dowodem na to, że jest kimś, a najważniejsze, że gdzieś pewnego dnia ktoś ją zrozumie, nawet gdyby to nie miało się stać za jej życia. Myśl, że jej cierpienia nie pójdą na marne, stanowiła ogromną pociechę. W pamiętniku Ruth mogła być zupełnie szczerą. Naturalnie prawdę musiała poprzeć faktami. Pierwszy zapis zawierał więc listę dziesięciu najlepszych piosenek z radiowej listy przebojów oraz informację, że niejakiemu Michaelowi Pappowi stanął, gdy ten tańczył z Wendy. Tak przynajmniej twierdziła Wendy, a Ruth sądziła wówczas, że wyrażenie to ma coś wspólnego ze zbyt wysokim mniemaniem o sobie.

Wiedziała, że matka ukradkiem zagląda do jej zapisków, ponieważ któregoś dnia zapytała Ruth:

- Czemu lubisz piosenkę "Turn, Turn, Turn"? Bo inni też?

Innym razem matka pociągnęła nosem, pytając:

- Czemu masz zapach jak papieros?

Ruth właśnie napisała o tym, jak wybrała się z koleżankami do Haight - Ashbury i spotkała w parku hipisów, którzy dali im zapalić. Cieszyła się w duchu z przekonania matki, że paliły papierosy, a nie haszysz. Po tym przesłuchaniu zaczęła chować pamiętnik na dnie szafy, pod materacem łóżka, za komodą. Matce zawsze jednak udawało się go odnaleźć, tak przynajmniej zdawało się Ruth, gdy LuLing nakładała na nią nowe zakazy:

- Więcej nie chodzić na plażę po szkole. Nie spotykać się z tą Lisa. Czemu tak obchodzą cię

chłopcy?

Gdyby oskarżyła matkę o czytanie pamiętnika, LuLing wykręciłaby się od odpowiedzi, nie przyznając się do winy, a równocześnie mówiłaby rzeczy w rodzaju: "Córka nie powinna mieć tajemnic przed matką". Ruth nie miała ochoty na cenzurowanie przez nią dziennika, zaczęła więc pisać kodem będącym kombinacją pseudołaciny, hiszpańskiego i trudnych, wielosylabowych słów, których LuLing na pewno nie rozumiała. "Akwarozrywki pośród heterogeniczności los drobinos krzemionkas" oznaczały na przykład plażę w Land's End.

Ruth zamyśliła się. Czy mama kiedykolwiek zdała sobie sprawę, że żądając, abym nie miała przed nią tajemnic, sama doprowadziła do tego, że ukrywałam coraz więcej? Może jednak matka coś wyczuła. Może dlatego sama ukrywała przed Ruth pewne prawdy o sobie. Takie złe rzeczy, że lepiej nie mówić. Nie potrafiły sobie zaufać. Tak zaczęła się między nimi nieuczciwość i zdrada. Nie od wielkich kłamstw, lecz od drobnych sekretów.

Ruth przypomniała sobie ostatnie miejsce, w którym schowała pamiętnik. Przez wiele lat w ogóle o nim nie pamiętała. Poszła do kuchni i wgramoliła się na blat z mniejszą zręcznością niż wtedy, gdy miała szesnaście lat. Szukając po omacku, znalazła wreszcie swój pamiętnik w serduszkach na szczytce górnej szafki. Niektóre z serduszek były zapaćkane różowym lakierem do paznokci, którym mazała imiona różnych chłopców, jakich chciała wcześniej upamiętnić jako największą miłość życia. Zeszła z blatu i przetarła czerwono - złotą okładkę zakurzonego reliktu.

Poczuła słabość w nogach i niepewność, jak gdyby w pamiętniku była zawarta nieodwracalna przepowiednia tego, co miało się wydarzyć w przyszłości. Znów miała szesnaście lat. Odpięła zatrzask i przeczytała słowa wypisane wielkimi literami na wewnętrznej stronie obwoluty: STOP!!! TAJNE!!! CZYTAJĄC TO, WKRACZASZ W CUDZĄ PRYWATNOŚĆ!!! TAK! TO DOTYCZY CIEBIE!

Ale matka przeczytała, przeczytała i wzięła sobie do serca to, co Ruth napisała na przedostatniej stronie. Słowa, które omal nie zabiły ich obu.

Przez cały tydzień, który poprzedzał napisanie tych brzemiennych w skutki słów, Ruth i LuLing dręczyły się nawzajem coraz zajadlej. Przypominały dwie osoby, które utknęły w burzy piaskowej i w podmuchach przenikliwego wiatru oskarżają się nawzajem o jej wywołanie. Dzień przed punktem krytycznym Ruth paliła w oknie swojego pokoju. Drzwi były zamknięte i gdy tylko usłyszała zbliżające się kroki matki, wyrzuciła papierosa i padła na łóżko, udając, że czyta. LuLing weszła jak zwykle bez pukania. Kiedy Ruth spojrzała na nią z niewinną miną, wrzasnęła:

- Palisz!

- Wcale nie!

- Jeszcze pali się. - LuLing podeszła do okna. Papieros wylądował na gzymsie pod oknem, znacząc swoją obecność smużką dymu.

- Jestem Amerykanką! - krzyknęła Ruth. - Mam prawo do prywatności i własnego szczęścia, nie muszę uszczęśliwiać ciebie!

- Jak prawo do szczęścia! Do złego nie ma prawa!

- Daj mi spokój!

- Dlaczego mam taką córkę? Czemu żyję? Czemu dawno temu nie umarłam? - LuLing sapała i prychała z gniewem, a Ruth pomyślała, że wygląda jak wściekły pies. - Chcesz, żebym umarła?

Ruth cała się trzęsła, ale nonszalancko wzruszyła ramionami.

- Naprawdę nic mnie to nie obchodzi.

Matka stała jeszcze chwilę, dysząc ze wzburzenia, po czym wyszła. Ruth podniosła się i zatrzasnęła za nią drzwi.

Później, święcie oburzona, szlochając, zaczęła pisać w pamiętniku, doskonale zdając sobie sprawę, że matka to przeczyta: "Nienawidzę jej! Jest najgorszą matką na świecie! Nie kocha mnie. Nie słucha mnie. W ogóle mnie nie rozumie. Tylko się mnie czepia, wścieka się i działa mi na nerwy".

Wiedziała, że ryzykuje. Czuła się zła do szpiku kości. Mimo to strząsała z siebie ogarniające ją poczucie winy z coraz większą brawurą. Potem napisała coś jeszcze gorszego, straszne słowa, które później - za późno - skreśliła. Ruth patrzyła teraz na zamazane na czarno linijki i dokładnie znała ich treść, którą poznała też matka:

"Ciągle mówisz, że się zabijesz, dlaczego więc tego nie zrobisz? Spróbuj. Zrób to, zrób to! No już, zabij się! Droga Ciocia sobie tego życzy, ja też!".

Wówczas była wstrząśnięta, że mogła zapisać takie okropne uczucia. Teraz była wstrząśnięta, przypominając je sobie. Płakała, pisząc słowa nabrzmiałe gniewem, strachem i przedziwnym poczuciem wolności, przyznając wreszcie bez ogródek, że pragnie skrzywdzić matkę równie boleśnie, jak ona ją krzywdziła. Potem schowała pamiętnik na dnie szuflady z bielizną, gdzie matka bez trudu mogła go znaleźć. Włożyła go grzbietem do środka, a na wierzchu położyła parę majteczek w różowe kwiatki. W ten sposób na pewno by się zorientowała, że matka

myszkowała w szufladzie.

Nazajutrz Ruth ociągała się z powrotem do domu. Przespacerowała się plażą. Wstąpiła do drogerii, oglądała kosmetyki. Z budki zadzwoniła do Wendy. Matka na pewno zdąży przeczytać zapis w pamiętniku przed jej powrotem. Ruth spodziewała się strasznej kłótni, krzyków i nowych gróźb. Matka oczywiście nie da jej kolacji i będzie się drzeć, że Ruth pragnie jej śmierci, żeby zamieszkać z ciocią Gal. LuLing będzie czekać, żeby Ruth się przyznała, że napisała te pełne nienawiści słowa.

Potem Ruth wyobraziła to sobie zupełnie inaczej. Matka czyta, uderza się pięścią w pierś, starając się ukryć cierpienie w najgłębszym zakamarku serca, zagryzając usta, by powstrzymać płacz. Później, po powrocie Ruth do domu, LuLing udaje, że jej nie widzi. Robi kolację, siada i je w milczeniu. Ruth nie poddaje się i nie pyta, czy też może sobie nałożyć. Jest gotowa jeść płatki z pudełka na każdy posiłek, jeśli będzie trzeba. Będą się tak zachowywać przez wiele dni. Matka będzie dręczyć Ruth milczeniem, manifestując w ten sposób całkowite odrzucenie. Ruth pozostanie silna i odporna na ból do dnia, w którym nic już jej nie poruszy, oczywiście pod warunkiem, że nie skończy się jak zwykle i Ruth nie załamie się z płaczem i nie przeprosi.

Nie było czasu wyobrazać sobie innych wersji wydarzeń. Ruth była już w domu. Uzbroidła się w odwagę. Myślenie o tym, co za chwilę miało nastąpić, było równie nieprzyjemne, jak doświadczenie tego na własnej skórze. Trzeba raz z tym skończyć, powiedziała sobie. Pokonała schody i otworzyła drzwi, a w tej samej chwili matka przypadła do niej, mówiąc zduszonym z niepokoju głosem:

- Nareszcie wróciłaś!

Ruth zdała sobie jednak sprawę, że to nie matka, tylko ciocia Gal.

- Twoja matka jest ranna - powiedziała, łapiąc Ruth za ramię i wyprowadzając z powrotem za drzwi. - Szybko, musimy zaraz jechać do szpitala.

- Ranna? - Ruth stanęła w miejscu, nie mogąc się ruszyć. Poczowała się zupełnie pusta i jednocześnie bardzo ciężka. Miała wrażenie, że brakuje jej powietrza. - Jak to? Jak została ranna?

- Wypadła przez okno. Nie wiem, dlaczego się tak wychylała. Upadła na beton. Pani z dołu wezwała karetkę. Matka ma jakieś złamanie i coś złego stało się jej w głowę - nie wiem dokładnie co - ale lekarze mówią, że jest bardzo źle. Mam nadzieję, że nie doszło do uszkodzenia mózgu.

Ruth wybuchnęła szlochem. Zgiąwszy się w pół, zaczęła histerycznie płakać. Chciała, żeby tak się stało, sama to spowodowała. Płakała, dopóki nie dostała duszności i omal nie zemdląła od

przyśpieszonego oddechu. Kiedy dotarły do szpitala, ciocia Gal musiała zabrać Ruth na ostry dyżur. Tam pielęgniarka próbowała ją zmusić, żeby oddychała przez jakąś papierową torebkę, którą Ruth natychmiast odtrąciła, a potem ktoś zrobił jej zastrzyk. Stała się nieważka, jakby zdjęto z niej wielki ciężar i wszystkie troski. Przykryto ją ciepłym kocem - najpierw ciało, potem także głowę. W tej nicości słyszała głos matki, która informuje lekarzy, że córka jest wreszcie cicho, bo obie już nie żyją.

Później okazało się, że LuLing ma złamany bark, pęknięte żebro i wstrząs mózgu. Gdy wypisano ją ze szpitala, ciocia Gal została u nich jeszcze kilka dni, pomagając gotować i odpowiednio przystosować dom, aby LuLing mogła samodzielnie się umyć i ubrać. Ruth cały czas trzymała się z boku.

- Może pomóc? - pytała od czasu do czasu słabym głosem.

Ciocia Gal kazała jej gotować ryż, umyć wannę albo zmienić pościel w łóżku matki.

W ciągu następnych dni Ruth cierpiała katusze, zastanawiając się, czy matka powiedziała cioci Gal o tym, co przeczytała w jej pamiętniku, dlaczego wyskoczyła przez okno. Szukała w twarzy GaoLing oznak tej wiedzy. Analizowała każde wypowiedziane przez nią słowo. Ruth nie znalazła jednak u cioci ani śladu złości, rozczarowania czy fałszywej litości. Matka była równie nieprzenikniona. Nie była zła, ale smutna i przygaszona. Jakby czegoś w niej było mniej niż przedtem - tylko czego? Miłości? Troski? W oczach matki czaiła się jakaś matowa obojętność, jak gdyby LuLing nic nie obchodziło, co się z nią stanie. Wszystko było jednakże nieistotne. Co to mogło znaczyć? Dlaczego już nie miała ochoty się awanturować? LuLing przyjmowała miseczki ryżu, które podawała jej Ruth. Piła zaparzoną przez córkę herbatę. Rozmawiały, ale słowa dotyczyły faktów zupełnie bez znaczenia, które nie mogły doprowadzić do sporów ani nieporozumień.

- Wychodzę do szkoły - mówiła Ruth.

- Masz pieniądze na lunch?

- Tak. Chcesz jeszcze herbaty?

- Nie, już nie.

Każdego dnia Ruth miała ochotę powiedzieć matce, że naprawdę bardzo jej przykro, że jest złą dziewczyną, że to wszystko jej wina. Żeby to jednak zrobić, musiałaby się przyznać do napisania tamtych słów, a matka wciąż chciała udawać, że ten zapis w pamiętniku nie istnieje. Przez kilka tygodni obie chodziły na palcach, jak gdyby starając się nie nadepnąć na potłuczone

skorupy.

W swoje szesnaste urodziny Ruth wróciła ze szkoły do domu i zobaczyła, że matka kupiła jej ulubione dania: ryż w liściach lotosu w obu rodzajach, jeden z farszem mięsnym, drugi ze słodką pastą z czerwonej fasoli, a także chiński biszkopt z truskawkami i bitą śmietaną.

- Nie umiem lepszych rzeczy ugotować - powiedziała LuLing.

Prawe ramię wciąż miała na temblaku, więc nie mogła nic unieść tą ręką. Na pewno ciężko jej było dźwigać w jednej ręce tyle zakupów ze sklepu. Ruth uznała prezenty za gest przebaczenia.

- Pycha - powiedziała uprzejmie. - Świetne jedzenie.

- Nie miałam czasu kupować prezent - wymamrotała matka. - Ale znalazłam, może się spodoba. - Pokazała stolik. Ruth wolno podeszła i wzięła dość ciężką paczkę, niezdarnie opakowaną w bibułkę sklejoną taśmą, bez wstążki. Wewnątrz znalazła czarną książkę oraz małą torebeczkę z czerwonego jedwabiu, zapinaną na żabkę. W torebeczce tkwił pierścionek, który Ruth zawsze pragnęła mieć - złoty, z dwoma owalnymi zielonymi nefrytami. Był to prezent od ojca Ruth, który otrzymał go od swojej matki z przeznaczeniem, by nosiła go jego przyszła żona. Matka nigdy nie nosiła tego pierścionka. GaoLing kiedyś dała jej do zrozumienia, że powinien należeć do niej, by później mógł go dostać jej syn, który był jedynym męskim wnukiem babci Ruth. LuLing zawsze wspominała o pierścionku w kontekście chciwości siostry.

- Ale cudo. - Ruth wpatrywała się w pierścionek leżący na jej dłoni.

- Bardzo dobry nefryt, nie zgub - przestrzegła ją matka.

- Nie zgubię. - Ruth wsunęła pierścionek na środkowy palec. Za mały, ale doskonale mieścił się na palcu serdecznym.

Wreszcie Ruth spojrzała na drugi prezent. Była to książka kieszonkowego formatu, w oprawie z czarnej skóry i z zakładką z czerwonej wstążki.

- Trzymasz od tyłu - powiedziała matka, obracając książkę, tak że koniec znalazł się na początku, ale do góry nogami. Odwróciła kilka stron, z lewej do prawej. Wszystko było po chińsku. - Chińska Biblia - wyjaśniła matka. Otworzyła książkę na stronie zaznaczonej inną zakładką - zdjęciem młodej Chinki w kolorze sepia.

- To moja matka. - Głos LuLing był dziwnie zdławiony. - Widzisz? Zrobiłam kopię dla ciebie. - Wyciągnęła kopertę z woskowanego papieru z odbitką fotografii.

Ruth skinęła głową, przeczuwając, że to ważne, ponieważ matka przekazywała jej wiadomość o matkach. Starła się uważnie słuchać i nie patrzeć na pierścionek. Nie mogła jednak

przebrać sobie wyobrażać, jak zareagują dzieciaki w szkole i jak jej będą zazdrościć.

- Byłam mała i trzymałam Biblię tutaj. - LuLing położyła dłoń na piersi. - Spałam i myślałam o mojej matce. Ruth skinęła głową.

- Była wtedy bardzo ładna. - Ruth widziała wcześniej inne zdjęcia matki LuLing i GaoLing - którą nazywała waipo. Waipo miała na nich ziemistą twarz, poraną głębokimi zmarszczkami i wąskie, zacięte usta, jak ślad po cięciu miecza. LuLing wsunęła zdjęcie ładnej babci do Biblii, a potem wyciągnęła do Ruth otwartą dłoń. - Teraz oddaj.

- Co?

- Pierścionek. Oddaj.

Ruth nie rozumiała. Niechętnie położyła pierścionek na dłoni matki i patrzyła, jak LuLing wkłada go z powrotem do jedwabnej torebeczki.

- Są rzeczy za dobre, żeby je używać. Zachowasz na potem, bardziej docenisz.

Ruth chciała krzyknąć: "Nie! Nie możesz tego zrobić! To mój prezent urodzinowy".

Ale, oczywiście, nic nie powiedziała. Stała ze ściśniętym gardłem, obserwując, jak LuLing podchodzi do winylowego fotela. Pociągnęła dolną poduszkę. Pod spodem była deska, a pod nią klapka, którą uniosła. W powstałej w ten sposób płytkiej pieczarze matka złożyła Biblię i pierścionek w torebce. A więc to jest kolejny schowek!

- Kiedyś dam ci na zawsze.

Kiedyś? Ruth bolało gardło. Chciała krzyknąć. "Kiedy na zawsze?". Wiedziała jednak, co matka ma na myśli - "na zawsze" w znaczeniu "kiedy umrę na zawsze, nie będziesz już mnie musiała słuchać". Targały nią różne uczucia. Cieszyła się, że matka dała jej takie piękne prezenty, bo oznaczało to, że nadal ją kocha, ale jednocześnie ogarnęła ją rozpacz, że za wcześnie odebrała jej pierścionek.

Nazajutrz Ruth odciągnęła poduszkę fotela i podniosła klapę, po czym wsunęła dłoń do zagłębienia, by poczuć jedwab torebki. Wydobyła pierścionek i zaczęła go oglądać z nową fascynacją, bo teraz był zakazanym owocem. Czuła się, jak gdyby go połknęła i utknał jej w gardle. Może matka pokazała jej pierścionek, żeby ją dręczyć. Prawdopodobnie o to chodziło. Matka doskonale wiedziała, jak ją unieszczęśliwić! Cóż, Ruth nie zamierzała dać jej satysfakcji. Będzie udawała, że pierścionek nic jej nie obchodzi. Zmusi się, by nigdy na niego nie patrzeć i zachowywać się, jakby w ogóle nie istniał.

Kilka dni później LuLing weszła do pokoju Ruth, oskarżając ją, że była na plaży. Gdy Ruth

skłamała, że nie była, matka pokazała jej adidas, które zostawiła przy drzwiach. Uderzyła podeszwą o podeszwę i posypał się z nich piasek.

- To z chodnika! - zaprotestowała Ruth.

I tak wróciły do dawnych kłótni, które zdawały się Ruth obce i zarazem znajome. Atakowały się z coraz większą siłą i pewnością siebie, burząc tymczasowe mury, jakie zbudowały między sobą w zeszłym miesiącu, i znów broniły dawnych przyczółków. Zadawały sobie jeszcze więcej bólu niż przedtem, dobrze wiedząc, że najgorsze mają już za sobą.

Później Ruth zastanawiała się, czy wyrzucić pamiętnik. Wydostała tę okropną książeczkę, nadal spoczywającą w głębi szuflady z bielizną. Przewracała strony, czytając wyrywkowo zapiski i płacząc nad sobą. Uważała, że zanotowała tu prawdę, przynajmniej w części. Na tych kartkach była część niej samej, której nie chciała zapomnieć. Ale gdy doszła do ostatniego zapisu, ogarnęło ją przerażające poczucie, że Bóg, matka i Droga Ciocia wiedzieli, że prawie popełniła morderstwo. Starannie wykreśliła ostatnie zdania, wodząc po nich długopisem, dopóki wszystkie słowa nie stały się czarną plamą. Na ostatniej stronie napisała: "Przepraszam. Chciałabym, żebyś czasem też przeproszała".

Mimo że nie mogła pokazać tych słów matce, dobrze je było napisać. Była to prawda, ani dobra, ani zła. Potem Ruth zaczęła się zastanawiać, gdzie matka nie znajdzie pamiętnika. Wspięła się na blat w kuchni, sięgnęła jak najwyżej i wrzuciła dziennik na szafkę, gdzie był tak dobrze schowany, że sama z czasem o nim zapomniała.

Ruth pomyślała, że przez wszystkie minione lata nigdy nie rozmawiały z matką o tym, co się stało. Odłożyła pamiętnik. "Na zawsze" nie znaczyło tego samego co kiedyś. "Na zawsze" nieuchronnie zmieniał się z czasem. W pewnym sensie współczuła sobie sprzed lat i wstydziła się z ich perspektywy, że była taka głupia i egocentryczna. Gdyby miała dziecko, jej dorastająca córka unieszczęśliwiłaby ją tak samo, jak ona swoją matkę. Miałaby teraz piętnaście albo szesnaście lat i krzyczałaby, że nienawidzi Ruth. Ciekawe, czy matka powiedziała kiedykolwiek swojej matce, że jej nienawidzi.

W tym momencie przyszły Ruth na myśl zdjęcia, które oglądali w dniu Święta Pełni Księżycy. Matka na zdjęciu z ciocią Gal i wai po mogła mieć jakieś piętnaście lat. Była też druga fotografia, Drogiej Cioci, którą LuLing błędnie rozpoznała jako swoją matkę. Nagle Ruth przypomniała sobie zdjęcie, które matka trzymała w Biblii. Na nim też miała być jej matka. Kto był na tym zdjęciu?

Ruth podeszła do winylowego fotela, zdjęła poduszkę i deskę. W schowku nadal leżało wszystko: mała Biblia, jedwabna torebeczka, pierścionek z zielonymi nefrytami. Otworzywszy Biblię, znalazła tam zawiniętą w woskowany papier tę samą fotografię, którą matka pokazywała na zjeździe rodzinnym. Droga Ciocia w dziwnym nakryciu głowy i zimowym ubraniu z wysokim kołnierzem. Co to mogło oznaczać? Czyżby jej matka cierpiała na demencję już trzydzieści lat temu? A może Droga Ciocia naprawdę była tym, za kogo uważała ją matka? Jeżeli tak, czy znaczy to, że matka nie ma demencji? Ruth patrzyła na zdjęcie, badając rysy twarzy tej kobiety. Nie potrafiła rozstrzygnąć.

Na dnie schowka pod fotelem było coś jeszcze. Ruth sięgnęła tam i wydobyła pakunek zawinięty w szarą torbę po zakupach i przewiązany czerwoną bożonarodzeniową wstążką. W środku był plik papierów zapisanych po chińsku. Na początku niektórych arkuszy widniał duży znak, zapisany pędzelkiem według zasad stylowej kaligrafii. Już to gdzieś widziała. Ale gdzie? Kiedy?

Olśniło ją. Kartki, które tkwiły w prawej dolnej szufladzie jej biurka. Ruth przypomniała sobie nagłówek pierwszej przeczytanej stronicy: "Prawda". "Oto rzeczy, które na pewno są prawdziwe". Co mówiły kolejne zdania? Imiona zmarłych, tajemnice, jakie ze sobą zabrali. Jakie tajemnice? Miała wrażenie, jak gdyby życie matki było w niebezpieczeństwie, a ona od samego początku miała w ręku odpowiedź.

Ruth spojrzała na starannie namalowany u góry pierwszej strony duży znak. Niemal słyszała karcący głos matki: "Powinnaś więcej uczyć się". Owszem, powinna. Duży znak wyglądał znajomo, łuk u dołu, wyżej trzy znaczki - "serce"! Pierwsze zdanie było prawie takie samo jak na arkuszu, który miała w domu. "Oto rzeczy, które ...". Dalej było coś innego. Następnym słowem było ying - gai, "powinam". Matka bardzo często go używała. Następne było bu, używane przez matkę równie często. A dalej... nie wiedziała. "Oto rzeczy, których nie powinam...". Ruth próbowała odgadnąć, jak może brzmieć kolejne słowo: "Oto rzeczy, których nie powinam mówić". "Oto rzeczy, których nie powinam pisać". Poszła do swojego pokoju, gdzie na półce matka trzymała słownik angielsko - chiński. Sprawdziła znaki "mówić" i "pisać", ale nie pasowały do tego, co wykaligrafowała matka. Gorączkowo zaczęła sprawdzać inne słowa i po dziesięciu minutach już wiedziała:

"Oto rzeczy, których nie powinam zapomnieć".

Matka dała jej tamte kartki jakieś pięć czy sześć lat temu. Czy w tym samym czasie zapisała

te? Wiedziała, że traci pamięć? Kiedy matka zamierzała jej przekazać resztę zapisków, jeśli w ogóle miała taki zamiar? Kiedy w końcu dałaby jej pierścionek na zawsze? Kiedy miałaby pewność, że Ruth jest gotowa uważnie przeczytać? Ruth przyjrzała się kilku następnym znakom. Żaden poza "ja" nie wyglądał znajomo, a po "ja" mogły się pojawić tysiące słów. I co teraz?

Położyła się na łóżku, kładąc obok siebie zapiski. Spojrzała na zdjęcie Drogiej Cioci i umieściła je sobie na piersi. Jutro zadzwoni do Arta na Hawaje, żeby polecił jej jakiegoś tłumacza. To Po Pierwsze. Zabierze z domu pozostałe kartki. To Po Drugie. Zadzwoni do cioci Gal i zapyta, co ta wie. To Po Trzecie. I poprosi matkę, żeby opowiedziała o swoim życiu. Tym razem poprosi. Będzie słuchać. Usiądzie i nie będzie się nigdzie śpieszyła, nie będzie miała nic innego do zrobienia. Wprowadzi się do matki i poświęci dużo czasu, żeby ją poznać. Art nie będzie zachwycony. Będzie sądził, że to oznacza kłopoty. Ale ktoś musiał się zająć matką. Ruth chciała to zrobić. Chciała być przy niej i słuchać, kiedy matka będzie jej opowiadała o swoim życiu, oprowadzała po meandrach przeszłości, wyjaśniała wieloznaczność chińskich liter i uczyła, jak tłumaczyć jej serce. Ciągle będzie miała zajęte ręce, aż przyjdzie czas, gdy ona i matka będą mogły przestać liczyć.

SERCE

Oto rzeczy, których nie powinnam zapomnieć. Wychowałam się w klanie Liu, w skalistych Wzgórzach Zachodnich, na południe od Pekinu. Najstarsza zapisana nazwa naszej wioski to Nieśmiertelne Serce. Droga Ciocia nauczyła mnie, jak to napisać na mojej tablicy.

- Patrz, Piesku - poleciała i narysowała znak "serce". - Widzisz ten łuk? To dno serca, gdzie zbiera się i płynie krew. Te kropki to dwie żyły i arteria, przez które wpływa i wypływa krew. - Gdy śledziłam linie znaku, zapytała: - Czyje martwe serce nadało kształt temu słowu? Jaki był początek, Piesku? Czy należało do kobiety? Czy narysowano je w smutku?

Widziałam kiedyś serce świeżo zabitej świni. Było czerwone i błyszczące. Widziałam też już mnóstwo serc kurcząt w misce, czekających na ugotowanie. Wyglądały jak małe usta i miały ten sam kolor co blizny Drogiej Cioci. Ale jak wyglądało serce kobiety?

- Dlaczego musimy wiedzieć, czyje to było serce? - pytałam, rysując znak.

Ręce Drogiej Cioci zaczęły się szybko poruszać.

- Człowiek powinien wiedzieć, jak coś się zaczęło. Początek prowadzi zwykle do określonego końca.

Pamiętam, że często mówiła, jak coś się zaczynało. Potem zastanawiałam się nad początkiem i końcem wielu rzeczy. Takich jak wioska Nieśmiertelne Serce. I wszyscy ludzie, którzy tam mieszkali, razem ze mną.

Zanim się urodziłam, szczęście opuściło już Nieśmiertelne Serce. Wioska była położona w dolinie między wzgórzami, łączącej się z głębokim wapiennym wąwozem. Wąwóz miał kształt przypominający łukowatą komorę serca, a jego żyłami i arterią były trzy strumienie, kiedyś wpływające i wypływające z wąwozu. Ale dawno już wyschły. Tak samo jak boskie źródła. Z potoków nie zostało nic, tylko popękane koryta i smród, jakby ktoś puszczał gazy.

Jednak u swoich początków wioska była świętym miejscem. Według legendy, cesarz, kiedy ją odwiedził, własnoręcznie zasadził pośrodku doliny sosnę. Drzewo miało upamiętnić jego zmarłą matkę, którą ogromnie szanował, więc uroczyście przyrzekł, że drzewo pozostanie wiecznie żywe. Gdy Droga Ciocia zobaczyła je po raz pierwszy, miało już ponad tysiąc lat.

Do Nieśmiertelnego Serca pielgrzymowali biedni i bogaci. Mieli nadzieję, że spłynie na nich część energii życiowej drzewa. Gładzili pień, dotykali liści, a potem modlili się o synów albo wielkie fortuny, lek na umieranie albo koniec klątw. Przed odjazdem zeskrobywali trochę kory,

odłamywali gałązki. Zabierali to na pamiątkę. Droga Ciocia powiedziała, że właśnie za dużo czci zabiło drzewo. Gdy drzewo umarło, pamiątki straciły moc. A ponieważ martwe drzewo nie było już nieśmiertelne, przestało być sławne, tak jak nasza wioska. Później ludzie mówili, że drzewo wcale nie było takie stare, mogło mieć najwyżej sto lub dwieście lat. A opowieść o cesarzu oddającym hołd zmarłej matce? To fałszywa legenda feudalna, wymyślona po to, żebyśmy myśleli, że zepsuta władza jest szczerą. Zaczęto tak mówić w tym samym roku, gdy upadła stara dynastia Qing i powstała nowa Republika.

Bez kłopotów przypominam sobie potoczną nazwę, jaką określano naszą wioskę: Czterdzieści Sześć Kilometrów od Mostu Trzcinowej Fosy. To ten sam most, który ludzie nazywają teraz Mostem Marco Polo, prowadzący do i z Pekinu. GaoLing pewnie nie pamięta już dawnej nazwy, ale ja nie zapomniałam. W latach mojego dzieciństwa ludzie radzili, że aby trafić do Nieśmiertelnego Serca, należy "najpierw znaleźć Most Trzcinowej Fosy, a potem cofnąć się o czterdzieści sześć kilometrów".

Słuchając tego żartu, ktoś mógłby pomyśleć, że mieszkaliśmy w jakiejś małej osadzie, liczącej dwudziestu czy trzydziestu mieszkańców. Było inaczej. Kiedy dorastałam, mieszkały tam prawie dwa tysiące ludzi. Pomiedzy ścianami doliny było nam ciasno. Mieliśmy ceglarza, tkacza worków i farbiarnię. Mieliśmy dwadzieścia cztery dni targowe, sześć świątecznych jarmarków i szkołę podstawową, do której chodziłyśmy z GaoLing, kiedy nie musiałyśmy pomagać rodzinie w domu. Od domu do domu chodzili handlarze sprzedający świeże tofu, parujące bułeczki, słodkie plecionki i kolorowe cukierki. Dużo ludzi chętnie kupowało. Wystarczyła garść miedziaków, żeby każdy sprawił swojemu brzuchowi radość znaną tylko bogaczom.

Klan Liu mieszkał w Nieśmiertelnym Sercu od sześciu stuleci. Przez cały ten czas synowie w rodzinie wyrabiali pałeczki tuszu, które sprzedawali przejeźdnym. Mieszkali w tym samym domostwie, któremu przybywało pokoi, a potem skrzydeł, ponieważ czterysta lat temu matki rozdziły po ośmiu chłopców, co roku jednego. Dom rodzinny rozrastał się ze skromnego budynku z trzema filarami w rezydencję, której każde skrzydło rozciągało się na pięć filarów. W następnych pokoleniach synów było już mniej, więc dodatkowe pokoje popadały w ruinę i wynajmowano je lokatorom, którzy ciągle się kłócili. Kiedy się śmiali z grubiańskich żartów i kiedy krzyczeli z bólu, wydawali tak samo odrażające odgłosy.

Właściwie naszej rodzinie dobrze się wiodło, lecz nie aż tak, by wzbudzać wielką zazdrość. Na prawie każdy posiłek jedliśmy mięso albo tofu. Co zima mieliśmy ocieplane kurtki, bez dziur.

Mieliśmy też pieniądze na świątynię, operę, jarmark. Lecz mężczyźni w naszej rodzinie mieli także ambicje. Chcieli czegoś więcej. Mówili, że w Pekinie więcej ludzi pisze ważne dokumenty. Ważne dokumenty wymagały więcej dobrego tuszu. W Pekinie było dużo pieniędzy. Około roku 1920 Ojciec, wujowie i ich synowie pojechali do Pekinu sprzedawać tusz. Odtąd mieszkali głównie tam, w pokoju na zapleczu sklepu w starej Dzielnicy Glazurowania Naczyń.

W naszej rodzinie tusz robiły kobiety. Zostałyśmy w domu. Pracowałyśmy wszystkie - ja, GaoLing, moje ciotki i kuzynki, wszystkie. Nawet dzieci i Prababcia miały zajęcie, polegające na wybieraniu kamyczków z prosa, które gotowałyśmy na śniadanie. Co dzień zbierałyśmy się w pracowni. Według słów Prababci, pracownia na początku była szopą na zboże, stojącą wzdłuż frontowej ściany naszego domu z podwórkiem. W ciągu lat jedno pokolenie synów zbudowało ściany z cegły i pokryło dach dachówką. Kolejne wzmocniło belki i przedłużyło budynek o dwa filary. Następcy wyłożyli podłogi płytkami i wykopali wgłębienia do przechowywania składników. Ich potomkowie zbudowali piwnicę, w której przechowywano pałeczki, by uchronić je przed ciepłem i zimnem.

- I zobaczcie - przechwalała się często Prababcia. - Nasza pracownia to Pałac Tuszu.

Nasz tusz był najwyższej jakości, dlatego musieliśmy dbać o czystość stołów i podłogi przez cały rok. Nie było to łatwe, wiatr od pustyni Gobi przynosił bowiem żółty pył. Otwory okienne zasłaniałyśmy szkłem i grubym papierem. Latem na drzwiach zawieszaliśmy siatkę chroniącą nas przed owadami, a zimą przed śniegiem chroniły nas owcze skóry.

Najgorszą porą na robienie tuszu było lato. Upał za upałem. Nasze oczy, nozdrza i płuca parzył gryzący dym. Obserwując Drogą Ciocię, która zasłaniała okaleczoną twarz szalem, wpadliśmy na pomysł, by zasłaniać usta wilgotną tkaniną. Wciąż czuję woń składników naszego tuszu. Było kilka rodzajów wonnej sadzy: pachnąca sosną kasja i kamfora, a także drewno ze świętego Nieśmiertelnego Drzewa. Kiedy piorun rozłupał drzewo na pół, tak że było widać jego serce - w połowie puste, bo chrząszcze wyjadły je od środka - Ojciec przyciągnął do domu kilka dużych kłoców. Był jeszcze klej jak lepka pasta ze zmieszanych olejów - serpentynowego, kamforowego, terpentynowego i tungowego. Potem dodawaliśmy słodki trujący kwiat, który miał odstraszać owady i szczury. Nasz tusz był wyjątkowy i miał długotrwały zapach.

Robiliśmy niewiele tuszu naraz. Gdyby wybuchł ogień, jak to się zdarzyło kilkaset lat temu, w jednej chwili stracilibyśmy wszystkie składniki i produkcję. Jeżeli jakaś partia była zbyt lepka albo wilgotna, za miękka albo niedostatecznie czarna, łatwiej było się dowiedzieć, kto jest

temu winien. Każde z nas pełniło przynajmniej jedną funkcję przy produkcji. Najpierw było spalanie i kruszenie, odmierzanie i nalewanie. Potem przychodził czas na mieszanie, formowanie, suszenie i rzeźbienie. I na końcu pakowanie i liczenie, układanie i magazynowanie. W jednym sezonie musiałam tylko pakować. Moje myśli wędrowały gdzie indziej, lecz palce poruszały się swoim rytmem, jak małe maszyny. W innym sezonie musiałam małą peseta usuwać robaki, które spadły na pałeczki. Ilekroć robiła to GaoLing, zawsze zostawiała za dużo śladów. Droga Ciocia siedziała przy długim stole i nakładała smolistą miksturę do kamiennych form. Dlatego opuszki palców zawsze miała czarne. Kiedy tusz był suchy, długim ostrym narzędziem rzeźbiła w pałeczkach słowa na szczęście i rysunki. Pisała jeszcze ładniej niż Ojciec.

Była to nudna praca, ale byliśmy dumni z sekretu receptury naszej rodziny. Dzięki niej tusz miał właściwy kolor i twardość. Nasza pałeczka mogła służyć dziesięć lat albo więcej. Nie wysychała i nie kruszyła się, nie rozmakala też pod wpływem wilgoci. A jeśli pałeczki przechowywano w chłodnej piwnicy, tak jak nasza, mogły wytrzymać od jednego wielkiego okresu historii do następnego. Ci, którzy ich używali, mówili to samo. Nieważne, ile ciepła, wilgoci i brudu z palców wsiąkło w papier - słowa pozostawały czarne i trwałe.

Matka twierdziła, że przez tusz wszyscy mamy kruczoczarne włosy. To lepsze niż picie zupy z czarnego ziarna sezamowego. "Cały dzień ciężko pracuj przy tuszu, a w nocy we śnie będziesz wyglądać młodo" - tak sobie żartowaliśmy, a Prababcia często się chwaliła: "Mam włosy czarne jak spalona łupina kasztana, a twarz białą i pomarszczoną jak mięsz w środku". Prababcia miała cięty język. Kiedyś dodała: "Lepsze to niż mieć białe włosy i spaloną twarz". Wszyscy się roześmiali, choć w pokoju była Droga Ciocia.

W następnych latach Prababcia nie miała już ostrego dowcipu. Często ze strapioną miną pytała: "Widzieliście Hu Sena?". Można było przytaknąć albo zaprzeczyć, a ona po chwili ćwierkała jak ptaszek: "Hu Sen? Hu Sen?", zwracając się do swego zmarłego wnuka. Smutno było tego słuchać.

Pod koniec życia myśli Prababci przypominały kruszące się ściany, kamienie pozbawione zaprawy. Lekarz powiedział, że jej wiatry są już zimne, a puls coraz wolniejszy, jak płytki strumień, który powoli zamarza. Radził dietę z ciepłych potraw. Ale z Prababcią było coraz gorzej. Droga Ciocia podejrzewała, że do ucha wpadła jej mała pchła, która zajada się jej mózgiem. Mówiła, że choroba nazywa się Świąd Zagubienia. Dlatego właśnie ludzie tak często drapią się w głowę, kiedy nie mogą sobie czegoś przypomnieć. Ojciec Drogiej Cioci był lekarzem, więc wi-

działa wielu pacjentów chorych na to samo. Wczoraj, gdy nie umiałam sobie przypomnieć imienia Drogiej Cioci, myślałam, że wskoczyła mi do ucha pchła! Ponieważ jednak spisuję tyle rzeczy, wiem, że nie mam tej choroby, co Prababcia. Wciąż pamiętam najdrobniejsze szczegóły, mimo że to było tak dawno i daleko.

Wraca do mnie widok naszego domostwa, gdzie mieszkaliśmy i pracowaliśmy, tak wyraźny, jak gdybym stała przed bramą. Dom stał przy Zaułku Świńskiej Głowy. Droga brała początek na wschodzie, niedaleko rynku, gdzie sprzedawano świńskie głowy. Potem biegła na północ, obok miejsca, gdzie niegdyś rosło słynne Nieśmiertelne Drzewo. Następnie zwężała się w krętą alejkę, gdzie stały stłoczone domy. Zaułek Świńskiej Głowy kończył się wąskim pagórkiem, wznoszącym się nad najgłębszą częścią wąwozu. Droga Ciocia powiedziała mi, że pagórek usypał tysiące lat temu pewien władca. Roilo mu się, że wewnątrz góry jest z nefrytu. Rozkazał więc wszystkim kopać, kopać bez wytchnienia. Aby spełnić jego marzenie, w ziemi ryli mężczyźni, kobiety i dzieci. Zanim władca umarł, połowa góry leżała na boku, a dzieci zestarzały się i zgarbiły.

Za naszym domem pagórek przechodził w urwisko. Daleko, daleko w dole, gdyby rzucić się głową naprzód, było dno wąwozu. Kiedyś rodzina Liu miała dwadzieścia mu ziemi za domem. Jednak w ciągu wieków po każdym ulewnym deszczu ściany osuwały się z hukiem, a wąwóz stawał się szerszy i głębszy. Z każdym dziesięcioleciem ziemi ubywało i urwisko ukradkiem zbliżało się do tylnej ściany naszego domu.

Przez to wędrujące urwisko mieliśmy wrażenie, że musimy oglądać się za siebie, żeby wiedzieć, co jest przed nami. Nazywaliśmy je Końcem Świata. Czasem mężczyźni z naszej rodziny sprzeczali się, czy nadal jesteśmy właścicielami ziemi, która osunęła się do wąwozu. Jeden ze stryjów powiedział:

- Jesteśmy najwyżej właścicielami śliny, kiedy plujemy na dno tego nieużytku. Na co jego żona zauważyła:

- Nigdy nie mów takich rzeczy. Jeszcze sprowadzisz na nas nieszczęście.

Pod tym słowem rozumiano wszystko, co było zbyt straszne, by wypowiedzieć to na głos: niechciane dzieci, samobójstwa dziewcząt i zebrzące duchy. Wszyscy o tym wiedzieli.

Wiele razy chodziłam nad urwisko z braćmi i GaoLing, kiedy byliśmy młodszy. Lubiliśmy zrzucić w przepaść zepsute melony i główki zgniłej kapusty. Patrzyliśmy, jak lecą, i słyszeliśmy, jak lądują z piaskiem, uderzając w czaszki i kości. Tak się nam przynajmniej wydawało. Pewnego

razu jednak zsunęliśmy się kawałek w głąb tego świata zmarłych, zjeżdżając na siedzeniach i trzymając się korzeni. Gdy nagle usłyszeliśmy szelest w krzakach, wrzasnęliśmy tak głośno, że zabolęły nas uszy. Duchem okazał się grzebiący w odpadkach pies. A czaszki i kości to były po prostu kamienie i połamane gałęzie. Jednak mimo że nie widzieliśmy żadnych ciał, wokół wałały się jasne części garderoby: rękaw, kołnierz, but, i byliśmy pewni, że należą do umarłych. Nagle owionął nas ten zapach - smród duchów. Wystarczy raz go poczuć, by go poznać. Unosił się z ziemi. Wzbił się ku naszym nozdrzom na skrzydłach tysiąca much. Muchy ścięgały nas jak burzowa chmura i kiedy gramoliliśmy się z powrotem na górę, Pierwszy Brat kopnął kamień, który odłupał Drugiemu Bratu kawałek skóry głowy. Nie potrafiliśmy ukryć tej rany przed Matką, a kiedy ją zobaczyła, zbiła nas wszystkich i powiedziała, że jeżeli jeszcze raz zejdziemy z Końca Świata, możemy już nigdy nie wracać do domu.

Ściany domostwa rodziny Liu zbudowano z kamieni wykopanych z rozmytej ziemi. Kamienie połączono błotem, klejem z prosa i zaprawą i otynkowano wapnem. W lecie były wilgotne od potu, zimą wilgotne od pleśni.

W wielu pokojach przeciekał dach albo robiły się dziury w ścianach, w których hulał wiatr. Mimo to zawsze, gdy przypominam sobie dom, dziwnie mi go brakuje. Tylko z tamtym miejscem związane mam wspomnienia tajemnych kryjówek, ciepłych i zimnych zakamarków, ciemności, w której się chowałam, udając, że uciekłam w zupełnie inne miejsce.

W tych ścianach mieszkało razem wiele pokoleń i wiele rodzin o różnych pozycjach, od prababci do najmniejszej bratanicy, od gospodarza do lokatorów. Było nas chyba ze trzydzieści osób, których połowę stanowił klan Liu. Najstarszym z synów był Liu Jin Sen. Nazywałam go Ojcem. Moi wujowie i ich żony nazywali go Najstarszym Bratem. Moi kuzyni nazywali go Najstarszym Wujem. Moi wujowie byli według pozycji Starszym i Młodszym Wujem, a ich żony Starszą i Młodszą Ciotką. Gdy byłam bardzo mała, myślałam, że Ojciec i Matka są Najstarsi, ponieważ byli znacznie wyżsi od stryjów i ciotek. Pierwszy Brat i Drugi Brat również mieli długie kości, tak jak GaoLing, i przez długi czas nie wiedziałam, dlaczego jestem taka niska.

Najmłodszym Wujem był czwarty syn, ulubieniec rodziny. Nazywał się Liu Hu Sen. On był moim prawdziwym ojcem i ożeniłby się z Drogą Ciocią, gdyby nie umarł w dniu ślubu.

Droga Ciocia urodziła się w większym miasteczku u stóp wzgórz, które nazywano Ustami Góry Zhou, na cześć cesarza o tym samym imieniu z dynastii Szang, którego dziś wszyscy pamiętają jako tyrana.

Nasza rodzina czasami jeździła do Ust Góry na świąteczne jarmarki i opery. Droga mieliśmy z Nieśmiertelnego Serca dziesięć kilometrów. Jeśli szliśmy przez Koniec Świata, odległość była o połowę mniejsza, ale podróż bardziej niebezpieczna, zwłaszcza latem. Wtedy przychodziły wielkie deszcze. Suchy wąwóz wypełniał się wodą i zanim zdążyło się dobiec do stromych ścian, wspiąć się na nie i zawołać na pomoc Boginię Miłosierdzia, wartki nurt, przemykając jak złodziej, porwał człowieka i wszystko, co nie sięgało głęboko korzeniami w ziemię. Kiedy deszcz ustawał, woda szybko odpływała, a usta jaskiń połykały błoto i drzewa, ciała i kości. Płynęły do gardła góry, potem do żołądka, jelit i wreszcie kiszek, gdzie wszystko się zatrzymywało.

- Zaparcie - tłumaczyła mi kiedyś Droga Ciocia. - Teraz rozumiesz, dlaczego tak dużo tu kości i wzgórz: Wzgórze Kurzej Kości, Wzgórze Starej Krowy, Wzgórze Smoczej Kości. Oczywiście, we Wzgórzu Smoczej Kości są nie tylko kości smoka, ale też zwykłych stworzeń: niedźwiedzia, słonia, hipopotama. - Droga Ciocia rysowała każde z tych zwierząt na mojej tablicy, bo nigdy wcześniej o nich nie rozmawialiśmy.

- Mam taką kość, prawdopodobnie żółwia - powiedziała mi. Wyciągnęła ją z zakładki rękawa. Kość wyglądała jak suszona rzepa pokryta bliznami po ospie. - Mój ojciec o mały włos nie zrobił z niej lekarstwa. Wcześniej zobaczył napis. - Odwróciła kość i zobaczyłam na niej dziwne znaki. - Do niedawna takie kości nie były cenne z powodu zarysowań. Poszukiwacze kości wygładzali je pilnikiem i dopiero potem sprzedawali do sklepów z lekami. Teraz uczeni nazywają je kośćmi wróżebnymi i dlatego kosztują dwa razy tyle, co wcześniej. A jakie słowa na nich wryto? To pytania do bogów.

- Co oznaczają? - zapytałam.

- Kto to wie? Wtedy słowa były inne. Ale na pewno coś wartego zapamiętania. W przeciwnym razie po co bogowie by mówili, po co ktoś by to zapisywał?

- Gdzie są odpowiedzi?

- Te pęknięcia są odpowiedziami. Wróżbita przykładł do kości rozgrzany gwóźdź i kość pękała jak uderzone przez piorun drzewo. Potem interpretował kształt pęknięć. - Schowała z powrotem wróżebną kość. - Pewnego dnia, kiedy już nauczysz się pamiętać, dam ci to na zawsze. Dzisiaj pewnie byś zapomniała, gdzie ją położyłaś. Później pójdziemy poszukać smoczych kości i jeżeli znajdziesz jakąś z napisem, będziesz mogła ją sobie zatrzymać.

Wszyscy biedacy, kiedy tylko mieli okazję, zbierali kości smoka w Ustach Góry. Kobiety

także, ale kiedy udało im się ją znaleźć, musiały mówić, że znalazł ją mężczyzna, wówczas bowiem kość była więcej warta. Potem po domach chodził pośrednik, kupując kości smoka, które później zawoził do Pekinu i sprzedawał aptekarzom po wysokich cenach, a apteki sprzedawały je chorym ludziom za jeszcze wyższą cenę. Kości były znanym lekiem na wszystko, od wyniszczających chorób po głupotę. Sprzedawało je wielu lekarzy. Ojciec Drogiej Cioci również. Używał kości, aby leczyć kości.

Rodzina Drogiej Cioci od dziewięciuset lat zajmowała się nastawianiem kości. Taka była tradycja. Klientami jej ojca byli głównie mężczyźni i chłopcy zmiżdzeni w kopalniach węgla albo wapiennych kamieniołomach. Jeśli trzeba było, leczył inne choroby, ale jego specjalnością było nastawianie kości. Nie musiał chodzić do specjalnej szkoły, żeby zostać lekarzem kości. Nauczył się, obserwując swojego ojca, który uczył się od swojego ojca. To było ich dziedzictwo. Przekazywali sobie także tajemnice o miejscu, gdzie można znaleźć najlepsze kości smoka, zwanym Małpią Szczęką. Przodek z czasów dynastii Sung znalazł jaskinię w najgłębszych wąwozach koryta wyschłej rzeki. Każde pokolenie kopało coraz głębiej, odnajdując szczeliny prowadzące do dalszych części jaskini. Tajemnica dokładnego położenia miejsca poszukiwań była również spadkiem przekazywanym z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna, a w przypadku Drogiej Cioci z ojca na córkę i potem na mnie.

Nadal pamiętam drogę do naszej jaskini. Była między Ustami Góry a Nieśmiertelnym Sercem, z dala od jaskiń u stóp gór, gdzie inni szukali smoczyczych kości. Droga Ciocia zabierała mnie tam kilka razy, zawsze wiosną lub jesienią, nigdy latem ani zimą. Aby się tam dostać, schodziliśmy na dno Końca Świata i szliśmy środkiem wąwozu, z dala od ścian, gdzie, jak mówili dorośli, były rzeczy, których lepiej nie oglądać. Czasem mijałyśmy gęstwiny chwastów, skorupy naczyń, przykryte gałązkami trzęsawisko. W moim dziecięcym umyśle to, co widziałam, zmieniało się w wysuszone słońcem ciało, dziecięcą czaszkę, zupę z dziewczęcych kości. I może rzeczywiście tak było, bo czasem Droga Ciocia zasłaniała mi dłońmi oczy.

Szliśmy jednym z trzech wyschniętych strumieni, arterią serca. Potem stawałyśmy przed wejściem do jaskini, szczeliną w zboczu góry wysokości krzewu janowca. Droga Ciocia rozsunała martwe krzaki, zasłaniające jaskinię. Obie nabrałyśmy głęboko powietrza w płuca i weszłyśmy do środka. Trudno opisać słowami naszą drogę, jak gdybym próbowała opowiedzieć, jak wejść do wnętrza ucha. Musiałam nienaturalnie wygiąć ciało w lewo, potem oprzeć stopę na małym występie, przyciągając nogę bardzo blisko piersi. Zaczęłam płakać, a Droga Ciocia tylko

pochrząkiwała, bo nie widziałam jej czarnych palców, nie mogłam więc wiedzieć, co do mnie mówi. Kierunek wskazywało mi jej posapywanie i klaskanie w dłonie. Czołgałam się jak pies, żeby nie uderzyć w coś głową i nie upaść. Gdy w końcu dotarliśmy do większej części jaskini, Droga Ciocia zapaliła lampę ze świecą i zawiesiła ją na długim słupku, spoczywającym na podnóżkach, który dawno temu pozostawił tu ktoś z jej klanu.

Na dnie jaskini leżały narzędzia do kopania, różnej wielkości żelazne kliny, młotki i kleszcze, a także worki do wynoszenia ziemi. Ściany jaskini składały się z wielu warstw niby przekrojony pudding ryżowy ośmiu skarbów, gdzie na wierzchu były najłżejsze, kruche rzeczy, potem gęstsza, zawieszista część, jak pasta fasolowa, a im bliżej spodu, tym warstwa cięższa. Najwyżej położoną warstwę najłatwiej było odłupać. Najniższa przypominała skałę. Ale właśnie tu znajdowano najlepsze kości. Po kilkusetletnim pogłębianiu dna jaskini powstał nawis, który groził zawaleniem. Jej wnętrze wyglądało jak zęby trzonowe małpy, które mogą przegryźć człowieka na dwoje. Dlatego nazwano to miejsce Małpią Szczęką.

Kiedy odpoczywałyśmy, Droga Ciocia zaczęła poruszać poplamionymi tuszem palcami.

- Nie zbliżaj się do małpich zębów z tamtej strony. Kiedyś ugryzły jednego z moich przodków i potem pożarły go kamienie. Mój ojciec znalazł tam jego czaszkę. Od razu położyliśmy ją na swoim miejscu. Oddzielenie głowy od ciała sprowadza nieszczęście.

Kilka godzin później wypełzałyśmy z Małpiej Szczęki z workiem ziemi i jeśli szczęście nam dopisało, jedną lub dwiema kośćmi smoka. Droga Ciocia wznosiła je w stronę nieba i biła pokłony, dziękując bogom. Wierzyła, że właśnie dzięki kościom z tej jaskini jej rodzina zastąpiła jako nastawiacze kości.

- Kiedy byłam mała - mówiła pewnego razu podczas powrotu do domu - pamiętam, że do mojego ojca przychodziło wielu zrozpaczonych ludzi. Był dla nich ostatnią szansą. Jeśli ktoś nie mógł chodzić, nie mógł też pracować. A jeżeli nie mógł pracować, jego rodzina nie miała co jeść. Potem musiałyby umrzeć i byłby to koniec jego gałęzi rodziny i wszystkiego, na co pracowali jego przodkowie.

Dla tych zrozpaczonych klientów ojciec Drogiej Cioci miał leki w trzech rodzajach: nowoczesne, eksperymentalne i tradycyjne. Nowoczesnym środkiem była zachodnia medycyna misjonarzy. Eksperymentalnym - zaklęcia i śpiewy wędrownych mnichów. Metoda tradycyjna polegała na leczeniu kośćmi smoka oraz konikami morskimi i wodorostami, pancerzami owadów i rzadkimi nasionami, korą drzew i odchodami nietoperza, wszystkim w najlepszym gatunku. Ojciec

Drogiej Cioci był tak utalentowany, że przyjeżdżali do niego pacjenci z pięciu górskich wsi, którzy słyszeli o Sławnym Nastawiaczu Kości z Ust Góry (zapiszę jego imię, dopóki je pamiętam).

Mimo sławy i niewątpliwych zdolności nie mógł zapobiec wszystkim tragediom. Gdy Droga Ciocia miała cztery lata, jej matka i starsi bracia umarli na chorobę wysuszającą jelita. Podobnie inni krewni z obu stron rodziny - zmarli ledwie trzy dni po ceremonii czerwonego jaja, kiedy to pili wodę ze studni, zarażoną ciałem dziewczyny, która popełniła samobójstwo. Nastawiacz czuł ogromny wstyd, że nie udało mu się uratować członków własnej rodziny, więc aby urządzać wszystkim godny pogrzeb, wydał całą fortunę i popadł w długi.

- Rozpieścił mnie ze smutku - mówiły dłonie Drogiej Cioci. - Pozwalał mi robić wszystko to, co mógłby robić syn. Nauczyłam się czytać i pisać, zadawać pytania i zagadki, pisać wiersze złożone z ośmiu kolumn, podziwiać naturę podczas samotnych spacerów. Stare służące przestrzegały go, że to niebezpieczne, że zamiast okazywania światu swojego szczęścia powinnam wobec obcych być nieśmiała i płochliwa. Pytały, dlaczego nie bandażuje mi stóp. Mój ojciec przywykł do widoku najgorszych cierpień. Wobec mnie był jednak bezradny. Nie mógł znieść mojego płaczu.

Tak więc Droga Ciocia krok w krok chodziła za swoim ojcem w pracowni i w aptece. Moczyła łubki i zrywała mech. Polerowała wagę i sprawdzała rachunki. Gdy klient wskazał jakiś słoć, umiała odczytać nazwę zawartości, nawet trudne naukowe słowa, oznaczające zwierzęce organy. Gdy była starsza, nauczyła się puszczać krew za pomocą ostrego gwoźdźca, oczyszczać skaleczenia własną śliną, nakładać warstwę robaków, by odsączyć ropę, oraz opatrywać sterczące kości plecionym papierem. Zanim przestała być dzieckiem i wkroczyła w wiek dziewczęcy, zdążyła usłyszeć wszystkie rodzaje krzyków i przekleństw wydawanych przez cierpiących. Dotykała tyłu ciał, żywych, umierających i martwych, że niewiele rodzin widziało w niej żonę dla swych synów. Nigdy nie zawładnęło nią uczucie do mężczyzny, ale za to potrafiła rozpoznać drgawki przedśmiertne.

- Gdy uszy robią się miękkie i przylegają płasko do głowy, jest już za późno - powiedziała mi kiedyś. - Kilka sekund później słychać ostatni świszczący oddech. Ciało zaczyna stygnąć. - Nauczyła mnie wielu takich rzeczy.

W najtrudniejszych przypadkach pomagała ojcu kłaść rannego na lekkiej macie, wplecionej z rattanu. Ojciec podnosił i opuszczał konstrukcję za pomocą sznura i bloków, a ona pilnowała, by mata cała zanurzyła się w wannie ze słoną wodą. W unoszonym na powierzchni ciełe

połamane kości wracały na swoje miejsce. Potem Droga Ciocia przynosiła ojcu paski rattanu, wcześniej namoczone, aby zmiękły. Wyginał z nich łubki, aby kończyna mogła oddychać, ale była unieruchomiona. Pod koniec wizyty otwierał słój z kośćmi smoka i wąskim dłutkiem odłupywał skrawek cienki jak kawałek obciętego paznokcia. Droga Ciocia ucierała go srebrną kulą na proszek. Proszek dosypywano do maści albo mikstury, którą chory miał pić. Potem szczęśliwy pacjent wracał do domu. Niedługo znów mógł chodzić na cały dzień do kamieniołomu.

Pewnego dnia w porze kolacji Droga Ciocia opowiedziała mi swoimi dłońmi historię, którą tylko ja potrafiłam zrozumieć.

- Do mojego ojca przysła bogata dama i kazała mu zdjąć bandaże ze swoich stóp i sprawić, żeby wyglądały nowocześniej. Powiedziała, że chce nosić buty na wysokim obcasie. "Ale niech nowe stopy nie będą za duże - zastrzegła się. - Nie takie, jak stopy niewolnic ani cudzoziemskich kobiet. Niech będą naturalnie mole jak u niej". Pokazała na moje stopy.

Zapominając, że Matka i ciotki siedzą przy stole, powiedziałam na głos:

- Czy zabandażowane stopy naprawdę wyglądają jak białe lilie, tak jak piszą w romantycznych książkach?

Matka i ciotki, które nadal bandażowały stopy, spojrzały na mnie spod zmarszczonych brwi. Jak mogę tak otwarcie mówić o najbardziej intymnych częściach ciała kobiety? Droga Ciocia udała, że mnie karci, ale naprawdę jej ręce powiedziały:

- Zwykle są pomarszczone jak pleciony chleb. Ale jeśli są brudne i pełne zgrubień, wyglądają jak zgniłe korzenie imbiru i mają zapach jak ryje świń martwych od trzech dni.

W ten sposób Droga Ciocia nauczyła mnie być krnąbrną, tak jak ona. Nauczyła mnie być ciekawą, jak ona. Nauczyła mnie być rozpieszoną. Przez te cechy nie mogła mnie nauczyć, jak być lepszą córką, choć na koniec próbowała walczyć z moimi wadami.

Pamiętam, jak bardzo się starała. Był to nasz ostatni wspólny tydzień. Przez wiele dni nie mówiła do mnie, tylko pisała, pisała i pisała. Wreszcie wręczyła mi plik arkuszy związanych sznurkiem.

- Oto moja prawdziwa historia - powiedziała mi - Twoja także.

Chcąc jej zrobić na złość, nie przeczytałam większości tych kartek. Gdy jednak przeczytałam, oto czego się dowiedziałam.

Pewnego dnia późną jesienią, gdy Droga Ciocia skończyła już dziewiętnaście lat według chińskiego kalendarza, nastawiacz kości miał dwójkę nowych pacjentów. Pierwszym było

wrzeszczące dziecko z rodziny, która mieszkała w Nieśmiertelnym Sercu. Drugim był mój Najmłodszy Wuj. Obaj pacjenci przysporzyli Drogiej Cioci wiele przykrości, lecz każdy z zupełnie innego powodu.

Ryczące dziecko było najmłodszym synem człowieka o szerokiej piersi, który nazywał się Chang i był trumniarzem, co wzbogacił się dzięki zarazom. Z wierzchu jego trumien było rzeźbione drewno kamforowe, ale środek krył tanią sośninę, pomalowaną i polakierowaną, żeby wyglądała jak znacznie szlachetniejsze złote drewno.

Kawałek tego złotego drewna, spadając ze sterty, wybił dziecku ramię ze stawu. Dlatego malec tak głośno wył, wyjaśniała z przerażoną miną żona Changa. Droga Ciocia poznała tę nerwową kobietę. Przed dwoma laty siedziała ona przed sklepem nastawiacza kości, bo jej oko i szczękę zranił kamień, który spadł znikąd, pewnie prosto z nieba. Teraz wróciła tu z mężem, który bijąc dziecko po nodze, kazał mu przestać hałasować. Droga Ciocia krzyknęła na Changą:

- Najpierw ramię, a teraz chce mu pan jeszcze złamać nogę?

Chang zmierzył ją krzywym spojrzeniem. Droga Ciocia wzięła dziecko na ręce. Wtarła odrobinę lekarstwa w jego policzki. Po chwili dziecko ucichło, ziewnęło i zasnęło. Nastawiacz kości naprawił drobny bark, umieszczając go na swoim miejscu.

- Co to za lekarstwo? - spytał Drogiej Cioci trumniarz. Nie odpowiedziała.

- Tradycyjne składniki - odrzekł nastawiacz kości. - Trochę opium, trochę ziół i specjalna smocza kość, którą wykopaliliśmy w sekretnym miejscu, znanym tylko naszej rodzinie.

- Specjalna smocza kość? - Chang zanurzył palec w miseczce z lekiem, a potem dotknął nim wnętrza swojego policzka. Podał trochę substancji Drogiej Cioci, która z niesmakiem pociągnęła nosem, a on roześmiał się, posyłając jej znaczące spojrzenie, jak gdyby była jego własnością i miała robić to, czego on zechce.

Zaraz po wyjściu Changów z dzieckiem zjawił się utykający Najmłodszy Wuj.

Wyjaśnił, że zranił go spłoszony koń. Wuj jechał z Pekinu do Nieśmiertelnego Serca i podczas popasu koń przestraszył królika, który z kolei przestraszył konia, a koń nadepnął na stopę Wuja, łamiąc mu trzy palce. Wuj postanowił więc przyjechać na swoim złym koniu prosto do Ust Góry, do Sławnego Nastawiacza Kości.

Najmłodszy Wuj zasiadł na krześle z czarnego drewna, na którym siadali badani pacjenci. Droga Ciocia była w pokoju za sklepem i widziała go przez uchyloną zasłonę. Był szczupłym dwudziestodwuletnim mężczyzną. Miał szlachetne rysy, ale nie zachowywał się zbyt dumnie ani

oficjalnie. Jego szaty nie zdradzały wielkiego bogactwa, lecz był bardzo zadbany. Droga Ciocia usłyszała, jak żartuje na temat wypadku:

- Moja klacz oszalała ze strachu i myślałem, że pogalopuje prosto do świata zmarłych ze mną na grzbiecie. Wtedy weszła Droga Ciocia, mówiąc:

- Ale los przywiódł pana tutaj.

Wuj zamilkł. Kiedy się uśmiechnął, zapomniał o bólu. Kiedy kładła mu na stopę gorącą maść z kości smoka, postanowił się z nią ożenić. Tak brzmiała wersja Drogiej Cioci o rym, jak się w sobie zakochali.

Nigdy nie widziałam wizerunku mojego prawdziwego ojca, ale Droga Ciocia powiedziała mi, że był bardzo przystojny i elegancki, a jednak tak nieśmiały, że wywoływał w sercu dziewczyny tkliwość. Wyglądał jak biedny uczonek, który mógłby żyć w lepszych warunkach i na pewno zakwalifikowałby się do cesarskiego egzaminu, gdyby tylko kilka lat temu nie zniosła go nowa Republika.

Nazajutrz rano Najmłodszy Wuj przyszedł z trzema gałązkami lychee, aby ofiarować owoce Drogiej Cioci w dowód wdzięczności. Zdjął łupinę z jednego owocu, a Droga Ciocia zjadła biały miąższ. Oboje zauważyli, że ranek jest bardzo ciepły, jak na późną jesień. Wuj zapytał, czy może zadeklamować wiersz, który rano napisał.

- Mówisz językiem spadających gwiazd - powiedział. - Twoje słowa są bardziej zdumiewające niż wschód słońca, bardziej olśniewające niż słońce, krótkie jak zachód. Chcę przez wieczność iść ich tropem.

Po południu trumniarz przyniósł nastawiaczowi kości arbuza.

- Chciałem wyrazić ogromną wdzięczność - rzekł. - Mój syn czuje się już dobrze. Potrafi brać do rąk miseczkę i rozbijać je z siłą trzech chłopców.

Jeszcze tego samego tygodnia obaj mężczyźni, nie wiedząc o tym, co robi drugi, poszli do różnych wróżbitów. Obaj chcieli wiedzieć, czy mają szczęśliwą datę urodzenia, by poślubić Drogą Ciocię.

Trumniarz udał się do wróżbity w Nieśmiertelnym Sercu, który chodził po wsi z różdżką. Według wróżbity, wszystkie znaki wskazywały, że małżeństwo będzie szczęśliwe. Droga Ciocia urodziła się w Roku Koguta, a ponieważ Chang był Wężem, stanowili niemal idealną parę. Staruszek powiedział, że Droga Ciocia ma także szczęśliwą liczbę linii w swoim imieniu (zapiszę tę liczbę, gdy tylko przypomnę sobie jej imię). Na dodatek miała na twarzy pieprzyk w pozycji

jedenastej, obok wypukłości policzka, który wskazywał, że z jej posłusznych ust będą spływać same słodkie słowa. Trumniarz tak się ucieszył z wróżby, że dał wróżbicie sowity napiwek.

Najmłodszy Wuj poszedł do wróżbiarki w Ustach Góry, staruszki o twarzy bardziej pomarszczonej niż jej dłonie. Zobaczyła same nieszczęścia. Pierwszym złym znakiem był pieprzyk na twarzy Drogiej Cioci. Wróżbiarka powiedziała Wujowi, że jest w pozycji dwunastej i sięga w dół do ust, co oznacza, że w jej życiu zawsze będzie smutek. Kombinacja ich lat urodzenia również wykazywała niezgodność. Droga Ciocia urodziła się w Roku Ognistego Koguta, on w Roku Drewnianego Konia. Dziewczyna będzie na nim jeździć i powoli rozdziobywać jego grzbiet. Zniszczy go niezliczonymi żądaniami, wciąż nienasycona. A potem wyjawiała najgorsze. Ojciec i matka dziewczyny podali, że urodziła się szesnastego dnia siódmego księżyca. Ale wróżbiarka miała szwagierkę, która mieszkała niedaleko nastawiacza kości i wiedziała lepiej. Szwagierka słyszała krzyk nowo narodzonego dziecka nie szesnastego, ale piętnastego dnia, jedyne dnia, w którym duchom wolno wędrować po ziemi. Dziecko wydawało dźwięki wu - wu, wu - wu, nie jak istota ludzka, ale udręczona dusza. Wróżbiarka wyznała Wujowi, że dość dobrze zna dziewczynę. Często ją widywała spacerującą samotnie w dni targowe. Ta dziwna dziewczyna potrafiła szybko liczyć w głowie i kłócić się z kupcami. Była arogancka i niezwykle uparta. Była także wykształcona, ponieważ ojciec nauczył ją tajemnic ciała. I zbyt ciekawa, zbyt dociekliwa, za bardzo pragnęła chodzić własnymi ścieżkami. Być może była opętana. Wróżbiarka radziła Wujowi znaleźć inną kandydatkę. Małżeństwo z tą doprowadziłoby do katastrofy.

Najmłodszy Wuj dał staruszce więcej pieniędzy, nie jako napiwek, ale po to, by lepiej się zastanowiła. Wróżbiarka kręciła głową, lecz gdy dostała tysiąc miedziaków, coś jej przyszło na myśl. Kiedy dziewczyna się uśmiechała, co często się zdarzało, jej pieprzyk znajdował się w szczęśliwszej pozycji, numer jedenaście. Staruszka zajrzała do almanachu, aby odnaleźć godzinę narodzin dziewczyny. Dobre wieści. Godzina Królika oznaczała umiłowanie pokoju. Zuchwałość dziewczyny mogła więc być udawana. A resztki nieugiętości można z niej było wybić mocnym kijem. Później okazało się, że szwagierka staruszki była znaną plotkarką, skłoną do przesady. Aby jednak zapewnić szczęście przyszłemu małżeństwu, wróżbiarka sprzedała Wujowi talizman Stu Różnych Rzeczy, który był niezawodnym środkiem na złe duchy, złe daty, nieszczęścia i wypadanie włosów.

- Jednak nawet z talizmanem proszę się nie żenić w Roku Smoka. To zły rok dla Konia.

Pierwszą propozycję małżeństwa przyniosła swatka Changa, która przyszła do nastawiacza

kości i opowiedziała mu o wszystkich dobrych znakach. Chwaliła trumniarza, że jako rzemieślnik pochodzący ze znanej rzemieślniczej rodziny cieszy się wielkim szacunkiem. Opisywała jego dom, jego skalne ogrody, stawy rybne, meble w licznych pokojach, najlepszy kolor drewna, fiolety głębokie jak świeży siniec. Jeśli idzie o posag, trumniarz pragnął okazać wielką wspaniałomyślność. Ponieważ dziewczyna będzie drugą żoną, nie pierwszą, pan Chang pyta, czy mogłaby wnieść w posagu słoiczek opium i słoiczek kości smoka? Wprawdzie to niewiele rzeczy, ale bezcennych, więc nie będą stanowić obrazy dla dziewczyny.

Nastawiacz kości zaczął rozważać tę propozycję. Starzał się. Co się stanie z córką po jego śmierci? Kto jeszcze zechciałby ją przyjąć pod swój dach? Była żywą i upartą dziewczyną. Nie miała matki, która nauczyłaby ją manier właściwych żonie. Gdyby miał sam wybierać zięcia, zapewne nie byłby to trumniarz, ale nie chciał stać na drodze córki do przyszłego szczęścia. Powiedział Drogiej Cioci o wspaniałomyślnej propozycji trumniarza.

Droga Ciocia parsknęła z oburzeniem.

- To brutal - oświadczyła. - Wolałabym jeść robaki niż zostać jego żoną.

Nastawiacz kości udzielił więc swatce Changa nieco niezręcznej odpowiedzi:

- Przykro mi - powiedział. - Moja córka zachorowała z rozpacz na myśl, że miałyby opuścić najdroższego ojca.

Chang mógłby przełknąć kłamstwo, gdyby nie to, że tydzień później została przyjęta propozycja złożona przez swatkę Najmłodszego Wuja.

Kilka dni po ujawnieniu ich planów małżeńskich trumniarz przyjechał do Ust Góry i zaskoczył Drogą Ciocię, gdy wracała od studni.

- Myślisz, że wolno ci mnie obrażać, a potem śmiać mi się w nos?

- Kto kogo obraził? Prosiłeś, żebym została twoją drugą żoną, służącą pierwszej. Nie mam zamiaru zostać niewolnicą feudalnego małżeństwa.

Gdy próbowała odejść, Chang chwycił ją za szyję, mówiąc, że może jej skrócić kark, a potem nią potrząsnął, jak gdyby rzeczywiście mógł ją złamać niczym zimową gałązkę. Ale tylko rzucił nią o ziemię, przeklinając ją i intymne części ciała jej matki.

Kiedy Droga Ciocia odzyskała oddech, parsknęła:

- Grubiańskie słowa, wielkie pięści. Sądzisz, że strachem możesz mnie zmusić, żebym okazała przykrość?

Wtedy wypowiedział słowa, których nigdy nie mogła zapomnieć:

- Niedługo każdy dzień twojego nędznego życia będzie dla ciebie przykrością.

Droga Ciocia nie powiedziała o tym, co się stało, ani ojcu, ani Hu Senowi. Nie było sensu ich martwić. Po co jej przyszły mąż miałby się zastanawiać, czy Chang miał powód, by poczuć się dotkniętym? Wielu ludzi mówiło już, że jest zbyt silna i przyzwyczajona do chodzenia własnymi drogami. Być może to była prawda. Nie obawiała się kary ani poniżenia. Nie bała się prawie niczego.

Miesiąc przed ślubem Najmłodszy Wuj przyszedł do Jej pokoju późnym wieczorem.

- Chcę usłyszeć twój głos w ciemności - szepnął. - Chcę usłyszeć język spadających gwiazd.

Wpuściła go do swego k'ang, a on ochoczo przystąpił do zaślubin. Lecz gdy była w ramionach Najmłodszego Wuja, poczuła na skórze dotyk wiatru i zaczęła drżeć. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy się boi, boi się nieznannej radości.

Ślub miał się odbyć w Nieśmiertelnym Sercu, tuż po początku nowego Roku Smoka. Był nagły wiosenny dzień. Na ziemi leżały śliskie placki śniegu. Rankiem do sklepu nastawiacza kości w Ustach Góry zawitał wędrowny fotograf. Przed miesiącem złamał rękę i zapłacił, robiąc zdjęcie Drogiej Cioci w dniu ślubu. Włożyła swój najlepszy zimowy kaftan z wysokim, obszytym futrem kołnierzem i haftowany czepek. Musiała przez długi czas patrzeć nieruchomo w obiektyw i kiedy to robiła, myślała, jak bardzo zmieni się na zawsze jej życie. Mimo że była szczęśliwa, ogarniał ją niepokój. Przeczuwała niebezpieczeństwo, lecz nie potrafiła go nazwać. Starła się spoglądać daleko w przyszłość, ale nic nie widziała.

Na drogę do ślubu przebrała się w strój panny młodej, czerwoną szatę i spódnicę, fantazyjne nakrycie głowy z szalem, które musiała włożyć, opuszczając dom ojca. Nastawiacz kości pożyczył pieniądze, by wynająć dwa wozy ciągnięte przez muły, jeden na prezenty dla rodziny pana młodego, drugi na skrzynie z rzeczami oblubienicy.

Oblubienica miała przebyć drogę w lektyce, a nastawiacz kości musiał także wynająć czterech nosicieli lektyki, dwóch woźniców, flecistę i dwóch strażników, którzy mieli uważać na bandytów. Dla swej córki wystarał się o wszystko, co najlepsze: najpiękniejszą lektykę, najczystsze wozy, najsilniejszych strażników, uzbrojonych w najprawdziwsze pistolety i proch. W jednym z wozów spoczywał posąg: słoiczek opium i słoiczek kości smoka, ostatni z zapasów. Ojciec wielokrotnie zapewniał córkę, że nie powinna się martwić kosztami. Po jej ślubie może przecież iść do Małpiej Szczęki i zebrać nowe kości.

W połowie drogi między wsiami z krzewów wyskoczyli dwaj zakapturzeni bandyci.

- Jestem sławny Bandyta Mongolski! - ryknął wyższy.

Droga Ciocia od razu rozpoznała głos Changa, trumniarza. Cóż to za niedorzeczny żart? Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, strażnicy rzucili swoje pistolety, nosiciele rzucili drzewce, a Droga Ciocia upadła na podłogę lektyki, tracąc przytomność.

Gdy się ocknęła, przez mgłę zobaczyła twarz Najmłodszego Wuja. Wyjął ją z lektyki. Rozejrzawszy się wokół, stwierdziła, że skrzynie zostały splądrowane, a strażnicy i nosiciele lektyki uciekli. Potem dostrzegła ojca leżącego w rowie, z dziwnie przekreśloną głową i szyją i twarzą bez oznak życia. Czy to sen?

- Ojciec - jęknęła. - Chcę do niego iść.

Pochyliła się nad ciałem, próbując objąć myślą to, co się stało, tymczasem Wuj podniósł porzucony przez strażnika pistolet.

- Przysięgam, że odnajdę demony, które przyniosły mojej oblubienicy tyle rozpaczy! - zawołał i wystrzelił w niebo. Huk przestraszył jego konia.

Droga Ciocia nie widziała kopnięcia, które zabiło Wuja, lecz usłyszała okropny trzask, z jakim musiała się otworzyć ziemia, gdy się rodziła. Przez resztę życia miała słyszeć ten dźwięk w odgłosie łamanych gałązek, trzaskającego ognia, rozłupywanego w lecie melona.

I tak Droga Ciocia tego samego dnia została wdową i sierotą.

- To kłątwa - mówiła cicho, spoglądając na ciała mężczyzn, których kochała.

Przez trzy bezsenne noce po ich śmierci Droga Ciocia przeproszała zwłoki ojca i Najmłodszego Wuja. Przemawiała do ich nieruchomych twarzy. Dotykała ich ust, choć nie wolno było tego robić i kobiety w domu bały się, że złe duchy mogą ją opętać albo pozostać.

Trzeciego dnia przyjechał Chang z trumnami.

- To on ich zabił! - krzyczała Droga Ciocia. Chwyciwszy pogrzebacz, próbowała uderzyć trumniarza. Zaczęła okładać pogrzebaczem trumny.

Bracia Wuja musieli odciągnąć ją siłą. Przeproszali Changa za szaleństwo dziewczyny, a on odrzekł, że należy tylko podziwiać tak wielką rozpacz. Droga Ciocia nadal szalała z podziwu godnej rozpaczy, więc kobiety musiały ją związać od łokci po kolana paskami materiału. Potem położyły ją w k'ang Najmłodszego Wuja, a ona wiła się i skręcała jak uwięziony w kokonie motyl. Dopiero gdy Prababcia zmusiła ją do wypicia miseczki lekarstwa, jej ciało zwiotczało. Przez dwa dni i dwie noce śniła, że jest z Wujem, leżąc w jego k'ang jako żona.

Kiedy odzyskała przytomność, leżała sama w ciemności. Miała wolne nogi i ręce, lecz była bardzo słaba. W domu panowała cisza. Droga Ciocia poszła szukać ojca i Najmłodszego Wuja. Dotarła go głównego korytarza, lecz ciał nie było, już zostały ukryte w drewnianych skrzyniach, zrobionych ręką Changą. Z płaczem chodziła po domu, ślubując, że niebawem znajdzie się razem z nimi w żółtej ziemi. Weszła do pracowni, gdzie robiło się tusz, szukając kawałka sznura, ostrego noża, zapalek, które mogłaby połknąć, czegoś, co sprawiłoby jej większy ból, niż teraz czuła. Wtedy dostrzegła naczynie z czarną żywicą. Zanurzyła w płynie czerpak i włożyła w czeluść pieca. Lepki tusz zmienił się w zupełnie niebieskich płomieni. Przechyliła łyżkę i połknęła jej zawartość.

Prababcia pierwsza usłyszała głucho hałasy w pracowni. Wkrótce zjawily się tam pozostałe kobiety. Droga Ciocia miotała się po podłodze, oddychając z sykiem ustami, które były czarne od krwi i tuszu.

- Jakby w misce z jej ust pływały węgorze - powiedziała Matka. - Lepiej dla niej, żeby umarła.

Lecz nie dopuściła do tego Prababcia. We śnie przyszedł do niej duch Najmłodszego Wuja i ostrzegł, że jeśli Droga Ciocia umrze, duchy ich obojga będą krążyć po domu, szukając zemsty na tych, którzy nie okazali jej litości. Wszyscy wiedzieli, że nie ma nic gorszego od mściwych duchów. Przez nie pokoje cuchną jak zwłoki. Przez nie w jednej chwili jęlczeje tofu. Przez nie dzikie stworzenia wspinają się na ściany i bramy. Mając w domu duchy, nikt nigdy nie śpi dobrze.

Prababcia dzień w dzień zanurzała pasy materiału w maściach i kładła na rany Drogiej Cioci. Kupiła kości smoka, pokruszyła i posypała nimi spuchnięte usta. Wówczas zauważyła, że jeszcze jedna część ciała Drogiej Cioci spuchła: jej łono.

Przez kilka następnych miesięcy z ran Drogiej Cioci zniknęła ropa i zaczęły się tworzyć blizny, a łono zrobiło się duże jak tykwa. Kiedyś była bardzo ładną dziewczyną. Teraz na jej widok każdy wzruszał ramionami, z wyjątkiem ślepych żebraków. Pewnego dnia, gdy było już wiadomo, że Droga Ciocia przeżyje, Prababcia zwróciła się do swej milczącej pacjentki:

- Uratowałam ci życie i gdzie się teraz z dzieckiem po - dziejesz? Co zrobisz?

W nocy do Prababci znów przyszedł duch Najmłodszego Wuja, a nazajutrz rano Prababcia oznajmiła Drogiej Cioci:

- Masz tu zostać i być piastunką tego dziecka. Pierwsza Siostra uzna je za swoje i wychowa jako Liu. Tym, których poznasz, będziemy mówić, że jesteś daleką krewną z Pekinu, kuzynką, mieszkałaś w klasztorze, dopóki się nie spalił, i omal nie straciłaś życia w pożarze. Nikt cię nie roz-

pozna z taką twarzą.

I tak się stało. Droga Ciocia została w domu. Ja byłam powodem, jedynym powodem, dla którego nadal żyła. Pięć miesięcy po moich narodzinach w roku 1916 Matka urodziła GaoLing, a wcześniej Prababcia zmusiła ją, by mnie uznała za swoje dziecko. Jak Matka mogła twierdzić, że miała dwójkę dzieci w odstępie pięciu miesięcy? Przecież to niemożliwe. Tak więc Matka postanowiła czekać. Dokładnie dziewięć miesięcy po moich narodzinach, w 1917 roku i w bardzo szczęśliwym dniu urodziła się GaoLing, tym razem oficjalnie.

Dorośli znali prawdę o naszych narodzinach. Dzieci wiedziały tylko tyle, ile miały udawać, że wiedzą. I choć byłam roztropna, w rzeczywistości byłam głupia. Nigdy nie wątpiłam w prawdę, jaką słyszałam. Nie dziwiłam się, dlaczego Droga Ciocia nie ma imienia. Dla innych była Piastunką. Dla mnie Drogą Ciocią. Nie wiedziałam, kim naprawdę jest, dopóki nie przeczytałam, co napisała.

Jestem twoją matką, brzmiały te słowa.

Przeczytałam to dopiero po jej śmierci. Pamiętam jednak, jak mówiły mi to jej ręce, widziałam, jak mówi to oczyma. Gdy jest ciemno, mówi to do mnie wyraźnym głosem, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Mówi językiem spadających gwiazd.

W roku 1929, gdy miałam czternaście lat, stałam się złym człowiekiem.

Tego samego roku na Wzgórzu Smoczej Kości w Ustach Góry przyjechali naukowcy, chińscy i cudzoziemscy. Na głowach mieli kapelusze przeciwsłoneczne, a na nogach wellingtony. Przywieźli ze sobą łopaty i pręty, sita do sortowania i musujące płyny. Kopali w kamieniołomach, ryli w jaskiniach. Chodzili od apteki do apteki, kupując wszystkie stare kości. Słyszeliśmy pogłoski, że cudzoziemcy chcą postawić własne fabryki smoczycy kości, i kilkunastu ludzi ze wsi poszło do kamieniołomów z siekierami, żeby ich przegonić.

Wtedy jednak jeden z chińskich robotników, którzy przeprowadzali wykopy dla naukowców, rozpuścił plotkę, że dwie ze smoczycy kości mogły być zębami pochodzącymi z ludzkiej głowy. Wszyscy sądzili, że mowa o kimś zmarłym niedawno. Z czyjego grobu? Czyjego dziadka? Czyjej babki? Niektórzy przestali kupować kości smoka. W aptekach pojawiły się duże szyldy z napisem: "Żaden ze sprzedawanych tu leków nie zawiera części ciała człowieka".

Droga Ciocia miała wtedy jeszcze cztery czy pięć kości, jakie zostały jej po wyprawie do rodzinnej jaskini, nie licząc kości wróżebnej, którą wiele lat temu podarował jej ojciec. Z pozostałych zrobiła lekarstwo, którym przez wiele lat mnie leczyła, zapewniając, że nie są to kości

ludzkie.

Niebawem przyszedł do niej we śnie Sławny Nastawiacz Kości.

- Kości, które masz, nie pochodzą od smoków - powiedział. - To kości naszej rodziny, przodka, który został przygnieciony w Małpiej Szczęce. Ukradliśmy je, dlatego nas przeklął. Dlatego powymierali prawie wszyscy członkowie naszej rodziny, twoja matka, twój brat, ja, twój przyszły mąż - przez tę klątwę. I nie kończy się na śmierci. Odkąd przybyłem do Świata Jin, cień przodka skacze na mnie z każdego zakątka. Gdybym nie był martwy, tysiąc razy umarłbym ze strachu.

- Co mamy począć? - spytała go we śnie Droga Ciocia.

- Zwrócić kości. Dopóki nie połączą się z resztą ciała, przodek nie przestanie nas nękać. Ty będziesz następna, klątwa przejdzie też, oczywiście, na wszystkie następne pokolenia naszej rodziny. Wierz mi, córko, nie ma nic gorszego, niż pozostawić na świecie krewnego narażonego na zemstę.

Nazajutrz rano Droga Ciocia wstała wcześniej i nie było jej prawie cały dzień. Kiedy wróciła, wydawała się spokojniejsza. Później jednak robotnicy ze Wzgórza Smoczej Kości rozpuścili nowinę: "Zęby są nie tylko ludzkie - mówili - ale pochodzą z czaszki jednego z naszych najstarszych przodków, sprzed miliona lat!". Naukowcy postanowili nazwać czaszkę "Człowiekiem z Pekinu". Musieli tylko znaleźć więcej kawałków, żeby zrobić całą czaszkę, potem jeszcze trochę, żeby połączyć z czaszką szczękę, szczękę z szyją, szyję z ramionami i tak dalej, aż powstałby cały człowiek. Oznaczało to, że trzeba znaleźć mnóstwo kawałków, i dlatego naukowcy prosili mieszkańców wsi, żeby przynosili wszystkie smocze kości ze swoich domów i sklepów z lekami. Jeśli okazało się, że kości pochodzą od starożytnych ludzi, ich właściciel dostawał nagrodę.

Milion lat! Wszyscy ciągle o tym mówili. Wczoraj w ogóle nie mieli potrzeby wypowiadać tej liczby, dziś nie Mogli przestać jej powtarzać. Młodszy Wuj przypuszczał, że na jednym kawałku smoczej kości można zarobić milion miedziaków. A Ojciec rzekł:

- Miedziaki są dziś nic niewarte. Prędzej dostaniesz milion srebrnych taeli.

Snując domysły i sprzecząc się, ustalili cenę na milion złotych sztabek. Całe miasteczko o tym mówiło. "Stare kości obrastają nowym tłuszczem" - powtarzali ludzie. Smocze kości były teraz warte ogromnie dużo, przynajmniej w ludzkiej wyobraźni, nikt więc nie mógł już ich kupować jako lekarstwa. Ludzi trapionych wysysającymi życie chorobami nie można było uleczyć.

Cóż to jednak mogło mieć za znaczenie? Przecież pochodzili od Człowieka z Pekinu. A on był sławny.

Naturalnie pomyślałam o smoczycach kościach, które Droga Ciocia zaniósła z powrotem do jaskini. Też były ludzkie - tak powiedział jej we śnie ojciec.

- Mogłybyśmy sprzedać je za milion sztuk - powiedziałam do niej. W swoim przekonaniu nie chodziło mi tylko o własne dobro. Gdyby Droga Ciocia dała nam bogactwo, może moja rodzina bardziej by ją szanowała.

- Za milion czy dziesięć milionów, nieważne - skarciły mnie jej mówiące ręce. - Gdybyśmy je sprzedały, klątwa powróci. Przyjdzie duch i zabierze ze sobą nas i nasze kości. Potem będziemy musiały nosić milion sztuk na naszych martwych karkach, żeby się wykupić w drodze przez piekło. - Szturchnęła mnie w czoło. - Duchy nie spoczną, dopóki nie wymrze cała nasza rodzina. Cała, do ostatniej osoby. - Uderzyła się pięścią w pierś. - Czasem wolałabym już nie żyć. Naprawdę chciałam umrzeć, ale wróciłam dla ciebie.

- Ja się nie boję - odrzekłam. - Klątwa nie dotyczy mnie, tylko ciebie, więc ja mogę pójść po kości. Nagle Droga Ciocia uderzyła mnie w bok głowy.

- Zamilcz ! - Jej dłonie cięły powietrze. - Chcesz, żeby klątwa była jeszcze straszniejsza? Nigdy tam nie chodź. Nigdy ich nie dotykaj. Przrzeknij mi, że tego nie zrobisz. Obiecuj! - Chwyliła mnie za ramiona i zaczęła potrząsać, aż z moich rozdygotanych ust padła przysięga.

Potem marzyłam, że wymykam się do jaskini. Jak mogłam siedzieć beczynn timer, kiedy wszyscy w Ustach Góry i sąsiednich wsiach szukali nieśmiertelnych relikwów? Wiedziałam, gdzie są ludzkie kości, nie mogłam jednak nic nikomu powiedzieć. Musiałam patrzeć, jak inni dłubią tam, gdzie pasły się ich owce, rozgrzebują błoto, w którym tarzają się ich świnie. Nawet Pierwszy i Drugi Brat razem i żonami rozkopywali pozostałą część ziemi między domem a urwiskiem. Z tłustego nawozu wyciągali korzenie i robaki. Zgadywali, że to mogły być palce starożytnego człowieka albo nawet skamieniały język, który wypowiadał pierwsze słowa naszych przodków. Na ulicach pełno było ludzi usiłujących sprzedać wszystkie rodzaje zasuszonych znalezisk, od kurzych dziobów po świńskie łajno. W niedługim czasie nasza wieś wyglądała gorzej niż cmentarz rozgrzebany przez rabujących groby.

Dzień i noc w rodzinach mówiono o Człowieku z Pekinu i prawie o niczym więcej.

- Milion lat? - zastanawiała się na głos Matka. - Jak można znać wiek kogoś, kto nie żyje od tak dawna? Hnh, kiedy umarł mój dziadek, nikt nie wiedział, czy miał sześćdziesiąt osiem czy

sześćdziesiąt dziewięć lat. Powinien żyć osiemdziesiąt, gdyby miał więcej szczęścia. Nasza rodzina uznała więc, że liczył sobie osiemdziesiąt, czyli że miał więcej szczęścia - ale i tak nie żył.

Ja także miałam coś do powiedzenia na temat nowego odkrycia:

- Dlaczego nazywają go Człowiekiem z Pekinu? Zęby są z Ust Góry. A od niedawna naukowcy mówią, że czaszka należała do kobiety. Powinni więc mówić "Kobieta z Ust Góry".

Ciotki i wujowie spojrzeli na mnie, a jedno z nich powiedziało:

- Oto mądrość dziecka, prosta i prawdziwa. Zawstydziłam się, słysząc wielkie słowa. Po chwili GaoLing dodała:

- Chyba powinni go nazywać Człowiekiem z Nieśmiertelnego Serca. Wtedy nasze miasteczko byłoby sławne i my też.

Matka wychwalała jej pomysł, inni także. Mnie wydawał się bezsensowny, ale nie mogłam tego powiedzieć.

Często byłam zazdrosna, gdy nasza Matka więcej uwagi poświęcała GaoLing. Nadal wierzyłam, że jestem jej najstarszą córką. Byłam bystrzejsza. Lepiej radziłam sobie w szkole. A jednak zawsze GaoLing miała zaszczyt siadania obok Matki, ona spała w jej k'ang, a ja miałam Drogą Ciocię.

Gdy byłam młodsza, wcale mi to nie przeszkadzało. Uważałam, że to dla mnie wielkie szczęście mieć ją przy sobie. Myślałam, że słowa "Droga Ciocia" znaczą to samo, co dla innych słowo "Mama". Nie mogłabym znieść, gdyby choć na chwilę rozdzielono mnie z moją piastunką. Podziwiałam ją i byłam dumna, że potrafi napisać nazwy wszystkich kwiatów, nasion i krzewów i zna lecznicze działanie każdego. Jednak im byłam starsza, tym mniej ważna stawała się dla mnie Droga Ciocia. Im bardziej wydawałam się sobie mądrzejsza, tym częściej myślałam, że jest tylko służącą, kobietą, która nie zajmuje w naszej rodzinie żadnej znaczącej pozycji i której nikt nie lubi. Mogłaby uczynić naszą rodzinę bogatą, gdyby tylko nie wbiła sobie do głowy tych głupstw o klątwach.

Zaczęłam bardziej szanować Matkę. Zabiegałam o jej życzliwość. Sądziłam, że życzliwość to to samo, co miłość. Gdy traktowano mnie życzliwie, byłam zadowolona i czułam się kimś ważniejszym. Przecież Matka była pierwszą damą w całym domu. To ona decydowała, co jemy, jakiego koloru stroje nosimy, ile dostajemy kieszonkowego, kiedy wolno nam iść na rynek. Każdy się jej bał i jednocześnie chciał jej sprawić przyjemność. Każdy, z wyjątkiem Prababci, która stała się już tak słaba na umyśle, że nie potrafiła odróżnić tuszu od błota.

Ale w oczach Matki nie miałam żadnego wdzięku. Moja mowa nie była muzyką dla jej uszu. Nie miało znaczenia, jak jestem posłuszna, skromna i czysta. Nie była zadowolona z niczego, co robiłam. Nie miałam już pojęcia, co powinnam zrobić, by sprawić jej przyjemność. Byłam jak przewrócony na grzbiet żółw, który rozpaczliwie przebiera łapkami, zastanawiając się, dlaczego świat stoi do góry nogami.

Często skarżyłam się Drogiej Cioci, że Matka mnie nie kocha.

- Przestań opowiadać głupstwa - odpowiadała Droga Ciocia. - Nie słyszałaś jej dzisiaj? Mówiła, że niechlujnie szyjesz. Wspomniała też, że skóra za bardzo ci ciemnieje. Gdyby cię nie kochała, po co miałaby cię krytykować dla twojego własnego dobra?

Potem Droga Ciocia mówiła, że jestem samolubna i ciągle myślę tylko o sobie. Powiedziała, że moja twarz robi się brzydka, kiedy się dąsam. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że krytykując mnie w ten sposób, chciała mi powiedzieć, że kocha mnie jeszcze bardziej.

Pewnego dnia - pamiętam, że jeszcze przed Świętem Wiosny - z rynku wrócił Stary Kucharz, przynosząc nowiny krążące po Nieśmiertelnym Sercu. Chang, trumniarz, stał się bardzo znany i wkrótce zostanie bogaczem. Podobno przez smocze kości, które dał uczonym. Okazało się, że były ludzkie. Nie było jeszcze wiadomo, ile mają lat, ale wszyscy przypuszczali, że co najmniej milion, może nawet dwa miliony lat.

Wszystkie kobiety, dziewczynki i dzieci były w pracowni, z wyjątkiem Drogiej Cioci, która poszła do piwnicy policzyć pałeczki tuszu, które już ozdobiła rzeźbami. Cieszyłam się, że nie ma jej z nami, bo ilekroć ktoś wymieniał imię Changą, pluła. Kiedy więc przywoził drewno, wysyłano ją do pokoju, gdzie przeklinała go, waląc w wiadro tak długo i głośno, że sąsiedzi zaczęli krzyczeć.

- Cóż za szczególny zbieg okoliczności - zauważyła Starsza Ciotka. - Ten sam pan Chang, który sprzedaje nam drewno. Równie dobrze nasza rodzina mogłaby mieć takie szczęście.

- Jego związek z naszą rodziną sięga jeszcze dalej w przeszłość - pochwaliła się Matka. - To on zatrzymał swój wóz, żeby pomóc po tym, jak Najmłodszego Brata zabili mongolscy bandyci. Pan Chang to człowiek uczynny.

Wydawało się, że nie ma końca związkowi sławnego pana Changą z nami. Skoro niedługo stanie się jeszcze bogatszy, Matka pomyślała, że na pewno obniży cenę odpadów drewna.

- Powinien dzielić się swoim szczęściem - zgodziła się sama ze sobą Matka. - Bogowie oczekują, że zrobi przynajmniej tyle.

Do pracowni weszła Droga Ciocia i po krótkiej chwili domyśliła się, o kim mowa. Tupnęła nogami, bijąc pięściami powietrze.

- Chang jest zły - mówiła, wymachując ramionami. - Zabił mojego ojca. Przez niego zginął Hu Sen. - Wydała chrapliwy dźwięk, jak gdyby miało się jej oderwać całe gardło.

To nieprawda, pomyślałam. Jej ojciec spadł z wozu, bo był pijany, a Najmłodszego Wuja kopnął własny koń. Tak opowiedziała mi Matka i ciotki.

Droga Ciocia chwyciła mnie za rękę. Zajrzała mi w oczy, a potem zaczęła szybko mówić rękami:

- Powiedz im, Piesku, powiedz, że mówię prawdę. Zrozumiałam już, że smocze kości, które ma Chang - rozsypała na niby ich garść na swojej dłoni - to zapewne te same, które należały do mojego ojca, do mojej rodziny. Chang ukradł je w dniu mojego ślubu. To był mój posag. To kości z Małpiej Szczęki. Musimy je odebrać Changowi i zanieść do jaskini, inaczej klątwa nie przestanie działać. Szybko, powiedz im.

Zanim jednak otworzyłam usta, Matka ostrzegła:

- Nie chcę słuchać żadnej z jej szalonych opowieści. Słyszysz, Córko?

Wszyscy, łącznie z Drogą Ciocią, utkwili we mnie spojrzenie.

- Powiedz im - powtórzyła gestem. Ale ja odwróciłam się do Matki, skinęłam głową i rzekłam:

- Słyszę.

Droga Ciocia wybiegła z pracowni, wydając jakiś zduszony krzyk, na którego dźwięk ścisnęło mi się serce i poczułam się zła.

Przez chwilę w pracowni panowała cisza. Potem do Matki podeszła Prababcia, pytając z zatroskaną miną:

- Widziałaś może Hu Sena?

- Jest na podwórku - odrzekła Matka. Prababcia wyszła z pracowni, powłócząc nogami. Żony moich wujów poczęły cmokać.

- Wciąż nie może odzyskać rozumu po tym, co się stało - mruknęła Młodsza Ciotka. - A to było prawie piętnaście lat temu. - Przez moment nie wiedziałam, czy mają na myśli Prababcie, czy Drogą Ciocię.

- To dobrze, że nie umie mówić - dodała Starsza Ciotka. - Cóż to by był za wstyd dla naszej rodziny, gdyby ktoś wiedział, co próbuje powiedzieć.

- Powinnaś ją wygnać z domu - zwróciła się do Matki Młodsza Ciotka. A Matka wskazała Prababcię, która człapała, drapiąc się po czerwonym znamieniu za uchem.

- To przez starą babcię ta obłąkana piastunka siedzi u nas tyle lat.

Wiedziałam, że naprawdę Matka chce powiedzieć, że po śmierci Prababci będzie mogła wreszcie kazać Drogiej Cioci się wynosić. Naraz pomyślałam o swojej piastunce z wielką czułością. Chciałam zaprotestować, zawołać, że Matce nie wolno tego zrobić, lecz jak mogłam sprzeciwić się czemuś, co nie zostało powiedziane?

Miesiąc później Prababcia upadła, uderzając głową o ceglany brzeg swojego k'ang. Zanim nadeszła Godzina Koguta, umarła. Ojciec, Starszy Wuj i Młodszy Wuj wrócili do domu z Pekinu, choć na drogach zrobiło się niebezpiecznie. Między Pekinem a Ustami Góry dochodziło do strzelanin między ludźmi generałów. Na szczęście dla nas, jedyną walką, jaką widzieliśmy, były kłótnie lokatorów. Kilka razy prosiliśmy ich, żeby nie wrzeszczeli, gdy żegnaliśmy Prababcię leżącą w głównej sali domu.

Kiedy pan Chang przywiózł trumnę, Droga Ciocia została w swoim pokoju i przeklinała go, hałasując wiadrem. Ja siedziałam na ławce na dziedzińcu od frontu, przyglądając się, jak Ojciec i pan Chang rozładowują wóz.

Myślałam sobie, Droga Ciocia jest w błędzie. Pan Chang nie wyglądał na złodzieja. Był miłym, barczystym mężczyzną o życzliwej twarzy. Ojciec prowadził z nim ożywioną dyskusję na temat jego "ważnego wkładu w naukę, historię i dobro Chin w ogóle". Pan Chang słuchał go ze skromnością, ale i z widocznym zadowoleniem. Potem Ojciec odszedł, aby przynieść mu pieniądze za trumnę.

Mimo że było chłodno, pan Chang bardzo się pocił. Otarł czoło rękawem. Po chwili zauważył, że mu się przyglądam.

- Ale duża urosłaś! - zawołał do mnie. Zarumieniłam się. Mówił do mnie sławny człowiek.

- Moja siostra jest większa - powiedziałam po chwili. - Chociaż o rok młodsza.

- Ach, świetnie - rzekł.

Nie chciałam, żeby wyrażał się pochlebnie o GaoLing.

- Słyszałam, że ma pan kawałki Człowieka z Pekinu - zmieniłam temat. - Jakie części?

- Och, tylko najważniejsze.

Też chciałam pokazać, że jestem ważna, więc bez namysłu wypaliłam:

- Ja też miałam kiedyś kości. - Potem szybko zasłoniłam sobie usta dłonią.

Pan Chang uśmiechnął się, czekając na ciąg dalszy.

- I gdzie one są? - spytał po chwili.

- Nie mogłam zachować się nieuprzejmie.

- Zabrałyśmy je z powrotem do jaskini - odrzekłam.

- Gdzie to jest?

- Nie mogę powiedzieć. Piastunka kazała mi obiecać, to tajemnica.

- Ach, twoja piastunka. To ta z brzydką twarzą. - Pan Chang przyłożył do ust sztywno rozczapierzone palce, tak że jego dłoń przypominała kraba.

Skinęłam głowę.

- Szalona kobieta. - Spojrzał w stronę, skąd dobiegał odgłos walenia w wiadro. Nic nie powiedziałam.

- To ona znalazła kości w tym miejscu, o którym nie możesz mówić?

- Obie znalazłyśmy, a ona zaniósła je z powrotem - odpowiedziałam szybko. - Ale nie mogę powiedzieć gdzie.

- Oczywiście. Nie powinnaś mówić nikomu obcemu.

- Przecież pan nie jest obcy! Nasza rodzina bardzo dobrze pana zna. Wszyscy tak mówią.

- Mimo to nie powinnaś mi mówić. Na pewno powiedziałaś ojcu i matce. Pokręciłam głowę.

- Nikomu. Gdybym zdradziła miejsce, chcieliby wykopać kości. Tak mówiła Droga Ciocia. Powiedziała, że kości muszą zostać w jaskini, bo inaczej spotka ją sroga kara.

- Jaka kara?

- Klątwa. Umrze, jeśli komuś powiem.

- Przecież jest już dość stara, prawda?

- Nie wiem. Chyba nie.

- Kobiety często umierają niezależnie od wieku, wcale nie z powodu klątwy. Przyczyną może być choroba albo wypadek. Moja pierwsza żona umarła dziesięć lat temu. Zawsze była niezdarna i któregoś dnia spadła z dachu. Teraz mam nową żonę, jeszcze lepszą niż ostatnia. Jeśli twoja piastunka umrze, też możesz mieć nową.

- Jestem za stara na nową piastunkę - powiedziałam. Nie podobała mi się już ta rozmowa.

Po chwili wrócił Ojciec z pieniędzmi dla pana Changa. Gawędzili jeszcze przez kilka minut, a potem pan Chang zawołał do mnie:

- Przy naszym następnym spotkaniu znowu porozmawiamy. - I odjechał pustym wozem. Ojciec wydawał się zadowolony, że tak znany w naszym miasteczku człowiek uznał mnie za wartą poświęcenia odrobiny uwagi.

Kilka dni później odbył się właściwy pogrzeb Prababci. Wszyscy głośno lamentowali, ale najgłośniej Matka, jako pierwsza dama domu, bo tak było w zwyczaju. Naprawdę wydawało się, że rozpacz odebrała jej nadzieję. Ja też płakałam, czując smutek i strach. Gdy pogrzeb się skończył, zaczęłam się niepokoić tym, co się zaraz mogło zdarzyć: Matka zmusi Drogą Ciocię do odejścia.

Jednak tego nie zrobiła, a oto dlaczego.

Matka wierzyła, że Prababcia nadal jest w domu, nawiedza wygodkę i sprawdza, czy wszyscy przestrzegają ustalonych przez nią porządków. Za każdym razem, gdy Matka kuciała nad dziurą, słyszała głos, który pytał: "Czy widziałas Hu Sena?". Kiedy nam to opowiedziała, Trzecia Ciotka stwierdziła:

- Widok twojego gołego siedzenia powinien odstraszyć wszystkie duchy.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, ale Matka wpadła w gniew i oświadczyła, że obcina wszystkim kieszonkowe na następny miesiąc.

- Żeby was nauczyć większego szacunku dla Prababci - powiedziała.

Ponieważ w wygodce straszyl duch, Matka co dzień chodziła do świątyni i składała specjalne ofiary. Poszła na grób Prababci i spaliła srebrny papier, żeby Prababcia mogła wykupić sobie drogę na lepszy poziom. Po dziewięćdziesięciu dniach zaparcia Matka wróciła do sklepu pogrzebowego i kupiła automobil z papieru naturalnej wielkości, razem z szoferem. Prababcia widziała kiedyś prawdziwy automobil na świątecznym jarmarku w Ustach

Góry. Stał na parkingu, gdzie trzymano powozy i osły a kiedy automobil odjeżdżał z rykiem silnika, Prababcia powiedziała, że jego dźwięk przestraszyłby diabła, a szybkość mogłaby go unieść do nieba.

Tak więc papierowe auto strawił ogień, a duch Prababci odszedł z latryny do Świata Jin. Potem życie w naszym domu potoczyło się swoim normalnym, hałaśliwym biegiem. Reszta rodziny wróciła do codziennych zmartwień: przejmowała się pleśnią w prosie, pęknięciem na szkle, rzeczami, które nie miały szczególnego znaczenia.

Tylko ja obawiałam się, co będzie z Drogą Ciocią.

Pamiętam dzień, w którym Matka dostała niespodziewany list z Pekinu. Była to pora Wielkiego Upału, najszcześniejsza dla komarów, gdy pozostawione na słońcu owoce gniły w

niecałą godzinę. Prababcia nie żyła od ponad dziewięćdziesięciu dni. Siedzieliśmy w cieniu wysokiego drzewa na podwórku, czekając na nowiny.

Wszyscy znaleźmy nadawcę listu, Starą Wdowę Lau. Była kuzynką w ósmym stopniu pokrewieństwa ze strony Ojca i piątym stopniu ze strony Matki, na tyle jednak bliską, by uczestniczyć w rodzinnej ceremonii żałobnej. Przyjechała na pogrzeb Prababci i zawodziła tak głośno jak my wszyscy.

Matka nie umiała czytać, więc poprosiła GaoLing, a ja ukryłam rozczarowanie, że właśnie ją wybrano do tak odpowiedzialnego zadania. GaoLing przyglądała włosy, odchrząknęła, oblizała wargi i zaczęła czytać:

- "Droga Kuzynko, przesyłam pozdrowienia od wszystkich, którzy z wielką troską pytają o Twoje zdrowie". - GaoLing przebrnęła z trudem przez długą listę imion, od ledwo narodzonych dzieci po osoby, które, zdaniem Matki, musiały już nie żyć. Na następnej stronie nasza stara kuzynka napisała coś takiego: - "Wiem, że wciąż jesteś w żałobie i ze smutku prawie nie możesz jeść. Nie jest to zatem dobry czas, aby zaprosić was wszystkich do Pekinu. Zastanawiałam się jednak nad tym, o czym rozmawialiśmy podczas naszego ostatniego spotkania na pogrzebie".

GaoLing przerwała czytanie i spytała Matki:

- O czym rozmawialiście? - Ja też byłam ciekawa.

Matka trzepnęła GaoLing w rękę.

- Nie bądź taka wścibska. Czytaj, a powiem ci wszystko, co powinnaś wiedzieć.

- "Chciałabym pokornie cię prosić, aby Twoja córka numer jeden... - chodziło o mnie, więc spuchłam z dumy - przyjechała do Pekinu i przypadkowo poznała mojego dalekiego krewnego". - GaoLing spojrzała na mnie chmurnie, a mnie ucieszyła jej zazdrość. - "Ten krewniak - ciągnęła mniej przejętym głosem GaoLing - ma czterech synów, którzy są moimi siódmymi kuzynami w trzecim pokoleniu i noszą inne nazwisko. Mieszkają w tej samej wsi, co wy, ale z Tobą prawie w ogóle nie są spokrewnieni".

Gdy usłyszałam słowa "prawie w ogóle nie są spokrewnieni", wiedziałam, że to przypadkowe spotkanie ma na celu zbadanie, czy mogłabym wejść do tej rodziny poprzez małżeństwo. Miałam czternaście lat (według chińskiego kalendarza), a większość dziewcząt w moim wieku była już zamężna. Stara Wdowa Lau nie chciała zdradzić, o jaką rodzinę chodzi, dopóki nie nabierze pewności, czy nasza rodzina uzna, że owa propozycja będzie dla nas korzystna.

- "Szczerze mówiąc - pisała - sama nie pomyślałabym o tej rodzinie. Ale ojciec przyszedł do mnie, pytając o LuLing. Zapewne widzieli dziewczynę i jej uroda i łagodność zrobiły na nich wrażenie".

Moja twarz pokryła się rumieńcem. W końcu Matka dowiedziała się, co mówią o mnie inni. Być może także dostrzeże we mnie te zalety.

- Też chcę jechać do Pekinu - odezwała się GaoLing głosem skarżącego się kota.

- Ktoś cię zapraszał? - zganiła ją Matka. - Nie? A więc nie mów głupio, że chcesz jechać. - Gdy znowu jęknęła, Matka pociągnęła ją za warkocz, mówiąc: - Zamknij usta. - Po czym podała mi list, abym dokończyła czytanie.

Usiadłam prosto zwrócona twarzą do Matki i zaczęłam z uczuciem czytać:

- "Rodzina proponuje spotkanie w waszym sklepie z tuszem w Pekinie". - Przerwałam na chwilę, żeby posłać GaoLing triumfalny uśmiech. Nigdy nie widziałam sklepu, ona też nie. - "W ten sposób - ciągnęłam - gdyby nie doszło do zgodności interesów, żadna z rodzin nie zazna publicznego wstydu. Jeśli obie rodziny dojdą do porozumienia, wówczas będzie to błogosławieństwo bogów, w którym nie będzie żadnej mojej zasługi".

- Zasługi żadnej - prychnęła Matka. - Ale przyjmie mnóstwo prezentów.

Dalsza część listu brzmiała następująco:

- "Na pewno zgodzisz się, że trudno znaleźć dobrą synową. Może pamiętasz moją drugą synową? Ze wstydem przyznaję, że okazała się bez serca. Dziś dała do zrozumienia, że piastunka Twojej córki nie powinna jej towarzyszyć w podróży do Pekinu. Powiedziała, że jeśli ktoś zobaczy je razem, zapamięta tylko uderzającą szpetotę piastunki, a nie rozkwitającą urodę panienki. Oświadczyłam jej, że to nonsens. Wszakże pisząc ten list, zdaję sobie sprawę, że będzie kłopot z przyjęciem jeszcze jednej służącej, ponieważ moje skarżą się, że nie mogą się pomieścić w jednym łóżku. Może więc lepiej będzie, jeśli piastunka jednak nie przyjedzie. Wybacz, nic nie poradzę na ubóstwo mojego gospodarstwa...".

Dopiero gdy skończyłam czytać, spojrzałam zmieszana na Drogą Ciocię.

- Nieważne - powiedziała na migi. - Powiem jej później, że mogę spać na podłodze.

Odwróciłam się do Matki, czekając, co ma do powiedzenia.

- Odpisz Starej Wdowie Lau. Napisz, że wyprawię cię za tydzień. Sama bym cię zawiozła, ale jest sezon tuszu i mamy dużo pracy. Poproszę pana Weia, aby wziął cię swoim wozem. Zawsze pierwszego jedzie do Pekinu z towarem do sklepów z lekami i za niewielką sumę zgodzi się zabrać

dodatkowego pasażera.

Droga Ciocia zaczęła machać dłońmi, żeby zwrócić na siebie moją uwagę.

- Powiedz jej teraz, że nie możesz jechać sama. Kto sprawdzi, czy to będzie dobre małżeństwo? A jeżeli ta wścibska głupia kuzynka próbuje cię sprzedać za bezcen rodzinie biedaków jako drugą żonę? Poproś ją, żeby to przemyślała.

Pokręciłam głową. Bałam się rozgniewać Matkę niepotrzebnymi pytaniami i zmarnować okazję wyjazdu do Pekinu. Droga Ciocia pociągnęła mnie za rękaw. Nie zwróciłam na nią uwagi. Ostatnio zrobiłam tak kilka razy, co doprowadzało ją do wściekłości. Nie umiała mówić, a Matka nie umiała czytać, więc gdy nie chciałam pośredniczyć w rozmowie, Droga Ciocia nie była w stanie się z nią porozumieć.

Już w naszym pokoju Droga Ciocia zaczęła mnie błagać:

- Jesteś za młoda, żeby jechać sama. To bardziej niebezpieczne, niż ci się wydaje. Mogą cię zabić bandyci, odciąć ci głowę i nadziać na pał...

Nie odpowiadałam jej, nie kłóciłam się, nie dawałam pretekstu do dalszych wywodów. Ale tego dnia, nazajutrz i jeszcze następnego dnia jej ręce nie przestawały mnie przekonywać. Od czasu do czasu złościła się na to, co Stara Wdowa Lau napisała w liście.

- Tej kobiety nie obchodzi, co jest dla ciebie najlepsze. Wtyka nos w cudze sprawy dla pieniędzy. Niedługo będzie cuchnęła jak tyłki, które wacha.

Później Droga Ciocia wręczyła mi list, który miałam dać GaoLing, a ona miała odczytać go Matce. Skinęłam głową i gdy tylko wyszła z pokoju i znalazła się za rogiem korytarza, przeczytałam: "Poza strzelaninami i rozruchami niebezpieczne są także zarazki, których wiele krąży w powietrzu lata. W Pekinie ludzie zapadają na dziwne choroby, nieznanne u nas, od których LuLing mogą odpaść końce palców i nos. Na szczęście znam leki na takie przypadłości, więc LuLing po powrocie do domu nie przywiezie epidemii...".

Kiedy Droga Ciocia zapytała, czy oddałam list Matce, zmieniłam twarz i serce w kamień.

- Tak - skłamałam.

Droga Ciocia westchnęła z ulgą. Pierwszy raz uwierzyła w moje kłamstwo. Zastanawiałam się, co się w niej zmieniło, że tym razem nie wyczuła, że nie mówię prawdy. A może to ja się zmieniłam?

W wieczór poprzedzający dzień mojego wyjazdu Droga Ciocia stanęła przede mną, trzymając w dłoni list, który wcześniej zmiełam w kulę i wcisnęłam do kieszeni spodni.

- Co to ma znaczyć? - Złapała mnie za rękę.
- Puść - zaprotestowałam. - Nie możesz mi już mówić, co mam robić.
- Wydaje ci się, że jesteś taka mądra? Wciąż jesteś głu. pim dzieckiem.
- Nie. Już cię nie potrzebuję.
- Gdybyś miała rozum, tobyś mnie potrzebowała.
- Chcesz mnie tu zatrzymać tylko po to, żeby nie stracić posady piastunki.

Twarz jej pociemniała, jak gdyby się zakrztusiła.

- Posady? Myślisz, że jestem tu tylko z powodu marnej posady piastunki? Aj-ja! Nie chcę żyć, jeżeli mam słuchać rzeczy, które wygaduje to dziecko!

Dyszałyśmy ze wzburzenia. Zaczęłam krzyczeć o tym, co często słyszałam od Matki i ciotek:

- Ale żyjesz, nasza rodzina z dobroci ulitowała się nad tobą i ocaliła ci życie. Nie musieliśmy tego robić. Najmłodszy Wuj nigdy nie powinien próbować się z tobą zenić. Zrobił to i sprowadził nieszczęście. Dlatego zabił go własny koń. Wszyscy o tym wiedzą.

Jej ramiona opadły i pomyślałam, że przyznaje mi w ten sposób rację. W tej chwili czułam do niej podobną litość co do żebraków, którym nie potrafiłam spojrzeć w oczy. Czułam, że nareszcie jestem dorosła, a ona straciła nade mną władzę. Jak gdyby dawna ja patrzyła na nową mnie, podziwiając ogromną przemianę, jaką przesłam.

Nazajutrz rano Droga Ciocia nie pomogła mi zapakować tobołka z rzeczami. Nie przygotowała mi posiłku na drogę. Siedziała tylko na brzegu k'ang, nie chcąc na mnie podnieść oczu. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale zauważyłam, że ma czerwone i spuchnięte oczy. Serce we mnie zadrżało, ale nie zmieniłam postanowienia.

Dwie godziny przed świtem przyjechał pan Wei wozem zaprzężonym w osiołka i załadowanym klatkami z węzami, które wiozł do aptek. Zawiązałam na twarzy szal, by ochronić się przed słońcem. Gdy siadałam na koźle obok pana Weia, przed bramą domu zegnali mnie wszyscy z wyjątkiem Drogiej Cioci. Była tam nawet GaoLing z nieumytą twarzą.

- Przywieź mi lalkę! - zawołała. Mimo swoich trzynastu lat była jeszcze dzieckiem.

Cały dzień upłynął na podróży w tumanie kurzu. Ilekroć osioł stawał, żeby napić się wody, pan Wei zanurzał dużą szmatę w strumieniu i owijał sobie nią głowę, aby znaleźć trochę chłodu. Wkrótce zaczęłam to samo robić z moim szalem. W porze obiadu pan Wei wyciągnął blaszankę z pierożkami. Ja nie miałam nic. Nie chciałam prosić Starego Kucharza, żeby mi przygotował

jedzenie na drogę ze strachu, by nie powiedział Matce, że to prawdziwe utrapienie wysłać mnie do Pekinu. Oczywiście, pan Wei zaproponował mi poczęstunek, a ja udawałam, że nie jestem głodna. Potem proponował mi jeszcze dwa razy; trzeci raz już mnie nie częstował. Resztę drogi przebyłam z pustym żołądkiem i ośmioma klatkami z paskudnymi węzami.

Późnym popołudniem dojeżdżaliśmy do Pekinu. W jednej chwili ocknęłam się z apatii spowodowanej upałem i głodem. Gdy wjeżdżaliśmy na posterunek kontrolny, bałam się, że nas nie wpuszczą. Policjant w czapce przetrząsnął mój tobołek i zajrzał do klatek.

- Jaki jest powód waszego przyjazdu do Pekinu? - zapytał.

- Dostawa leków. - Pan Wei wskazał klatki z węzami.

- Małżeństwo - odpowiedziałam zgodnie z prawdą, a policjant odwrócił się do drugiego, powtórzył głośno moją odpowiedź i obaj wybuchnęli śmiechem. Potem nas puścili.

Wkrótce zobaczyłam w oddali wielki pomnik - łuk ze złotymi literami, błyszczącymi w słońcu. Minęliśmy go, wjeżdżając w ulicę szeroką jak najpotężniejsza z rzek. Przemykały obok nas riksze, których było więcej, niż kiedykolwiek w życiu widziałam. Nagle ujrzałam automobil, taki sam jak tamten z papieru, który Matka spaliła w ofierze Prababci. Zaczęłam porównywać wszystko, co dookoła widziałam, ze swoim dotychczasowym życiem. Rynki były większe i bardziej hałaśliwe. Ulice bardziej zatłoczone. Widziałam mężczyzn w długich kaftanach z grubo tkanego materiału, ale i w zachodnich garniturach. Ci wydawali się bardziej niecierpliwi, ważniejsi. Wiele dziewcząt miało na sobie zwiewne sukienki i nosiło fryzury jak sławne aktorki, z grzywką karbowaną niby suszony makaron. Wydawało mi się, że są ładniejsze od wszystkich dziewcząt z Nieśmiertelnego Serca. Mijaliśmy chodniki, na których stali handlarze sprzedający wszelkie rodzaje ptactwa, owadów i jaszczurek na patyku, dziesięć razy drożej niż najlepsze przekąski w naszym miasteczku. Nieco dalej zobaczyłam śliwodaktyle bardziej złote niż u nas, grubsze fistaszki, kandyzowane owoce głogu, lśniące i czerwone. Usłyszałam głośny trzask i ujrzałam smakowite wewnątrz świeżo rozłupanego melona. Ci, którzy skusili się na plaster, wyglądali na najbardziej zadowolonych z jedzenia melona ludzi, jakich w życiu widziałam.

- Jeśli nie przestaniesz się gapić, głowa ci się urwie - rzekł pan Wei.

Cały czas zapisywałam sobie wszystko w pamięci, żeby móc później opowiedzieć w domu, co widziałam. Wyobrażałam sobie oczarowanie wszystkich, podziw Matki, zazdrość GaoLing. W oczach Drogiej Cioci zobaczę pewnie rozczarowanie. Nie chciałyby, żeby podobało mi się w Pekinie. Przestałam więc o niej myśleć.

Pan Wei zatrzymywał się kilka razy, pytając o drogę do jakiegoś sklepu niedaleko ulicy Targu Lampionów, potem szukaliśmy jakiejś alei i wreszcie zatrzymaliśmy się przed bramą wiodącą na ciasny dziedziniec domu Starej Wdowy Lau. Wybiegły do mnie dwa ujadające psy.

- Aj! Czy to dziewczyna, czy posąg z żółtego błota? - powiedziała na powitanie Stara Wdowa Lau. Na szyi, rękach, wszędzie tam, gdzie ciało miało zgięcia i zmarszczenia, miałam ślady brudu. Stałam na otoczonym czterema ścianami podwórku, gdzie panował taki rwetes, że nikt nie zauważył mojego przyjazdu. Stara Wdowa Lau od razu mnie poinformowała, że kolacja jest prawie gotowa, więc powinnam się szybko umyć. Wręczyła mi poobijane wiadro i pokazała, gdzie jest pompa. Napelniając wiadro, przypominałam sobie, jak Matka mówiła kiedyś, że woda w Pekinie jest słodka. Spróbowałam, ale miała okropny, słonawy smak. Nic dziwnego, Droga Ciocia powiedziała mi kiedyś, że Pekin był dawniej pustynią po gorzkim morzu. W tej chwili uprzytomniłam sobie, że to pierwsza kąpiel, przy której nie będzie mi towarzyszyć Droga Ciocia. Gdzie jest wanna? Gdzie jest piec, na którym mogłabym zagrzać wodę? Za bardzo się bałam, żeby czegoś dotykać. Kucnęłam za szopą z mat i polałam sobie szyję zimną wodą, zła na Drogą Ciocię, że zrobiła ze mnie taką głupią dziewczynę, która teraz boi się pokazać, jaka naprawdę jest głupia.

Kiedy skończyłam, zdałam sobie sprawę, że nie pomyślałam o zabranii grzebienia i drewnianych patyczków do czyszczenia paznokci. Zawsze pamiętała o tym Droga Ciocia. To przez nią zapomniałam! Przynajmniej przywiozłam czystą koszulę i spodnie. Ale, oczywiście, gdy wyciągnęłam rzeczy z tobołka, były pogniecione i zakurzone.

Podczas wieczornego posiłku przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl. Pierwszy raz Droga Ciocia nie mówiła mi, co powinnam, a czego nie powinnam jeść. Cieszyłam się z tego. "Nie za dużo tłustych i ostrych rzeczy" - ostrzegałaby mnie. "Obsypią cię czyraki i dostaniesz innych chorób od wilgoci". Zjadłam więc kilka porcji wieprzowiny na ostro. Później jednak poczułam mdłości i przestraszyłam się, że w całym żołądku zrobiły mi się pęcherze.

Po kolacji usiadłam na podwórku ze Starą Wdową Lau i jej synową, słuchając bzyku komarów i głosów plotkujących. Odganiałam owady, przypominając sobie duży wachlarz, którym Droga Ciocia broniła nas przed upałem i komarami. Kiedy zaczęły mi się zamykać oczy, Stara Wdowa Lau powiedziała, żebym się położyła. Weszłam więc do nędznej szopy, w której był mój tobołek i sznurkowe posłanie. Przesuwając palcami po splotach rattanu, zdałam sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy: po raz pierwszy w życiu musiałam spać sama. Położyłam się i zamknęłam oczy. Zapadając już w nieświadomość, usłyszałam dobiegające spod ściany drapanie szczurów.

Wychyliłam się, żeby zobaczyć, czy w nogach łóżka stoją miseczki z terpentyną. Nie było ich. I znów zamiast poczuć wdzięczność wobec Drogiej Cioci za to, że zawsze dbała o takie rzeczy, obwiniałam ją w duchu, że jestem przez nią taka głupia.

Gdy się zbudziłam, nie było przy mnie nikogo, by sprawdzić mi uszy i paznokcie. Nie mając grzebienia, rozplatałam zmierzwiłone włosy palcami. Koszula i spodnie, w których musiałam spać, były przepocone, a nie miałam Przygotowanych żadnych czystych rzeczy. Nie był to stosowny strój na mające nastąpić tego dnia przypadkowe spotkanie. Rzeczy, jakie postanowiłam włożyć, może nie były zbyt odpowiednie, ale tylko tyle ze sobą zabrałam.

Byłam dorosła, a okazałam się niewiarygodnie bezradna i głupia. Oto jak wychowała mnie Droga Ciocia.

Gdy stanęłam przed Starą Wdową Lau, ta zakrzyknęła:

- Czy zamiast głowy masz pustą skorupę jaja? Dlaczego ubrałaś się w ocieplany kaftan i zimowe spodnie? I co się stało z twoimi włosami?

Co miałam odpowiedzieć? Że Droga Ciocia odmówiła mi rady? Prawda była taka, że wybierając strój, miałam na uwadze tylko to, aby zabrać najlepsze rzeczy, ozdobione najładniejszymi haftami. Poza tym w chłodzie poranka wcale nie wydawały się nieodpowiednie.

- Katastrofa! - mruknęła Stara Wdowa Lau, przerzucając moje bagaże. - Żal rodziny, która weźmie tę głupią dziewczynę za synową. - Pobiegła do swoich kufrów poszukać czegoś w strojach, które nosiła, gdy była młodsza. W końcu zdecydowała się na sukienkę pożyczoną od jednej ze swoich synowych, lekką chipao, która jeszcze nie wyszła z mody. Sukienka miała wysoki kołnier, krótkie rękawy i miała barwę liści lata - liliowa z trawiastozielonym wykończeniem i zapinkami. Potem Stara Wdowa Lau rozplotła mi potargane warkocze i rozczesła włosy zmoczoną grzebieniem.

W południe oznajmiła, że wychodzimy do sklepu z tuszem. Poinformowała służącą, że nie będziemy jeść obiadu w domu. Była pewna, że kuzyn, producent tuszu, podejmie wszystkich u siebie specjalnym poczęstunkiem.

- Jeżeli będzie tam druga rodzina - przestrzegła mnie - jedz każdego dania po troszeczkę, żeby pokazać, że nie jesteś wybredna, ale nie bądź też zachłanna. Niech najpierw częstują się inni, a ty masz się zachowywać, jakbyś była najmniej ważna.

Ulica Targu Lampionów była niedaleko Dzielnicy Glazurowania Naczyń, oddalona o pół godziny jazdy rikszą. Jednak Stara Wdowa Lau bała się, że spóźnimy się na spotkanie, jeśli nie

pozostawimy sobie kilku minut w zapasie.

- A zresztą - martwiła się na głos - co będzie, jeśli riksarz okaże się stary albo chromy? A jeżeli zacznie padać?

Chwilę po południu stanęłam przed naszym rodzinnym sklepem z tuszem, niecierpliwie oczekując spotkania z Ojcem. Stara Wdowa Lau płaciła riksarzowi, a raczej kłóciła się z nim, twierdząc, że nie powinien żądać tak dużo za dodatkowego pasażera, ponieważ jestem jeszcze małym dzieckiem.

- Małym dzieckiem? - sapnął riksarz. - Gdzie masz oczy, stara kobieto?

Wpatrywałam się w brzeg liliowej pożyczonej sukienki dotykałam ciasno zawiązanego koczka z tyłu głowy. Czułam się skrępowana, ale zarazem dumna, że riksarz uważa mnie za dorosłą kobietę.

Prawie każde drzwi na ulicy prowadziły do sklepu, a wszystkie wejścia z obu stron zdobiły czerwone transparenty z dwuwierszami na szczęście. Dwuwiersz obok naszego sklepu był szczególnie ładny. Napis zrobiono pochyłym pismem, którego uczyła mnie Droga Ciocia. Styl był bardzo ekspresyjny i miał więcej wspólnego z malarstwem niż z kaligrafią. Litery przypominały przygięte podmuchem wiatru gałęzie drzewa. Ich autor musiał być autentycznym artystą, człowiekiem prawdziwie kulturalnym, zasługującym na największy szacunek. Niechętnie przyznałam przed sobą, że napis musiał wyjść spod ręki Drogiej Cioci.

W końcu Stara Wdowa Lau skończyła się targować z riksarzem i mogłyśmy wejść do sklepu Ojca. Okna wychodziły na północ, w środku było więc trochę ciemno i zapewne dlatego Ojciec nie od razu nas zobaczył. Jego uwagę zaprzętał klient, dystyngowanie odziany mężczyzna, przypominający uczonego sprzed dwudziestu lat. Obaj pochylali się nad szklaną gablotą, dyskutując o jakości pałeczek. Powitał nas Starszy Wuj i poprosił, żebyśmy usiadły. Z jego oficjalnego tonu domyśliłam się, że nie poznał, kim jesteśmy. Nieśmiało zawołałam go po imieniu. Spojrzawszy na mnie uważniej, roześmiał się i powiedział o naszym przybyciu Młodszemu Wujowi, który zaczął przeproszać, że od razu nie wyszedł nas powitać. Pośpiesznie posadzili nas przy jednym z dwóch stolików dla klientów. Stara Wdowa Lau trzy razy odmawiała, wykrzykując, że mój ojciec i wujowie na pewno są zbyt zajęci, by przyjmować gości. Uczyniła niezdecydowany ruch, jakby chciała wyjść. Usiadłyśmy dopiero po czwartej prośbie. Potem Młodszy Wuj przyniósł nam gorącą herbatę i słodkie pomarańcze oraz wachlarze z plecionego bambusa, żebyśmy się mogły ochłodzić.

Staralam się zapamiętać każdy szczegół, aby móc potem opowiedzieć GaoLing wszystko, co widziałam, i napawać się jej zazdrością. Podłogi w sklepie były z ciemnego drewna, wypolerowanego i czystego, a mimo że panowała najbardziej sucha pora lata, nie widać było na niej ani śladu kurzu. Na ścianach wisiały witryny z drewna i szkła. Szkło mocno błyszczało, ani jedna szybka nie była pęknięta. W tych szklanych gablotach spoczywały opakowane w jedwab szkatułki, owoc naszej ciężkiej pracy. Wyglądały o wiele ładniej niż w naszej pracowni w wiosce Nieśmiertelnego Serca.

Zobaczyłam, że Ojciec otworzył kilka szkatulek. Na przykrytej jedwabiem szklanej witrynie, która służyła jako stolik, położył pałeczki, kostki i inne formy. Najpierw pokazał pałeczkę z zakończeniem w kształcie baśniowej łodzi i rzekł z uprzejmą powagą:

- Pańskie pismo będzie płynąć gładko jak dżonka po gładzi jeziora. - Wziąwszy pałeczkę z ptakiem, rzekł: - Pańska myśl poszybuje wysoko w obłoki. - Wskazał szerokim gestem kostki tuszu zdobione w piwonie i bambusy. - Pańskie księgi rozkwitną, a wysoki bambus zapewni panu spokój umysłu.

Gdy to mówił, pomyślałam o Drogiej Cioci. Przypominałam sobie, jak mnie uczyła, że wszystko, nawet tusz, ma swój cel i znaczenie: dobry tusz nie może być płynny jak woda, w każdej chwili gotów wylać się z butelki. Nie można być artystą, jeśli praca przychodzi bez wysiłku. W tym kłopot z nowoczesnym tuszem z butelki. Wówczas nie trzeba myśleć. Piszesz to, co pływa z wierzchu umysłu. A na wierzchu jest tylko rzęsa, martwe liście i jaja komarów. Ale kiedy potrzęsiesz pałeczką tuszu o kamień, robisz pierwszy krok, by oczyścić umysł i serce. Pocierasz i zadajesz sobie pytanie - jaki jest mój zamiar? Co mam w sercu i umyśle?

Przypominałam to sobie, a jednak tego dnia w sklepie słuchałam, co mówi Ojciec, i jego słowa stały się o wiele ważniejsze od tego, co myślała Droga Ciocia.

- Proszę spojrzeć - rzekł do klienta Ojciec i ja też spojrzałam. Obracał pałeczkę w świetle. - Oto właściwy odcień, fioletowoczarny, nie brązowy ani szary jak w tanich gatunkach, które może pan znaleźć na tej ulicy. I proszę posłuchać. - Usłyszałam dźwięk czysty i krystaliczny jak srebrny dzwoneczek. - Wysoki ton mówi, że sadza jest delikatna, gładka jak brzeg starych rzek. I zapach - czuje pan tę równowagę siły i subtelności, wszystkie nuty aromatu tuszu? Jest drogi i każdy, kto zobaczy, że pan go używa, będzie wiedział, że jest wart swojej ceny.

Byłam bardzo dumna, że Ojciec mówi w ten sposób o tuszu naszej rodziny. Wciągnęłam gorące powietrze i poczułam silną woń przypraw i kamfory.

- Ta sadza - ciągnął Ojciec - jest znacznie lepsza od sosny z Anhui. Robimy ją z drzewa tak rzadkiego, że dziś nie wolno go już ścinać. Na szczęście mamy zapas ścięty dla nas przez piorun, pobłogosławiony przez bogów. - Ojciec spytał klienta, czy słyszał o czaszce starożytnego człowieka wykopanej w kamieniołomach pod Wzgórzem Smoczej Kości. Stary uczoney skinął głową. - Otóż nasza rodzina pochodzi z wioski oddalonej o jedno wzgórze od tego miejsca - wyjaśnił Ojciec. - Powiadają, że drzewa w naszej wsi mają więcej niż milion lat! Skąd o tym wiadomo? Proszę pomyśleć. Kiedy ci ludzie sprzed miliona lat wędrowali wokół Wzgórza Smoczej Kości, czy nie potrzebowali drzewa, by pod nim usiąść? Żeby dawało im cień? Nie potrzebowali drzewa na ogień? Na stolki, stoły i łóżka? Mam rację? Tak więc my, ludzie z wioski obok Wzgórza Smoczej Kości, daliśmy im to, czego potrzebowali. A teraz tylko my jesteśmy w posiadaniu tego, co pozostało ze starożytnych drzew. Nazywamy to drewnem z Nieśmiertelnego Serca.

Ojciec wskazał na półki.

- Niech pan spojrzy, na tej półce są pałeczki z tylko jedną szczyptą sadzy z tego drewna, więc kosztują mniej. W tym rzędzie mamy pałeczki z dwiema szczyptami. A w tej szkatułce jest prawie tylko sadza z drewna Nieśmiertelnego Serca. Tusz wchodzi w pędzelek łatwo jak nektar w nozdrza motyla.

Klient kupił w końcu kilka najdroższych pałeczek i wyszedł ze sklepu. Miałam ochotę klaskać, jakbym zobaczyła przedstawienie dla bogów.

Ojciec podszedł do nas, do mnie. Wstałam z krzesła z mocno bijącym sercem. Nie widziałam go od pogrzebu Prababci, czyli od ponad trzech miesięcy. Zastanawiałam się, czy powie coś o moim dorosłym wyglądzie.

- Co? Czyżby już była piąta po południu? - zapytał. Na to Stara Wdowa Lau podskoczyła i krzyknęła:

- Jesteśmy za wcześnie! Powinnyśmy wyjść i wrócić później!

W ten sposób dowiedziałam się, że miałyśmy przyjść o piątej, nie o pierwszej. Stara Wdowa Lau tak się przejęła wytknięciem jej pomyłki, że ojciec musiał nalegać pięć razy, by znów usiadła. Potem moi wujowie przynieśli więcej herbaty i pomarańczy, ale i tak sytuacja była krępująca.

Po chwili Ojciec zwrócił uwagę na mnie, wyrażając troskę.

- Jesteś taka chuda - powiedział. A może mówił, że wyglądam na dość pulchną.

Później zapytał mnie o zdrowie Matki, potem o GaoLing i moich młodszych braci, dalej o

różne ciotki i szwagierki. Dobrze, świetnie, doskonale, skrzeczałam jak kaczką. W tym nowym stroju trudno mi było odpowiadać naturalnie. Wreszcie spytał, czy już jadłam. Chociaż czułam się, jakbym miała zaraz zemdleć z głodu, nie miałam okazji odpowiedzieć, ponieważ Stara Wdowa Lau zaczęła krzyczeć:

- Najadłyśmy się do syta, chyba pękniemy! Proszę, nie rób sobie więcej kłopotu. Wracajcie spokojnie do pracy.

- Wcale nie jesteśmy zajęci - odrzekł przez grzeczność Ojciec. - W każdym razie nie tak, żeby nie móc poświęcić czasu rodzinie.

Stara Wdowa Lau rzekła jeszcze uprzejmie:

- Naprawdę musimy już iść... ale przedtem, spytam cię, czy słyszałeś o... - I zaczęła nerwowo opowiadać o jakichś dalekich krewnych.

Gdy wymieniła co najmniej pięciu czy sześciu krewniaków, ojciec odstawił filiżankę i podniósł się.

- Kuzynko Lau, gdzie moje dobre wychowanie? Nie powinienem cię dłużej zmuszać, żebyś mnie zabawiała. Wiem, że przyszłaś za wcześnie, więc może przejdziecie się z moją córką ulicami miasta i będziecie podziwiać wspaniałe widoki. - Wręczył mi kilka monet na słodycze i pierożki, ostrzegając mnie, że bym była dobra dla Starszej Ciotki i nie męczyła jej za bardzo. - Nie śpieszcie się powiedział do niej. - Nie musicie zaraz pędzić z powrotem tylko przez wzgląd na nas.

Stara Wdowa Lau poczuła się zażenowana zrzecznością, z jaką została odprawiona. Ja byłam zachwycona. I zaraz potem znalazłyśmy się w palącym upale.

Na tej samej ulicy znajdował się stragan z pierożkami, gdzie można było usiąść na ławeczce. Jadłam łapczywie, a Stara Wdowa Lau narzekała, że od gorąca i wilgoci puchną jej nogi.

- Niedługo będą miękkie i bezużyteczne jak zgniłe banany - mówiła. Z oszczędności nie chciała jechać do domu przy ulicy Targu Lampionów riksą, ponieważ zaraz musiałybyśmy wracać. Martwiła się jednak na głos, abyśmy nie wróciły do sklepu na piątą na "przypadkowe" spotkanie z językami wywieszonymi jak u zarobaczonych ulicznych psów. - Tylko się nie spóć - ostrzegła mnie.

Zaczęłyśmy spacerować, szukając cienia. Słuchając jednym uchem narzekań Starej Wdowy Lau, przyglądałam się mijającym nas ludziom: młodzieńcom, którzy wyglądali na studentów albo uczniów rzemieślniczych, starym Mandzurkom, objuczonym ciężkimi tobołkami, dziewczętom o modnych krótkich fryzurach i w zachodnich strojach. Wszyscy chodzili szybkim,

zdecydowanym krokiem, zupełnie inaczej niż ludzie u nas. Od czasu do czasu Stara Wdowa Lau szturchała mnie w ramię, warcząc:

- Nie gap się tak dookoła, jakbyś była zacofaną wieśniaczką.

Kontynuowałyśmy więc naszą wędrówkę, dwie ulice na wschód, potem dwie na północ, później znów dwie na wschód. Moja stara kuzynka miała nadzieję, że dzięki tej metodzie nie zabłądzimy. Niebawem znalazłyśmy się w parku, gdzie alejki ocieniały wierzby płaczące, i zatrzymałyśmy się nad stawem pokrytym pływającymi kwiatami i drgającymi larwami. Stara Wdowa Lau usiadła na ławce w cieniu drzewa i zaczęła się energicznie wachlować, narzekając, że za chwilę wybuchnie jak za długo pieczony batat. Po krótkiej chwili głowa opadła jej na pierś i kuzynka zasnęła.

Niedaleko stał pawilon z wewnętrznymi ścianami, zrobionymi z ciemnych drewnianych kratownic, i ciężkim, krytym dachówką dachu, który podtrzymywały rzędy kolumn. Wcisnęłam się w róg pawilonu, za filar, starając się być nieruchoma i niewidoczna jak jaszczurka. Stamtąd obserwowałam człowieka, który mistrzowsko władał mieczem. Ujrzałam starszka, który wygrywał melodie na metalowym grzebieniu, a stara kobieta obok niego obrała pomarańczę i próbowała złapać motyla, który poszybował w kierunku skórki. Po drugiej stronie schodów nad małym stawkiem siedziało dwoje młodych ludzi, udając, że podziwiają kaczkę, gdy tymczasem koniuszki ich palców stykały się ukradkiem. Był tam także cudzoziemiec, choć w pierwszej chwili nie mogłam tego stwierdzić, ponieważ był ubrany w strój uczonego, długą letnią szatę i spodnie. Oczy miał szare jak mętna woda. Za innym filarem piastunka gruchała do dziecka, starając się je zmusić, by na nią spojrzało, lecz dziecko wrzeszczało, próbując odwrócić się z powrotem w stronę cudzoziemca. Do drzewa zbliżył się inny mężczyzna, bardzo elegancko ubrany i o nienagannyh manierach, i rozsunał zasłony klatki, której przedtem nie zauważyłam. Natychmiast zaczęły śpiewać uwięzione w środku ptaki. Miałam wrażenie, jakbym weszła do świata, który ma tysiąc lat, i że zawsze tu byłam, tylko dopiero teraz otworzyłam oczy i go ujrzałam.

Zostałam w pawilonie, aż niemal opustoszał. Nagle usłyszałam krzyki Starej Wdowy Lau, która wołała mnie po imieniu.

- Ze strachu o mało ze skóry nie wyskoczyłam - skarciła mnie, ściskając mocno za ramię.

Gdy wracałyśmy do sklepu Ojca, byłam już zupełnie inną dziewczyną. W głowie miałam burzę piaskową, myśli i nadzieje fruwały w niej bez ładu i składu. Cały czas zastanawiałam się, co ludzie w pawilonie będą pamiętać nazajutrz i następnego dnia. Bo ja wiedziałam, że nigdy nie

zapomnę ani chwili z tego dnia, w którym miałam rozpocząć nowe życie.

Tak jak planowała Stara Wdowa Lau, moja przyszła teściowa przypadkiem przechodziła obok sklepu punktualnie o piątej. Kobieta była młodsza od Matki. Miała surowe oblicze i krytyczne spojrzenie. Na przegubach nosiła mnóstwo złota i nefrytu, żeby pokazać, jaka jest ważna. Kiedy Stara Wdowa Lau ją zawołała, kobieta najpierw wyglądała na zaskoczoną, a potem się ucieszyła.

- Co za szczęście, że cię tu spotykamy! - wykrzyknęła wysokim głosem Stara Wdowa Lau.
- Kiedy przyjechałaś do Pekinu?... Ach, z wizytą do kuzynki? A co w Nieśmiertelnym Sercu? - Gdy już ochłonęliśmy z udawanego zdumienia, Stara Wdowa Lau przedstawiła kobietę Ojcu i moim wujom. Tak bardzo starałam się nie okazywać żadnych emocji, że nie usłyszałam nazwiska kobiety.

- Oto Najstarsza Córka mojego kuzyna, Liu LuLing - powiedziała Stara Wdowa Lau. - Ma piętnaście lat.

- Czternaście - poprawiłam, a Stara Wdowa Lau zgromiła mnie wzrokiem, po czym dodała:
- Prawie piętnaście. W tym tygodniu zwiedza Pekin. Rodzina mieszka w Nieśmiertelnym Sercu, ale tuż sprzedają w Pekinie. Jak widzisz - szerokim gestem pokazała wnętrze sklepu - interes idzie całkiem dobrze.

- To w części także zasługa pani męża - powiedział Ojciec. - Większą część tego wspaniałego drewna kupujemy od niego.

- Naprawdę? - spytały jednocześnie Stara Wdowa Lau i kobieta. Nastawiłam uszu, zaciekawiona tym, że moja rodzina zna tę rodzinę.

- Owszem. Kupujemy drewno kamforowe u pana Changa - ciągnął Ojciec. - A przy mniej szczęśliwych okazjach także trumny, zawsze w najlepszym gatunku.

Chang trumniarz. Rozległy się nowe okrzyki miłego zaskoczenia, a ja wyobraziłam sobie Drogą Ciocię, jak bombarduje pięściami powietrze. Nigdy nie pozwoli mi wyjść za nikogo z tej rodziny. A potem przypomniałam sobie, że to nie ona miała decydować.

- My także myślimy o otwarciu interesu w Pekinie - powiedziała pani Chang.

- Doprawdy? Może będziemy wam mogli jakoś pomóc - zaofiarował się uprzejmie Ojciec.

- Nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu - odrzekła pani Chang.

- To żaden kłopot - odparł Ojciec.

- Powinniście się spotkać i omówić tę sprawę - zasugerowała w odpowiednim momencie

Stara Wdowa Lau.

Gdy pani Chang zamilkła, rozmyślając nad tym wspaniałym pomysłem, Ojciec dodał:

- W każdym razie bardzo chętnie porozmawiam z pani mężem na temat smoczycich kości, które ofiarował naukowcom, przyczyniając się do wielkiego odkrycia Człowieka z Pekinu.

Pani Chang skinęła głową.

- Nie mogliśmy uwierzyć, że te brzydkie kosteczki są tak cenne. Na szczęście nie zjedliśmy ich jako lekarstwo.

Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym weszła do tej bogatej i znanej rodziny. GaoLing chorowałaby z zazdrości. Matka zaczęłaby mnie traktować ze szczególną czułością. Oczywiście, Changowie prawdopodobnie nie pozwoliliby Drogiej Cioci zostać piastunką ich przyszłych wnuków, zwłaszcza gdyby nadal pluła i wymachiwała na oślep rękami, słysząc ich nazwisko.

W końcu postanowiono, że Stara Wdowa Lau, Ojciec i ja powinniśmy odwiedzić dom w Pekinie należący do kuzyna Changów, gdzie moglibyśmy zobaczyć niezwykle kamienie w ogrodzie. Była to dobra nowina dla Starej Wdowy Lau, bo znaczyła, że Changowie widzą we mnie przyszłą synową. A ja cieszyłam się, bo dzięki temu mogłam zostać dłużej w Pekinie.

Dwa dni później wieczorem poszliśmy do domu kuzyna na przyjęcie z Oglądaniem Księżyca. Ubrałam się w drugą pożyczoną sukienkę. Siedziałam spokojnie, niewiele jadłam, mówiłam jeszcze mniej. Pan Chang, który przyjechał z Nieśmiertelnego Serca, rozmawiał z Ojcem na temat Człowieka z Pekinu.

- Wszystkie części czaszki muszą zostać w Chinach - mówił Ojciec. - Tak należy zrobić, zresztą tak uzgodniono z cudzoziemcami.

- Ci cudzoziemcy - powiedział Chang. - Nie można wierzyć, że dotrzymają słowa. Znajdą sposób, żeby wykraść kilka kawałków. Potem wymyślą pretekst, podpiszą nowe traktaty, będą wywierać presję.

- Żaden traktat nie zmieni faktu, że Człowiek z Pekinu jest Chińczykiem i powinien zostać tu, gdzie żył i umarł.

Nagle pan Chang dostrzegł mnie siedzącą na krześle ogrodowym.

- Może pewnego dnia razem pójdziemy znaleźć więcej kawałków Człowieka z Pekinu. Jak sądzisz?

Energicznie pokiwałam głową.

Następnego dnia jechałam do domu zadowolona. Nigdy nie czułam się taka ważna. Nie

przyniosłam wstydu Starej Wdowie Lau ani swojej rodzinie. Właściwie odniosłam wielki triumf. Ojciec trochę mnie krytykował za jakieś drobiazgi. Wiedziałam, że jest ze mnie dumny. Stara Wdowa Lau chwaliła się przed swoimi synowymi, że z moją urodą i manierami mogłabym mieć z dziesięć propozycji małżeństwa. Była pewna, że w ciągu tygodnia mogę się spodziewać swatki od Changów.

Choć nie poznałam jeszcze czwartego syna Changów, który był pod Wzgórzem Smoczej Kości, wiedziałam, że jest starszy ode mnie o dwa lata. Podobnie jak pozostali synowie, pomagał ojcu w wyrobie trumien. Co więcej, mówiło się, że to właśnie najmłodszy syn może rozwinąć działalność w Pekinie, tak jak nasza rodzina zaczęła sprzedawać tam tusz. Oznaczałoby to, że zamieszkać w Pekinie.

Podczas rozmów nie pytałam, czy mój przyszły mąż jest mądry, wykształcony czy dobry. W ogóle nie myślałam o romantycznej miłości. Nic nie wiedziałam o takim uczuciu. Wiedziałam za to, że od małżeństwa zależy, czy w życiu osiągnę lepszą czy gorszą pozycję. Sądząc po manierach Changa i bizuterii, jaką nosiła pani Chang, miałam się stać znacznie ważniejszą osobą. Co w tym mogło być złego?

Pan Wei przyjechał po mnie przed świtem. Niebo było ciemne, a powietrze jeszcze wolne od zgniłych zapachów lata. W wozie zaczęłam marzyć, jak odmienię swoje życie. Oczywiście, na początku trzeba będzie zmienić stroje. Powinnam też chronić twarz przed słońcem. Nie chciałam wyglądać jak ciemnowłosa wieśniaczka. Przecież byliśmy rodziną rzemieślników i kupców, pochodzącą ze starego klanu i bardzo szanowaną.

Zanim zgasły gwiazdy i weszło słońce, Pekin zniknął z horyzontu i przykryty kurzem krajobraz znów stał się nudny.

Kilka godzin później wóz pokonał ostatnie wzgórze, za którym kryło się Nieśmiertelne Serce. Usłyszałam pianie kogutów, wycie psów, wszystkie znajome odgłosy naszej wioski.

Pan Wei zaczął na całe gardło śpiewać ludową pieśń miłosną i zdawało się, że za chwilę pękną mu płuca. Za zakrętem natknęliśmy się na pasterza Wu, który zaganiał swoje stado. Na owce padały spomiędzy drzew promienie słoneczne późnego popołudnia. Wu uniósł kij, pozdrawiając głośno pana Weia i mnie. W tym momencie całe jego stado ruszyło ławą w jednym kierunku, jak niosąca burzę chmura, a mnie ogarnął lęk przed wielkim niebezpieczeństwem. Przypomniałam sobie, jak Matka mówiła kiedyś cicho o pasterzu, że jest wdowcem i potrzebuje nowej żony, żeby tkala jego wełnę. Niemal czułam grudki żółtego piasku Gobi, wyobrażając sobie, jak przebieram

palcami tę wełnę. Czulałam cuchnącą woń owiec, którą przesiąkają moje palce i kości. Patrzyłam na uśmiechniętego, wymachującego kijem pasterza i wiedziałam, że jestem zdecydowana wyjść za syna Changów. Być może okaże się jednookim idiotą. Trudno. Przynajmniej zostanę synową sławnej rodziny, która prowadzi interesy w Pekinie.

Myśli buntują się przeciw temu, co znajome i drogie, bardzo szybko, nie trzeba na to więcej czasu niż tyle, ile trwa złamanie cienkiej gałązki. Za chwilę miałam wrócić do mojego dawnego domu, ale wcale nie myślałam z czułością o miejscu, w którym dorastałam. Zwróciłam za to uwagę na odrażający smród pastwiska dla świń, ziemię zrytą w wielu miejscach przez poszukiwaczy smoczycy kości, dziury w ścianach, błoto przy studniach, kurz na niebrukowanych drogach. Zauważyłam, że wszystkie mijane przez nas kobiety, młode i stare, mają tak samo nijakie twarze, senne oczy, w których odbijają się ich senne umysły. Życie każdego było bliźniaczo podobne do życia sąsiada. Każda rodzina była równie ważna jak rodzina obok, czyli niezbyt ważna. Mieszkali tu wieśniacy, naiwni i praktyczni, którzy bardzo powoli poddawali się zmianom, za to skłonni byli myśleć, że niepokój biegających mrówek to znak nieszczęścia zesłany przez bogów. Nawet Droga Ciocia wydawała mi się taka sama - wieśniaczka o ociężałym umyśle.

Przypomniałam sobie zabawne powiedzenie o życiu w sennej wsi: jeśli nie masz nic innego do roboty, zawsze możesz wybierać robactwo z ryżu. Kiedyś się z tego śmiałam - Dziś stwierdziłam, że to prawda.

Pan Wei wciąż głośno śpiewał swoje piosenki, gdy wjeżdżaliśmy na plac. A potem dotarliśmy na Zaulek Świńskiej Głowy. Mijałam znajome twarze, słuchając pozdrowień wypowiedzianych schryplymi od piasku głosami. Gdy zbliżaliśmy się do zwężenia, gdzie stał nasz dom, usłyszałam łomot własnego serca. Zobaczyłam naszą bramę - łuk z łuszczącego się drewna, wyblakłą czerwień transparentów z dwuwierszami, zawieszonych na filarach.

Ale gdy tylko pchnęłam bramę, moje serce wróciło na swoje miejsce i zatęskniłam za spotkaniem z Drogą Ciocią. Na pewno uraduje ją mój widok. Płakała, kiedy odjeżdżałam. Wbiegłam na dziedziniec od frontu.

- Wróciłam! Już wróciłam!

Weszłam do pracowni i ujrzałam Matkę i GaoLing.

- Ach, tak wcześnie? - powiedziała Matka, nie przerywając pracy. - Kuzynka Lau przysłała mi list z wiadomością, że spotkanie się udało i Changowie zapewne cię wezmą.

Kipiałam z niecierpliwości, żeby im opowiedzieć o swoich przygodach, o radościach, jakie

przeżyłam. Jednak Matka powstrzymała mnie:

- Umyj się szybko, żebyś mogła pomóc swojej młodszej siostrze i mnie to zetrzeć.

GaoLing zmarszczyła nos, mówiąc:

- Uu, masz zapach jak zad osła.

Poszłam do pokoju, który dzieliłam z Drogą Ciocią. Wszystko wyglądało tak jak zwykle, kołdra była złożona w nogach k'ang. Ale Drogiej Cioci nie było. Chodziłam od pokoju do pokoju, zaglądałam na każdy dziedziniec. Z każdą chwilą coraz bardziej pragnęłam ją zobaczyć.

Nagle usłyszałam dobiegający z piwniczki stukot garnka. Droga Ciocia w ten sposób chciała dać mi znak, że tam jest. Zajrzałam do tunelu, do którego prowadziła stroma drabina. Droga Ciocia pomachała do mnie, a gdy wynurzyła się z cienia, zobaczyłam, że wciąż ma sylwetkę dziewczyny. Przez krótką chwilę widziałam tylko połowę jej twarzy oświetloną blaskiem słońca i znów była tak piękna, jak mi się wydawało w dzieciństwie. Wyszła z otworu piwnicy, odstawiła garnek i pogładziła mnie po twarzy, a jej ręce powiedziały:

- Naprawdę wróciłaś do mnie, Piesku? - Pociągnęła mnie za potargany warkocz i prychnęła. - Nie zabrałaś grzebienia? Nie miał kto ci przypomnieć? Rozumiesz, dlaczego jestem ci potrzebna. Sama nie umiesz myśleć! - Dźgnęła mnie palcem w głowę, co bardzo mnie rozdrażniło. Poślinionym palcem starła mi brud z policzka, a potem położyła dłoń na czole. - Jesteś chora? Zdaje się, że masz gorączkę.

- Nie jestem chora - odrzekłam. - Ciepło mi. - Wróciła do rozplątywania moich zmierzwionych włosów. Zerknęłam na jej grube blizny, wykrzywione usta.

Odsunęłam się od niej.

- Sama potrafię się myć i czesać - powiedziałam. Zaczęła wydawać syki.

- Wystarczył tydzień z dala od domu, żebyś się stała taka dorosła?

- Oczywiście - odburknęłam. - Przecież niedługo zostanę mężatką.

- Słyszałam. I to nie drugą, ale pierwszą żoną. To dobrze. Dobrze cię wychowałam, każdy od razu to może zobaczyć.

Wiedziałam już, że Matka nie zdradziła jej nazwiska rodziny. Musiała je prędzej czy później usłyszeć.

- To rodzina Changów - powiedziałam, przyglądając się, jak wiadomość uderza ją niczym miecz. - Zgadza się, rodzina Changa trumniarza.

Wydała dźwięk, jakby tonęła. Jej głowa zakołysała się jak dzwon. Po chwili jej ręce

zaczęły ciąć powietrze.

- Nie możesz. Zabraniam ci.

- Nie ty będziesz o tym decydować! - krzyknęłam.

Uderzyła mnie otwartą dłonią, potem popchnęła na ścianę. Zaczęła okładać moje ramiona i głowę. W pierwszej chwili skuliłam się z piskiem, próbując się zasłonić. Poczułam jednak ogarniającą mnie złość. Odepchnęłam ją, prostując się. Moja kamienna twarz nie wyrażała nic, co bardzo ją zdumiało. Patrzyłyśmy na siebie, oddychając ciężko. Nie poznawałyśmy się już nawzajem. Padła na kolana, bijąc się w pierś, co w jej języku oznaczało "to na nic".

- Muszę iść pomóc Matce i GaoLing - powiedziałam, po czym odwróciłam się i odeszłam.

DUCH

Tak jak się spodziewaliśmy, Changowie zwrócili się do naszej rodziny z pytaniem, czy mogę zostać ich synową. Stara Wdowa Lau dodała, że jeżeli zgodzę się od razu, rodzina otrzyma w darze pieniądze, a ja będę występować jako synowa Changów na wszystkich uroczystościach rodzinnych i wiejskich, w tym na największej, która odbędzie się w dniu Święta Księżyca na cześć pana Changa za jego zasługi dla nauki.

- Powinna iść od razu - radziły Matce Starsza i Młodsza Ciotka. - W przeciwnym razie później mogą zmienić zdanie. Co będzie, jeżeli odkryją coś złego w niej albo w jej przeszłości i zapragną zerwać umowę małżeństwa?

Sądziłam, że mówią o moim braku zdolności do szycia czy jakiejś knąbrności, o której zapomniałam, ale nie. Mówiły wtedy o moich narodzinach. Wiedziały, kto naprawdę jest moją matką. Changowie ani ja nie wiedzieliśmy.

Matka postanowiła, że zostanę członkiem rodziny Changów dopiero za kilka tygodni, przed uroczystością Święta Księżyca. Zapewniła mnie, że zdąży w tym czasie wraz z ciotkami uszyć kołdry i inne rzeczy potrzebne mi w nowym życiu. Ogłosivszy tę nowinę, zapłakała z radości.

- Dobrze z tobą postąpiłam - powiedziała z dumą. - Nikt nie będzie mógł narzekać.

GaoLing także płakała. Choć sama również uroniłam parę łez, nie wszystkie były wyrazem radości. Miałam opuścić rodzinę, swój dom. Miałam się zmienić z dziewczyny w żonę, z córki w synową. Mimo że byłam bardzo szczęśliwa, smutno było się żegnać z dawną sobą.

Droga Ciocia i ja nadal mieszkaliśmy w jednym pokoju i dzieliłyśmy łóżko. Ale już nie przygotowywała mi kąpeli ani nie przynosiła słodkiej wody ze studni. Nie pomagała mi się czesać, nie martwiła się moim zdrowiem ani czystością paznokci. Nie ostrzegała mnie, nie doradzała. Jej ręce przestały do mnie mówić.

Spaliśmy w k'ang jak najdalej od siebie. Jeżeli zbudziłam się bezwiednie przytulona do jej znajomego ciała, cicho się odsuwałam, zanim zdążyła się obudzić. Co dzień rano miała zaczerwienione oczy, wiedziałam więc, że płakała. Moje oczy też czasem były czerwone.

Kiedy Droga Ciocia nie pracowała przy tuszu, pisała, wypełniając arkusz za arkuszem. Siedziała przy swoim stole, rozcierając pałeczkę tuszu w kamieniu i myślała, nie wiem o czym. Potem zanurzała pędzelek i pisała, zatrzymywała się na chwilę i znów zanurzała. Słowa spływały

na papier bez kleksów, skreśleń i poprawek.

Kilka dni przed moim odejściem do domu Changów zbudziłam się i ujrzałam Droga Ciocię, która siedziała, patrząc na mnie. Uniosła ręce i zaczęła mówić. - Teraz pokażę ci prawdę.

Podeszła do niskiej drewnianej szafki i wyciągnęła z niej pakunek owinięty niebieskim materiałem. Położyła mi go na kolanach. W środku był gruby zwój papierów związanych sznurkiem. Spojrzała na mnie z dziwną miną i wyszła z pokoju.

Zerknęłam na pierwszą stronę. "Urodziłam się jako córka Sławnego Nastawiacza Kości z Ust Góry" - brzmiało pierwsze zdanie. Przejrzałam dalsze stronicę. Pisała o tradycjach rodzinnych, o stracie matki i rozpacz ojca, czyli o rzeczach, o których już mi opowiadała. Potem odnalazłam zdanie: "Teraz opowiem ci, ile zła naprawdę jest w człowieku nazwiskiem Chang". Natychmiast rzuciłam papiery na ziemię. Chciałam, żeby Droga Ciocia więcej nie zatruwała moich myśli. Nie przeczytałam więc końca, w którym wyjawiała mi, że jest moją matką.

Podczas wieczornego posiłku Droga Ciocia zachowywała się, jak gdybym znów była bezradna. Palczkami wkładała do mojej miseczki kawałki jedzenia.

- Jedz jeszcze - poleciła. - Dlaczego nie jesz ? Jesteś chora ? Chyba jest ci ciepło. Masz gorące czoło. Dlaczego jesteś taka blada?

Po kolacji wszyscy jak zwykle poszliśmy na podwórko. Matka i ciotki wyszywały mój ślubny strój. Droga Ciocia cerowała dziurę w moich starych spodniach. Odłożyła igłę i pociągnęła mnie za rękaw.

- Przeczytałaś, co ci napisałam ?

Skinęłam głową, nie mając ochoty klócić się z nią przy wszystkich. Kuzynki, GaoLing i ja bawiłyśmy się w tkanie, zaplatając sznurki wokół palców. Wciąż się myliłam, na co GaoLing wyła z uciechy, że Changowie dostaną taką niezdarną synową. Słyszac to, Droga Ciocia posyłała mi surowe spojrzenia.

Wieczór ciągnął się dalej. Słońce zaszło, zaczęły rozbrzmiewać dźwięki ciemności, cykanie, skrzypienie i łopot skrzydeł nieznanymi stworzeń. Wcześniej, niż bym sobie życzyła, przyszła pora udania się na spoczynek. Chciałam, żeby Droga Ciocia poszła pierwsza. Po dłuższym czasie, sądząc, że już zasnęła, weszłam do ciemnego pokoju.

Droga Ciocia natychmiast usiadła i zaczęła coś do mnie mówić.

- Nie widzę twoich rąk - powiedziałam. Gdy poszła zapalić lampę naftową, zaprotestowałam. - Nie trzeba. Jestem senna. Nie chcę teraz rozmawiać.

Jednak zapaliła lampę. Podeszłam do k'ang i położyłam się. Podążyła za mną, postawiła lampę na półce, kucnęła i spojrzała na mnie z rozjaśnioną twarzą.

- Skoro przeczytałaś moją historię, co teraz do mnie czujesz? Bądź szczerą.

Chrząknęłam. To wystarczyło, żeby klasnęła w dłonie i pokłoniła się Bogini Miłosierdzia w podziękowanie za to, że ocaliła mnie przed Changami. Przerywając jej dziękczynne modlitwy, powiedziałam:

- Ale i tak do nich pójdę.

Przez długi czas nie ruszała się. Potem zaczęła płakać i bić się w piersi. Jej ręce migają:

- Nie masz dla mnie żadnych uczuć? Dla mnie? Pamiętam dokładnie, co wtedy powiedziałam:

- Gdyby nawet Changowie okazali się rodziną złodziei i morderców, wolę iść do nich, żeby tylko uciec od ciebie.

Oparła się dłońmi o ścianę. A potem zdmuchnęła lampę i wyszła z pokoju.

Rano jej nie było. Ale nie martwiłam się. W przeszłości kilka razy wychodziła, gdy się na mnie złościła, ale zawsze wracała. Na śniadaniu również jej nie było. A więc tym razem jej złość była większa niż dawniej. Niech się złości, powiedziałam sobie. Nie zależy jej na moim przyszłym szczęściu. Tylko Matce. Na tym polega różnica między matką a piastunką.

Tak właśnie myślałam, idąc za Matką z ciotkami i GaoLing do pracowni. Gdy weszliśmy do ciemnego pomieszczenia, zobaczyliśmy nieopisany bałagan. Plamy na ścianach. Plamy na stole. Długie zacieki na podłodze. Czyżby wpadło tu jakieś dzikie zwierzę? Skąd ten zgniły słodki zapach? Nagle Matka zaczęła jęczeć:

- Nie żyje! Ona nie żyje!

Kto nie żyje? Zaraz potem zobaczyłam Drogą Ciocię. Górna połowa jej twarzy była biała jak kreda, jej szalone oczy patrzyły prosto na mnie. Siedziała przechylona, oparta o przeciwległą ścianę.

- Kto nie żyje? - zawołałam do Drogiej Cioci. - Co się stało?

Podeszłam do niej. Miała rozpuszczone i wzburzone włosy, a dopiero potem dostrzegłam, że jej szyję obsiadły muchy. Patrzyła prosto na mnie, lecz jej ręce leżały nieruchomo. W jednej spoczywał nóż, którym rzeźbiło się kamienie do tuszu. Zanim zdążyłam jej dotknąć, odepchnęła mnie jedna z lokatorek, żeby mieć lepszy widok.

Tylko tyle pamiętam z tamtego dnia. Nie wiem, jak znalazłam się z powrotem w swoim

pokoju, w swoim k'ang. Kiedy zbudziłam się w ciemności, zdawało mi się, że nadal jest ranek poprzedniego dnia. Usiadłam i zadrżałam, otrząsając się z koszmarne go snu.

Drogiej Cioci nie było w k'ang. Przypomniałam sobie, że była na mnie zła i poszła spać gdzie indziej. Próbowałam zasnąć z powrotem, ale nie potrafiłam spokojnie leżeć. Wstałam i wyszłam. Niebo było usiane gwiazdami, w żadnym pokoju nie paliła się lampa, nawet stary kogut nie wydał najmniejszego dźwięku. Nie było jeszcze ranka, ale głęboka noc, i zastanawiałam się, czy chodzę we śnie. Przeszłam przez podwórko, kierując się do pracowni, ponieważ przypuszczałam, że Droga Ciocia śpi tam na stole. Potem przypomniałam sobie dalszą część koszmaru: czarne muchy ucztujuące na jej szyi, pełznące po jej ramionach jak ruchome włosy. Bałam się tego, co mogę ujrzeć w pracowni, a jednak drżącymi rękami zapaliłam lampę.

Ściany były czyste. Podłoga także. Drogiej Cioci nie było. Z ulgą wróciłam do łóżka.

Kiedy obudziłam się drugi raz, było rano i na brzegu k'ang siedziała GaoLing.

- Bez względu na wszystko - powiedziała z zalaną łzami twarzą - zawsze będę cię traktować jak siostrę. - Potem powiedziała mi, co się stało, a ja słuchałam, jak gdybym wciąż śniła.

Poprzedniego dnia przyszła pani Chang z listem, jaki dostała od Drogiej Cioci. Dostała go w środku nocy.

- Co to ma znaczyć? - pytała żona trumniarza. W liście była mowa o tym, że jeśli pójdę do domu Changów, Droga Ciocia zamieszka w nim jako duch i będzie ich straszyć wiecznie. - Gdzie jest kobieta, która to wysłała? - spytała ostrym głosem pani Chang, uderzając dłonią w list.

Gdy Matka powiedziała jej, że piastunka właśnie się zabiła, żona Changa wybiegła śmiertelnie przerażona.

GaoLing mówiła, że później Matka przypadła do ciała Drogiej Cioci, które wciąż opierało się o ścianę pracowni.

- Tak mi się odpłacasz? - wołała. - Traktowałam cię jak siostrę. Twoją córkę traktowałam jak własną. - Zaczęła kopać ciało za tysiące niewypowiedzianych słów podziękowań i przeprosin.

~ Matka oszalała z gniewu - powiedziała GaoLing. - Mówiła do ciała Drogiej Cioci: "Jeżeli nas będziesz straszyć, sprzedam LuLing do domu publicznego".

Później kazała Staremu Kucharzowi położyć ciało na taczkach i zrzucić z urwiska.

- Leży tam teraz - powiedziała GaoLing. - Twoja Droga Ciocia leży na Końcu Świata.

Po wyjściu GaoLing nadal nie rozumiałam wszystkiego, o czym mówiła, jednak już wiedziałam. Znalazłam kartki zapisane przez Drogą Ciocię. Przeczytałam je do końca. I nareszcie

znalazłam te słowa. Twoją matką. Jestem twoją matką. Twoją matką.

Tego dnia poszłam na Koniec Świata poszukać jej. Ześlizgując się w dół, czułam, jak gałęzie i kolce ranią moją skórę. Zeszłam na dno urwiska, gorączkowo pragnąc ją odnaleźć. Słyszałam granie cykad i łopot skrzydeł sępów. Skierowałam się w stronę gęstych zarośli, gdzie sięgały rosnące ukośnie drzewa, opadając wraz z brzegiem urwiska. Zobaczyłam mech - a może to były jej włosy? Wysoko na gałęziach widziałam gniazdo - a może to jej ciało zawisło na konarze? Natknęłam się na kupkę gałęzi - a może to jej kości, rozrzucone już przez wilki?

Skręciłam i poszłam w inną stronę, kierując się linią ściany urwiska. Mignęły mi strzępki materiału - jej ubranie? Ujrzałam wrony, które niosły w dziobach jakieś kawałki - jej ciała? Doszłam do bezdrzewnej połąci ziemi, poznaczonej kopczykami kamieni - tysiące kawałków jej czaszki i kości. Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam jej roztrzaskane i porozrywane ciało. Ja to zrobiłam. Przypominałam sobie klątwę wiszącą nad jej rodziną, moją rodziną, smocze kości, które nie zostały zwrócone na miejsce pochówku. Chang, ten okropny człowiek, chciał, abym wyszła za jego syna tylko po to, żebym mu powiedziała, gdzie znaleźć więcej tych kości. Jak w swojej głupocie mogłam się wcześniej nie domyślić?

Szukałam jej aż do zmierzchu. Oczy miałam zapuchnięte od pyłu i łez. Nie znalazłam jej. Wspinając się z powrotem na szczyt, byłam już dziewczyną, która zgubiła na Końcu Świata kawałek siebie.

Przez pięć dni nie mogłam się ruszać. Nie mogłam jeść. Nie mogłam nawet płakać. Leżałam w pustym k'ang i czułam tylko powietrze ulatujące z mojej piersi. Kiedy zdawało mi się, że już nic nie zostało, z mojego ciała wciąż coś wysysało oddech. Czasem nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Nie chciałam uwierzyć. Skupiłam się, aby wywołać obraz Drogiej Cioci, usłyszeć jej kroki, zobaczyć jej twarz. Jej twarz widziałam tylko we śnie, zawsze wykrzywioną gniewem. Mówiła, że klątwa wisi już nade mną i nigdy już nie zaznam spokoju. Byłam skazana na wieczną zgryzotę. Szóstego dnia zaczęłam płakać i nie przestawałam od rana do wieczora. Gdy wreszcie nic nie czułam, podniosłam się z łóżka i wróciłam do życia.

Nikt już nie wspominał ani słowem o tym, że mam odejść do domu Changów. Umowę małżeńską odwołano, a Matka przestała udawać, że jestem jej córką. Nie wiedziałam, czy należę jeszcze do tej rodziny, i gdy czasem Matka była ze mnie niezadowolona, groziła, że sprzeda mnie w niewolę staremu, choremu na gruźlicę pasterzowi. Nikt nie mówił o Drogiej Cioci, ani żywej, ani martwej. Choć ciotki zawsze wiedziały, że jestem jej nieślubną córką, nie żałowały mnie jako

opłakującego stratę matki dziecka. Kiedy nie mogłam powstrzymać się od łez, odwracały twarze, znajdując nagle bardzo pilne zajęcie dla oczu i palców.

Tylko GaoLing odzywała się do mnie nieśmiało.

- Jesteś jeszcze głodna? Jak nie chcesz tego pierożka, ja go zjem.

I pamiętam jeszcze to: często, gdy leżałam w k'ang, GaoLing przychodziła do mnie i nazywała mnie Starszą Siostrą. Gładziła mnie po ręce.

Dwa tygodnie po śmierci Drogiej Cioci przez bramę przebiegła czyjaś postać, wyglądająca jak ścigany przez diabła żebrak. Był to Młodszy Wuj z Pekinu. Ubranie i oczy miał pokryte sadzą. Gdy otworzył usta, dobył się z nich zduszony krzyk.

- Co się stało? Co się stało? - wołała Matka, wybiegając z piwnicy.

Wszyscy inni też wybiegli z pracowni, potykając się. Zjawili się też niektórzy lokatorzy, a za nimi pełzające dzieci i szczekające psy.

- Nie ma - powiedział Młodszy Wuj. Szczękał zębami, Jakby było mu zimno. - Wszystko spalone. Koniec z nami.

- Spalone? - krzyknęła Matka. - O czym ty mówisz? Wuj opadł na ławkę, krzywiąc w rozpacz twarzy.

- Sklep przy ulicy, kwatery za sklepem, wszystko obróciło się w popiół.

GaoLing zacisnęła dłoń na mojej ręce.

Kawałek po kawałku Matka i ciotki wydobywały z niego szczegóły zdarzenia. Zeszłej nocy, mówił, do Ojca przyszła Droga Ciocia. Miała rozpuszczone włosy, z których kapwały lzy i czarne krople krwi, a Ojciec natychmiast się domyślił, że nie jest zwykłym snem, tylko duchem.

- Liu Jin Senie! - zawołała Droga Ciocia. - Czy drewno kamforowe jest dla ciebie cenniejsze od mojego życia? Niech zatem drewno buchnie ogniem, tak jak ja.

Ojciec machnął ręką, aby ją odgonić, ale przewrócił lampę olejową, która mu się nie śniła, lecz stała na stoliku obok łóżka. Usłyszawszy hałas, Starszy Wuj usiadł i zapalił zapałkę, żeby zobaczyć, co się wylało na podłogę. Młodszy Wuj mówił, że w tym momencie Droga Ciocia wyrwała mu zapałkę pomiędzy palców. Buchnęła fontanna płomieni. Starszy Wuj krzyczał do Młodszego Wuja, aby pomógł mu zgasić ogień. Podobno przez sztuczkę Drogiej Cioci, zamiast dzbanka zimnej herbaty, Młodszy Wuj wylał na ogień słój wina pai gar. Płomienie skoczyły wyżej. Ojciec i obaj wujowie zbudzili synów śpiących w sąsiednim pokoju; potem wszyscy stali na podwórku, przyglądając się, jak ogień trawi ich posłania, transparenty przy drzwiach, ściany. Im

więcej pożerały płomienie, tym większy odczuwały głód. Zakradły się do sklepu po nowy łup. Pożarły zwoje słynnych uczonych, którzy pisali naszym tuszem. Liznęły owinięte w jedwab szkatułki z najdroższymi pałeczkami tuszu. Gdy z pałeczek wyciekła żywica, ogień ryknął z radości, zabierając się do uczy z jeszcze większym apetytem. W ciągu godziny fortuna naszej rodziny uniosła się do bogów, zmieniając się w kadzidło, popiół i trujący dym.

Matka, Starsza Ciotka i Młodsza Ciotka zasłaniały sobie dłońmi uszy, jak gdyby tylko w ten sposób mogły pozostać przy zdrowych zmysłach.

- Los zwrócił się przeciw nam! - wołała Matka. - Czy może być coś gorszego?

Młodszy Wuj, śmiejąc się i płacząc, rzekł, że rzeczywiście może.

Budynki obok naszego sklepu również zaczęły płonąć. W sklepie od wschodu sprzedawano stare książki naukowe a budynek od zachodu po same krokwie był wypełniony dziełami malarzy. W środku pomarańczowej nocy sklepikarze wyrzucali swoje towary na pokrytą popiołem ulicę. Potem przyjechała straż ogniowa. Wszyscy pomagali i wylewali w powietrze tyle wiader wody, że zdawało się, jakby padał deszcz. I później rzeczywiście spadł rześisty deszcz, niszcząc uratowane towary, ale ratując resztę dzielnicy przed spalaniem.

Zanim Młodszy Wuj skończył opowiadać, Matka, moje ciotki i GaoLing przestały łkać. Wyglądały, jak gdyby z ich stóp uciekła krew i kości. Chyba czuły się tak jak ja, gdy w końcu zrozumiałam, że Droga Ciocia nie żyje.

Matka pierwsza odzyskała zmysły.

- Zabierzcie z piwnicy srebrne sztabki - powiedziała do nas. - I zbierzcie razem całą swoją cenną biżuterię.

- Po co? - zdziwiła się GaoLing.

- Nie bądź głupia. Inni sklepikarze zmuszą naszą rodzinę do zapłacenia za szkody. - Matka popchnęła ją. - Do dzieła, pośpiesz się. - Ściągnęła bransoletkę z przegubu GaoLing. - Zasyjcie biżuterię w rękawach najgorszych kaftanów. Wydrąźcie najtwardsze dzikie jabłka i włóżcie do środka złoto. Jabłka załadujcie na wóz i przysypcie zgniłymi. Kucharzu, sprawdź, czy lokatorzy mogą nam sprzedać jakieś taczki, nie targuj się zanadto. Niech każdy zrobi tobolek, ale nie zabiera drobiazgów... - Byłam zdumiona szybkością myśli Matki, jak gdyby była przyzwyczajona biec dwa kroki przed falą powodzi.

Nazajutrz do domu wrócili Ojciec, Starszy Wuj i ich synowie. Z brudnymi twarzami i w czarnych ubraniach już wyglądali jak nędzarze. Starsza Ciotka i Młodsza Ciotka Przypadły do

nich, przekrzykując się nawzajem:

- Stracimy dom?
- Będziemy głodować?
- Naprawdę musimy uciekać?

Młodsze dzieci zaczęły płakać. Ojciec zachowywał się jak głuchoniemy. Usiadł na swoim krześle z drewna wiązowego, pocierając rękę i oświadczając, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek posiadał i stracił. Tego wieczoru nikt nie jadł. Nie zebraliśmy się na podwórku, żeby odetchnąć wieczornym wiatrem. GaoLing i ja spędziłyśmy noc razem, rozmawiając i płacząc, przysięgając sobie, że umrzemy razem jako siostry. Wymieniłyśmy na znak przysięgi szpilki do włosów. Jeżeli nawet sądziła, że winna naszych nieszczęść jest Droga Ciocia, nie mówiła o tym, jak reszta rodziny. Nie winiła mnie za to, że Droga Ciocia zjawiała się w ich życiu z powodu moich narodzin. Przeciwnie, GaoLing powiedziała mi, że powinnam się cieszyć z tego, że Droga Ciocia już nie żyje i nie będzie cierpieła z powodu powolnej śmierci z głodu i wstydu, jaka nas czekała. Zgodziłam się, jednak wołałabym, żeby była ze mną. Ale była na Końcu Świata. A może rzeczywiście krążyła po ziemi, szukając zemsty?

Następnego dnia w naszej bramie zjawił się jakiś człowiek i wręczył Ojcu list z pieczęciami. Napisano skargę, obarczając naszą rodzinę odpowiedzialnością za pożar i szkody. Urzędnik powiedział, że gdy tylko właściciele zniszczonych sklepów sporządzą listę strat, podadzą kwotę sędziemu, który powiadomi nas, jak mamy uregulować dług. Tymczasem, powiedział, nasza rodzina powinna przedstawić akt własności na dom i ziemię. Ostrzegł nas, że ogłosi o tym we wsi, żeby ludzie wiedzieli i mogli na nas donieść, gdybyśmy próbowali uciekać.

Po wyjściu urzędnika czekaliśmy, co powie nam Ojciec. Opadł ciężko na swoje krzesło. Wówczas Matka zapowiedziała:

- Koniec z nami. Nie zmienimy losu. Dzisiaj idziemy na rynek, jutro będziemy ucztować.

Matka dała nam wszystkim ogromne kieszonkowe, jakiego nigdy nie dostaliśmy przez całe życie. Powiedziała, że mamy nakupić jedzenia, owoców i słodczy, przysmaków i tłustych mięs, wszystkiego, czego sobie zawsze odmawialiśmy, ale na co zawsze mieliśmy ochotę. Zbliża się Święto Księżycy, więc nasze zakupy nie będą niczym niezwykłym, ponieważ tłum ludzi przygotowuje się do świątecznej uczy.

Z okazji święta odbywały się jarmarki z występami żonglerów i akrobatów, byli sprzedawcy lampionów i zabawek oraz więcej niż zazwyczaj oszustów i paskarzy. Przepychając

się przez hordy kupujących, trzymałyśmy się z GaoLing za ręce. Widziałyśmy zapłakane dzieci, które się zgubiły, i mężczyzn o wyglądzie łotrów, którzy bezczelnie się nam przyglądali. Droga Ciocia zawsze mnie ostrzegała przed bandytami z dużych miast, którzy kradną głupie wiejskie dziewczęta i sprzedają w niewolę. Zatrzymałyśmy się przy straganie z ciasteczkami księżycowymi. Były czerstwe. Wzgardziłyśmy szarą wieprzowiną. Zajrzałyśmy do słoików z kawałkami tofy, które były lepkie i śmierdziały. Miałyśmy pieniądze i wolno nam było kupić, co tylko zechcemy, ale nie potrafiłyśmy znaleźć nic dobrego i wszystko wydawało się zepsute. Wędrowałyśmy w tłumie ściśnięte jak cegły w murze.

Później znalazłyśmy się w Zaułku Żebraków, gdzie nigdy przedtem nie byłam. Co krok widziałyśmy jakąś żalostną postać: człowieka z ogoloną głową, bez rąk i nóg, którego korpus kołysał się na plecach jak żółw na skorupie. Chłopca bez kości z nogami owiniętymi wokół szyi. Karła, którego policzki, brzuch i uda przekłuwały długie igły. Wszyscy żebracy lamentowali tak samo:

- Proszę, młoda panienko, starszy bracie, zlituj się nad nami. Daj nam pieniędzy, a w swoim przyszłym życiu nie będziesz cierpieć jak my.

Niektórzy z przechodzących chłopców śmiali się, większość ludzi odwracała oczy, a monety rzucały im tylko stare babcie, które niedaleko już miały do innego świata. GaoLing, wczepiwszy się w moje ramię, szepnęła:

- Czy taki los nas właśnie czeka?

Odwracając się, żeby odejść, zderzyłyśmy się z jeszcze jedną nieszczęśnicą. Dziewczyna nie była starsza od nas, ubrana w wystrzępione łachmany z powiązanych pasków materiału, w których wyglądała jak odziana w kostium starożytnego wojownika. Tam gdzie powinna mieć oczy, widniały dwie zapadłe jamy pokryte zmarszczoną skórą. Zaczęła zawodzić:

- Moje oczy za dużo widziały, więc je wylubiłam. Teraz nie widzę i przychodzi do mnie to, co niewidzialne.

Potrząsnęła przed nami pustą miseczką.

- Duch chce z wami rozmawiać.

- Jaki duch? - spytałam od razu.

- Ktoś, kto był dla ciebie jak matka - odrzekła równie prędko dziewczyna.

GaoLing ze zdumienia wstrzymała oddech.

- Skąd wie, że Droga Ciocia była twoją matką? - szepnęła do mnie, po czym zwróciła się do

dziewczyny: - Powiedz nam, co mówi duch.

Ślepa dziewczyna uniosła miseczkę i potrząsnęła nią. GaoLing wrzuciła monetę. Dziewczyna przechyliła miseczkę, mówiąc:

- Wasza hojność niewiele waży.
- Najpierw pokaż nam, co potrafisz - powiedziała GaoLing.

Dziewczyna kucnęła na ziemi. Z postrzępionego rękawa wydobyla woreczek, rozwiązała i wysypała zawartość na ziemię. Był to wapienny piasek. Z drugiego rękawa wyciągnęła długi cienki patyczek. Wygładziła nim piasek, aż stał się równy niczym lustro. Przyłożywszy ostry koniec patyczka do ziemi i zwróciwszy niewidzące oczy w stronę nieba, zaczęła pisać. Kucnęłyśmy obok niej. Jak żebraczka mogła się tego nauczyć? Nie była to zwykła sztuczka. Jej dłoń poruszała się pewnie, znaki były równe, jak gdyby wyszły spod ręki zręcznego kaligrafa. Przeczytałam pierwszy wers.

Wyje pies, wschodzi księżyc.

- Piesek! Tak mnie nazywała - powiedziałam do dziewczyny.

Znów wygładziła biały piasek i pisała dalej: Gwiazdy wiecznie przeszywają ciemność. Spadające gwiazdy, tak napisał w wierszu dla niej Najmłodszy Wuj. Kolejny ruch pałeczki, kolejny wers: Pieje kogut, wschodzi słońce. Droga Ciocia była Kogutem. A potem dziewczyna napisała ostatni wers: Za dnia zda się, że gwiazdy nigdy nie istniały. Poczułam smutek, lecz nie wiedziałam, dlaczego. Dziewczyna jeszcze raz wyrównała piasek i powiedziała:

- Duch nie ma ci nic więcej do powiedzenia.
- To wszystko? - spytała z wyrzutem w głosie GaoLing. - Te słowa nie mają żadnego sensu.

Ale ja podziękowałam dziewczynie i włożyłam do jej miseczki wszystkie monety, jakie miałam w kieszeni. Gdy wracałyśmy do domu, GaoLing zapytała, dlaczego dałam tyle pieniędzy za jakieś bzdury o psie i kogucie. Z początku nie odpowiadałam. Powtarzałam wszystkie wersy w myślach, żeby ich nie zapomnieć. Za każdym razem coraz lepiej rozumiałam ich sens i czułam się coraz nie - szczęśliwsza.

- Droga Ciocia powiedziała, że jestem psem, który ją zdradził - odezwałam się w końcu do GaoLing. - Księżyc oznacza tamten wieczór, gdy jej powiedziałam, że zostawię ją i pójdę do Changów. Gwiazdy wiecznie przeszywają ciemność, bo to jest trwała rana, której nie będzie mogła nigdy zapomnieć. Zanim zapiał kogut, już nie żyła. Aż do jej śmierci nie wiedziałam, że jest moją matką, jak gdyby nigdy nie istniała.

- To tylko jedno znaczenie - zauważyła GaoLing. - Są jeszcze inne.

- No to co? - zapytałam. Nie wiedziała jednak, co powiedzieć.

Gdy wróciłyśmy do domu, Matka i Ojciec oraz nasze ciotki i wujowie skupili się na podwórku, rozmawiając w podnieceniu. Ojciec opowiadał, jak na targu spotkał taoistycznego kapłana, niezwykłego i dziwnego człowieka. Kiedy go mijał, kapłan zawołał:

- Wygląda pan, jak gdyby pański dom nękał duch!

- Dlaczego tak twierdzisz? - spytał Ojciec.

- Ale to prawda! - upierał się człowiek. - Czuję, że prześladowuje pana pech, który nie ma żadnych przyczyn. Mam rację?

- Mieliśmy w rodzinie samobójstwo - przyznał Ojciec. - Piastunka, której córka miała wyjść za mąż.

- Potem nastąpiły kolejne nieszczęścia.

- Owszem, kilka złych wydarzeń - odrzekł Ojciec. Stojący obok młody człowiek spytał Ojca, czy słyszał kiedyś o Sławnym Łowcy Duchów.

- Nie? Oto i on, wędrowny kapłan, stoi przed panem we własnej osobie. Właśnie przyjechał do waszego miasteczka, nie jest więc jeszcze tak znany jak na dalekiej północy i południu. Ma pan krewnych w Harbinie? Nie? Otóż to! Gdyby pan miał, wiedziałby pan, kto to jest. - Młody człowiek, który przedstawił się jako pomocnik kapłana, dodał: - Słynie z tego, że tylko w tamtym mieście schwytał już sto duchów, które nawiedzały domy. Kiedy skończył, bogowie powiedzieli mu, by wyruszył w dalszą drogę.

Na koniec opowieści o spotkaniu z tymi ludźmi Ojciec dodał:

- Dziś po południu Sławny Łowca Duchów przyjdzie do naszego domu.

Kilka godzin później Sławny Łowca Duchów i jego pomocnik stali na podwórku naszego domu.

Kapłan miał białą brodę, a jego długie włosy piętrzyły się niczym niedbale uwite ptasie gniazdo. W jednej ręce trzymał laskę z rzeźbioną rączką, która wyglądała jak obdarty ze skóry pies, rozpięty nad bramą. W drugiej ręce dzierżył krótki kij. Na ramionach miał sznurkowy szal z zawieszonym na nim dużym drewnianym dzwonem. Jego szata nie była z bawełny koloru piasku, jaką najczęściej widywałam u wędrownych mnichów, ale z drogiego błękitnego jedwabiu, choć na rękawach widniały ślady tłuszczu, jak gdyby kapłan często sięgał przez stół, by dołożyć sobie więcej jedzenia.

Patrzyłam chciwie, jak Matka częstuje go specjalnymi zimnymi daniami. Było późne popołudnie i siedzieliśmy na niskich stołkach na podwórku. Mnich częstował się wszystkim - szklistym makaronem ze szpinakiem, pędami bambusa z marynowaną gorczycą, tofu z olejem sezamowym i kolendra. Matka cały czas przepraszała za kiepską jakość jedzenia, powtarzając, jaki to dla nas wstyd, a jednocześnie wielki zaszczyt gościć go w naszym nędznym domu. Ojciec pił herbatę.

- Proszę nam powiedzieć, jak to się robi - zwrócił się do kapłana. - Jak się łapie duchy? Chwyta się je rękami? Czy to gwałtowna lub niebezpieczna walka?

Kapłan odrzekł, że wkrótce nam pokaże.

- Najpierw jednak muszę mieć dowód waszej szczerości. Ojciec dał słowo, że mówimy szczerą prawdę.

- Słowa to nie dowód.

- Jak można udowodnić szczerość? - spytał Ojciec.

- W niektórych przypadkach rodzina mogłaby pójść stąd na szczyt góry Tai i z powrotem, boso i z ładunkiem kamieni.

Wszyscy, zwłaszcza moje ciotki, zdawali się wątpić, by ktokolwiek z nas mógł to zrobić.

- W innych przypadkach - ciągnął mnich - wystarczy mała ofiara z czystego srebra, która przesądzi o szczerości wszystkich członków najbliższej rodziny.

- Mała ofiara, to znaczy ile? - zapytał Ojciec. Kapłan zmarszczył brwi.

- Sami wiecie, czy wasza szczerość jest mała, czy wielka, udawana czy prawdziwa.

Mnich jadł dalej. Matka i Ojciec poszli do innego pokoju, by omówić rozmiary swojej szczerości. Gdy wrócili, Ojciec otworzył sakiewkę, wyciągnął z niej srebrną sztab - kę i położył przed Sławnym Łowcą Duchów.

- Dobrze - rzekł kapłan. - Niewielka szczerość jest lepsza niż żadna.

Potem Matka wyciągnęła z rękawa sztabkę. Kiedy położyła ją obok pierwszej, rozległ się cichy brzęk. Mnich pokiwał głową, odstawiając miseczkę. Klasnął w dłonie, a pomocnik wydobyl ze swojego tobołka pusty słój po occie i kłębek sznurka.

- Gdzie jest dziewczyna, którą duch kochał najbardziej? - zapytał kapłan.

- Tam. - Matka wskazała na mnie. - Duch był jej piastunką.

- Jej matką - poprawił Ojciec. - Dziewczyna jest jej bękartem.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, by ktoś wymówił to słowo na głos, i czułam się, jakby za

chwilę krew miała mi wytrysnąć uszami.

Mnich cicho chrząknął.

- Proszę się nie martwić. Miałem już równie źle przypadki. - Potem zwrócił się do mnie: -
Przynieś mi grzebień, którym czesała twoje włosy.

Moje stopy były jak przykute do ziemi, dopóki Matka nie stuknęła mnie lekko w głowę, abym się pośpieszyła. Poszłam więc do pokoju, który tak długo dzieliłam z Droga

Ciocią. Wzięłam grzebień, którym tyle razy układała moje włosy. Był to grzebień z kości słoniowej, którego nigdy nie nosiła, z wyrzeźbionymi na obu końcach kogutami oraz długimi i prostymi zębami. Przypomniałam sobie, jak Droga Ciocia ganiła mnie za rozczochną czuprynę, troszcząc się o każdy włos z osobna.

Wróciwszy do nich, spostrzegłam, że pomocnik postawił pośrodku podwórka słój po occie.

- Przeczesz włosy grzebieniem dziewięć razy - powiedział.

Uśluhałam go.

- Włóż go do słója.

Wrzuciłam grzebień do środka, czując opary taniego octu.

- Teraz stój zupełnie bez ruchu. - Łowca Duchów uderzył kijem w drewniany dzwon.

Rozległ się głęboki dźwięk kwak, kwak. Kapłan i pomocnik zaczęli chodzić w rytm uderzeń, okrążając mnie, śpiewając i podchodząc coraz bliżej. Bez ostrzeżenia Łowca Duchów wydał okrzyk i skoczył w moją stronę. Myślałam, że chce mnie wcisnąć do słója, więc zamknęłam oczy i wrzasnęłam. To samo zrobiła GaoLing.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że pomocnik zabija słój drewnianym wieczkiem. Potem owinął słój sznurkiem, od góry do dołu, od dołu do góry, a potem wokoło, aż słój wyglądał jak gniazdo szerszeni. Następnie Łowca Duchów stuknął w słój kijem i rzekł:

- Zrobione. Została złapana. Proszę, spróbujcie otworzyć. Nie da się.

Wszyscy się przyglądali, lecz nikt nie miał odwagi dotknąć.

- Duch nie może uciec? - spytał Ojciec.

- To niemożliwe - odparł Łowca Duchów. - Zaręczam, że słój przetrwa kilka długości życia.

- Powinien dłużej - powiedziała gderliwym tonem Matka. - Za to, co zrobiła, powinna siedzieć w słóju co najmniej na zawsze. Spaliła nasz sklep. Niemal zabiła naszą rodzinę. Wpędziła nas w długi.

Plakałam, niezdolna wykrztusić słowa w obronie Drogiej Cioci. Zdradziłam ją.

Następnego dnia nasza rodzina urządziła sobie ucztę złożoną z najwykwintniejszych potraw, których w tym życiu niedane już nam będzie zakosztować. Ale nikt z wyjątkiem najmłodszych dzieci nie miał apetytu. Matka wynajęła człowieka do robienia zdjęć, żebyśmy mieli pamiątkę z czasów, gdy żyliśmy w dostatku. Chciała mieć jedną fotografię tylko z GaoLing. W ostatniej chwili GaoLing uparła się, żebym i ja stanęła obok Matki, która nie była tym zachwycona, lecz nic nie powiedziała. Następnego dnia Ojciec i obaj wujowie pojechali do Pekinu dowiedzieć się, jakim odszkodowaniem będzie obciążona nasza rodzina.

Podczas ich nieobecności uczyliśmy się jeść wodnisty kleik ryżowy, urozmaicony tylko kilkoma kęsami zimnych dań. Mniej pragnąc to mniej żałować, brzmiało motto Matki. Mniej więcej tydzień później na podwórku zjawił się Ojciec, zawodząc jak obłąkany.

- Urządź następną ucztę! - krzyknął. Dołączyli do niego wujowie:

- Koniec naszego pecha! Żadnego odszkodowania! Tak postanowił sędzia - nie płacimy żadnego odszkodowania!

Pobiegliśmy do nich wszyscy - dzieci, ciotki, lokatorzy i psy.

Jak to możliwe? Słuchaliśmy wyjaśnień Ojca. Otóż gdy właściciele innych sklepów przynieśli swoje towary do kontroli, sąd odkrył, że jeden miał rzadkie książki, które skradziono z Akademii Hanlin przed trzydziestu laty. Inny, który twierdził, że ma dzieła mistrzów kaligrafii i malarstwa, w rzeczywistości handlował falsyfikatami. Potem sędziowie uznali, że pożar był odpowiednią karą dla tych dwóch złodziei.

- Łowca Duchów miał rację - zakończył Ojciec. - Ducha już nie ma.

Tego wieczoru wszyscy jedli z apetytem, z wyjątkiem mnie. Inni śmiali się i rozmawiali, wyzbyci już wszystkich trosk. Zdawali się zapomnieć, że nasz tusz zmienił się w węgiel drzewny, a sklep w unoszony wiatrem popiół. Mówili, że ich los się odwrócił, bo Droga Ciocia waliła głową w cuchnące wnętrze słoja po occie.

Nazajutrz rano GaoLing powiedziała mi, że Matka chce natychmiast ze mną rozmawiać. Zauważyłam, że od śmierci Drogiej Cioci Matka przestała nazywać mnie córką. Nie krytykowała mnie. Jak gdyby się bała, że ja także mogę się zmienić w ducha. Idąc do jej pokoju, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek żywiła wobec mnie ciepłe uczucia. Po chwili stanęłam przed nią. Na mój widok chyba się zmieszała.

- W czasie rodzinnych nieszczęść - zaczęła ostrym tonem - osobisty smutek jest wyrazem

samolubstwa. Mimo to przykro mi, że wysłały cię do sierocińca.

Oszłomiły mnie jej słowa, ale nie płakałam. Nie powiedziałam nic.

- Przynajmniej nie sprzedajemy cię w niewolę - dodała.

- Dziękuję - powiedziałam obojętnie.

- Gdybyś została w domu - ciągnęła Matka - kto wie, może duch mógłby wrócić. Łowca Duchów zaręczył, że tak się nie stanie, ale to tak, jakby powiedzieć, że po suszy nigdy nie przyjdzie następna susza, a po powodzi następna powódź. Wszyscy wiedzą, że to nieprawda.

Nie protestowałam. Jednak Matka rozgniewała się.

- Co ma znaczyć ta mina? Próbujesz mnie zawstydzić? Pamiętaj, że przez te wszystkie lata traktowałam cię jak córkę. Czy inna rodzina w tym miasteczku zrobiłaby to samo? Może pobyt w sierocińcu nauczy cię bardziej nas docenić. A teraz zacznij się szykować. Pan Wei czeka już, żeby cię zawieźć.

Jeszcze raz jej podziękowałam i wyszłam z pokoju. Gdy pakowałam swój tobołek, przybiegła GaoLing z policzkami zalanyymi łzami.

- Przyjadę i odnajdę cię - obiecała, dając mi swój ulubiony kaftan.

- Matka cię ukarze, jeśli go wezmę - powiedziałam.

- Nie obchodzi mnie to.

Poszła ze mną do wozu pana Weia. Kiedy po raz ostatni wyjeżdżałam z podwórka i mojego domu, zęgnęła mnie tylko ona i lokatorzy.

Wóz wytoczył się z Zaułka Świńskiej Głowy, a pan Wei zaczął śpiewać wesołą piosenkę o jesiennej pełni księżyca. A ja pomyślałam o tym, co Droga Ciocia kazała napisać żebracze.

Wyje pies, wschodzi księżyc.

Gwiazdy wiecznie przeszywają ciemność.

Pieje kogut, wschodzi słońce.

Za dnia zda się, że gwiazdy nigdy nie istniały.

Spojrzałam w niebo, czyste i jasne, a moje serce wyło.

PRZEZNACZENIE

Sierociniec mieścił się w opuszczonym klasztorze niedaleko Wzgórza Smoczej Kości, do którego prowadziła stroma i kręta droga od stacji kolejowej. Aby oszczędzić osła, pan Wei kazał mi ostatni kilometr przejść pieszo. Kiedy mnie wysadził z wozu i się pożegnał, rozpoczęło się moje nowe życie.

Była jesień i bezlistne drzewa wyglądały jak armia szkieletów strzegących wzgórza i ogrodzonego budynku na jego szczycie. Gdy mijalam bramę, nikt mnie nie witał. Zobaczyłam przed sobą wyschnięte drewno i odpadający lakier świątyni, a na nagim otwartym placu stały w rzędach dziewczynki w białych bluzach i niebieskich spodniach, równo jak oddział wojska. Przeginały się w pasie - w przód, na bok, w tył i znów na bok - jak gdyby posłuszne wiatrowi. Ujrzałam jeszcze jeden dziwny widok: byli tam dwaj mężczyźni, cudzoziemiec i Chińczyk. Dopiero drugi raz w życiu widziałam cudzoziemca z tak bliska. Przeszli przez podwórko, niosąc mapy, za nimi szła grupa ludzi z długimi kijami. Przestraszyłam się, że natknęłam się na tajną armię komunistów.

Przekraczając próg, omal nie wyskoczyłam ze skóry ze strachu. Zobaczyłam dwadzieścia albo trzydzieści martwych ciał okrytych całunami. Stały pośrodku korytarza, po bokach, wysokie i niskie. Natychmiast pomyślałam, że to Powracający Zmarli. Droga Ciocia opowiadała mi kiedyś, że w jej dzieciństwie rodziny wynajmowały kapłana, który rzucał na ciało zakłęcie, przez co zmarły mógł wrócić do domu swych przodków. Mówiła, że kapłan prowadził ich tylko w nocy, aby zmarli nie spotykali żywych ludzi, których mogliby opętać. Za dnia odpoczywali w świątyniach. Droga Ciocia nie wierzyła w te opowieści, dopóki nie usłyszała, jak późną nocą kapłan walił w drewniany dzwon. I zamiast uciec jak reszta mieszkańców wsi, schowała się za ścianą, żeby popatrzeć. Kwak, kwak, a potem ich ujrzała - sześć postaci niby gigantyczne robaki, skaczących wysoko na dziesięć stóp.

- Nie jestem pewna, czy naprawdę to widziałam - mówiła Droga Ciocia. - Wiem tylko, że przez długi czas potem byłam inną dziewczyną.

Miałam już wybiec za drzwi, gdy nagle spod całunu mignęły mi złote stopy. Przyjrzałam się dokładniej. To nie byli zmarli, ale posągi bogów. Podeszłam do jednego i zdarłam materiał. Był to Bóg Literatury z rogatą głową, pędzelkiem w jednej dłoni i studencką czapką w drugiej.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zawołał czyjś głos. Odwróciwszy się, zobaczyłam przed sobą

małą dziewczynkę.

- Dlaczego jest zasłonięty?

- Nauczyciel mówi, że nie ma dobrego wpływu. Nie powinniśmy wierzyć w starych bogów, tylko w chrześcijańskich.

- Kim jest wasz nauczyciel?

- A do kogo przyjechałaś?

- Do tego, kto ma przyjąć Liu LuLing jako sierotę.

Dziewczynka wybiegła. Chwilę później stanęły przede mną dwie cudzoziemskie damy.

Amerykańskie misjonarki nie spodziewały się mojego przybycia, a ja nie spodziewałam się, że są Amerykankami. Ponieważ nigdy wcześniej nie rozmawiałam z cudzoziemcem, nie mogłam wykrztusić słowa i tylko patrzyłam. Obie miały krótkie włosy, jedna białe, druga kręcone i rude, obie też nosiły okulary, przez co wydawało mi się, że są w tym samym wieku.

- Z przykrością muszę powiedzieć, że nikt się z nami nie umawiał - rzekła po chińsku jasnowłosa.

- A ja z przykrością muszę powiedzieć - dodała druga - że większość naszych sierot jest dużo młodsza.

Kiedy zapytały mnie o imię i nazwisko, nadal nie potrafiłam się odezwać, palcami wypisałam więc litery w powietrzu. Zamieniły ze sobą kilka słów po angielsku.

- Umiesz to przeczytać, prawda? - spytała mnie jedna, wskazując na chiński napis.

- "Jedźcie do syta, ale nie chowajcie na zapas" - przeczytałam.

Kobieta dała mi ołówek i kartkę papieru.

- Umiesz przepisać te słowa? Zrobiłam to, na co obie wykrzyknęły:

- Nawet nie popatrzyła na znaki! - Po czym zaczęły mnie zasypywać kolejnymi pytaniami: Czy umiem pisać pędzelkiem? Jakie czytałam książki? Potem znów rozmawiały ze sobą w obcej mowie, a gdy skończyły, oznajmiły, że mogę zostać.

Później dowiedziałam się, że przyjęto mnie, żebym była jednocześnie uczennicą i nauczycielką. Było tu tylko czworo nauczycieli, dawnych uczniów szkoły, którzy mieszkali teraz w jednym z trzydziestu sześciu pokoi i budynków znajdujących się na terenie sierocińca. Nauczyciel Pan uczył starsze dziewczęta. Zostałam jego pomocnicą. Kiedy on był uczniem przed pięćdziesięciu laty, była to szkoła tylko dla chłopców. Nauczycielka Wang uczyła młodsze dziewczęta, a jej siostra wdowa - nazywaliśmy ją Matką Wang - zajmowała się najmłodszymi

maluchami, a pomagały jej starsze dziewczęta, które sama wybrała. Była jeszcze Siostra Yu, drobna kobieta o kościstych, zgarbionych plecach, przenikliwym głosem i twardej ręce. Odpowiadała za czystość, schludność i właściwe zachowanie. Poza ustalaniem harmonogramu naszych kąpiei i zadań na cały tydzień lubiła komenderować kucharzem i jego żoną.

Dowiedziałam się, że misjonarki nie są w tym samym wieku. Panna Grutoff, ta z kręconymi włosami, miała trzydzieści dwa lata, dwa razy mniej niż druga. Była pielęgniarką i dyrektorką szkoły. Panna Towler była dyrektorką sierocińca i błagała o datki ludzi, którzy powinni się nad nami litować. Prowadziła także naszą niedzielną kaplicę, urządzała przedstawienia na temat historii chrześcijaństwa i grała na fortepianie, ucząc nas śpiewać "jak anioły". Wówczas, oczywiście, nie wiedziałam, kim jest anioł. Nie potrafiłam także śpiewać.

Cudzoziemcy natomiast nie byli komunistami, ale naukowcami, którzy pracowali w kamieniołomach, gdzie znaleziono kości Człowieka z Pekinu. Dwóch cudzoziemskich i dziesięciu chińskich uczonych mieszkało w północnym skrzydle klasztoru, a poranne i wieczorne posiłki jadało z nami w głównej sali świątyni. Kamieniołomy były niedaleko, dwadzieścia minut drogi krętą ścieżką.

Wszystkich dzieci było około siedemdziesięciorga: trzydzieści starszych dziewcząt, trzydzieści młodszych i dziesięcioro zupełnie małych dzieci - mniej więcej, w zależności od tego, ile dorastało i ile umierało. Sytuacja większości dziewcząt była podobna do mojej - były nieślubnymi dziećmi samobójczyń, nieobyczajnych dziewczyn i niezamężnych panien. Niektóre z nich wyglądały jak kuglarze z Zaułka Żebraków, których widziałyśmy z GaoLing - nie miały rąk albo nóg, były cyklopami lub karłami. Były też dziewczęta - mieszańce, których ojcami byli cudzoziemcy - Anglik, Niemiec i Amerykanin. Uważałam, że są osobliwie piękne, ale Siostra Yu zawsze z nich kpiła. Mówiła, że z zachodnią krwią odziedziczyły wyniosłość, którą trzeba rozcieńczyć pokorą.

- Można być dumnym z tego, co się co dzień robi - mówiła. - Ale nie można gardzić tym, co mamy od urodzenia.

Często nam przypominała, że nie wolno się nad sobą rozczulać. Traktowała to jak słabość.

Kiedy któraś z dziewcząt miała chmurną minę, Siostra Yu mawiała:

- Spójrz na Małą Ding. Nie ma nóg, ale przez cały dzień się uśmiecha.

A pyzate policzki Małej Ding unosiły się, niemal zasłaniając jej oczy, tak się cieszyła, że zamiast nóg ma dwa ledwie zawiązane pączki. Według Siostry Yu, szczęście daje nam myśl, że

sytuacja kogoś innego może być znacznie gorsza od naszej.

Pełniłam funkcję starszej siostry Małej Ding, a Mała Ding z kolei była starszą siostrą dziewczynki imieniem Mała Jung, która miała tylko jedną rękę. Każdy był za kogoś odpowiedzialny, jak w rodzinie. Starsze i młodsze dziewczynki mieszkały w tych samych pokojach. Były trzy sypialnie, a w każdej stały trzy rzędy łóżek dla dwudziestu dziewcząt. Pierwszy rząd należał do najmłodszych, drugi do średnich, trzeci do najstarszych dziewcząt. W ten sposób łóżko Małej Ding znajdowało się pod moim, a łóżko Małej Jung pod łóżkiem Małej Ding. Każda zajmowała pozycję zgodną ze stopniem odpowiedzialności i należnego szacunku.

Dla misjonarek byłyśmy Dziewczętami Nowego Przeznaczenia. W każdej klasie wisiał czerwony transparent z wyhaftowanymi złotem znakami, które o tym mówiły. Co dzień po południu podczas ćwiczeń śpiewałyśmy o swoim przeznaczeniu w piosence napisanej przez pannę Towler po angielsku i chińsku:

Uczmy się pilnie, by sen nasz się ziścił,

Pracujmy, by pełen był trzos.

Wybierzmy męża po naszej myśli,

I precz odegnajmy zły los.

Ilekcję w szkole zjawiali się specjalni goście, panna Grutoff kazała nam odgrywać scenkę, a panna Towler grała na fortepianie bardzo skoczną muzykę, jak na niemych filmach. Jedna grupa dziewczynek pokazywała znaki, które symbolizowały Dawny Los: opium, niewolnictwo, kupowanie talizmanów. Chodziły z trudem na spętanych nogach i bezradnie padały na ziemię. Wtedy w roli lekarzy zjawiały się dziewczynki Nowego Przeznaczenia. Leczyły palaczy opium. Rozwiązywały pęta skazanych i miotłami wymiatały niepotrzebne talizmany. Na końcu dziękowały Bogu i kłaniały się gościom, cudzoziemcom, którzy przyjechali do Chin, dziękując im także za to, że pomogli tylu dziewczynkom pokonać zły los i ruszyć ku Nowemu Przeznaczeniu. W ten sposób zbierałyśmy dużo pieniędzy, zwłaszcza jeśli udało się wywołać u gości łzy.

Podczas spotkań w kaplicy panna Towler zawsze mówiła nam, że tylko od nas zależy, czy zostaniemy chrześcijankami, czy nie. Nikt nie będzie nas zmuszał, żebyśmy uwierzyły w Jezusa, mówiła. Nasza wiara musi być prawdziwa i szczerą. Ale Siostra Yu, która przybyła do sierocińca w wieku siedmiu lat, często nam przypominała o swoim dawnym losie. Jako dziecko była

zmuszana do zebrania i jeśli nie udało się jej uzbierać dość monet, do jedzenia dawano jej tylko przekleństwa. Pewnego dnia poskarżyła się, że jest głodna, więc mąż jej siostry wyrzucił ją jak śmieć. W tej szkole, mówiła, możemy jeść, ile tylko zechcemy. Nie musimy się martwić, że ktoś nas wypędzi. Możemy same decydować, w co wierzyć. Mimo to, dodawała, każda z nas, która nie uwierzy w Jezusa, będzie jak robak żywiący się zwłokami, a po śmierci spadnie do podziemnego świata, gdzie jej ciało przekłują bagnetem, upieką jak kaczkę i każą cierpieć tortury gorsze od tych, które stosowano w Mandżurii.

Czasem myślałam o dziewczynkach, które nie uwierzą. Dokąd pójda po śmierci? Pamiętam, jak kiedyś zobaczyłam dziecko, które, nawet zdaniem misjonarek, nie miało Nowego Przeznaczenia, dziewczynkę, której ojcem był jej własny dziadek. Ujrzałam ją w sali dla najmłodszych, gdzie co rano pracowałam. Nikt nie dał dziewczynce imienia, a Matka Wang powiedziała mi, żebym nie brała jej na ręce, nawet gdyby płakała, bo coś jest nie tak z jej szyją i główką. Dziecko nie wydawało żadnych dźwięków. Miało płaską i okrągłą twarz jak duży półmisek, dwoje wielkich oczu, mały nosek i usteczka. Dziewczynka miała skórę białą niczym ryżowy makaron, a ciało, za małe w porównaniu z głową, nieruchome jak kwiat z wosku. Poruszały się tylko jej oczy, tam i z powrotem, jak gdyby obserwowały latającego pod sufitem komara. Któregoś dnia zobaczyłam jej łóżeczko puste. Panna Grutoff powiedziała, że dziewczynka jest już dzieckiem Boga, wiedziałam więc, że umarła. W ciągu lat spędzonych w sierocińcu widziałam sześćcioro dzieci, które wyglądały tak samo i ojcami wszystkich byli dziadkowie. Wszystkie urodziły się ze "wspólną twarzą", jak mówiła Matka Wang. Jak gdyby przez czyjś błąd ta sama osoba wracała w to samo ciało. Za każdym razem witałam takie dziecko jak dobrą przyjaciółkę. I za każdym razem płakałam, gdy znów opuszczało świat.

Ponieważ pochodziłam z rodziny wyrabiającej tusz, byłam najlepszą uczennicą kaligrafii, jaka kiedykolwiek chodziła do tej szkoły. Tak powiedział Nauczyciel Pan. Często wspominał czasy dynastii Qing, gdy wszystko uległo zepsuciu, nawet system egzaminów. Jednak wracał do dawnych czasów z sentymentem. Mówił do mnie:

- LuLing, gdybyś wtedy urodziła się jako dziewczynka, mogłabyś zostać uczonym.

Tak dokładnie powiedział. Mówił też, że jestem lepsza w kaligrafii od jego syna, Kai Jinga, którego sam uczył.

Kai Jing, geolog, w istocie był bardzo dobrym kaligrafem, zwłaszcza na kogoś, kto miał osłabioną prawą połowę ciała po przebytych w dzieciństwie polio. Na szczęście kiedy zachorował,

rodzina wydała całe oszczędności na najlepszych lekarzy z Zachodu i Chin. Jedyną pozostałością po chorobie było więc tylko lekkie utykanie i opadające ramię. Później misjonarki pomogły mu zdobyć stypendium na słynnym uniwersytecie w Pekinie, gdzie studiował, by zostać geologiem. Po śmierci jego matki wrócił do domu, żeby zaopiekować się ojcem i pracować z naukowcami w kamieniołomie.

Codziennie jeździł na rowerze z sierocińca do kamieniołomów i z powrotem, pedałując do samych drzwi klasy ojca. Nauczyciel Pan siadał bokiem z tyłu roweru i gdy jego syn pedałował do ich pokoi na drugim końcu klasztoru, wszystkie uczennice i nauczyciele wołali:

- Ostrożnie! Niech pan nie spadnie! Siostra Yu bardzo podziwiała Kai Jinga. Kiedyś pokazała go dzieciom, mówiąc:

- Widzicie? Wy też możecie postawić sobie za cel pomaganie innym zamiast być dla nich ciężarem. Innym razem słyszałam, jak mówi:

- To wielka tragedia, że taki przystojny chłopiec musi kuleć.

Być może chciała w ten sposób pocieszyć dziewczęta. Mnie zdawało się jednak, że chciała powiedzieć, że tragedia Kai Jinga była większa, ponieważ urodził się ładniejszy od innych. Jak Siostra Yu mogła w ogóle tak pomyśleć? Akurat ona? Czy jeśli bogacz straci dom to gorzej, niż gdyby dom stracił biedak?

Zapytałam o to starszą dziewczynę, która odparła:

- Co za głupie pytanie. Oczywiście! Przystojny i bogaty mają więcej do stracenia.

Jednak nie wydawało mi się to słuszne.

Pomyślałam o Drogiej Cioci. Podobnie jak Kai Jing, urodziła się piękna, a potem jej twarz została zniszczona. Zawsze słyszałam, jak ludzie mówili:

- To straszne mieć taką twarz. Lepiej by było, gdyby umarła.

Czy myślałabym tak samo, gdybym jej nie kochała? Pomyślałam o tamtej ślepej żebraczce. Komu będzie jej brakowało?

Nagle zapragnęłam odnaleźć tę żebraczkę. Mogłaby porozmawiać w moim imieniu z Drogą Ciocią. Mogłaby mi powiedzieć, gdzie ona teraz jest. Wędruje po Końcu Świata czy tkwi uwięziona w słoju? I co z kłutwą? Czy niebawem mnie odnajdzie? Gdybym teraz umarła, komu na tym świecie będzie mnie brakowało? Kto powita mnie na tamtym?

Gdy była ładna pogoda, Nauczyciel Pan zabierał starsze dziewczęta do kamieniołomów na Wzgórzu Smoczej Kości. Robił to z dumą, wśród geologów bowiem pracował jego syn.

Kamieniołom z początku był tylko jaskinią, podobną do tej, która należała do rodziny Drogiej Cioci, lecz gdy go ujrzałam, zmienił się już w gigantyczny wykop głębokości stu pięćdziesięciu stóp. Od dołu do góry i od prawej do lewej, na dnie i ścianach wymalowano białe linie, więc kamieniołom wyglądał, jak gdyby przykryto go olbrzymią siecią rybacką.

- Jeśli ktoś znajdzie kawałek zwierzęcia, człowieka albo broni myśliwskiej - tłumaczył nam Kai Jing - zapisuje, z którego kwadratu kamieniołomu pochodzi znalezisko. Możemy obliczyć wiek tego przedmiotu na podstawie miejsca, w którym go znaleziono, ponieważ wiemy, że najstarsza jest warstwa ósma. Wtedy naukowcy wracają tam i kopią głębiej.

Zawsze przynosiłyśmy naukowcom termosy z herbatą i ciasteczka, a oni, widząc nas, szybko wychodzili z dołu, posilali się i wdychali z wdzięcznością:

- Dziękuję, dziękuję. Byłem taki spragniony, że jeszcze trochę i sam zmieniałbym się w wyschniętą kość.

Od czasu do czasu na stromej drodze pojawiała się riksza, z której wysiadał palący fajkę cudzoziemiec w grubych okularach i pytał, czy znaleziono coś nowego. Zazwyczaj naukowcy wskazywali jakieś miejsce, a człowiek z okularach kiwał głową, lecz wydawał się rozczarowany. Kiedy indziej bywał bardzo ożywiony i mówiąc, coraz szybciej ssał swoją fajkę. Potem wsiadał do rikszy i zjeżdżał ze wzgórza, u stóp którego czekał na niego lśniący czarny samochód, by zawieźć go z powrotem do Pekinu. Biegłyśmy do punktu obserwacyjnego na szczycie wzgórza, skąd można było zobaczyć drugi koniec kotliny i jadący wąską drogą czarny samochód, który wzbijał słupy kurzu.

Gdy nadchodziła zima, naukowcy musieli się śpieszyć, zanim ziemia stanie się zbyt twarda i skończy się sezon kopania. Pozwalali niektórym dziewczętom schodzić na dno dołu i pomagać sypać wykopaną ziemię do skrzyń albo malować na nowo białe linie, albo uważnie przesiewać to, co przesiano już dziesięć razy. Nie wolno nam było wchodzić w miejsca, gdzie były sznury - to tam znaleziono ludzkie kości. Niewprawne oko mogło pomylić kości z kamieniami lub kawałkami glinianych naczyń, ale ja umiałam je rozróżnić. Nauczyłam się tego, zbierając kości z Drogą Ciocią. Wiedziałam również, że kości Człowieka z Pekinu w rzeczywistości nie pochodzą od jednej osoby, lecz od wielu - mężczyzn, kobiet i dzieci. Były to małe kawałeczki, z których nie udałoby się złożyć nawet jednej osoby. Nie mówiłam o tym innym dziewczętom. Nie chciałam się popisywać. Pomagałam więc tak jak one, tylko tam, gdzie pozwalali nam chodzić naukowcy, czyli w miejscach, w których były przede wszystkim kości zwierząt, rogi jeleni i skorupy żółwi.

Pamiętam dzień, w którym doczekałam się szczególnej pochwały od syna Nauczyciela Pana.

- Pracujesz z wielką uwagą - powiedział Kai Jing.

Odtąd przesiewanie ziemi stało się moim ulubionym zajęciem. Potem jednak zrobiło się lodowato zimno i przestałyśmy czuć własne palce i policzki. Nadszedł więc kres pracy i pochwał.

Drugim z moich ulubionych zajęć było uczenie innych. Czasem uczyłam malować. Pokazywałam młodszym uczennicom, jak pędzelkiem zrobić uszy, ogon i wąsy kota. Malowałam konie i żurawie, małpy, a nawet hipopotama. Pomagałam również uczennicom poprawiać kaligrafię i myśli. Przypomniałam sobie wszystko, czego Droga Ciocia mnie nauczyła o pisaniu znaków, o tym, że trzeba pomyśleć o swoich intencjach, o przepływie ch'i z ciała do ręki, przez pędzelek i do malowanej linii. Każde z pociągnięć pędzelka miało znaczenie, a ponieważ każde słowo składało się z wielu linii, miało także wiele znaczeń.

Najmniej lubiłam zajęcia, które co tydzień wyznaczała mi Siostra Yu: zmiatanie podłóg, czyszczenie umywalk czy ustawianie ławek w rzędy na czas zajęć w kaplicy, a potem ustawianie ich z powrotem przy stołach w porze obiadu. Może te zajęcia nie wydawałyby mi się takie złe, gdyby Siostra Yu nie wytykała mi cały czas błędów. Jednego tygodnia kazała mi się zająć pełzającymi owadami. Narzekała, że mnisi ich nie zabijali, sądząc zapewne, że mogły być kiedyś istotami ludzkimi albo świętymi.

- Te robaki pewnie były kiedyś panami - gderała Siostra Yu, a potem kazała mi: - Depcz je, zabijaj, rób wszystko, żeby tu nie wchodziły.

Drzwi większości pokoi, z wyjątkiem tych, które zajmowali cudzoziemcy, nigdy nie zamykano, chyba że zimą, więc mrówki i karaluchy swobodnie maszerowały przez progi. Wchodziły także przez szczeliny w ścianach i przez kraty z szerokich drewnianych desek, które wpuszczały do środka powietrze i światło. Wiedziałam jednak, co zrobić. Droga Ciocia mnie tego nauczyła. Kratownice zakleiałam papierem. Potem wzięłam z klasy kawałek kredy i narysowałam linie przed wszystkimi progami i wokół szczelin. Mrówki wyczuwały kredę i zdezorientowane zawracały i wychodziły. Karaluchy były odważniejsi. Przechodziły przez kredę, a pył wchodził pod ich pancerze do stawów. Na drugi dzień leżały na grzbietach z nogami w powietrzu, zaduszone na śmierć.

Tego tygodnia Siostra Yu nie ganiła mnie. Otrzymałam natomiast nagrodę za Nadzwyczajne Oczyszczanie - dwie wolne godziny, w których mogłam robić, co mi się podoba, o

ile nie będzie to nic złego. W zatłoczonym sierocińcu nigdy nie było miejsca na samotność. Postanowiłam zatem spędzić dwie darowane godziny sama. Przez długi czas nie czytałam stronic, które przed śmiercią zapisała Droga Ciocia. Powstrzymywałam się przed tym, ponieważ wiedziałam, że jeśli ujrzę jej pismo, rozplączę się i Siostra Yu skarci mnie za rozczulanie się nad sobą w obecności Małej Ding czy innych młodszych dziewcząt. W niedzielne popołudnie znalazłam opuszczony składzik zalatujący stęchlizną i pełen małych posążków. Usiadłam na podłodze, opierając się o ścianę przy oknie. Rozwinęłam niebieski materiał, w który zapakowane były stronic. I pierwszy raz spostrzegłam, że Droga Ciocia wszyła w ten materiał małą kieszonkę.

W kieszeni spoczywały dwie zupełnie niezwykle rzeczy. Pierwszą była kość wróżebna, którą mi pokazała, gdy byłam mała, mówiąc, że dostanę ją, kiedy nauczę się pamiętać. Kiedyś należała do niej, a przedtem do jej ojca. Przycisnęłam kość do serca. A potem wydobyłam drugi przedmiot. Była to mała fotografia młodej kobiety w haftowanym czepku i ocieplanym zimowym kaftanie z kołnierzem sięgającym jej policzków. Uniosłam zdjęcie do światła. Czy to... Rzeczywiście, na fotografii była Droga Ciocia, zanim poparzyła sobie twarz. Miała rozmarzone oczy, zdradzające odwagę, wygięte ku górze brwi i usta - o pełnych i wydętych wargach i gładkiej skórze. Była piękna, ale nie wyglądała tak, jak ją pamiętałam. Było mi przykro, że na zdjęciu nie ma jej poparzonej twarzy. Im uważniej się jednak przyglądałam, tym bardziej wydawała mi się znajoma. I wtedy zrozumiałam: jej twarz, jej nadzieja, wiedza i smutek - były moje. Zaczęłam płakać i płakałam, zalewając serce łzami radości i żalu nad sobą.

Raz na tydzień panna Grutoff i żona kucharza jechały na stację kolejową odebrać paczki i pocztę. Czasem przychodziły listy od przyjaciółek z innych szkół, prowadzonych przez misjonarki w Chinach, lub od naukowców z Pekinńskiej Szkoły Medycznej. Innym razem listy z zobowiązaniami wsparcia. Te przychodziły z daleka: z San Francisco w Kalifornii, Milwaukee w Wisconsin, Elyrii w Ohio. Panna Grutoff czytała na głos listy w niedzielę w kaplicy. Pokazywała nam na globusie:

- Jesteśmy tu, a oni tu. Przesyłają wam wyrazy miłości i dużo pieniędzy.

Potem kręciła globusem, a nam kręciło się w głowie, gdy próbowałyśmy to objąć umysłem.

Zastanawiałam się: dlaczego obcy miałby kochać drugiego obcego? Matka i Ojciec byli teraz dla mnie obcy. Nie kochali mnie. Dla nich już nie istniałam. A obietnice GaoLing, że mnie odnajdzie? Czy przynajmniej próbowała? Nie sądzę.

Byłam już w sierocińcu dwa lata, kiedy pewnego popołudnia panna Grutoff wręczyła mi

list. Od razu rozpoznałam charakter pisma. Było południe, a ja ogłuchłam w środku gwarnej sali. Dziewczęta siedzące najbliżej mnie domagały się głośno, żeby im przeczytać list i powiedzieć, kto go napisał. Uciekłam od nich, pilnując swojego skarbu jak wygłodniały pies. Nadal go mam, a oto, co w nim przeczytałam:

“Moja najdroższa siostrze, przepraszam cię, że nie pisałam wcześniej. Nie było dnia, w którym nie myślałabym o Tobie. Ale nie mogłam pisać. Pan Wei nie chciał mi powiedzieć, dokąd cię zawiózł. Matka też nie. Wreszcie w zeszłym tygodniu usłyszałam na rynku, że w kamieniołomach na Wzgórzu Smoczej Kości znowu zaczyna się ruch, a amerykańscy i chińscy naukowcy mieszkają w starym klasztorze razem z uczennicami z sierocińca. Kiedy następnym razem spotkałam Żonę Pierwszego Brata, powiedziałam: «Ciekawe, czy LuLing poznała naukowców, skoro mieszka tak blisko nich». A ona odrzekła: «Też się zastanawiałam». I już wiedziałam.

Matka czuje się dobrze, ale narzeka, że ma tyle pracy, że jej palce są wciąż czarne. Wszyscy wciąż ciężko pracują, żeby uzupełnić zapasy tuszu, które spaliły się w pożarze. Ojciec i wujowie musieli odbudować sklep w Pekinie. Pożyczyli pieniądze i drewno od Chang trumniarza, który jest teraz właścicielem większej części interesu. Oni dostali część, kiedy wyszłam za Chang Fu Nana, czwartego syna, którego Ty miałaś poślubić.

Matka mówiła, że mamy szczęście, że Changowie w ogóle chcą jeszcze jakąś dziewczynę z naszej rodziny. Mnie się jednak nie wydaje, żebym miała szczęście. To Ty miałaś szczęście, bo nie zostałam synową w tej rodzinie. Codziennie, z każdym kęsem przy każdym posiłku, przypominają mi o wyższości Changów nad naszą rodziną. Jesteśmy im dłużni za drewno i dług cały czas się powiększa. Za sto lat klan Liu będzie nadal pracował dla nich. Tusz nie sprzedaje się już tak dobrze i za takie ceny jak dawniej. Szczerze mówiąc, nie jest już tak dobrej jakości, bo składniki są gorsze i nie mamy już Drogiej Cioci, która rzeźbiła w pałeczkach. Żebym pamiętała o długu, nie dają mi żadnych własnych pieniędzy. Żeby kupić znaczek na ten list, musiałam wymienić na niego szpilkę do włosów.

Powinnaś także wiedzieć, że rodzina Changów wcale nie jest tak bogata, jak sądziliśmy w dzieciństwie. Większość ich fortuny pochłonęło opium. Żona jednego z synów opowiedziała mi, że wszystko się zaczęło, gdy Fu Nań był dzieckiem i wybił sobie ramię ze stawu. Jego matka zaczęła mu podawać opium. Później matka zmarła, niektórzy powiadają, że pobita na śmierć, choć Chang twierdzi, że to był wypadek, bo spadła z dachu. Chang wziął sobie nową żonę, która była przyjaciółką generała kupującego trumny za opium. Druga żona też była opętana przez nałóg.

Generał powiedział Changowi, że jeśli kiedykolwiek ją skrzywdzi, to on zrobi z niego eunucha. A Chang wiedział, że tak się może stać, bo widział innych ludzi, którzy długi za opium spłacili różnymi częściami własnego ciała.

W tym nieszczęsnym domu jest wieczny krzyk i szaleństwo, ciągle szukanie pieniędzy na więcej opium. Gdyby Fu Nań mógł mnie sprzedawać po kawałku, żeby mieć co palić, na pewno by to zrobił. Jest przekonany, że wiem, gdzie można znaleźć smocze kości. Wciąż gada, że powinnam mu powiedzieć, żebyśmy wszyscy byli bogaci. Gdybym wiedziała, sprzedalabym wszystkie kości, żeby tylko opuścić tę rodzinę. Sama bym się sprzedała. Ale gdzie miałabym pójść?

Siostro, przepraszam za cierpienie i zmartwienia, jakich ten list może Ci przysporzyć. Piszę, żebyś wiedziała, dlaczego nie mogę Cię odwiedzić i dlaczego masz szczęście, że jesteś tam, gdzie jesteś. Proszę Cię, nie odpisuj. Miałabym przez to same kłopoty. Wiem, gdzie jesteś, więc spróbuję napisać jeszcze raz. Tymczasem mam nadzieję, że jesteś zdrowa i zadowolona. Twoja siostra, Liu GaoLing".

Skończyłam czytać, trzymając list w drżącej ręce. Przypomniałam sobie, że kiedyś byłam zazdrosna o GaoLing. Teraz jej los był gorszy od mojego. Siostra Yu mówiła, że szczęście powinna dawać myśl o ludziach, których sytuacja jest znacznie gorsza od naszej. Ale nie czułam się szczęśliwa.

Jednak z czasem stałam się mniej nieszczęśliwa. Zaakceptowałam swoje życie. Być może mniej cierpiałam przez słabą pamięć. A może umacniała się we mnie siła życia. Wiedziałam tylko, że stałam się zupełnie inną dziewczyną od tej, która przyjechała do sierocińca.

Oczywiście, do tej pory zmienili się nawet bogowie w klasztorze. Z biegiem lat panna Towler zdejmowała jedną po drugiej zasłony z posągów, ponieważ materiał był potrzebny na ubrania lub kołdry. W końcu ukazały się wszystkie posągi, szydząc z panny Towler, jak twierdziła, czerwonymi twarzami, trojgiem oczu i gołymi brzuchami. Było tu mnóstwo posągów, buddyjskich i taoistycznych, ponieważ klasztor w różnych wiekach zajmowali mnisi obu tych religii, w zależności od tego, jaki generał rządził tą ziemią. Pewnego dnia przed Bożym Narodzeniem, gdy było za zimno, żeby dokądkolwiek iść, panna Grutoff postanowiła, że powinnyśmy zmienić chińskich bogów w chrześcijan. Miałyśmy ich ochrzcić za pomocą farby. Dziewczeta, które od najwcześniejszego dzieciństwa wychowywały się w sierocińcu, uważały, że to będzie świetna zabawa. Ale niektóre z uczennic przybyłych tu później nie chciały szpecić bogów, lękając się ich gniewu. Były tak przerażone, że kiedy przyciągnięto je do posągów, krzyczały z pianą na ustach, a

potem padły na ziemię, jak gdyby zostały opętane. Ja się nie bałam. Sądziłam, że jeśli szanuję i chińskich bogów, i chrześcijańskiego Boga, żaden z nich nie zrobi mi krzywdy. Rozumowałam tak: Chińczycy są uprzejmi i o życiu myślą praktycznie. Chińscy bogowie rozumieją, że mieszkamy w zachodnim domu, który prowadzi Amerykanki. Gdyby bogowie mogli przemówić, na pewno także twierdziliby, że chrześcijańskie bóstwa są tu w uprzywilejowanej pozycji. Chińczycy, w przeciwieństwie do cudzoziemców, nie starają się narzucać innym swoich przekonań. Niech więc cudzoziemcy zachowują się po swojemu, choćby dziwnie, tacy już są. Dotykając pędzelkiem czerwono - złotych twarzy bogów, mówiłam:

- Przepraszam, Nefrytowy Cesarzu, wybac mi, Pierwszy z Ośmiorga Nieśmiertelnych, robię wam tylko przebranie na wypadek, gdyby przyszli tu komuniści albo Japończycy i wybierali posągi na ognisko.

Byłam prawdziwą artystką. Niektórym bogom doklejałam brody z owczych włosów, długie włosy z makaronu, skrzydła z piór. W ten sposób Budda zmienił się w tłustego Jezusa, Bogini Miłosierdzia została Marią z szopki, Trzech Czystych, głównych bogów taoistów, stało się Trzema Królami, a Osiemnastu Luohanów Buddy przedzierzgnęło się w Dwunastu Apostołów i ich sześciu synów. Małe posągi z piekła awansowały do roli aniołów. W następnym roku panna Grutoff postanowiła, że powinnyśmy również pomalować małe rzeźby Buddy w całym klasztorze. Były ich setki.

Rok później panna Grutoff znalazła zatęchły składzik, w którym ukryłam się, żeby czytać kartki od Drogiej Cioci. Siostra Yu mówiła, że posągi, które tu stały, pochodziły z taoistycznej dioramy, ukazującej, co czeka człowieka w podziemnym świecie. Kilkadziesiąt figur wyglądało bardzo realistycznie i przerażająco. Jedna przedstawiała kłęczącego człowieka, którego wnętrznościami pożywiały się rogate zwierzęta. Trzy postaci wisiały nadziane na pal jak świnie na rożen. Cztery osoby siedziały w kadzi z wrzącym olejem. Były tu także olbrzymie diabły o czerwonych twarzach i spiczastych czaszkach, które rozkazywały umarłym ruszać na bitwę. Gdy skończyłyśmy malować posągi, powstała kompletna bożonarodzeniowa szopka z małym Jezusem, Marią, Józefem i innymi, łącznie ze Świętym Mikołajem. Mimo to posągi miały nadal otwarte w okrzyku trwogi usta. Choć panna Grutoff starała się nas przekonać, większość dziewcząt nie wierzyła, że figury z szopki śpiewają "Dzisiaj w Betlejem".

Po przemalowaniu posągów nie było już więcej bożków, które można zmienić w anioły. Ja także uległam przemianie: z pomocnicy nauczyciela stałam się nauczycielką, z samotnej

dziewczyny stałam się dziewczyną zakochaną w synu Nauczyciela Pana.

Zaczęło się tak:

Co roku przed Nowym Rokiem uczennice malowały na transparentach wiersze na szczęście na świąteczny jarmark w Ustach Góry. Tak więc pewnego dnia z Nauczycielem Panem malowaliśmy w klasie długie pasy czerwonego papieru, które leżały na stołach i na podłodze.

Jak zwykle przyjechał na rowerze Kai Jing, żeby zabrać ojca do ich pokoi. Ziemia na Wzgórzu Smoczej Kości była zamrznięta na kość, Kai Jing spędzał więc czas głównie na sporządzaniu wykresów, obliczeń i pisaniu raportów na temat miejsc, w których znaleziono kości. Tego dnia Kai Jing przyjechał za wcześnie i Nauczyciel Pan nie był jeszcze gotów do wyjścia. Kai Jing zaproponował więc, że pomoże nam malować transparenty. Stał obok mnie, przy moim stoliku. Ucieszyłam się z dodatkowych rąk do pracy.

Ale po chwili zauważyłam, co robi. Jakikolwiek znak albo cyfrę malowałam, robił dokładnie to samo. Kiedy pisałam "fortuna", on także pisał "fortuna". Gdy rysowałam "obfitość", on rysował "obfitość". Kiedy malowałam "wszystko, czego sobie życzyście", malował to samo, linia w linię. Pisał prawie w takim samym rytmie, wyglądaliśmy więc jak dwoje ludzi w tańcu. Tak się zaczęła nasza miłość, od takich samych łuków, takich samych kropek, takiego samego uniesienia pędzelka, gdy jednocześnie nabieraliśmy tchu.

Kilka dni później razem z uczennicami niosłam transparenty na targ. Towarzyszył mi Kai Jing, idąc obok i cicho do mnie mówiąc. W rękę trzymał książeczkę z malowanymi pędzelkiem obrazkami na morwowym papierze. Tytuł na okładce brzmiał "Cztery przejawy piękna".

- Chciałabyś wiedzieć, co jest w środku? - zapytał.

Skinęłam głową. Każdy, kto podsłuchiwałby naszą rozmowę, pomyślałby, że mówimy o lekcjach w szkole. Ale w istocie Kai Jing mówił o miłości.

Odwrócił stronicę.

- W każdej formie piękna są cztery poziomy zdolności. Tak jest w malowaniu, kaligrafii, literaturze, muzyce, tańcu. Pierwszy poziom to Biegły.

Patrzyliśmy oboje na umieszczone na jednej stronicy dwa identyczne obrazki, przedstawiające bambusowy gaj, typowe i bardzo udane, realistyczne, z ciekawymi szczegółami w postaci podwójnych linii, dobrze oddające siłę i długowieczność lasu.

- Biegłość - ciągnął - to umiejętność rysowania tej samej rzeczy taką samą kreską, z taką samą siłą, w takim samym rytmie i z taką samą wiernością. Taki rodzaj piękna jest jednak zwykły.

Drugi poziom - mówił dalej Kai Jing - to Doskonały. - Spojrzeliśmy na następny obrazek, na którym było kilka bambusowych źdźbeł. - Coś więcej niż zwykła wprawa - rzekł. - Piękno tego malunku jest wyjątkowe. Mimo że jest prostszy, z mniej widoczną łodygą i o bardziej zaznaczonych liściach. Oddaje siłę i osamotnienie. Gorszy malarz potrafiłby uchwycić tylko jedną z tych cech, ale nie obie naraz.

Odwrócił stronę. Tym razem ukazało się pojedyncze źdźbło bambusa.

- Trzeci poziom to Boski - powiedział. - Tu liście są cieniem poruszonym przez niewidzialny wiatr, a źdźbło istnieje przede wszystkim dzięki sugestii, że czegoś brakuje. A jednak cienie są bardziej żywe niż prawdziwe liście, które przysłoniły światło. Widz nie potrafiłby znaleźć słów, by opisać, jak to się dzieje. Mimo usilnych starań ten sam malarz nie byłby w stanie jeszcze raz uchwycić nastroju tego obrazu, tylko cień cienia.

- Jak piękno może być więcej niż boskie? - spytałam cicho, wiedząc, że za chwilę otrzymam odpowiedź.

- Czwarty poziom - rzekł Kai Jing - jest jeszcze wspanialszy i odnalezienie go leży w naturze każdego śmiertelnika. Możemy go wyczuć tylko wówczas, gdy nie staramy się tego robić. Pojawia się bez przyczyny, bez pragnienia i znajomości skutków. Jest czysty. Mają go niewinne dzieci. Starzy mistrzowie mogą go odzyskać, kiedy postradają zmysły i na powrót staną się dziećmi.

Odwrócił stronicę. Na następnej widniał owal.

- Obraz nosi tytuł "Wewnątrz środka źdźbła bambusowego". Gdy będąc w środku, spojrzysz się w górę lub w dół, zobaczysz ten owal. Chodzi o prostotę bycia wewnątrz, nie o powód czy tłumaczenie tego faktu. Naturalny cud istnienia każdej rzeczy we wzajemnym związku z inną, jak namalowany tuszem owal i kartka papieru, osoba i źdźbło bambusa, widz i obraz.

Kai Jing długo milczał.

- Czwarty poziom nazywa się Bez Wysiłku - powiedział wreszcie. Schował książeczkę w kieszeni i popatrzył na mnie w zamyśleniu. - Ostatnio czuję piękno Bez Wysiłku we wszystkim - rzekł. - A ty?

- Tak samo - powiedziałam i zaczęłam płakać.

Oboje wiedzieliśmy bowiem, że mówimy o tym, że można się zakochać bez wysiłku, niezależnie od własnej woli, jak gdybyśmy byli dwoma bambusowymi źdźbłami, które przez kaprys wiatru nachyliły się ku sobie. Nachyliliśmy się więc ku sobie i pocałowaliśmy, zatracając się w

nieświadomości i sobie nawzajem. h!

BEZ WYSIŁKU

"Pierwszy raz próbowałam z Kai Jingiem zakazanej przyjemności pewnej letniej nocy przy jasnym księżycu. Wśliznęliśmy się do ciemnego składowiska w opuszczonej części korytarza, z dala od oczu i uszu innych. Nie wstydziłam się, nie miałam wyrzutów sumienia. Byłam jak szalona, czułam przypływ nowych sił, jak gdybym mogła pływać po niebie i latać przez fale. Jeśli to miał być zły los, trudno. Byłam córką Drogiej Cioci, kobiety, która także nie miała władzy nad swoimi żądzami, a potem urodziła mnie. Jak mogło w tym być coś złego, skoro skóra na plecach Kai Jinga była tak gładka, ciepła i pachnąca? Czy jego usta na mojej szyi to także zły los? Kiedy rozpiął moją bluzkę, która opadła na podłogę, było już po mnie, ale cieszyłam się. Potem zsunęły się ze mnie pozostałe części stroju, jedna po drugiej, a ja czułam się lżejsza i ciemniejsza. Byliśmy dwoma cieniami, czarnymi i zwiewnymi, które przenikały się nawzajem, nieustępliwymi mimo swej ulotności, niezważającymi na innych - ale gdy otworzyłam oczy, ujrzałam kilkanaście osób, które się nam przyglądały. Kai Jing roześmiał się.

- Nie, nie, oni nie są prawdziwi. - Stuknął w jedną postać. Był to przemalowany teatrzyk piekła, zmieniony w szopkę bożonarodzeniową.

- Wyglądają jak publiczność złej opery - powiedziałam. - Nie są chyba zadowoleni.

Maria otwierała w okrzyku usta, pastuszkowie mieli spiczaste głowy, a Dzieciątko Jezus oczy wylupiaste jak żaba. Kai Jing narzucił na głowę Marii moją bluzkę. Józefa nakrył moją spódniczką, a Dzieciątko Jezus halką. Potem Kai Jing zasłonił swoim ubraniem Trzech Króli i odwrócił pasterzy. Gdy wszyscy mieli twarze zwrócone w stronę ściany, Kai Jing położył mnie na słomie i znów staliśmy się cieniami.

Ale to, co stało się później, w ogóle nie przypominało wiersza ani obrazu czwartego poziomu. Nie byliśmy tak harmonijni jak natura, jak liście drzewa na tle nieba. Spodziewaliśmy się tego. Ale łaskotała nas słoma, a podłoga wydzielala woń uryny. Skądś wylazł szczur, na widok którego Kai Jing zsunął się ze mnie, potracając żłóbek Dzieciątka Jezus. Żabiooki potwór wylądował obok nas, jakby był naszym nieślubnym dzieckiem. Potem Kai Jing wstał i zapalił zapalniczkę, szukając szczura. Spojrzawszy na intymne części Kai Jinga zobaczyłam, że nie jest już tak opanowany. Ujrzałam także kleszcze na jego udzie. Po chwili on zauważył trzy kleszcze na moim siedzeniu. Podskoczyłam i zaczęłam tańczyć, żeby je strząsnąć. Powstrzymałam się od śmiechu i płaczu, gdy Kai Jing odwrócił mnie i obejrzał, a później spalił kleszcze czubkiem zapalniczki. Kiedy

zdjęłam bluzkę z głowy Marii, wydawała się zadowolona, że się wstydzę, mimo że nie zaspokoiliśmy swych żądz.

Ubieraliśmy się szybko, zbyt skrępowani, by rozmawiać. Kai Jing nie powiedział też ani słowa, gdy odprowadzał mnie do pokoju. Ale przy samych drzwiach rzekł:

- Przepraszam. Powinienem lepiej nad sobą panować. Zabolało mnie serce. Nie chciałam wysłuchiwać jego żalu i przeprosin. Po chwili dodał:

- Powinienem zaczekać do ślubu.

Rozpłakałam się, on zaś objął mnie i zaczął przyrzekać, że będziemy się kochać przez dziesięć tysięcy długości życia, ja obiecywałam mu to samo, dopóki nie usłyszeliśmy głośnego: "Cii!". Mimo że od razu zamilkliśmy, Siostra Yu, która zajmowała pokój obok mojego, powtarzała gderliwie:

- W ogóle nie liczą się z innymi. Gorzej niż koguty... Nazajutrz rano czułam się zupełnie inną osobą, szczęśliwą, lecz jednocześnie ogarniał mnie niepokój. Siostra Yu powiedziała kiedyś, że można poznać, które dziewczęta na ulicy są prostytutkami, bo mają oczy jak u kurczaka. Nie wiedziałam, co ma na myśli. Czy oczy robią się mniejsze albo bardziej czerwone? Czy inni dostrzegą w moich oczach nowy rodzaj wiedzy? Kiedy przyszedłam do głównej sali na śniadanie, prawie wszyscy już tam byli. Siedzieli w kole rozmawiając poważnymi głosami. Gdy weszłam, zdawało mi się, że wszyscy nauczyciele spojrzeli na mnie ze zdumieniem i smutkiem. Potem Kai Jing pokręcił głową.

- Złe wieści - rzekł, a z moich nóg odplynęła krew, więc gdybym nawet chciała uciec, nie byłabym w stanie.

Wyrzucą mnie? Czyżby ojciec Kai Jinga nie pozwolił mu się ze mną ożenić? Ale skąd wiedzieli? Kto powiedział? Kto widział? Kto słyszał? Kai Jing wskazał radio krótkofalowe, należące do naukowców, a pozostali odwrócili się, żeby słuchać. Pomyślałam: to teraz radio ogłasza, co zrobiliśmy? Po angielsku?

Gdy Kai Jing w końcu mi powiedział, nie miałam czasu poczuć ulgi, że złe wiadomości nie dotyczą mnie.

- Zeszłej nocy zaatakowali nas Japończycy - powiedział - niedaleko Pekinu i wszyscy mówią, że to początek prawdziwej wojny.

Maku polo to, maku polo tamto, mówił głos w radiu.

- Co to jest to maku? - spytałam.

- Most Maku Polo - odrzekła Siostra Yu. - Karły z wysp go zajęły.

Zdumiałam się, słysząc z jej ust tak obelżywe określenie Japończyków. W szkole to właśnie ona uczyła dziewczęta, że nie należy używać obraźliwych słów nawet wobec tych, których nienawidzimy.

- Strzelali z karabinów w powietrze - ciągnęła Siostra Yu - dla wprawy, jak mówili. Nasza armia odpowiedziała ogniem, żeby dać nauczkę tym kłamcom. I teraz brakuje jednego karła. Prawdopodobnie tchórz uciekł, ale Japończycy mówią, że strata jednego człowieka to wystarczający powód, żeby wypowiedzieć wojnę.

Gdy Siostra Yu tłumaczyła z angielskiego na chiński, trudno było stwierdzić, co powiedziano w wiadomościach, a co było jej własnym komentarzem.

- Jak daleko jest ten most? - zapytałam.

- Na północ stąd, w Wanping - rzekła panna Grutof f. - Blisko stacji kolejowej.

- Ale to przecież Most Trzcinowej Fosy, czterdzieści sześć kilometrów od mojej wioski - powiedziałam. - Kiedy zmieniono mu nazwę?

_ Ponad sześćset lat temu - odparła panna Grutoff. - Kiedy pierwszy raz podziwiał go Marco Polo.

Wszyscy dalej rozmawiali o wojnie, a ja zastanawiałam się, dlaczego nikt w naszej wiosce nie wiedział, że most od tak dawna ma nową nazwę.

- Którędy posuwają się Japończycy? - spytałam. - Na północ do Pekinu czy na południe tutaj?

Nagle wszyscy zamilkli. W drzwiach stała jakaś kobieta. Za jej plecami świeciło słońce, więc była tylko cieniem i nie widziałam, kto to jest; zdołałam jedynie dostrzec, że jest ubrana w sukienkę.

- Czy mieszka tu jeszcze Liu LuLing? - zapytała.

Zmrużyłam oczy. Kto to pytał? Mieszało mi się już w głowie od tylu rzeczy, a teraz jeszcze to. Podchodząc do niej, zaczęłam coś przeczuwać, po chwili przeczucie przerodziło się w pewność. Droga Ciocia. Często śniłam, że jej duch wróci. I tak jak w moich snach umiała mówić i miała całą twarz. Jak we śnie podbiegłam do niej. I tym razem nareszcie mnie nie odepchnęła. Szeroko rozłożywszy ręce, zawołała:

- A więc poznajesz jeszcze własną siostrę! To była GaoLing. Okręciłyśmy się kilka razy, tańczyłyśmy, klepiąc się po rękach i płacząc na zmianę.

- Niech ci się przyjrzę.

Nie miałam od niej wiadomości od listu, który napisała do mnie cztery czy pięć lat temu. Po kilku minutach znów zaczęłyśmy rozmawiać jak siostry.

- Co się stało z twoimi włosami? - żartowałam, ciągnąc ją za zmierzwione loki. - To wypadek, czy zrobiłaś to celowo?

- Podoba ci się?

- Niebrzydkie. Wyglądasz nowocześnie, zupełnie nie jak wieśniaczka.

- Tobie też niczego nie brakuje. Słyszałam plotki, że zadzierasz nosa, bo zostałam intelektualistką.

- Tylko nauczycielką. A ty, wciąż jesteś...

- Żoną Chang Fu Nana. Już sześć lat, trudno uwierzyć.

- Ale co się stało? Wyglądasz okropnie.

- Od wczoraj nie jadłam.

Skoczyłam do kuchni i przyniosłam jej miseczkę kleiku z prosa, trochę marynat i gotowane na parze fistaszki, a także coś na zimno. Siadłyśmy w rogu sali, z dala od wiadomości o wojnie. GaoLing jadła szybko i głośno.

- Mieszkamy w Pekinie, Fu Nań i ja, nie mamy dzieci - mówiła między jednym a drugim kęsem. - Zajmujemy pokoje z tyłu naszego sklepu. Wszystko odbudowane. Pisałam ci o tym w liście?

- Trochę.

- A więc wiesz, że właścicielem interesu są Changowie, a do naszej rodziny należy tylko dług. Ojciec i wujowie wrócili do Nieśmiertelnego Serca i pracują, aż zamiast potu zaczyna się z nich lać tusz. Ciągłe są w domu, więc się złością i bez przerwy kłócą o to, czy zawinił ten czy tamten, czy pogoda.

- A Pierwszy i Drugi Brat? - zapytałam. - Też są w domu?

- Pierwszego Brata pięć lat temu wzięli do armii nacjonaliści. Musieli iść wszyscy chłopcy w jego wieku. Dwa lata później Drugi Brat uciekł do komunistów. Jego śladem poszli synowie Starszego Wuja i potem Wuj przeklinał, mówiąc, że wszyscy trzej mogą już nie wracać. Matka nie rozmawiała z nim, dopóki nie powstał wspólny front. Wuj przeproszał i mówił, że teraz nie ma znaczenia, po której stronie walczą.

- A Matka, jak jej zdrowie?

- Pamiętasz, jakie miała kiedyś czarne włosy? Teraz wyglądają jak broda starca. Są białe i sztywne. Przestała je farbować.

- Co? Myślałam, że są naturalnie czarne od pracy przy tuszu.

- Nie bądź głupia. Wszystkie farbowały włosy - Prababcia, ciotki. Ale ostatnio Matka nie przejmuje się swoim wyglądem. Twierdzi, że od dwóch lat nie spała. Jest przekonana, że lokatorzy okradają nas w nocy i przestawiają meble. Uwierzyła też, że duch Prababci wrócił do latryny. Od miesięcy nie zrobiła kupy większej niż fasolka. Mówi, że gówno stwardniało jak zaprawa murarska i dlatego jest teraz rozdęta jak tykwa w lecie.

- Okropnie tego słuchać. - Chociaż to ta sama Matka, która wypędziła mnie z domu, nieprzyjemnie było słyszeć o jej kłopotach. Być może jeszcze troszeczkę uważałam Matkę i Ojca za swoich prawdziwych rodziców.

- A Duch Drogiej Cioci? Wrócił do domu?

- Nie dał znaku, trochę to dziwne, bo tamten Łowca Duchów okazał się oszustem, wcale nie był mnichem. Miał żonę i trójkę dzieci, z których jednym był tamten pomocnik. Łapali inne duchy do tego samego słoja po occie, otwierali wieko i zamykali, wiele razy. Nabrali na to mnóstwo naiwnych klientów. Kiedy Ojciec się o tym dowiedział, chciał wepchnąć kanciarza do tego słoja i zatkać końskim łajnem. Powiedziałam mu: "Skoro duch Drogiej Cioci nie wrócił, jakie to ma znaczenie?". Ale od tego czasu ciągle mruczy o dwóch sztabkach, które stracił, liczy ich wartość i twierdzi, że mógłby za nie kupić niebo.

W głowie miałam burzę piaskową. Jeżeli mnich był oszustem, czy to znaczy, że Droga Ciocia uciekła? A może w ogóle nie uwięziono jej w słoju? Ale potem przyszła mi do głowy inna myśl.

- Może nigdy nie było ducha, bo ona wcale nie umarła - powiedziałam do GaoLing.

- Och, umarła na pewno. Widziałam, jak Stary Kucharz zrzucił jej ciało z Końca Świata.

- Ale może jeszcze żyła i wspięła się z powrotem. Jak inaczej mogłabym jej nie znaleźć?

Szukałam przez wiele godzin, we wszystkich zakamarkach.

GaoLing odwróciła wzrok.

- To musiał być dla ciebie straszny dzień... Nie znalazłaś jej, ale naprawdę tam była. Staremu Kucharzowi zrobiło się przykro, że Droga Ciocia nie miała właściwego pogrzebu. Ulitował się nad nią. Gdy Matka nie patrzyła, zszedł na dół i przysypał jej ciało kamieniami.

Wyobraziłam sobie, jak Droga Ciocia z ogromnym trudem wspina się na skarpe, gdy nagle

toczy się w jej stronę kamień, uderza ją, potem następny i następny, aż pokonana stacza się z powrotem.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Nie wiedziałam. Powiedziała mi dopiero żona kucharza, kiedy zmarł dwa lata po Drogiej Cioci. Mówiła, że spełniał wiele dobrych uczynków, o których nikt nie wiedział.

- Muszę tam wrócić i odnaleźć jej kości. Chcę je pochować we właściwym miejscu.

- Nigdy ich nie znajdziesz - powiedziała GaoLing. - W zeszłym roku podczas deszczów skarpa znów się obsunęła. Odpadł naraz kawał długości pięciu ludzi i przysypał jedną stronę urwiska ziemią i kamieniami na wysokość trzech pięter. Następny będzie nasz dom.

- Gdybyś przyjechała i powiedziała mi wcześniej - żaliłam się daremnie.

- Wiem, żałuję. Nie sądziłam, że wciąż tu jesteś. Gdyby nie długi język żony pana Weia, nie wiedziałabym, że zostałam tu nauczycielką. Powiedziała mi, kiedy przyjechałam do domu na Święto Wiosny.

- Dlaczego wtedy nie przyjechałaś się ze mną zobaczyć?

- Myślisz, że mąż pozwala mi urządzać sobie wakacje, kiedy tylko mam ochotę? Musiałam czekać, aż niebiosa ześlą mi okazję. I nadeszła w najgorszej chwili. Wczoraj Fu Nań kazał mi jechać do Nieśmiertelnego Serca i błagać o pieniądze jego ojca. Powiedziałam: "Nie słyszałeś, że Japończycy defilują torami?". Phh. Nic go to nie obchodziło. Jego żądza opium jest większa od strachu, że żonę mogą przebić bagnetem.

- Dalej zażywa opium?

- To całe jego życie. Bez opium jest wściekłym psem. Pojechałam więc do Wanpińg i, oczywiście, pociągi zatrzymały się i dalej już nie jechały. Wszyscy pasażerowie wysiedli i zaczęli się błąkać jak owce albo kaczki. Żołnierze szturchali nas, żebyśmy gdzieś szli. Zagnali nas na pole i byłam pewna, że zostaniemy rozstrzelani. Jednak usłyszeliśmy strzały, paf - paf - paf, a żołnierze uciekli, zostawiając nas na polu. Przez minutę baliśmy się ruszyć. Zaraz potem pomyślałam: po co mam czekać, aż wrócą i mnie zabiją? Lepiej niech mnie gonią. Wszyscy zrobili tak samo i rozbiegli się na różne strony. Szłam chyba ze dwanaście godzin.

GaoLing zdjęła buty. Obcasy były złamane, boki popękane, a na podeszwach stóp miała krwawiące pęcherze.

- Myślałam, że umrę od tego bólu. - Parsknęła. - Może lepiej by było, gdyby Fu Nań myślał, że nie żyję. Tak, powinien mieć wyrzuty sumienia. Chociaż pewnie nic by nie poczuł. Wróciłby

zaraz do swoich mętnych rojeń. Każdy dzień jest dla niego taki sam, wojna nie wojna, z żoną czy bez żony. - Roześmiała się, choć była bliska płaczu. - Jak sądzisz, Starsza Siostrze, mam do niego wracać?

Mogłam zrobić tylko jedno: poprosiłam, żeby ze mną została, nalegając cztery razy. Ona także mogła zrobić tylko jedno: po trzykroć upierała się, że nie chce być ciężarem. Wreszcie zabrałam ją do swojego pokoju. Otarła twarz i szyję mokrym ręcznikiem, a potem z westchnieniem wyciągnęła się w moim łóżku i zasnęła.

Tylko Siostra Yu sprzeciwiła się, by GaoLing zamieszkała ze mną w szkole.

- Nie jesteśmy obozem dla uchodźców - oświadczyła. - Brak nam łóżek, żeby przyjmować nowe dzieci.

- Może mieszkać w moim pokoju i spać w moim łóżku.

- Ale to jeszcze jedna gęba do wyżywienia. Jeżeli pozwolimy na jeden wyjątek, inni też będą chcieli takiego wyjątku dla siebie. Rodzina samego Nauczyciela Pana składa się z dziesięciu osób. A były uczennice i ich rodziny? Też mamy ich przyjąć?

- Ależ oni wcale o to nie proszą.

- Co? Mózg zaczął ci porastać mchem? Jest wojna i niedługo wszyscy zaczną się wpraszać. Pomyśl: naszą szkołę prowadzą Amerykanki. Amerykanie są neutralni wobec Japonii. Są neutralni wobec nacjonalistów i komunistów. Tutaj nie musisz się przejmować, która strona akurat tego dnia ma przewagę. Możesz się przyglądać. Na tym polega neutralność.

Przez wszystkie lata spędzone w sierocińcu, kiedy Siostra Yu bywała despotyczna, zwykle gryzłam się w język. Okazywałam jej szacunek, choć w ogóle go nie czułam. Mimo że byłam już nauczycielką, wciąż nie wiedziałam, jak mam z nią rozmawiać.

- Mówisz o dobroci, o tym, że powinniśmy się litować... - Zanim zdążyłam powiedzieć, co o niej naprawdę myślę, dodałam: - A teraz chcesz odesłać moją siostrę z powrotem do człowieka uzależnionego od opium?

- Moja najstarsza siostra także musiała żyć z kimś takim - odparła. - Kiedy krwawiły jej płuca, mąż odmówił kupienia lekarstwa. Kupił sobie za to opium. Dlatego umarła - odeszła na zawsze. To była jedyna osoba, która żywiła do mnie prawdziwe uczucia.

Nic z tego. Siostra Yu znalazła jeszcze większe nieszczęście, z którym nie da się porównać niczyjej sytuacji. Przyglądałam się, jak kuśtykając, wychodzi z pokoju.

Gdy znalazłam Kai Jinga, wyszliśmy za bramę i schowaliśmy się za murem sierocińca,

żeby się przytulić. Opowiedziałam mu o moich kłopotach z Siostrą Yu.

- Może wydaje ci się inaczej, ale ona naprawdę ma dobre serce - rzekł. - Znam ją od czasów, gdy oboje byliśmy dziećmi.

- A więc powinieneś się z nią ożenić.

- Wolę kobietę, która ma kleszcze na ślicznej pupie. Odtrąciłam jego rękę.

- Chcesz być lojalna - ciągnął. - Ona woli być praktyczna. Nie walcz z różnicami, ale znajdź sprawy, w których chodzi wam o to samo. Albo po prostu nic na razie nie rób. Zaczekaj.

Mogę szczerze powiedzieć, że nie tylko kochałam Kai Jinga, ale też bardzo go podziwiałam. Był dobry i rozsądny. Jeżeli miał jakieś wady, to chyba tylko tę, że popełnił wielkie głupstwo, zakochując się we mnie. Kołysana przyjemnymi myślami na temat tej tajemnicy i jego pieszczotami, zapomniałam i o wielkiej wojnie, i o drobnych potyczkach.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju, zdziwiona zobaczyłam tam Siostrę Yu, która krzyczała na GaoLing:

- Pusty jak wyjedzony przez korniki pień drzewa! GaoLing potrząsnęła pięścią, mówiąc:

- Moralność robaka.

Siostra Yu wybuchnęła śmiechem.

- Nienawidzę tego człowieka do szpiku kości! GaoLing skinęła głową.

- Czuję to samo.

Po chwili zrozumiałam, że wcale się nie kłóca, tylko prześcigają się w wymyślaniu najgorszych obelg na tych, którzy wyrządzili im krzywdę. Przez następne dwie godziny sporządzały listę niesprawiedliwości, jakich w życiu doświadczyły.

- Biurko, które należało do rodziny mojego ojca od dziewięciu pokoleń - mówiła GaoLing - zamienił na kilka godzin przyjemności.

- Nie było jedzenia, nie było węgla, nie było ubrań na zimę. Musieliśmy wtulać się w siebie nawzajem i wyglądaliśmy jak długa stonoga.

Jeszcze tego samego wieczoru GaoLing powiedziała do mnie:

- Ta Siostra Yu jest bardzo mądra i zabawna.

Nie odpowiedziałam. Wkrótce sama się przekona, że ta kobieta potrafi być kąśliwa jak osa.

Następnego dnia zastałam je razem w jadalni dla nauczycieli. Siostra Yu mówiła przyciszonym głosem, a GaoLing odpowiadała:

- Nie sposób tego nawet słuchać. Czy twoja siostra była równie ładna, jak dobra?

- Nie była piękną, ale niebrzydką dziewczyną - odrzekła Siostra Yu. - Właściwie nawet mi ją przypominasz - ta sama szeroka twarz i duże usta.

GaoLing zachowywała się, jak gdyby ta uwaga ją zaszczyciła. W ogóle nie wyglądała na obrażoną.

- Gdybym tylko mogła być równie dzielna i potrafiła nie skarżyć się tak jak ona.

- Powinna się skarżyć - powiedziała Siostra Yu. - Ty także. Dlaczego ci, którzy cierpią, mają milczeć? Dlaczego mają przyjmować wyroki losu? Tutaj zgadzam się z komunistami! Musimy walczyć, żeby potwierdzić swoją wartość. Nie można grzęznąć w przeszłości, czcić umarłych.

GaoLing zasłoniła sobie usta i wybuchnęła śmiechem.

- Uważaj, co mówisz, bo inaczej Japończycy razem z nacjonalistami odrąbią ci głowę.

- Pilnuj swojej - odrzekła Siostra Yu. - Mówię całkiem poważnie. Komuniści są bliżej Boga, mimo że w Niego nie wierzą. Wierzą w dzielenie się rybami i chlebem. To prawda, komuniści przypominają chrześcijan. Może zamiast z nacjonalistami powinni stworzyć wspólny front z wyznawcami Jezusa.

GaoLing położyła dłoń na ustach Siostry Yu.

- Czy wszyscy chrześcijanie są tacy głupi jak ty?

Obrażały się nawzajem zupełnie swobodnie, jak najbliższe przyjaciółki.

Kilka dni później ujrzałam je na dziedzińcu. Siedziały tam przed kolacją, snując wspomnienia niczym para nierozłącznych przez lata towarzyszek. GaoLing przywołała mnie gestem i pokazała list opatrzony czerwoną pieczęcią oraz godłem wschodzącego słońca. Został nadany przez "Tymczasową Japońską Żandarmerię Wojskową".

- Przeczytaj - powiedziała Siostra Yu.

List był adresowany do Chang Fu Nana i informował, że jego żona, Liu GaoLing, została aresztowana w Wanping jako antyjapoński szpieg.

- Aresztowali cię? - wykrzyknęłam. GaoLing trzepnęła mnie w rękę.

- Czytaj dalej, głuptasie.

- "Zanim Liu GaoLing uciekła z aresztu, gdzie czekała na egzekucję - pisano w liście - przyznała się, że na stację kolejową wysłał ją ze specjalną misją mąż, Chang Fu Nań. Dlatego też agenci japońscy w Pekinie chcieliby rozmawiać z Chang Fu Nanem na temat jego działalności szpiegowskiej. Wkrótce zjawimy się w tej sprawie w domu Chang Fu Nana".

- Sama napisałam to na maszynie - pochwaliła się Siostra Yu.

- A ja wyrzeźbiłam pieczęcie - dodała GaoLing.

- Wygląda bardzo autentycznie - zapewniłam je. - Kiedy czytałam, serce zaczęło mi łomotać, puk - puk - puk.

- Fu Nań pomyśli, że w piersi wybuchły mu petardy - powiedziała GaoLing i razem z Siostrą Yu zapiszczały jak pensjonarki.

- Ale czy Matka i Ojciec nie będą rozpaczać, kiedy się dowiedzą, że zniknęłaś?

- Jeżeli na drogach będzie bezpiecznie, pojedę do nich w przyszłym tygodniu.

I tak zrobiła. Pojechała do Nieśmiertelnego Serca, gdzie dowiedziała się, że Fu Nań nikomu nie powiedział o liście. Miesiąc później GaoLing wróciła do szkoły jako pomocnica Siostry Yu.

- Matka i Ojciec wiedzieli tylko tyle, ile powiedzieli im Changowie - opowiadała. - "Ten twój mąż - mówił Ojciec. - Myślałem, że tylko się przechwała, a tak naprawdę brakuje mu odwagi. I nagle dowiedzieliśmy się, że poszedł do wojska - nawet nie czekał, aż go zmuszą".

- Powiedziałam też Matce i Ojcu, że wpadłam na ciebie na stacji kolejowej w Ustach Góry - mówiła GaoLing. - Chwaliłam cię, że jesteś intelektualistką, że pracujesz razem z naukowcami i niedługo wyjdiesz za jednego z nich.

Cieszyłam się, że im to powiedziała.

- Było im przykro, że tak mnie potraktowali?

- Ha! Byli dumni - odparła GaoLing. - Matka powiedziała: "Zawsze wiedziałam, że słusznie postąpiliśmy. Masz teraz dowód".

Rosa zmieniła się w szron i zimą mieliśmy dwa śluby, amerykański i chiński. Na amerykański panna Grutoff dała mi długą białą suknię, którą uszyła na swój własny ślub, ale nigdy nie miała jej na sobie. Jej ukochany zginął na wielkiej wojnie, więc suknia była pechowa. Ale dając mi ją, panna Grutoff miała w oczach łzy szczęścia, jak więc mogłam jej odmówić? Na chińskie przyjęcie miałam się ubrać w czerwoną spódnicę i zarzucić wyhaftowany przez GaoLing szal na głowę.

GaoLing powiedziała Matce i Ojcu, że wychodzę za mąż, więc zaprosiłam ich przez grzeczność. Miałam nadzieję, że nie przyjadą, usprawiedliwiając się niebezpieczeństwami wojny. Jednak przyjechali, razem z ciotkami, wujami, starszymi i młodszymi kuzynami, bratankami i bratanicami. Nikt nie mówił o wstydzie z powodu, o którym wszyscy wiedzieliśmy. Było mi bardzo niezręcznie. Przedstawiłam Matkę i Ojca jako ciotkę i wuja, co mogłoby być prawdą,

gdybym nie była nieślubnym dzieckiem bez prawa do posiadania rodziny. Prawie wszyscy w szkole zachowywali się wobec nich uprzejmie. Siostra Yu natomiast posyłała im krytyczne spojrzenia. Mruknęła do GaoLing na tyle głośno, żeby Matka słyszała:

- Wyrzucili ją, a teraz napychają sobie gęby przy jej stole.

Przez cały dzień czułam się zagubiona - byłam szczęśliwie zakochana, zła na krewnych, a jednak zadowolona, że tu są. Niepokoiłam się jednak białą suknią, uważając ją za znak, że moje szczęście nie potrwa długo.

Na przyjęciu zjawili się tylko dwóch naukowców, Dong i Chao. Z powodu wojny praca w kamieniołomach przestała być bezpieczna. Większość naukowców uciekła do Pekinu, zostawiając wszystko z wyjątkiem relikwów przeszłości. Zostało tylko dwudziestu sześciu miejscowych, wśród nich Kai Jing, Dong i Chao, którzy także mieszkali na terenie byłego klasztoru. Kai Jing doszedł do wniosku, że ktoś musi pilnować kamieniołomu. A gdyby Japończycy postanowili wysadzić wzgórze? Albo komuniści chcieli wykorzystać kamieniołom jako okop dla broni maszynowej?

- Gdyby nawet zrobili sobie tam latrynę - powiedziałam mu - jak ich powstrzymasz?

Nie starałam się go przekonać, że również powinniśmy uciekać do Pekinu. Wiedziałam, że nigdy nie opuści starego ojca, a ten nigdy nie opuści szkoły i dziewcząt z sierocińca. Nie chciałam jednak, żeby mój mąż szedł do kamieniołomów jako bohater, a wracał jako męczennik. Tyle było niepewności. Tyle już odeszło. Wielu z nas sądziło, że zostaliśmy porzuceni. Dlatego przyjęcie weselne przypominało trochę świętowanie smutnego zwycięstwa.

Po przyjęciu uczennice i przyjaciele zanieśli nas do sypialni. Był to ten sam składzik, w którym miała miejsce katastrofa naszej pierwszej nocy z Kai Jingiem. Teraz jednak pokój był czysty: nie było szurów, uryny ani słomy. Tydzień wcześniej uczennice pomalowały ściany na żółto, a belki na czerwono. Przesunęły też posągi na bok. Żeby Trzej Królowie na nas nie patrzyli, zrobiłam parawan z materiału i sznurów. W naszą noc poślubną uczennice przez wiele godzin siedziały pod naszymi drzwiami, żartując i przekomarzając się, śmiejąc się i odpalając petardy. W końcu zmęczyły się i odeszły. Po raz pierwszy Kai Jing i ja zostaliśmy sami jako mąż i żona. Tej nocy nic nie było zakazane i radość przychodziła nam bez wysiłku.

Następnego dnia mieliśmy odwiedzić domy teściów. Poszliśmy więc do dwóch pokoi na końcu korytarza, gdzie mieszkał Nauczyciel Pan. Kłaniałam się i podawałam mu herbatę, tytułując go "Baba". Wszyscy śmialiśmy się z tego ceremoniału. Potem Kai Jing i ja poszliśmy do ołtarza, który zrobiłam z oprawionego w ramki zdjęcia Drogiej Cioci. Nalaliśmy dla niej herbaty,

zapaliliśmy kadzidełko, a Kai Jing tytułował ją "Mama" i przyrzekał, że zaopiekuje się całą moją rodziną, łącznie z moimi przodkami.

- Teraz i ja jestem twoją rodziną - powiedział.

Naraz poczułam tchnienie zimnego oddechu na szyi. Dlaczego? Pomyślałam o swoim przodku, który zginął w Małpiej Szczęce. Czy to była przyczyna? Przypomniałam sobie kości, które nie wróciły na swoje miejsce. Co to wspomnienie mogło oznaczać?

- Nie istnieje coś takiego jak klątwa - powiedział później Kai Jing. - To tylko zabobony, a zabobon to zupełnie niepotrzebny lęk. Jedyne klątwy to zgryzoty, których nie potrafisz się pozbyć.

- Powiedziała mi o tym Droga Ciocia, a była mądra.

- Była samoukiem i mogła poznać tylko stare koncepcje. Nie miała sposobności poznać nauki, iść na uniwersytet tak jak ja.

- Dlaczego więc zginął mój ojciec? Dlaczego zginęła Droga Ciocia?

- Twój ojciec zginął w wypadku. Droga Ciocia sama odebrała sobie życie. Przecież mówiłaś.

- Ale dlaczego niebo dopuściło do tych wydarzeń?

- To nie sprawa nieba. Nie ma przyczyny.

Kochałam męża, więc starałam się przestrzegać nowych reguł: nie ma klątw, nie ma pecha, nie ma też szczęśliwych zdarzeń. Kiedy martwiłam się ciemnymi chmurami, mówiłam sobie, że nie ma przyczyny. Gdy wiatr i woda odmieniały różne miejsca, starałam się przekonać samą siebie, że to także nie ma przyczyny. Przez jakiś czas żyłam w szczęściu, nie trapiąc się zbyt licznymi zgryzotami.

Co wieczór po kolacji odwiedzałam z Kai Jिंगiem jego ojca. Uwielbiałam siedzieć w tych pokojach ze świadomością, że to także mój rodzinny dom. Umeblowanie było proste, stare i autentyczne, a wszystko miało swoje miejsce i przeznaczenie. Pod zachodnią ścianą Nauczyciel Pan postawił wyściełaną ławkę, która służyła mu za łóżko, nad nią zawiesił zaś trzy zwoje z kaligrafią. Na każdym było ze sto znaków namalowanych jak gdyby na jednym oddechu, dzięki natchnieniu. Pod oknem wychodzącym na południe w sezonie stał wazon kwiatów, kolorowy, jasny punkt, na którym zatrzymywało się oko. Przy ścianie od wschodu stało proste biurko i krzesło z ciemnego polerowanego drewna, tworząc dobre miejsce do myślenia. Na biurku znajdowały się cenne dla uczonego przedmioty, ułożone jak na obrazie z martwą naturą: szkatułka z lakierowanej skóry, stojaki na pędzelki z kości słoniowej i kamień do rozcierania tuszu z duan,

najlepszy rodzaj kamienia, najcenniejsza rzecz, jaką posiadał, dar od starego misjonarza, który go uczył w dzieciństwie.

Któregoś wieczoru Nauczyciel Pan podarował mi kamień z duan. Miałam zaprotestować, ale zdałam sobie sprawę, że jest teraz moim ojcem i mogę z radością przyjąć taki prezent. Trzymałam w ręku okrągły kształt duan, wodząc palcami po gładkiej powierzchni. Podziwiałam ten kamień od dnia, w którym pierwszy raz przyszłam do szkoły jako jego pomocnica. Przyniósł go kiedyś do klasy, żeby pokazać uczennicom.

- Gdy rozciera się tusz kamieniem, zmienia się jego charakter, z nieugiętego w uległy, z pojedynczej twardej formy powstaje wiele ulotnych form. Ale kiedy naniesiecie tusz na papier, znów staje się bezwzględny. Nie możecie go już zmienić. Kiedy popełnicie błąd, jedyne wyjście to wyrzucić wszystko.

Droga Ciocia mówiła kiedyś coś podobnego.

- Powinnaś myśleć o swoim charakterze. Wiedzieć, gdzie się zmieniasz, jak się zmienisz, a czego nie można zmienić.

Mówiła to, kiedy uczyłam się rozcierać tusz. Mówiła to także, gdy była na mnie zła, podczas naszych ostatnich wspólnych dni. Słyszając Nauczyciela Pana, który mówił o tym samym, przyrzekłam sobie, że się zmienię i stanę się lepszą córką.

Wiele się zmieniło i żałowałam, że Droga Ciocia nie może zobaczyć, jakie mam teraz dobre życie. Byłam nauczycielką i mężatką. Miałam męża i ojca. Byli to dobrzy ludzie, zupełnie inni niż teściowie GaoLing, Changowie. Moja nowa rodzina była szczerą i uczciwą wobec innych, taka sama w domu, jak na zewnątrz. Droga Ciocia nauczyła mnie, że to bardzo ważne. Dobre maniere nie wystarczą, mówiła, to nie to samo, co dobre serce. Mimo że Dobrej Cioci nie było przy mnie już tyle lat, wciąż słyszałam jej słowa w lepszych i gorszych czasach, kiedy okazywały się ważne.

Po ataku Japończyków na Usta Góry, ilekroć słyhać było dalekie odgłosy strzałów, wchodziłyśmy z GaoLing na szczyt wzgórza. Patrzymy w kierunku obłoków dymu. Zwracaliśmy uwagę, w którą stronę jadą drogami wozy i ciężarówki. GaoLing żartowała, że przynosimy nowiny szybciej niż radio, przed którym Kai Jing i panna Grutoff spędzali niemal pół dnia w nadziei, że dostaną jakąś wiadomość od naukowców, którzy wyjechali do Pekinu. Nie rozumiałam, dlaczego chcą, żeby radio do nich mówiło. Można tam było usłyszeć tylko o złych rzeczach - który port został zajęty albo że zabito prawie wszystkich w jakimś miasteczku, aby dać ludziom nauczkę, że nie wolno walczyć z Japończykami.

- Japończycy tu nie zwyciężą - mawiała wieczorami GaoLing. - Działają szybko na morzu, ale w górach są jak ryba wyrzucona na piasek. Za to nasi są jak kozice.

Co wieczór to powtarzała, żeby przekonać samą siebie, że to prawda. I przez chwilę rzeczywiście to była prawda. Japońscy żołnierze nie mogli przedostać się przez góry.

Woda nigdy nie popłynie pod górę, ale okazało się, że pieniądze to potrafią. Wszyscy handlarze z nizin przekradli się przez barykady i przywieźli swoje towary na górę, by ludzie z miasteczek na wzgórzach mogli wydać pieniądze, nim zostaną zabici. GaoLing, Kai Jing i ja chodziliśmy na drogę na zboczu góry, by kupować różne luksusowe rzeczy. Czasem napełniałam sobie całą blaszankę shaoping, pysznymi, puszystymi bułeczkami z ziarnem sezamowym, które uwielbiał Nauczyciel Pan. Innym razem kupowałam smażone fistaszki, suszone grzyby lub kandyzowany melon. Podczas wojny wielu rzeczy brakowało, więc każdy smakołyk, jaki udało się nam kupić, był pretekstem do urządzenia przyjęcia.

Wydawaliśmy je w salonie Nauczyciela Pana. Przy stole zawsze zasiadały GaoLing i Siostra Yu, a także naukowcy - Dong, starszy człowiek o łagodnym uśmiechu, i Chao wysoki i młody, z długimi włosami opadającymi na twarz. Nalewaaliśmy herbatę, a Nauczyciel Pan nakręcał patefon. Rozkoszując się pysznym jedzeniem, słuchaliśmy pieśni Rachmaninowa pod tytułem "Taniec orientalny". Wciąż mam przed oczyma Nauczyciela Pana, który wymachiwał ręką jak dyrygent, rozkazując niewidzialnym pianistom i wiolonczelistom grać raz delikatniej, raz energiczniej. Pod koniec przyjęcia kładł się na swojej wyściełanej ławce, zamykał oczy i wzdychał, wdzięczny za poczęstunek, wdzięczny Rachmaninowowi, synowi, synowej i przyjaciołom.

- Oto najprawdziwszy sens szczęścia - mówił nam.

Potem Kai Jing i ja szliśmy na wieczorną przechadzkę przed powrotem do naszego pokoju, wdzięczni sobie nawzajem za radość, jaka istnieje tylko między dwojgiem ludzi.

To były nasze małe rytuały. Dodawały nam otuchy, uwielbialiśmy je, tęskniliśmy za nimi, byliśmy za nie wdzięczni i długo o nich pamiętaliśmy.

Nawet w czas wojny i nędzy ludzie muszą mieć teatr i opery.

- To mowa i muzyka duszy - powiedział mi Kai Jing.

W każde niedzielne popołudnie występowały dla nas uczennice, wykazując przy tym prawdziwy entuzjizm. Szczerze mówiąc jednak, sztuka aktorska i muzyka nie były najwyższego lotu, czasem z trudem słuchało się tego i oglądało, więc sami musieliśmy być dobrymi aktorami,

aby udawać, że jest to dla nas nieporównywalna z niczym przyjemność. Nauczyciel Pan wyznał mi, że równie źle sztuki wystawiano, kiedy sama byłam uczennicą i grałam w nich. To wydawało się tak dawno. Uginając się pod brzemieniem wieku, panna Towler zrobiła się prawie tak niska jak Siostra Yu. Kiedy grała na fortepianie, nosem dotykała niemal klawiszy. Nauczyciel Pan miał kataraktę i martwił się, że niedługo nie będzie już w stanie malować.

Kiedy nadeszła zima, dowiedzieliśmy się, że wielu żołnierzy armii komunistów zapada na różne choroby i umiera, nie zdążywszy nawet wystrzelić. Japończycy mieli więcej lekarstw, cieplejsze ubrania i z każdej zajętej przez siebie wioski zabierali zapasy jedzenia. Wzgórz broniło coraz mniej oddziałów komunistów, więc Japończycy pięli się w górę krok za krokiem, a potem ściinali wszystkie drzewa, żeby nikt nie mógł się ukryć ani uciec. Byli coraz bliżej, a więc nie mogliśmy już bezpiecznie wybrać się na zbocze góry po zakupy.

Jednak Kai Jing i jego koledzy nadal chodzili do kamieniołomu, a ja szalałam z obawy.

- Nie idź - błagałam go zawsze. - Te kości tkwią tam od miliona lat. Mogą jeszcze poczekać do końca wojny.

Kamieniołom był jedynym przedmiotem naszych kłótni i czasem, gdy sobie o tym przypominam, mam wrażenie, że powinnam klócić się jeszcze zajadlej, klócić się do skutku, aż przestałby tam chodzić. A potem myślę, nie, powinnam klócić się mniej albo w ogóle. Wówczas w jego ostatnich wspomnieniach nie byłabym zrzędliwą żoną.

Kiedy Kai Jing nie był w kamieniołomach, uczył dziewczęta z mojej klasy geologii. Opowiadał im o starożytnej ziemi i starożytnym człowieku. Ja też słuchałam. Na tablicy rysował lodowe powodzie i ogniste wybuchy spod powierzchni ziemi, rysował czaszkę Człowieka z Pekinu tłumacząc, czym się ona różni od czaszki małpy - ma wyższe czoło i może zmieścić większy mózg. Jeśli przysłuchiwała się panna Towler lub panna Grutoff, Kai Jing nie rysował małpy i nie mówił o wiekach ziemi. Wiedział, że jego pojęcie o dawnym i wiecznym życiu odbiega od ich rozumienia świata.

Pewnego dnia Kai Jing opowiedział dziewczętom, jak to się stało, że ludzie zaczęli się różnić od małp.

- Prehistoryczny Człowiek z Pekinu umiał stać i chodzić na dwu nogach. Widać to w uformowaniu jego kości i śladach, jakie pozostawiał na błocie. Używał narzędzi. Stwierdziliśmy to, oglądając jego kości i kamienie, którym nadał taki kształt, żeby mogły ciąć i rozbijać. Człowiek z Pekinu prawdopodobnie zaczął też wymawiać słowa. W każdym razie jego mózg był w stanie

stworzyć język.

- Jakie słowa? - spytała jedna z dziewczynek. - Chińskie?

- Nie mamy pewności - rzekł Kai Jing - bo wypowiedziane słowa nie mogą przetrwać. W tamtych czasach nie

istniało pismo. Pisać zaczęto dopiero kilka tysięcy lat temu. Jeżeli jednak mówili jakimś językiem, to musiał to być dawny język, który prawdopodobnie istniał tylko wtedy. Możemy jedynie przypuszczać, co Człowiek z Pekinu próbował powiedzieć. Pomyślcie, jakie mógł mieć potrzeby. Co musi mówić człowiek? Do kogo musi mówić, do jakiego mężczyzny, kobiety i dziecka? Jak sądzicie, jaki był pierwszy dźwięk, który stał się słowem i zyskał znaczenie?

- Chyba każdy powinien modlić się do Boga - powiedziała inna dziewczynka. - Powinien dziękować wszystkim, którzy są dla niego dobrzy.

Tej nocy, kiedy Kai Jing już spał, rozmyślałam o tych pytaniach. Wyobrażałam sobie dwoje ludzi, którzy nie znają słów i nie potrafią ze sobą rozmawiać. Wyobrażałam sobie potrzebę mowy w różnych sytuacjach. Kolor nieba oznaczający "burzę". Zapach ognia, który oznacza "uciekać". Odgłos tygrysa gotującego się do ataku. Kto się przejmował takimi rzeczami?

Wtedy domyśliłam się, jaki mógł być pierwszy dźwięk: ma, odgłos, który wydaje ustami niemowlę, szukając matczynej piersi. Przez długi czas jest to jedyny potrzebny dziecku dźwięk. Ma, ma, ma. Potem matka uznała, że to jej imię i też zaczęła mówić. Nauczyła dziecka ostrożności: niebo, ogień, tygrys. Początkiem zawsze jest matka. Od niej zaczyna się wszystko.

Pewnego wiosennego popołudnia uczennice urządziły przedstawienie. Dobrze je pamiętam, akurat rozgrywała się scena sztuki "Kupiec wenecki", którą panna Towler przełożyła na chiński.

- "Na kolana i módl się" - recytowały dziewczynki. W tym momencie moje życie odmieniło się. Do sali wpadł zdyszany Nauczyciel Pan, krzycząc:

- Zabrali ich!

Pomiędzy jednym a drugim rwanym oddechem opowiedział nam, że Kai Jing i jego koledzy poszli jak zwykle do kamieniołomu. Nauczyciel Pan poszedł z nimi, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i porozmawiać. W kamieniołomie zastali żołnierzy. Byli to komuniści, nie Japończycy, więc przybyli nie przejęli się widokiem wojska.

Podszedł do nich dowódca żołnierzy i spytał Kai Jinga:

- Hej, dlaczego nie wstąpiłeś do wojska?

- Jesteśmy naukowcami, nie żołnierzami - wyjaśnił Kai Jing. Zaczął opowiadać o pracy przy Człowieku z Pekinu, lecz jeden z żołnierzy przerwał mu:

- Od miesiący nie prowadzi się tu już żadnych prac.

- Skoro pracujecie, by chronić przeszłość - rzekł dowódca, starając się, by zabrzmiało to bardziej życzliwie - moglibyście pracować dla przyszłości. Poza tym jaką przeszłość ocalicie, jeżeli Japończycy zniszczą Chiny?

- Macie obowiązek do nas dołączyć - burknął inny żołnierz. - Przelewamy własną krew w obronie waszej przeklętej wioski.

Dowódca uciszył go gestem. Potem zwrócił się do Kai Jinga:

- W każdej wsi, której bronimy, prosimy miejscowych mężczyzn o pomoc. Nie musicie walczyć. Możecie gotować, porządkować albo coś naprawiać. - Kiedy nikt nie odpowiedział, dodał ostrzejszym tonem: - To nie jest prośba, ale konieczność. Wasza wioska jest nam to winna. To rozkaz. Jeśli nie przyłączycie się do nas jako patrioci, weźmiemy was jako tchórzy.

Wszystko stało się bardzo szybko. Nauczyciel Pan powiedział, że jego też by zabrali, ale uznali, że prawie ślepy starzec przysporzy im więcej kłopotu niż korzyści. Kiedy żołnierze odprowadzali naukowców, Nauczyciel Pan zawołał za nimi:

- Jak długo ich nie będzie?

- Nie wiem, towarzyszu - odrzekł dowódca. - Sam sobie odpowiedz, kiedy wypędzimy stąd Japończyków.

Przez następne dwa miesiące bardzo wychudłam. GaoLing musiała mnie zmuszać do jedzenia, ale i tak nie czułam smaku niczego. Nie potrafiłam przestać myśleć o klątwie z Małpiej Szczęki i powiedziałam o tym GaoLing, ale nikomu innemu. Siostra Yu ciągle urządzała wspólne modlitwy o cud, błagając o rychłe zwycięstwo komunistów nad Japończykami, aby jak najszybciej wrócili do nas Kai Jing, Dong i Chao. Nauczyciel Pan wędrował po podwórkach, a katarakta zasnuwała jego oczy coraz gęstsza mgłą. Panna Grutoff i panna Towler nie pozwalały już dziewczętom wychodzić poza teren klasztoru, mimo że walki toczyły się w innych częściach wzgórza. Słyszały okropne historie o japońskich żołnierzach, gwałcących dziewczęta. Znalazły dużą amerykańską flagę i wywiesiły ją nad bramą jak talizman, który mógłby je uchronić przed złem.

Mniej więcej dwa miesiące po zniknięciu mężczyzn modlitwy Siostry Yu częściowo się spełniły. Wczesnym rankiem przez bramę przeszło trzech mężczyzn. Panna Grutoff uderzyła w

gong Ucha Buddy. Wkrótce wszyscy krzyczeli, że Kai Jing, Dong i Chao wrócili. Biegłam przez podwórko tak szybko, że o mało nie złamałam nogi w kostce. Padliśmy sobie z Kai Jिंगiem w objęcia i oboje zaczęliśmy szlochać ze szczęścia. Jego twarz była wychudła i bardzo brązowa; jego włosy i skóra pachniały dymem. A oczy - były inne. Pamiętam, co wtedy pomyślałam. Były wyblakłe i teraz myślę, że uszła wtedy z niego część siły życia.

- Japończycy zajmują już wzgórza - powiedział. - Odparli ataki naszych wojsk. - W ten sposób Siostra Yu dowiedziała się, że druga część jej modlitwy nie została spełniona. - Przyjdą nas szukać.

Zagrzałam wody, przygotowałam kąpiel, posadziłam go w wąskiej drewnianej wannie i umyłam jego ciało. Potem poszliśmy do naszej sypialni, gdzie na okratowanym oknie zawiesiłam tkaninę, żeby było ciemno. Położyliśmy się, a on kołysał mnie i cicho do mnie mruczał. Wszystkimi zmysłami czułam, że jestem w jego ramionach i jego oczy są utkwione w moich.

- Klątwy nie ma - mówił, a ja słuchałam uważnie, próbując uwierzyć, że zawsze będę słyszeć jego głos. - Jesteś dzielna, jesteś silna - ciągnął. Chciałam zaprotestować, że wcale nie chcę być silna, ale płacz nie pozwalał mi mówić - - Nie możesz tego zmienić - powiedział. - Taki masz charakter.

Ucałował moje oczy, jedno po drugim.

- To jest piękne i to jest piękne. Ty jesteś piękna i miłość jest piękna, i my jesteśmy piękni. Jesteśmy jak bogo wie, czas nas nie zmieni. - Mówił tak, dopóki mu nie rzekłam, że wierzę, i zgodziłam się, że już dość.

Japończycy przyszli po Kai Jिंगa, Donga i Chao wieczorem. Panna Grutoff okazała wielką odwagę, oświadczyła że jest Amerykanką, a oni nie mają prawa wchodzić do sierocińca. Nie zwrócili na nią uwagi, a kiedy zaczęli iść w stronę pokoi, gdzie pod łózkami schowały się dziewczęta Kai Jिंग i dwaj pozostali wystąpili naprzód, mówiąc, że nie muszą ich szukać. Próbowałam za nimi iść.

Kilka dni później usłyszałam dobiegający z głównej sali płacz. Weszła GaoLing z zaczerwienionymi oczyma, ale powstrzymałam ją przed wypowiedzeniem tego, co już wiedziałam. Przez miesiąc usiłowałam zachować żywego Kai Jिंगa w sercu i myślach. Jeszcze dłużej bardzo starałam się wierzyć w to, co mi powiedział: "Klątwy nie ma". Potem wreszcie pozwoliłam GaoLing mówić.

Dwóch japońskich oficerów przesłuchiwało mężczyzn w dzień i w nocy, próbując ich

zmusić do powiedzenia, dokąd poszły wojska komunistów. Trzeciego dnia ustawili w szeregu Kai Jinga, Donga, Chao i trzydziestu innych mieszkańców wioski. Obok stał żołnierz z bagnetem. Oficer powiedział, że zapyta ich jeszcze raz, jednego po drugim. Jeden po drugim kręcili głową i jeden po drugim padali na ziemię. W mojej wyobraźni czasem Kai Jing był pierwszy, czasem ostatni, czasem pośrodku.

Nie było mnie tam, kiedy to się stało, a jednak wszystko widziałam. Mogłam przed tym uciec tylko we wspomnienia. W tej bezpiecznej kryjówce wciąż byłam z nim, całował mnie i mówił: "Jesteśmy jak bogowie, czas nas nie zmieni".

CHARAKTER

GaoLing powiedziała, że niedługo Japończycy przyjdą po nas wszystkich, więc nie powinnam zadawać sobie trudu i od razu się zabijać. Dlaczego nie zaczekać i nie umrzeć razem? W ten sposób będzie mniej samotnie.

Nauczyciel Pan powiedział, że nie powinnam tego robić. Kto wtedy zostanie mu z rodziny, żeby go pocieszać w ostatnich dniach?

Panna Grutoff mówiła, że dzieci potrzebują mnie jako wzoru, kim może się stać sierota. Gdyby się dowiedziały, że straciłam nadzieję, jaka nadzieja by im pozostała?

Ale dopiero Siostra Yu przekonała mnie, abym została przy życiu i dalej znosiła cierpienia na ziemi. Powiedziała mi, że Kai Jing poszedł do chrześcijańskiego nieba i gdybym popełniła samobójstwo, Bóg zabroniłby mi się z nim zobaczyć. Wyobrażałam sobie chrześcijańskie niebo trochę jak Amerykę, odległy ląd, zamieszkały przez cudzoziemców i rządzony według ich praw. Samobójstwo było tam zakazane.

Zostałam więc i czekałam, aż przyjdą po mnie Japończycy. Odwiedzałam Nauczyciela Pana, przynosząc mu dobre rzeczy do jedzenia. Każdego popołudnia wychodziłam ze szkoły, kierując się w tę stronę wzgórza, gdzie usypano wiele kopczyków z kamieni. To tutaj misjonarki grzebały zmarłe dzieci i dziewczynki z sierocińca. Tu leżał także Kai Jing. W naszym pokoju znalazłam kilka smoczych kości, które wykopał w ciągu paru ostatnich miesięcy. Nie był to żaden cenny skarb, tylko kości dawnych zwierząt. Wzięłam jedną i grubą igłą wyryłam w niej słowa, robiąc kość wróżebną podobną do tej, którą dostałam od Drogiej Cioci. Napisałam: "Jesteś piękny, jesteśmy piękni, jesteśmy jak bogowie, czas nas nie zmieni". Gdy skończyłam jedną, zaczęłam rzeźbić w drugiej i nie mogłam przestać. Chciałam zapamiętać te słowa. Były dla mnie jak kęsy smutku, które jadłam.

Kładłam te kości wróżebne na mogile Kai Jinga.

- Kai Jingu - mówiłam za każdym razem. - Tęsknisz za mną? - I po długim milczeniu zaczynałam mu opowiadać, co się tego dnia zdarzyło: kto był chory, kto okazał się mądry, że skończyły się nam lekarstwa, że nie ma kto uczyć dziewcząt geologii. Pewnego dnia musiałam mu powiedzieć, że panna Towler nie obudziła się rano i wkrótce będzie leżeć obok niego.

- Poszła do Boga cichutko - powiedziała przy śniadaniu panna Grutoff, sprawiając wrażenie zadowolonej, że tak się stało. Ale potem zacisnęła usta, aż po obu stronach ukazały się

dwie głębokie bruzdy, wiedziałam więc, że jest pełna smutku. Panna Towler była dla panny Grutoff matką, siostrą i najstarszą przyjaciółką.

Po śmierci panny Towler panna Grutoff zaczęła szyć amerykańskie flagi. Wydaje mi się, że miała takie same powody, co ja, gdy rzeźbiłam kości wróżebne na grób Kai Jinga. Ocalała wspomnienie, w obawie że mogłaby zapomnieć. Co dzień naszywała gwiazdkę albo pasek. Barwiła na czerwono lub niebiesko skrawki materiału. Dziewczętom w szkole także kazała szyć flagi. Wkrótce nad starym klasztorem łopotało pięćdziesiąt flag, potem sto, dwieście. Gdyby ktoś nie wiedział, że w środku znajduje się sierociniec dla chińskich dziewcząt, mógłby pomyśleć, że za murami odbywa się patriotyczne przyjęcie dla Amerykanów.

Któregoś chłodnego poranka japońscy żołnierze w końcu wmaszerowali tłumnie na teren klasztoru. Byliśmy w głównej sali, gdzie odbywało się niedzielne nabożeństwo, choć to wcale nie była niedziela. Usłyszeliśmy strzały z karabinu, paf - paf. Podbiegliśmy do drzwi i ujrzeliśmy kucharza i jego żonę leżących twarzą w błocie, a obok tłoczyły się kurczaki, dziobiąc ziarno, które wysypało się z przewróconego wiadra. Amerykańska flaga, która wisiała nad bramą, teraz leżała na ziemi. Dziewczynki zaczęły płakać w przekonaniu, że kucharz i jego żona nie żyją. Ale po chwili zauważyliśmy, że kucharz lekko się poruszył, odwrócił głowę na bok, sprawdzając ostrożnie, kto stoi obok. Panna Grutoff przecisnęła się naprzód. Chyba wszyscy zastanawiali się, czy jako Amerykanka rozkaże Japończykom dać nam spokój. Tymczasem kazała wszystkim być cicho. Nikt się nie ruszał ani nie odzywał. Potem przyglądaliśmy się, zasłaniając sobie usta, by nie krzyknąć, jak japońscy żołnierze zestrzeliwali pozostałe setki flag, paf - paf, paf - - paf, strzelając na zmianę, docinając sobie nawzajem, kiedy któryś chybił. Gdy wszystkie flagi wisiały w strzępach, żołnierze zaczęli strzelać do kurczaków, które machały skrzydłami i ze skrzekiem padały na ziemię. Wreszcie wyszli, zabierając ze sobą martwe kurczaki. Kucharz i jego żona wstali. Pozostałe przy życiu kurczaki cicho gdakały, a dziewczynki wybuchnęły długo tłumionym szlochem.

Panna Grutoff kazała wrócić wszystkim do głównej sali. Tam poinformowała nas drżącym głosem o tym, czego przed kilkoma dniami dowiedziała się z krótkofalówki i radia: Japonia zaatakowała Stany Zjednoczone i Amerykanie wypowiedzieli Japonii wojnę.

- Skoro mamy po swojej stronie Amerykę, Chiny będą mogły szybciej wygrać wojnę - powiedziała i zaczęła klaskać, dając nam znak, żebyśmy poszły za jej przykładem.

Chcąc sprawić jej przyjemność, uśmiechaliśmy się, udając, że wierzymy w tę dobrą

nowinę. Wieczorem, kiedy dziewczynki poszły do swoich pokojów, panna Grutoff powiedziała nauczycielom, kucharzowi i jego żonie, czego jeszcze dowiedziała się od przyjaciół z Pekinńskiej Szkoły Medycznej.

- Zginęły kości Człowieka z Pekinu.

- Zniszczone? - zapytał Nauczyciel Pan.

- Nie wiadomo. Zniknęły. Wszystkie fragmenty czterdziestu jeden prehistorycznych ludzi.

Miały być zabrane pociągiem i załadowane na amerykański statek, który płynął z Tianjinu do Manili, ale statek zatonął. Niektórzy twierdzą, że skrzyń w ogóle nie załadowano na pokład. Powiadają, że Japończycy zatrzymali pociągi. Myśleli, że w skrzyniach są tylko rzeczy amerykańskich żołnierzy, więc rzucili je na tory, żeby przejechały je inne pociągi. Nikt teraz nie wie, co myśleć. Żadna z tych wersji nie jest dobra.

Słuchając jej, poczułam, że moje własne kości robią się puste w środku. Cała praca Kai Jinga, jego poświęcenie, jego ostatnia wyprawa do kamieniołomu - miały się zmarnować? Wyobraziłam sobie odłamki czaszki pływające wśród ryb w wodach portu, a potem opadające na dno, gdzie przysypuje je piasek wzburzany przez morskie węgorze. Ujrzałam inne fragmenty kości, które wyrzucają z pociągu jak śmieci, a potem opony wojskowych ciężarówek rozgniatają je na kawałeczki nie większe od ziaren piasku Gobi. Poczułam się, jak gdyby to były kości Kai Jinga.

Następnego dnia wrócili Japończycy, żeby zabrać pannę Grutoff do obozu jenieckiego. Wiedziała, że tak się stanie, a jednak nie próbowała uciekać.

- Nigdy z własnej woli nie zostawiłabym dziewczynek - powiedziała. Miała już spakowane walizki, włożyła kapelusz podróżny, a na szyję narzuciła szal.

Przy bramie zegnało ją pięćdziesiąt sześć płaczących dziewcząt.

- Nauczycielu Pan, proszę nie zapomnieć lekcji apostołów! - zawołała, zanim kazano jej wsiadać na tył ciężarówki. - I proszę dopilnować, żeby inni też przekazywali dobrą nowinę.

Pożegnanie wydawało mi się dziwne. Innym też, dopóki Nauczyciel Pan nie pokazał nam, co panna Grutoff miała na myśli.

Zabrał nas do głównej sali, gdzie stały posągi apostołów. Odkręcił rękę jednej figury. W środku była dziura, którą wydrążyli razem z panną Grutoff i ukryli w niej srebro, złoto i listę nazwisk byłych uczennic, mieszkających w Pekinie. Zajmowali się tym z panną Grutoff w ciągu ostatniego miesiąca, późnymi wieczorami. W każdym ^ apostołów była tylko część jej oszczędności, tak że gdyby Japończycy znaleźli pieniądze w jednym, jako poganie zapewne nie

wiedzieliby, w których spośród setek posągów szukać, by znaleźć resztę.

Gdyby wokół sierocińca zrobiło się niebezpiecznie mieliśmy wykorzystać pieniądze, aby zawieźć dziewczęta do Pekinu, po cztery lub pięć naraz. Tam mogły się zatrzymać u byłych uczennic i przyjaciół szkoły. Panna Grutoff skontaktowała się wcześniej z tymi ludźmi, którzy zgodzili się pomóc, kiedy przyjdzie pora. Musieliśmy ich tylko poinformować o swoim przyjeździe przez radio.

Nauczyciel Pan przekazał każdemu z nas - nauczycielom, pomocnikom i czterem starszym uczennicom - figurę jednego apostoła i odpowiedzialność za część pieniędzy na ucieczkę. I od dnia wyjazdu panny Grutoff kazał nam ćwiczyć rozpoznawanie apostołów i uczyć się na pamięć, gdzie znajduje się wydrążony schowek. Sądziłam, że wystarczy, aby każdy z nas potrafił rozpoznać własną figurę, ale Siostra Yu powiedziała:

- Powinniśmy wymówić na głos imiona. Wtedy apostołowie będą lepiej chronić nasze oszczędności.

Musiałam powtarzać te imiona tyle razy, że nadal mam je w pamięci: Pida, Pa, Matu, Yuhan, Jiama yijama er, Andaru, Filipa, Tomasa, Shaimin, Tadayisu i Budalomu. Zdrajca, Judasa, nie miał swojej figury.

Mniej więcej trzy miesiące po wyjeździe panny Grutoff Nauczyciel Pan uznał, że przyszedł czas jechać. Japończycy rozgniewali się na komunistów, którzy wciąż kryli się na wzgórzach. Chcieli ich wywabić, mordując mieszkańców pobliskich wiosek. Siostra Yu powiedziała GaoLing i mnie, że Japończycy robią przeokropne rzeczy z niewinnymi dziewczętami, z których najmłodsze miały po jedenaście czy dwanaście lat. Tak się działo w Tianjinie, Tungszenie i Nankinie.

- Te, których potem nie zabili, usiłowały zabić się same - dodała.

Wyobrażenia podsuwała nam straszne obrazy i byliśmy przerażone.

Licząc cztery starsze uczennice, które pozostały w szkole z powodu wojny, mieliśmy dwunastu opiekunów. Nawiązaliśmy kontakt radiowy z przyjaciółmi panny Grutoff w Pekinie, którzy powiedzieli, że miasto jest okupowane i choć na razie panuje spokój, powinniśmy poczekać, aż sami się do nas odezwą. Pociągi nie jeżdżą regularnie, a nie byłoby dobrze, gdybyśmy mieli tkwić przez kilka dni w różnych miastach po drodze. Nauczyciel Pan zdecydował, w jakiej kolejności będą wyjeżdżać poszczególne grupy: najpierw grupa z Matką Wang, która miała nas potem poinformować, jak minęła podróż, potem uczennice pod opieką czterech starszych dziewcząt, potem żony kucharza, Nauczyciela Wanga, kucharza, GaoLing, moją, Siostry Yu i na

końcu Nauczyciela Pana.

- Dlaczego masz być ostatni? - spytałam go.
- Wiem, jak obsługiwać radio.
- Mógłbyś mnie bez kłopotu nauczyć.
- Mnie też - powiedziały równocześnie Siostra Yu i GaoLing.

Sprzeczałyśmy się, prześcigając się nawzajem w odwadze. Musieliśmy być trochę niegrzeczni wobec siebie i wytykać sobie różne rzeczy. Nauczyciel Pan nie mógł zostać sam z powodu słabego wzroku. Siostra Yu miała za słaby słuch. GaoLing miała kłopoty ze stopami i bała się duchów, przez co uciekała w złą stronę. Ze mną też nie wszystko było w porządku, ale wreszcie pozwolono mi jechać jako ostatniej, mogłam więc do końca odwiedzać grób Kai Jinga.

Teraz mogę się przyznać, jak bardzo się bałam przez ostatnich kilka dni. Byłam odpowiedzialna za cztery dziewczynki: sześciolletnią, ośmioletnią, dziewięcioletnią i dwunastoletnią. Myśl, że zawsze mogę zginąć z własnej ręki, była dla mnie pociechą, ale denerwowałam się, czekając na śmierć z rąk Japończyków. Po wyjściu każdej grupy dziewcząt sierociniec zdawał się robić coraz większy, a kroki pozostałych rozlegały się coraz głośniejszym echem. Bałam się, że żołnierze przyjdą i znajdą radio, a potem oskarżą mnie o szpiegostwo i będą torturować. Rozmazałam na twarzach dziewczynek trochę błota i powiedziałam im, że gdyby przyszli Japończycy, mają się drapać po głowie i skórze udając, że mają wszy. Prawie co godzina modliłam się do Jezusa i Buddy w nadziei, że któryś mnie wysłucha. Zapaliłam kadzidełko przed fotografią Drogiej Cioci, chodziłam na grób Kai Jinga i szczerze mówiłam mu o swoim strachu.

- Gdzie się podział mój charakter? - pytałam go. - Mówiłeś, że jestem silna. Gdzie jest teraz ta siła?

Czwartego dnia naszego samotnego pobytu w sierocińcu przez radio nadeszła wiadomość: "Przyjeżdżajcie szybko. Ruszyły pociągi". Poszłam powiedzieć o tym dziewczynom i po chwili zobaczyłam, że stał się cud, ale nie wiem, czy za sprawą zachodniego Boga, czy chińskich bogów. Byłam wdzięczna, że wszystkie cztery dziewczynki miały spuchnięte oczy, z których kącików sączyła się zielona ropa. Dostały infekcji oczu, niegroźnej, ale o paskudnym wyglądzie. Nikt nie miałby ochoty ich dotykać. Pomyślałam szybko o sobie i wpadłam na pewien pomysł. Wzięłam trochę resztek kleiku ryżowego, który jadłyśmy rano, odsączyłam płynną część i rozsmarowałam płyn na skórze, policzkach, czole, szyi i dłoniach, a kiedy wyschłam, miałam pergaminową i pomarszczoną skórę starej wieśniaczki. Nalałam trochę tej lepkiej ryżowej wody do termosu i

dodałam krwi kurczaka. Kazałam dziewczynkom zebrać kurze jaja, jakie zostały w zagrodzie, nawet te zgniłe, i włożyć je do worków. Byłyśmy gotowe do zejścia ze wzgórza na stację kolejową.

Gdy przeszłyśmy ze sto kroków drogą, zobaczyłyśmy pierwszego żołnierza. Zwolniłam kroku i wypiąłam łyk z termosu. Żołnierz pozostał na miejscu i zatrzymał nas, kiedy doszłyśmy do niego.

- Dokąd idziecie? - zapytał.

Spojrzałyśmy wszystkie na jego twarz i ujrzałyśmy na niej wyraz niesmaku. Dziewczynki zaczęły się drapać po głowach. Zanim odpowiedziałam, kaszlnęłam w chustkę i złożyłam ją, żeby zobaczył krwawy śluz.

- Idziemy na targ sprzedać jajka - powiedziałam. Uniosłyśmy worki. - Przyjmie pan trochę w prezencie?

Machnął ręką.

Odeszłyśmy kawałek i wzięłam do ust kolejną porcję ryżowej wody z krwią. Zatrzymywano nas jeszcze dwa razy i dwa razy kaszlałam czymś, co wyglądało jak wydzielina chorej na gruźlicę. Dziewczynki przyglądały się zaropiały - mi oczyma.

Kiedy przyjechałyśmy do Pekinu, przez okno pociągu zobaczyłam GaoLing, która po nas wyszła. Zmrużyła oczy, żeby się upewnić, czy to na pewno ja wysiadam z pociągu - Podeszła wolno z przerażeniem w oczach.

- Co ci się stało? - spytała. Jeszcze raz splunęłam krwią w chustkę. - Aj-ja! - krzyknęła, odskakując.

Pokazałam jej termos z odstrasającym pościg "japońskim sokiem". Potem zaczęłam się śmiać i nie potrafiłam przestać. Oszalałam z radości i ulgi.

- Cały czas umierałam z niepokoju, a ty sobie żarty stroisz - narzekała GaoLing.

Umieściliśmy dziewczynki w domach byłych uczennic. W ciągu następnych lat niektóre wyszły za mąż, inne zmarły, jeszcze inne przyjeżdżały odwiedzić nas jako przybranych rodziców. GaoLing i ja zamieszkałyśmy w pokojach z tyłu starego sklepu z tuszem w Dzielnicy Glazurowania Naczyń. Zabrałyśmy ze sobą Nauczyciela Pana i Siostrę Yu. Co do męża GaoLing, wszyscy mieliśmy nadzieję, że nie żyje.

Oczywiście, złościłam się nad wyraz, że właścicielem sklepu jest rodzina Changów. Od śmierci Drogiej Cioci nie myślałam zbyt często o trumniarzu. Teraz rozkazywał nam sprzedawać więcej tuszu, sprzedawać szybciej. Człowiek, który zabił mojego dziadka i ojca, który przysporzył

Drogiej Cioci tylu cierpień, że zrujnowała własne życie. Doszłam jednak do wniosku, że jeśli szuka się odwetu, należy być blisko osoby, którą chce się zniszczyć. Postanowiłam zamieszkać w sklepie, bo tak było praktyczniej. Tymczasem mogłam obmyślać plany zemsty.

Na szczęście ojciec Changa nie niepokoił nas za bardzo w sprawach interesu. Tusz sprzedawał się dobrze, o wiele lepiej niż przed naszym przybyciem. Dlatego że ruszyliśmy głową. Była wojna. Kto miał tyle spokoju i czasu, by trzeć tusz, medytując nad tym, co ma napisać? Zauważyliśmy też, że rodzina Changów obniżyła jakość składników, więc pałeczki i kostki łatwo się kruszyły. To Nauczyciel Pan podsunął pomysł, żeby robić tusz błyskawiczny. Starłyśmy tani tusz, zmieszałyśmy z wodą i nalałyśmy do małych słoiczków, które kupiłyśmy za grosze od podupadającej apteki.

Nauczyciel Pan okazał się bardzo dobrym sprzedawcą. Miał maniery i charakter pisma starego uczonego, co pomagało przekonać klientów o doskonałej jakości naszego błyskawicznego tuszu, choć w rzeczywistości wcale nie był tak wyśmienity. Jednak aby zademonstrować jego walory, Nauczyciel Pan musiał bardzo uważać, żeby nie pisać niczego, co mogło zostać zinterpretowane jako antyjapońskie lub profeudalne, chrześcijańskie lub komunistyczne. Nie było to proste zadanie. Kiedyś postanowił pisać o jedzeniu. Na pozór nie kryło się w tym żadne niebezpieczeństwo. Napisał więc "Rzepy smakują najlepiej z marynaty", GaoLing jednak niepokoiła się, czy nie zostanie to odczytane albo jako obelga dla Japończyków, albo przymilanie się Japończykom, ponieważ rzepa jest podobna do rzodkwi, japońskiego przysmaku. Nauczyciel Pan napisał więc: "Ojciec, Matka, Brat, Siostra". Siostra Yu powiedziała, że wygląda to jak lista osób, które zginęły, i dlatego może oznaczać protest przeciw okupacji.

- To może być także przejaw sentymentu wobec konfucjańskich zasad rodzinnych - dodała GaoLing. - Chęć powrotu do czasów cesarskich.

Wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo, w słońcu, gwiazdach, kierunkach wiatru, bo każdego z nas niepokoiły różne skojarzenia. Każda liczba, kolor i zwierzę miały złe znaczenie. Każde słowo mogło brzmieć podobnie do innego. W końcu wpadłam na najlepszy pomysł, który został zaakceptowany. Napis brzmiał: "Proszę wypróbować nasz tusz błyskawiczny. Tani i łatwy w użyciu".

Podejrzewaliśmy, że wielu studentów uniwersytetu, kupujących nasz tusz, to komunistyczni rewolucjoniści, malujący plakaty propagandowe, które rozlepiano na murach w środku nocy. Plakaty głosiły: "Walczy razem". Rachunki prowadziła Siostra Yu i nie była zbyt

surowa, gdy biedniejsi studenci mieli za mało pieniędzy, żeby zapłacić za tusz.

- Zapłać, ile masz - mówiła. - Student musi mieć zawsze dość tuszu do nauki.

Siostra Yu dbała także, abyśmy mieli pieniądze dla siebie i aby ojciec Changa nie zauważył, że brakuje jakiejś sumy.

Kiedy w 1945 roku skończyła się wojna, nie musieliśmy się już przejmować ukrytymi znaczeniami słów, które mogły nam przysporzyć kłopotów z Japończykami. Na ulicach przez cały dzień wybuchały petardy i panował nastrój nerwowej radości. Z dnia na dzień w mieście zaczęli się tłoczyć sprzedawcy najwymyślniejszych smakołyków i wróżbici, głoszący tylko najlepsze wiadomości. GaoLing uznała, że to dobry dzień, by zapytać o swój los. Razem z Siostrą Yu postanowiłyśmy jej towarzyszyć.

Wróżbita, którego wybrała GaoLing, umiał pisać trzy różne słowa równocześnie trzema pędzelkami, które trzymał jedną ręką. Jeden pędzelek spoczywał między czubkiem jego kciuka a palcem. Drugi trzymał u nasady kciuka. Trzeci miał przypięty do zgięcia przegubu.

- Czy mój mąż nie żyje? - zapytała go GaoLing.

Byłyśmy zaskoczone taką bezceremonialnością. Wstrzymałyśmy oddech, gdy wróżbita napisał naraz trzy znaki: "Powrót Strata Nadzieja".

- Co to znaczy? - odezwała się Siostra Yu.

- Za następną niewielką ofiarę - odrzekł wróżbita - niebiosa pozwolą mi wyjaśnić.

Ale GaoLing powiedziała, że tyle jej wystarczy, i poszłyśmy dalej.

- Nie żyje - oznajmiła nam GaoLing.

- Dlaczego tak uważasz? - spytałam. - Wiadomość może też oznaczać, że żyje.

- Wynika z niej jasno, że mam stracić nadzieję na jego powrót.

- Może też znaczyć, że wróci do domu i wtedy my stracimy nadzieję - zasugerowała Siostra Yu.

- Niemożliwe - odparła GaoLing, ale dostrzegłam na jej czole zmarszczkę zwątpienia.

Nazajutrz po południu siedzieliśmy na podwórku sklepu, rozkoszując się nowym poczuciem swobody, gdy nagle usłyszeliśmy wołanie:

- Hej, myślałem, że nie żyjesz!

Jakiś mężczyzna patrzył na GaoLing. Miał na sobie wojskowy mundur.

- Po co przyszedłeś? - zapytała GaoLing, wstając z ławki. Mężczyzna prychnął.

- Mieszkam tu. To mój dom.

Wiedzieliśmy już, że to Fu Nań. Pierwszy raz ujrzałam człowieka, który mógł zostać moim mężem. Był potężny jak jego ojciec, o długim i szerokim nosie. GaoLing wstała, wzięła jego tobołek i poprosiła, żeby usiadł. Traktowała go z wyszukaną grzecznością, jak nieproszonego gościa.

- Co się stało z twoimi palcami? - zapytała. Brakowało mu małych palców u obu dłoni. Z początku wydawał się zmieszany, ale po chwili wybuchnął krótkim śmiechem.

- Jestem przeklętym bohaterem wojennym - powiedział. Obrzucił nas przelotnym spojrzeniem. - Kto to jest?

GaoLing przedstawiła nas, mówiąc, co każde z nas robi w sklepie. Fu Nań kiwał głową, po czym wskazał Siostrę Yu.

- Tej nie będziemy już potrzebowali. Sam zajmę się pieniędzmi.

- To moja przyjaciółka.

- Ja teraz mówię! - Zmierzył GaoLing wściekłym spojrzeniem, a kiedy nie odwróciła oczu, powiedział: - Och, wciąż ta sama zła żmija. Odtąd będziesz się mogła kłócić z nowym właścicielem sklepu. Przyjeżdża jutro. - Rzucił dokument opatrzony mnóstwem czerwonych pieczęci z nazwiskami.

GaoLing chwyciła papier.

- Sprzedałeś sklep? Nie miałeś prawa! Nie możesz kazać naszej rodzinie pracować dla kogoś innego. A dług - dlaczego jest jeszcze większy? Coś ty zrobił, przegrał te pieniądze, przejadł, przepalił, co?

- Idę teraz spać - rzekł. - A kiedy się obudzę, nie chcę widzieć tej garbatej kobiety. Jej widok działa mi na nerwy. - Machnął ręką, powstrzymując dalsze protesty. Odszedł i po chwili poczuliśmy woń opiumowego dymu.

GaoLing zaczęła przeklinać.

Nauczyciel Pan westchnął.

- Przynajmniej wojna się skończyła, więc możemy sprawdzić, czy nasi przyjaciele ze szkoły medycznej nie słyszeli o jakichś pokojach, do których moglibyśmy się wcisnąć.

- Nigdzie nie idę - oświadczyła GaoLing.

Jak mogła tak mówić po tym, co opowiedziała mi o mężu?

- Chcesz zostać z tym demonem? - wykrzyknęłam.

- To sklep naszej rodziny. Nie mogę stąd odejść. Wojna się skończyła i jestem gotowa

walczyć o naszą własność.

Próbowałam ją przekonać, ale Nauczyciel Pan dotknął mojego ramienia.

- Daj siostrze trochę czasu. Wróci jej rozum. Po południu Siostra Yu poszła do szkoły medycznej, lecz wkrótce zjawiała się z powrotem.

- Panna Grutoff wróciła - powiedziała. - Wypuścili ją z obozu jenieckiego. Ale jest bardzo, bardzo chora.

Wszyscy troje natychmiast wyruszyliśmy do domu cudzoziemki, pani Riley. Gdy weszliśmy do środka, zobaczyłam, jak bardzo panna Grutoff schudła. Kiedyś żartowaliśmy, że cudzoziemskie kobiety mają duże wymiona od krowiego mleka, które piją. Teraz jednak panna Grutoff wyglądała, jak gdyby wyciśnięto z niej wszystkie soki. Jej cera miała niezdrowy odcień. Upierała się, że wstanie, by nas powitać, ale my nalegaliśmy, żeby siedziała i nie zawracała sobie głowy formalnościami wobec starych przyjaciół. Na twarzy i ramionach miała obwisłą skórę. Rude kiedyś włosy dziś były siwe i rzadkie.

- Jak się pani czuje? - pytaliśmy.

- Całkiem dobrze - odrzekła z radosnym uśmiechem. - Żyję, jak widzicie. Japończycy nie zdołali mnie zagłodzić na śmierć, ale moskity prawie dały mi radę. Malaria.

Na malarię zmarły w sierocińcu dwie małe dziewczynki. Ale nie powiedziałam o tym panie Grutoff. Będzie jeszcze dużo czasu na złe wiadomości.

- Musi pani szybko wracać do zdrowia - powiedziałam. - Żebyśmy mogli otworzyć szkołę. Panna Grutoff pokręciła głową.

- Starego klasztoru już nie ma. Został zniszczony. Powiedziała mi o tym jedna misjonarka. Wstrzymaliśmy oddech.

- Drzewa, budynek, wszystko zostało spalone i zrujnowane.

Druga cudzoziemka, pani Riley, skinęła głową.

Chciałam zapytać, co się stało z grobami, ale nie byłam w stanie wydobyć głosu. Czułam się tak samo, jak w dniu, w którym dowiedziałam się o śmierci Kai Jinga. Myśląc o nim, próbowałam przypomnieć sobie jego twarz. Wyraźniej widziałam jednak kamienie, pod którymi leżał. Jak długo kochałam go, kiedy żył? Jak długo rozpaczałam po jego śmierci?

- Otworzymy szkołę w Pekinie, gdy tylko znajdziemy odpowiedni budynek - powiedziała pani Riley. Ale teraz przede wszystkim musimy się zająć zdrowiem panny Gru - toff, prawda, Ruth? - Poglądziła pannę Grutoff po rękę.

- Tak, oczywiście, zrobimy, co tylko trzeba! - zaczęliśmy się przekrzykiwać nawzajem. - Kochamy pannę Grutoff. Jest dla nas wszystkich matką i siostrą. Jak możemy pomóc?

Pani Riley powiedziała, że panna Grutoff musi wrócić do Stanów Zjednoczonych i pójść do lekarzy w San Francisco. Ale będzie potrzebowała kogoś do pomocy, żeby towarzyszył jej w drodze do Hongkongu, a potem w podróży przez ocean.

- Czy ktoś z was chciałby jechać ze mną? Chyba da się uzyskać wizę.

- Wszyscy możemy jechać! - odrzekła natychmiast GaoLing.

Spostrzegłam, że panna Grutoff zmieszala się.

- Nie chciałabym sprawiać takiego kłopotu - powiedziała. - Wystarczy chyba pomoc jednej osoby. - Potem westchnęła i powiedziała, że jest wyczerpana. Musiała się położyć.

Gdy wyszła z pokoju, spojrzeliśmy po sobie, nie bardzo wiedząc, jak zacząć rozmowę o tym, kto ma jechać z panną Grutoff. Ameryka? Panna Grutoff nie prosiła o zwykłą przysługę. Wiedzieliśmy, że proponuje także niepowtarzalną szansę. Wizę do Ameryki. Ale skorzystać z niej mogło tylko jedno z nas. Myślałam o tym. Dla mnie Ameryka była jak chrześcijańskie niebo. Tam poszedł Kai Jing i tam na mnie czekał. Wiedziałam, że to nieprawda, lecz w Ameryce była nadzieja, że odnajdę szczęście, które dotąd ukrywało się przede mną. Mogłabym umknąć przed dawną klątwą, uciec od złej przeszłości.

Po chwili usłyszałam głos GaoLing:

- Powinien jechać Nauczyciel Pan. Jest najstarszy, najbardziej doświadczony. - Pierwsza wystąpiła z propozycją, domyśliłam się więc od razu, że ona też chce jechać.

- W czym doświadczony? - odezwał się Nauczyciel Pan. - Obawiam się, że marny będzie ze mnie pomocnik. Jestem stary, trzęsą mi się ręce, potrafię czytać i pisać tylko wtedy, gdy trzymam papier na wyciągnięcie ręki, a słowa są wypisane dużymi literami. Poza tym mężczyźni byłoby niezręcznie towarzyszyć damie. A jeżeli trzeba jej będzie pomóc w nocy?

- Siostrzo Yu - zwróciła się do niej GaoLing. - W takim razie ty pojedziesz. Twoja mądrość pozwoli ci pokonać każdą przeszkodę.

Kolejna próba! GaoLing bardzo pragnęła jechać i robiła wszystko, żeby ktoś wskazał ją jako najlepszą kandydatkę.

- Jeśli ludzie wcześniej mnie nie zadepczą - odrzekła Siostra Yu. - Nie mów głupstw. Zresztą nie chcę wyjeżdżać z Chin. Szczerze mówiąc, mimo że darzę pannę Grutoff chrześcijańską miłością, nie mam ochoty jechać do innych Amerykanów. Bez względu na to, czy będzie wojna

domowa czy nie, wolałabym zostać w Chinach.

- A więc powinna jechać LuLing - powiedziała GaoLing.

Co miałam począć? Musiałam zaprotestować.

- Nigdy nie zostawiłabym swojego teścia ani ciebie.

- Nie, nie, nie musisz dotrzymywać towarzystwa temu starcowi - usłyszałam głos mego teścia. - Chcę przez to powiedzieć, że być może powtórnie się ożenię. Zgadza się. Wiem, co sobie myślisz. Bogowie śmieją się ze mnie, ja także.

- Ale z kim? - spytałam. Nie wyobrażałam sobie, by miał czas na umizgi do jakiejś kobiety.

Wciąż był w sklepie, a jeżeli wychodził, to zwykle miał ważne sprawy do załatwienia.

- Mieszka obok nas, od dawna jest wdową po właścicielu księgarni.

- Wa! Po tym człowieku, który wytaczał proces mojej rodzinie? - odezwała się GaoLing.

- Książki były falsyfikatami - zauważyłam. - Ten człowiek przegrał sprawę, pamiętasz?

Zaraz przypomniałyśmy sobie o dobrych manierach i pogratulowałyśmy Nauczycielowi Panowi, pytając, czy jego wybranka dobrze gotuje, czy ma ładną twarz, miły głos i rodzinę, która nie sprawi zbyt wielu kłopotów. Cieszyłam się z jego szczęścia, a także dlatego, że nie musiałam się już dłużej wzbraniać przed wyjazdem do Ameryki.

- Wydaje się oczywiste, że to LuLing powinna jechać do Ameryki z panną Grutoff - powiedziała Siostra Yu. - Nauczyciel Pan wkrótce dostanie się we władzę nowej żony, więc LuLing ma mniej powodów, aby przy nim zostać.

GaoLing wahała się odrobinę za długo, zanim oświadczyła:

- Tak, tak będzie najlepiej. A więc postanowione.

- Jak to? - odrzekłam, starając się okazać wielkoduszność. - Nie mogę zostawić własnej siostry.

- Nie jestem nawet twoją prawdziwą siostrą - przypomniała GaoLing. - Pojedziesz pierwsza. Potem będziesz mogła mnie zaprosić.

- Ach, widzisz! To znaczy, że chcesz jechać! - Nie mogłam jej tego nie wypomnieć. Ale skoro decyzja już zapadła, nic nie ryzykowałam.

- Wcale tak nie powiedziałam - odparła GaoLing. - Mówiłam tylko o sytuacji, gdyby coś się zmieniło i musiałabym przyjechać.

- Wobec tego może pojedziesz pierwsza i potem zaprosisz mnie? Jeżeli zostaniesz, twój mąż zrobi z tobą, co zechce. Zniszczy cię. - Byłam naprawdę wielkoduszna.

- Ależ nie mogę zostawić swojej siostry, tak jak ona nie może zostawić mnie - powiedziała GaoLing.

- Nie kłóć się - nakazałam jej. - Jestem starsza. Pojedziesz pierwsza, a miesiąc później ja przyjadę do Hongkongu i zaczekam, aż nadejdą papiery.

GaoLing powinna się sprzeciwić i powiedzieć, że to ona będzie czekać w Hongkongu. Lecz zapytała tylko:

- To tyle się czeka, żeby zaprosić drugą osobę? Miesiąc? Nie miałam pojęcia, jak długo to trwa, ale powiedziałam:

- Może nawet krócej. - Wciąż sądziłam, że zgodzi się czekać.

- Szybko. - GaoLing zamyśliła się. - Jeśli tak prędko, właściwie mogłabym jechać pierwsza. Tylko w ten sposób mogę natychmiast opuścić tego demona, mojego męża.

W tym momencie do pokoju wróciła pani Riley.

- Ustaliliśmy - oznajmiła jej Siostra Yu. - Pannie Grutoff w drodze do San Francisco będzie towarzyszyła GaoLing.

Byłam zbyt oszołomiona, żeby się odezwać. Tej nocy zachodziłam w głowę, jak mogłam stracić taką szansę. Byłam zła na GaoLing, że mnie okpiła. Potem dopuściłam do głosu siostrzane uczucia i ucieszyłam się, że będzie mogła uciec od Fu Nana. Miotłam się między tymi dwoma uczuciami. Tuż przed zaśnięciem uznałam, że to sprawka losu. Cokolwiek mi się teraz przydarzało, było to moje Nowe Przeznaczenie.

Trzy dni później, tuż przed naszym wyjazdem do Hongkongu, urządziliśmy małe przyjęcie.

- Nie trzeba płakać przy pożegnaniu - mówiłam. - Kiedy tylko osiedlimy się w nowym kraju, wszystkich was zaprosimy.

Nauczyciel Pan powiedział, że razem z żoną chętnie przed śmiercią odwiedzą inny kraj. Siostra Yu mówiła, że dużo słyszała o tańcu w Ameryce. Wyznała, że zawsze chciała się nauczyć tańczyć. Przez resztę wieczoru, który miał być naszym ostatnim wspólnym spotkaniem, żartowaliśmy i bawiliśmy się w odgadywanie przyszłości. Panna Grutoff wydobrzeje i wróci do Chin, gdzie znów każe sierotom grać w bardzo złych sztukach. GaoLing będzie bogata, znalazłszy wcześniej odpowiedniego wróżbitę, który będzie umiał pisać czterema pędzelkami naraz. A ja zostanę sławną malarką.

Wznosiliśmy toasty za swoje zdrowie. Niedługo, za rok, a może mniej, Siostra Yu i Nauczyciel Pan ze swoją nową żoną przyplyną do Ameryki na wakacje. GaoLing i ja będziemy na

nich czekać w porcie w San Francisco, siedząc w naszym nowym samochodzie, błyszczącym i czarnym, z mnóstwem wygodnych siedzeń i amerykańskim szoferem. Zanim pojedziemy do naszej posiadłości na szczycie wzgórza, zatrzymamy się przy sali tanecznej. I aby uczcić nasze spotkanie, będziemy tańczyć, tańczyć i tańczyć.

Co wieczór po powrocie do wynajmowanego pokoju w Hongkongu kładłam się w łóżku z mokrymi ręcznikami na piersi. Na ścianach były krople wilgoci, nie mogłam bowiem otworzyć okien, żeby wpuścić świeże powietrze. Budynek stał przy rybnej ulicy na półwyspie Koulun. Nie mieścił się tu jednak targ rybny. Tam, gdzie sprzedawano ryby, unosiła się woń porannego morza, słona i ostra. Mieszkałam w Otoczonym Murem Mieście Koulun przy kanale rynsztoka, gdzie gromadziły się łuski, krew i wnętrzności, które wieczorem wylewali tam razem z wiadrami wody handlarze ryb. Gdy wdychałam to powietrze, czułam opary śmierci, duszący kwaśny odór, który jak silną ręką sięgał prosto do wnętrza mojego żołądka, wywlekając na zewnątrz trzewia. Zapach Pachnącego Portu na zawsze pozostał w moich nozdrzach.

Brytyjczycy i inni cudzoziemcy mieszkali na wyspie Hongkong. Ale w mieście Koulun byli prawie sami Chińczycy, bogaci i obdarci, biedni i możni, każdy był inny, ale wszystkich łączyło jedno: i silni, i słabi byli tak zdesperowani, że pragnęli na zawsze zostawić ojczyznę i swoje rodziny.

Byli tam także tacy, którzy zarabiali na ludzkiej rozpacz. Chodziłam do wielu ślepych jasnowidzów, wemipio, którzy twierdzili, że mają kontakt z duchami.

- Mam wiadomość od dziecka! - wołali. - Wiadomość od syna. Od męża. Od rozgniewanego przodka.

Usiadłam przed jedną z takich wróżbiarek, która mi powiedziała:

- Twoja Droga Ciocia żyje już w innym wcieleniu. Pójdź trzy przecznice na wschód, potem trzy przecznice na północ. Tam zobaczysz żebrzącą dziewczynkę, która zawoła do ciebie: "Ciociu, zlituj się, daj mi nadzieję". Wtedy będziesz wiedziała, że to ona. Daj jej monetę i klątwa straci moc.

Postąpiłam dokładnie według tych wskazówek. I dziewczynka powiedziała do mnie słowo w słowo to, co mówiła wróżbiarka. Byłam uradowana. Potem te same słowa wypowiedziała inna dziewczynka, następna i następna, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści dziewczynek, każda chciała nadziei. Dawałam każdej monetę, na wszelki wypadek. I litowałam się nad każdą. Następnego dnia ujrzałam następną ślepą kobietę, która potrafiła rozmawiać z duchami. Ona także powiedziała mi, gdzie znajdę Drogą Ciocię. Pójdiesz tu i tu. Nazajutrz było to samo. Wydawałam swoje

oszczędności, ale nie zważałam na to. Lada dzień miałam przecież wyjechać do Ameryki.

Po miesiącu spędzonym w Hongkongu dostałam list od GaoLing:

“Moja Droga Prawdziwa Siostrzo, wybacz, że nie pisałam wcześniej. Nauczyciel Pan przysłał mi twój adres, ale nie dostałam go od razu, bo przeprowadzałam się z domu jednej chrześcijanki do drugiej. Przykro mi też poinformować Cię, że panna Grutoff zmarła tydzień po naszym przyjeździe. Zanim poleciała do nieba, powiedziała mi, że popełniła błąd, przyjeżdżając do Ameryki. Chciała wracać do Chin, żeby jej kości spoczęły obok panny Towler. Cieszyłam się, że tak kochała Chiny, ale było mi smutno, ponieważ na powrót było już za późno. Poszłam na jej pogrzeb, lecz okazało się, że niewielu ludzi ją znało. Tylko ja płakałam i powtarzałam sobie: to była wspaniała pani.

Druga wiadomość też nie jest dobra. Dowiedziałam się, że jeszcze nie mogę cię zaprosić. Prawdę mówiąc, sama ledwie mogłam tu zostać. Nie wiem, dlaczego wydawało nam się to takie proste. Teraz rozumiem, że byliśmy naiwne. Powinniśmy więcej pytać. Ale teraz wypytałam się i wiem, jak i kiedy możesz tu przyjechać. Jest kilka sposobów.

Pierwszy to taki, żebyś wystąpiła o prawo pobytu jako uchodźca. Chińczykom przydzielono jednak bardzo mały limit, a wjechać chciałyby cała masa ludzi. Szczerze mówiąc, Twoje szansę są jak szansę strugi wody w starciu z falą powodzi.

Drugi sposób polega na tym, że najpierw muszę dostać obywatelstwo, a potem zaproszę Cię jako swoją siostrę. Będziesz musiała oświadczyć, że Matka i Ojciec to twoi prawdziwi rodzice, bo nie będę mogła zaprosić kuzynki. Ale jako krewna będziesz miała prawo przyjazdu przed zwykłymi uchodźcami. Ja, żebyym mogła zostać tutejszą obywatelką, muszę się najpierw nauczyć angielskiego i znaleźć dobrą pracę. Przyrzekam Ci, że bardzo pilnie się uczę na wypadek, gdybym musiała użyć tego sposobu.

Jest jeszcze trzecia droga: mogę wyjść za Amerykanina i dostać obywatelstwo szybciej. Oczywiście, to niedobrze, że jestem już żoną Chang Fu Nana, ale myślę, że nikt nie musi o tym wiedzieć. Nie wspominałam o tym w dokumentach wizowych. Powinnaś też wiedzieć, że gdy składałam papiery o wizę, urzędnik zapytał o jakieś świadectwo urodzenia, a ja zapytałam: «Kto ma takie dokumen - ty?». Powiedział: «Och, czyżby spaliły się w czasie wojny, jak wszystkich innych?». Pomyślałam, że tak powinna brzmieć prawidłowa odpowiedź, więc przytaknęłam. Kiedy będziesz przygotowywać dokumenty do wizy, musisz powiedzieć to samo. I odmłodzić się o pięć lat. Napisz, że urodziłaś się w 1921 roku. Ja napisałam, że w 1922, ale nie zmieniłam miesiąca.

Dzięki temu zyskasz dodatkowy czas, żeby odrobić zaległości.

Matka i Ojciec pisali już do mnie z prośbą, żebym im przysłała dodatkowe pieniądze, jakie mi się uda zarobić. Musiałam im odpisać, że nie mam ani grosza. Jeśli w przyszłości zdobędę jakieś pieniądze, oczywiście, przyślę Ci trochę. Mam wyrzuty sumienia, że uległam twoim namowom i przyjechałam tu pierwsza. Teraz ty tkwisz w Hongkongu i nie wiesz, co robić. Nie zrozum mnie źle. Życie tutaj wcale nie jest proste. Pieniądze zarabia się inaczej, niż sobie wyobrażałyśmy. Nie wierz w te opowieści o łatwym bogactwie. A taniec jest tylko w filmach. Przez większą część dnia sprzątam w domach. Płacą mi dwadzieścia pięć centów. Może się to wydawać dużo, ale tyle kosztuje tu obiad. Trudno więc coś zaoszczędzić. Oczywiście, dla ciebie jestem gotowa przymierać głodem.

W swoim ostatnim liście Ojciec napisał, że omal nie umarł z gniewu, kiedy się dowiedział, że Fu Nań stracił sklep z tuszem w Pekinie. Podobno Fu Nań wrócił do Nieśmiertelnego Serca i cały dzień leży, ale stary Chang wcale go za to nie gani, mówiąc, że Fu Nań to wielki bohater wojenny, stracił dwa palce, ratował ludzkie życie. Wiesz, co czułam, czytając to. Najokropniejsze jest to, że nasza rodzina dalej musi wozić do sklepu pałeczki i kostki tuszu, ale w ogóle na tym nie zarabia, uzyskując tylko zmniejszenie długu. Każdy musi mieć się różnych prac w domu, wypłacać koszyki, cerować, godzić się na najgorsze zajęcia, przez co Matka skarży się, że upadliśmy tak nisko jak nasi lokatorzy. Każe mi się szybko wzbogacić, żebym mogła ją wyciągnąć z gardzieli piekła.

Czuję ogromne brzemień winy i odpowiedzialności".

Kiedy skończyłam czytać list od GaoLing, miałam wrażenie, jak gdyby ścięto mi głowę i mimo że umarłam, topór dalej rąbie moją szyję. Czekałam w Hongkongu na próżno. Będę tu tkwić rok, dziesięć lat albo do końca życia, w zatłoczonym mieście wśród zrozpaczonych ludzi, których historie są jeszcze smutniejsze od mojej. Ameryka nie była dla mnie. Straciłam swoją szansę.

Następnego dnia zebrałam rzeczy i poszłam na stację kolejową z zamiarem powrotu do Pekinu. Położyłam przed kasjerem resztę pieniędzy, jakie mi zostały.

- Bilet kosztuje teraz więcej, proszę pani - powiedział. Jak to możliwe?

- Pieniądze są mniej warte - wyjaśnił - i wszystko więcej kosztuje.

Poprosiłam o bilet w niższej klasie. To jest najniższa, powiedział, wskazując na tablicę ścienną, gdzie wypisano ceny biletów.

Teraz utknęłam tu na dobre. Zastanawiałam się, czy nie napisać do Nauczyciela Pana albo

Siostry Yu. Ale zaraz pomyślałam, och, nie mogę nikomu sprawiać takiego kłopotu - potu. Sama powinnam się z tym uporać. Mogłabym zastawie swoje kosztowności. Ale kiedy się im przyjrzałam, stwierdziłam, że są cenne tylko dla mnie: notatnik Kai Jinga, żakiet, który dostałam od GaoLing przed wyjazdem do sierocińca, kartki zapisane przez Drogą Ciocię oraz jej zdjęcie. Była jeszcze kość wróżebna. Odwinęłam ją z miękkiej szmatki i spojrzałam na wyryte z jednej strony znaki. Nieznane słowa o tym, co należało zapamiętać. Kiedyś kość wróżebna była warta dwa razy więcej niż kość smoka. Zaniósłam swój skarb do trzech sklepów. Pierwszy należał do nastawiacza kości, który powiedział, że kości nie używa się już jako leku, ale jako oryginalna ciekawostka kość jest warta trochę pieniędzy. Potem zaproponował mi cenę, która mnie zdumiała, ponieważ mogłabym za te pieniądze kupić prawie cały bilet drugiej klasy do Pekinu. W drugim sklepie sprzedawano biżuterię i różne osobliwości. Sprzedawca wyciągnął szkło powiększające. Obejrzał kość bardzo uważnie, obracając ją kilkakrotnie. Powiedział, że choć oryginalna, nie jest najlepszym okazem kości wróżebnej. Zaproponował cenę biletu pierwszej klasy do Pekinu. Następnie poszłam do sklepu z antykami dla turystów. Podobnie jak jubiler, sprzedawca badał kość przez specjalne szkło. Zawołał innego człowieka, żeby także się przyjrzał. Potem zaczął mi zadawać wiele pytań: "Gdzie pani to znalazła?... Co? Jak taka dziewczyna jak pani mogła sama znaleźć taki skarb?... Ach, jest pani wnuczką nastawiacza kości? Długo jest pani w Hongkongu?... Aha, czeka pani na wyjazd do Ameryki? Czy przypadkiem właściciel kości nie wyjechał do Ameryki wcześniej? Zabrała to pani komuś? W Hongkongu jest dziś wielu złodziei. Czy pani do nich należy? Proszę stąd iść, bo wezwę policję".

Wyszłam ze sklepu zła i oburzona. Ale serce biło mi mocno, bo wiedziałam już, że trzymam w ręku rzecz wartą dużo pieniędzy. A jednak jak mogłam ją sprzedać? Należała do mojej matki, mojego dziadka. Łączyła mnie z nimi. Jak mogłam oddać ją komuś obcemu tylko po to, żeby porzucić swoją ojczyznę i groby przodków? Im dłużej o tym myślałam, tym silniejsza się czułam. Kai Jing miał rację. Taki miałam charakter.

Ułożyłam sobie plan. Znajdę tańsze mieszkanie - tak, tańsze nawet od pokoiku w cuchnącym rybak domu - i pracę.

Przez kilka miesięcy zaoszczędzę trochę pieniędzy i jeżeli wiza nadal nie nadejdzie, wrócę do Pekinu. Tam przynajmniej będę mogła dostać pracę w innej szkole z sierocińcem. Tam będę mogła czekać w spokoju i w towarzystwie przyjaciół. Jeśli GaoLing zdobędzie dla mnie wizę, wrócę do Hongkongu. Jeśli nie, cóż, zostanę i będę nauczycielką. Jeszcze tego dnia

przeprowadziłam się do tańszego mieszkania, pokoju, który dzieliłam z dwiema kobietami. Jedna z nich chrapała, druga była chora. Spałyśmy na zmianę w jednym łóżku, chrapiąca rano, ja po południu, a chora po mnie. Jedna spała, a dwie wychodziły do miasta, szukając pracy, którą można wziąć do domu: reperowałyśmy buty, obszywały szale, wypłatały koszyki, wyszywały kołnierze, malowały miseczki, robiłyśmy wszystko, żeby zarobić parę dolarów. Tak żyłam przez miesiąc. Chora dziewczyna nie przestawała kaszleć, więc wyniosłam się ze wspólnego pokoju.

- Szczęście, że nie dostała pani gruźlicy jak ta druga dziewczyna - powiedział mi później sprzedawca melonów. - Teraz obie kaszlą krwią.

Gruźlica? - pomyślałam. Symulowałam tę chorobę, żeby uciec Japończykom. Czy teraz uda mi się uciec przed chorobą?

Zamieszkałam z panią z Szanghaju, która kiedyś była bardzo, bardzo bogata. Dzieliłyśmy mały, duszny pokój nad pralnią, w której gotowałyśmy bieliznę, zanurzając ją i wyciągając z kotłów długimi kijami. Kobieta krzyczała na mnie, kiedy ją ochlapywałam, nawet jeśli nie było w tym mojej winy. Jej mąż był ważnym oficerem w Kuomintangu. Jedna dziewczyna z pralni powiedziała mi, że zamknęli go w więzieniu za kolaborację z Japończykami w czasie wojny.

- Skąd więc w niej tyle wyniosłości? - mówiła dziewczyna. - Przecież wszyscy patrzą na nią z góry.

Wyniosła dama wymagała, abym w nocy nie wydawała żadnego dźwięku - nie wolno mi było kaszleć, kichać ani puszczać gazów. Musiałam chodzić bezszelestnie, udając, że mam buty uszyte z obłoków. Często płakała, a potem żaliła się Bogini Miłosierdzia, jak straszną karą jest dla niej towarzystwo tej osoby, mając na myśli mnie. Powiedziałam sobie, trzeba zaczekać, może zmienisz o niej zdanie, tak jak o Siostrze Yu. Jednak zdania nie zmieniałam.

Nie mogąc dłużej wytrzymać z tą okropną kobietą, z radością przeprowadziłam się do pewnej starszej damy, która była głucha. Za dodatkowe pieniądze pomagałam jej przez całą noc gotować orzeszki. Rano sprzedawałyśmy ludziom, którzy zjadali je na śniadanie z kleikiem ryżowym. Gorące popołudnie przesypiałyśmy. To było wygodne życie: orzeszki i spanie. Lecz pewnego dnia zjawili się dwoje ludzi, twierdząc, że są krewnymi głuchej pani: "Przyjechaliśmy, weź nas do siebie". Staruszka nie wiedziała, kim są, więc wyjaśnili nieco zawile pokrewieństwo. Przyznała, że może istotnie są rodziną. Przed opuszczeniem jej domu przeliczyłam pieniądze i stwierdziłam, że mam na najtańszy bilet kolejowy do Pekinu.

Znów poszłam na stację. I podobnie jak przedtem, dowiedziałam się, że wartość pieniędzy

znowu spadła, a ceny biletów wzrosły prawie dwukrotnie. Przypominałam owada, który biegnie po ścianie w górę, uciekając przed wodą, której poziom podnosi się jeszcze szybciej.

Tym razem musiałam obmyślić lepszy plan odmiany własnej sytuacji, mojego siąing. Po angielsku i chińsku to słowo brzmi prawie tak samo. Na rogu każdej ulicy było słycać głosy ludzi przybyłych z wielu różnych miejsc, którzy mówili: "Moja sytuacja wygląda tak. A tak mogę poprawić swoją sytuację". Zdałam sobie sprawę, że przyjechałam do miejsca, w którym wszyscy wierzą, że mogą zmienić swoją sytuację, odmienić los, nie będąc skazanym na wciąż te same warunki życia. Istniało wiele sposobów takiej zmiany. Człowiek musiał tylko być sprytny, chciwy albo mieć koneksje.

Naturalnie, sprytu mi nie brakowało, a gdybym była chciwa, sprzedałabym kość wróżebną. Jednak znów postanowiłam tego nie robić. Przecież nie cierpiałam nędzy i nie straciłam szacunku dla rodziny.

Jeśli idzie o koneksje, to po śmierci panny Grutoff została mi tylko GaoLing. A z GaoLing nie mogłam mieć pożytku. Nie wiedziała, jak sobie radzić. Gdybym to ja pierwsza pojechała do Ameryki, wykorzystałabym całą siłę mojego charakteru, by zdobyć wizę w ciągu najwyżej kilku tygodni. I nie miałabym takich kłopotów, jakie nękały mnie teraz tylko dlatego, że GaoLing nie wiedziała, co robić. Na tym polegał problem: GaoLing była silna, ale nie zawsze potrafiła spożytkować te siły we właściwy sposób. Wciąż była rozpieszczoną ulubienicą Matki. W sierocińcu przez te wszystkie lata również miała lekkie życie. Pomagałam jej, tak samo jak Siostra Yu, więc GaoLing nigdy sama nie musiała myśleć. Jeśli zmieniał się kierunek nurtu rzeki, nie przyszłoby jej do głowy płynąć pod prąd. Wiedziała, jak osiągnąć cel, ale tylko wtedy, gdy ktoś jej pomógł.

Do rana następnego dnia ułożyłam nowy plan. Za moje skromne pieniądze kupiłam biały fartuszek oraz spodnie z majje. Brytyjczycy przepadali za takimi służącymi - skromnymi, gustownie ubranymi i czystymi. Tak znalazłam pracę u angielskiej damy i jej wiekowej matki. Panie nosiły nazwisko Flowers.

Miały dom w Yictoria Peak. Był mniejszy od innych budynków w okolicy, bardziej przypominał domek letniskowy. Do frontowych drzwi prowadziła wąska i kręta dróżka, obsadzona paprociami. Obie angielskie damy zajmowały górę, a ja zamieszkałam w pokoiku w suterenie.

Panna Patsy, córka, miała siedemdziesiąt lat i urodziła się w Hongkongu. Jej matka musiała mieć co najmniej dziewięćdziesiąt i nosiła imię Ina. Mąż pani Iny zarobił dużo pieniędzy na

wożeniu towarów z Indii i Chin do Anglii. We wspomnieniach panna Patsy nazywała go panem Flowersem, mimo że był jej ojcem. Moim zdaniem, nazwisko rodziny Flowersów musiało pochodzić od kwiatów, z których sporządzano opium*. Dawno temu był to główny towar, jaki przewoziły statki handlowe między Hongkongiem a Indiami, i w ten sposób wielu Chińczyków wpadło w nałóg.

Panna Patsy od urodzenia mieszkała w Hongkongu, więc umiała mówić po kantońsku tak dobrze jak miejscowi. Była to szczególna mowa. Kiedy pierwszy raz przyszedłam do ich domu, zaczęła mówić do mnie w tym dialekcie. Nie rozumiałam go z wyjątkiem słów, których brzmienie przypomniało trochę dialekt mandaryński. Później zaczęła dodawać odrobinę angielskiego, który trochę znałam jeszcze ze szkoły w sierocińcu. Ale panna Patsy mówiła po angielsku jak Brytyjka i z początku bardzo trudno było mi ją zrozumieć.

Słowa pani Iny także trudno było zrozumieć. Z jej ust ulatywały dźwięki ciche i grudkowate, jak owsianka, którą co dzień jadła. Była tak stara, że przypominała dziecko. Brudziła majtki i na mokro, i na śmierdząco. Wiem o tym, bo musiałam ją myć. Panna Patsy mówiła do mnie: "Pani Ina musi umyć ręce". Wtedy podnosiłam panią Inę z kanapy, łóżka albo krzesła w jadalni. Na szczęście była drobna jak dziecko. Złościła się też jak dziecko. Krzyczała: "Nie, nie, nie, nie!", kiedy szłam z nią do łazienki, wolniutko, noga za nogą, tak że wyglądałyśmy jak dwa sklezione skorupami żółwie. Krzyczała jeszcze, kiedy ją myłam: "Nie, nie, nie, nie", ponieważ nie lubiła dotyku wody, zwłaszcza gdy zmoczyło się jej głowę. Trzy albo cztery razy dziennie musiałam ją przebierać i prać jej majtki i inne części garderoby. Panna Patsy nie chciała, żeby jej mamusia nosiła pieluchy, ponieważ byłaby to ogromna zniewaga. Musiałam więc codziennie myć i prać mnóstwo rzeczy. Na szczęście panna Patsy była bardzo miła i uprzejma. Gdy pani Ina wpadała w gniew, wystarczyło, by panna Patsy wesołym głosem wypowiedziała tylko dwa słowa: "Goście idą!". Wówczas pani Ina natychmiast porzucała wszystko, siadała, prostując przygięte plecy i składając dłonie na kolanach. Tak ją nauczono, kiedy była małą dziewczynką. Przy gościach należało być damą, nawet gdyby trzeba było udawać.

W domu miały jeszcze papugę, dużego szarego ptaka imieniem Kuku - tak jak robi kukułka w zegarze. Z początku sądziłam, że panna Patsy woła na niego ku - ku, używając chińskiego słowa "płakać", bo papuga rzeczywiście czasem wydawała płaczliwe dźwięki "Ku! Ku! Ku!" - jak gdyby była śmiertelnie ranna. A czasami śmiała się jak obłąkana kobieta, długo i głośno. Ptak potrafił naśladować każdy dźwięk - głos mężczyzny, kobiety, małpy, dziecka. Pewnego dnia usłyszałam

gwizdek czajnika. Przybiegłam szybko, ale czajnikiem okazał się Kuku, kołyszący się na swojej gałęzi i wyciągający szyję z radości, że udało mu się mnie oszukać. Innym razem usłyszałam wołanie dziewczynki, która błagała po chińsku: "Baba! Baba! Nie bij mnie! Proszę, nie bij!", a potem krzyczała tak przeraźliwie, że skóra omal nie odpadła mi od ciała.

Panna Patsy powiedziała:

- Kuku był już zły, kiedy na dziesiąte urodziny kupił mi go pan Flowers. I przez sześćdziesiąt lat nauczył się tylko tego, czego chciał, jak wielu mężczyzn.

Panna Patsy kochała ptaka jak syna, lecz pani Ina zawsze mówiła, że ta papuga to diabeł. Kiedy tylko usłyszała śmiech ptaka, człapała do klatki, groziła mu palcem i mówiła coś w rodzaju: "Och, cii, zamknij się". Czasem zdążyła tylko wznieść palec, ale zanim się odezwała, papuga ubiegała ją, mówiąc głosem pani Iny: "Och, cii". Pani Ina stała stropiona przed klatką. Wa! Czyżby już to powiedziała? Widziałam te myśli na jej twarzy. Przekrzywiała głowę to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby dwie połowy jej umysłu toczyły ze sobą walkę. Czasami powolutku szła na koniec pokoju, potem odwracała się i równie powoli zbliżała do klatki, unosiła palec i mówiła: "Och, cii!". A ptak powtarzał za nią. Później przekrzykiwali się: "Zamknij się! Zamknij się!". Pewnego dnia pani Ina podeszła do papugi i zanim zdążyła się odezwać, Kuku zawołał wesołym głosem panny Patsy: "Goście idą!". Pani Ina od razu usiadła na najbliższym stojącym krześle, z rękawa wyciągnęła koronkową chustkę, skrzyżowała ręce na podołku, zamknęła usta i czekała, utkwivszy błękitne oczy w drzwiach.

Tak właśnie nauczyłam się mówić po angielsku. Doszłam do wniosku, że skoro ptak mówi dobrze po angielsku, to ja też potrafię. Musiałam wymawiać słowa bardzo wyraźnie, bo w przeciwnym wypadku pani Ina nie słuchała moich instrukcji. Panna Patsy mówiła do matki, używając prostych słów, więc łatwo nauczyłam się kilku nowych zwrotów: "Proszę wstać, usiąść, podano obiad, czas na herbatę, okropna pogoda, prawda?".

Przez następne dwa lata sądziłam, że moja sytuacja nigdy się już nie zmieni. Co miesiąc chodziłam na stację kolejową i dowiadywałam się, że ceny biletów znów poszły w górę. Co miesiąc dostawałam list od GaoLing. Pisała mi o swoim nowym życiu w San Francisco, o tym, jak trudno być ciężarem dla obcych ludzi. Kościół, który się nią opiekował, znalazł jej pokój u starej babci, pani Wu, mówiącej po mandaryńsku. "Jest bardzo bogata, ale skąpa - pisała GaoLing. - Zostawia sobie na potem wszystko, co wydaje się jej za dobre, żeby od razu zjeść - owoce, czekoladki, orzechy nerkowca. Kładzie te smakołyki na lodówce, a kiedy zgniją i nie da się już ich

jeść, wkłada je sobie do ust i mówi: «Czemu wszyscy twierdzą, że to takie dobre? Co w tym dobrego?»". W ten sposób GaoLing dawała mi do zrozumienia, jak ciężkie ma życie.

Lecz pewnego miesiąca dostałam od GaoLing list, który nie zaczynał się od wylewania żalów.

“Dobre wieści - pisała. - Poznałam dwóch kawalerów i myślę, że powinnam wyjść za jednego z nich. Obaj są obywatelami amerykańskimi, urodzonymi w tym kraju. Według mojego paszportu z nową datą urodzenia, jeden jest starszy ode mnie o rok, a drugi o trzy lata. Wiesz, co to znaczy. Starszy uczy się, żeby zostać lekarzem, młodszy ma być dentystą. Starszy jest poważniejszy, bardzo inteligentny. Młodszy - przystojniejszy i ciągle żartuje. Bardzo trudno mi zdecydować, o którego względy mam zacząć się starać. Jak sądzisz?”.

Tuż przed przeczytaniem listu skończyłam myć panią Inę drugi raz w ciągu godziny. Miałam ochotę wyciągnąć ręce przez ocean, mocno potrząsnąć GaoLing i krzyknąć: “Wyjdź za tego, który pierwszy będzie cię chciał. Jak możesz mnie pytać, na którego się zdecydować, kiedy ja się zastanawiam, jak mam przeżyć z dnia na dzień?”.

Nie odpisałam GaoLing od razu. Po południu musiałam iść na ptasi targ. Panna Patsy powiedziała, że trzeba kupić Kuku nową klatkę. Zeszłam więc ze wzgórze i przeprawiłam się promem przez port na stronę półwyspu Koulun. Z każdym dniem panował tu coraz uciążliwszy tłok, z Chin bowiem przyjeżdżało coraz więcej ludzi.

“Wojna domowa jest z każdym dniem okrutniejsza - pisała do mnie Siostra Yu. - Toczą się krwawe bitwy, takie jak podczas wojny z Japonią. Jeżeli nawet masz dość pieniędzy na powrót do Pekinu, lepiej tu nie przyjeżdżaj. Nacjonaści powiedzą, że jesteś komunistką, bo Kai Jinga nazywają teraz ich bohaterem, a komuniści powiedzą, że jesteś nacjonalistką, bo mieszkałaś w amerykańskim sierocińcu. Nie wiadomo, co gorsze, poza tym w każdym mieście po drodze jest inaczej”.

Kiedy to czytałam, przestałam się zamartwiać, jak wrócić do Pekinu. Zaczęłam się niepokoić o Siostrę Yu i Nauczyciela Pana oraz jego nową żonę. Ich też każda ze stron mogła zaliczyć do wrogów. Idąc w stronę ptasiego targu, myślałam tylko o tym. I nagle poczułam na szyi tchnienie lodowatego wiatru, choć był ciepły dzień. Jak gdyby zjawił się za mną duch, pomyślałam. Szłam dalej, skręciwszy za róg, potem następny, ale wrażenie, że ktoś za mną idzie, stawało się coraz wyraźniejsze. Zatrzymałam się raptownie i odwróciłam. Jakiś mężczyzna powiedział:

- A więc to naprawdę ty.

Przede mną stał Fu Nań, mąż GaoLing, ale teraz brakowało mu nie tylko dwóch małych palców u rąk, ale całej lewej dłoni. Jego cera miała niezdrową barwę, oczy były żółto - czerwone.

- Gdzie moja żona? - zapytał.

Obracałam to pytanie w głowie. Jaka odpowiedź będzie bezpieczniejsza?

- Wyjechała - odrzekłam w końcu, ciesząc się, że mogę powiedzieć te słowa: - Wyjechała do Ameryki.

- Do Ameryki? - Z początku wydawał się zdumiony, lecz po chwili uśmiechnął się. - Wiedziałem. Chciałem tylko sprawdzić, czy powiesz mi prawdę.

- Nie mam nic do ukrycia.

- A więc nie ukrywasz, że też starasz się wyjechać do Ameryki?

- Kto tak mówi?

- Cała rodzina Liu. Jak wygłodniałe psy czekają na okazję, żeby pojechać do córki. Dlaczego ty miałabyś jechać pierwsza, skoro nie jesteś nawet jej prawdziwą siostrą? Zaproszeni mogą być tylko prawdziwi krewni, nie bękarty. - Uśmiechnął się niby przepraszająco. - Oczywiście, na pierwszym miejscu są mężowie.

Chciałam odejść, ale złapał mnie.

- Jeżeli ty mi pomożesz, ja pomogę tobie - powiedział. - Daj mi jej adres, tyle mi wystarczy. Jeżeli nie będzie chciała, żebym przyjechał, trudno, ty będziesz druga w kolejności. Nic nie powiem rodzinie Liu.

- Już teraz wiem, że nie chce, żebyś przyjeżdżał. Wyjechała do Ameryki, żeby uciec od ciebie.

- Daj mi jej adres, bo inaczej pójde do władz i po. wiem, że wcale nie jesteście prawdziwymi siostrami. Stracisz szansę wyjazdu, tak jak ja.

Patrzyłam na tego straszego człowieka. O czym on mówił? Co naprawdę zrobi? Uciekłam, klucząc w tłumie dopóki nie byłam pewna, że go zgubiłam. Na ptasim targu rozglądałam się ukradkiem. Targowałam się bardzo krótko i zakupiwszy klatkę, szybko wróciłam na wyspę, ściskając mocno dokumenty, w których było napisane, gdzie mieszkam. Co robi Fu Nań? Naprawdę chce powiedzieć władzom? Ile ma sprytu? Komu właściwie chce powiedzieć?

Tego wieczoru napisałam list do GaoLing, informując ją o groźbach Fu Nana. "Tylko ty wiesz, jaki jest przebiegły - pisałam. - Mógłby też powiedzieć władzom, że jesteś zamężna i

będziesz miała kłopoty, zwłaszcza jeśli poślubisz Amerykanina".

Następnego dnia wyszłam z domu, aby wysłać list. Gdy tylko znalazłam się na ulicy, znów poczułam nagły chłód. Weisnęłam list pod bluzkę. Fu Nań czekał na mnie za rogiem.

- Daj mi trochę pieniędzy - powiedział. - Chyba możesz to zrobić dla własnego szwagra? A może wcale nie jesteś siostrą mojej żony?

Przez kilka następnych tygodni pojawiał się, ilekroć wychodziłam z domu. Nie mogłam wezwać policji. Co mogłabym powiedzieć? "Mój szwagier, który naprawdę nie jest moim szwagrem, prześladowuje mnie, żądając pieniędzy i adresu mojej siostry, która nie jest moją prawdziwą siostrą"? A pewnego dnia, gdy wychodziłam na targ, nie było go. Cały czas, gdy przebywałam poza domem, spodziewałam się go zobaczyć i byłam przygotowana na nieprzyjemności. Nic. Po powrocie do domu zachodziłam w głowę, co się stało, czując dziwną ulgę. Miałam cichą nadzieję, że może umarł. Przez cały tydzień nie dawał znaku życia. Nie czułam więcej chłodnych podmuchów. Czyżby odmieniło się moje szczęście? Gdy otworzyłam list od GaoLing, przekonałam się, że to prawda.

Złość mnie ogarnęła na wiadomość, że Fu Nań cię niepokoił - pisała. - Ten zółwi pomiot nie cofnie się przed niczym, żeby zaspokoić swoje potrzeby. Jedyne sposobem, żeby się go pozbyć na kilka dni, to dać mu pieniądze na opium. Ale niedługo już nie będziesz się tym przejmować. Mam dobre wieści! Znalazłam inny sposób, żebyś tu przyjechała. Pamiętasz braci, o których pisałam - jeden ma zostać dentystą, a drugi lekarzem? Nazywają się Young, a ich ojciec powiedział, że możesz przyjechać, jeżeli ktoś taki jak on zaprosi Cię jako sławną artystkę zagraniczną. To tak jak turysta ze specjalnymi przywilejami. Bardzo uprzejmie z ich strony, że to robią, bo przecież nie należę jeszcze do rodziny. Oczywiście, nie mogę ich prosić, żeby zapłacili za podróż, ale wypełnili już wnioski i złożyli odpowiednie dokumenty. Teraz muszę więcej zarobić, żebyśmy mogli kupić bilet na statek. Tymczasem musisz się przygotować, żeby w każdej chwili móc wyjechać. Musisz zdobyć rozkład rejsów, zbadać się u lekarza, czy nie masz pasożytów...".

Czytając długą listę rzeczy do zrobienia, nie mogłam się nadziwić, jaka jest mądra. Tyle wiedziała, że poczułam się jak dziecko prowadzone przez zatroskaną matkę. Tak się cieszyłam, że nie powstrzymywałam łez, płynąc promem do domu. Ponieważ byłam na promie, nie przestraszyłam się chłodnego wietrzyku. Nawet mnie orzeźwił. Po chwili jednak uniosłam wzrok.

Zobaczyłam Fu Nana. Brakowało mu jednego oka.

Z przerażenia o mało nie wyskoczyłam za burtę. Czułam się, jak gdybym zobaczyła, co się

stanie ze mną.

- Daj pieniądze - powiedział.

Wieczorem ustawiłam zdjęcie Drogiej Cioci na niskim stoliku i zapaliłam kadzidelko. Błagałam o wybaczenie ją i jej ojca. Mówiłam, że za prezent, jaki od niej dostałam, kupię sobie wolność, i mam nadzieję, że nie będzie o to zła.

Następnego dnia sprzedałam kość wróżebną w drugim sklepie, który odwiedziłam wiele miesięcy temu. Razem z oszczędnościami, jakie zgromadziłam, pracując jako pokojówka, miałam dość pieniędzy na bilet na statek w najtańszej klasie. Wzięłam rozkład rejsów i wysłałam do GaoLing telegram. Co kilka dni dawałam Fu Nanowi dość pieniędzy, żeby pogrążył się w swoich marzeniach. Wreszcie przyznano mi wizę. Zostałam sławną artystką zagraniczną.

Płynęłam do Ameryki, ziemi bez klątw i duchów. Zanim przybiłam do brzegu, odmłodziłam o pięć lat. A jednak czułam się taka stara.

Ruth wyczuwała, że pan Tang pokochał LuLing, choć nigdy jej nie spotkał. Mówił, jak gdyby znał ją lepiej niż ktokolwiek inny, nawet jej własna córka. Miał osiemdziesiąt lat i przeżył drugą wojnę światową, wojnę domową w Chinach, rewolucję kulturalną i operację wszczepienia trzech bypassów tętnicy wieńcowej. W Chinach był słynnym pisarzem, ale tu jego dzieł nie przetłumaczono, więc były nieznane. Nazwisko pana Tanga Ruth dostała od kolegi Arta, lingwisty.

- To kobieta silnego charakteru, bardzo uczciwa - powiedział, rozmawiając przez telefon z Ruth krótko po rozpoczęciu tłumaczenia zapisków matki, które Ruth mu przesała. - Mogłaby mi pani dać jej zdjęcie z młodości? Kiedy ją zobaczę, łatwiej mi będzie przełożyć jej słowa na angielski tak, jak wyraziła je po chińsku.

Ruth uważała, że to dziwna prośba, lecz spełniła ją, wysyłając mu powiększone odbitki zdjęcia LuLing i GaoLing z Matką i fotografii, którą zrobiono matce zaraz po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Później pan Tang poprosił Ruth o zdjęcie Drogiej Cioci.

- Niezwykła postać - zauważył. - Samouk, szczerą, prawdziwą buntowniczką jak na tamte czasy.

Ruth miała nieprzepartą ochotę spytać go, czy Droga Ciocia rzeczywiście jest prawdziwą matką jej matki. Wstrzymała się jednak, pragnąc przeczytać cały przekład od początku do końca, nie po kawałku. Pan Tang powiedział, że skończy pracę za dwa miesiące.

- Nie chciałbym tłumaczyć słowa po słowie. Chcę nadać tekstowi bardziej naturalną formę, a jednocześnie mieć pewność, że to słowa pani matki, zapis dla pani, pani dzieci i następnych pokoleń. Trzeba to zrobić precyzyjnie, zgodzi się pani ze mną?

Kiedy pan Tang pracował nad przekładem, Ruth mieszkała w domu LuLing. Powiedziała o swojej przeprowadzce Artowi, gdy wrócił z Hawajów.

- Trochę to niespodziewane - zauważył, obserwując, jak Ruth się pakuje. - Jesteś pewna, że nie postępujesz zbyt pochopnie? Może lepiej zatrudnić kogoś do pomocy?

Czyżby bagatelizowała swoje kłopoty w ciągu ostatniego pół roku? A może Art po prostu nie zwrócił na nie uwagi? Poczula rozgoryczenie na myśl, jak mało o sobie wiedzą.

- Chyba będzie prościej, jeśli zatrudnisz kogoś do pomocy i opieki nad dziewczynkami - odparła Ruth. Art westchnął.

- Przepraszam. Po prostu wszystkie gosposie, jakie uda mi się przyjąć, po kolei rezygnują, a nie mogę nakłaniać cioci Gal ani nikogo innego, żeby zajmowała się matką cały czas. Owszem, ciocia Gal może ją od czasu do czasu wziąć do siebie, ale tydzień, jaki z nią spędziła, był podobno gorszy od czasów, gdy jej wnuki były małe i musiała za nimi biegać. Przynajmniej wreszcie uwierzyła w diagnozę i już wie, że herbatka z żeń - szenia nie jest cudownym lekiem na wszystko.

- Na pewno nie chodzi o nic innego? - pytał, idąc za nią do Kącika.

- Co masz na myśli? - Brała z półek dyskiety i notatniki.

- Nas. Ciebie i mnie. Może powinniśmy porozmawiać o czymś więcej niż obumierający umysł twojej matki?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Wydajesz się - nie wiem - chłodna, może nawet zła.

- Jestem spięta. W zeszłym tygodniu przekonałam się, jak naprawdę czuje się matka, i to mnie przeraziło. Jest niebezpieczna dla samej siebie. Jest z nią o wiele gorzej, niż myślałam. Przekonałam się, że choroba jest bardziej zaawansowana, niż mi się zdawało. Prawdopodobnie rozwija się od sześciu czy siedmiu lat. Nie wiem, dlaczego dotąd tego nie zauważyłam...

- Czyli twoja decyzja o mieszkaniu u matki nie ma nic wspólnego z nami?

- Nie - oświadczyła stanowczo Ruth. A po chwili powiedziała ciszej: - Nie wiem. - Po długim milczeniu dodała: - Pamiętam, jak zapytałeś mnie kiedyś, co zamierzam począć z moją matką. Zastanowiło mnie to. Tak, co ja zamierzam zrobić? Czułam się, jakby wszystko zależało tylko ode mnie. Próbowałam sobie ^ tym poradzić najlepiej, jak umiałam, i oto moje rozwiązanie.

Być może moja wyprowadzka ma coś wspólnego z nami, ale teraz, jeśli nawet dzieje się między nami coś złego, ważniejsze jest to, co dzieje się z moją matką. Na razie potrafię się skupić tylko na tym.

Art miał niepewną minę.

- Cóż, kiedy będziesz gotowa, by porozmawiać... - Wycofał się.

Ruth wydał się tak nieszczęśliwy, że z trudem powstrzymała się, by go nie zapewnić, że wszystko jest w porządku.

LuLing także była podejrzliwa, gdy Ruth powiedziała, że musi z nią zamieszkać.

- Ktoś mnie prosił, żebym napisała książkę dla dzieci z obrazkami zwierząt - wyjaśniła Ruth. Przyzwyczała się już do kłamania bez wyrzutów sumienia. - Miałam nadzieję, że zgodzisz się zrobić rysunki. Jeżeli tak, łatwiej nam będzie pracować u ciebie, bez tych hałasów.

- Ile zwierząt? Jakie? - LuLing ożywiła się jak dziecko, któremu obiecano wycieczkę do zoo.

- Jakie chcemy. Ty zdecydujesz, co narysować, ma być w chińskim stylu.

- Dobrze. - Matka wydawała się zadowolona z myśli, że odegra istotną rolę w sukcesie córki.

Ruth westchnęła z ulgą, lecz smutek pozostał. Dlaczego wcześniej nie prosiła matki o wykonanie rysunków? Powinna to zrobić, kiedy jeszcze LuLing miała pewną dłoń i umysł. Żal ścisnął jej serce, gdy widziała, jak ciężko i sumiennie matka pracuje, by udowodnić, że jest potrzebna.

Tak łatwo mogła ją uszczęśliwić. LuLing po prostu chciała być niezbędna, jak każda matka.

Matka codziennie siadała przy biurku i przez piętnaście minut rozcierała paleczkę tuszu. Na szczęście wiele podobnych obrazów malowała wcześniej na zwojach - ryby, konie, koty, małpy, kaczki - robiła więc rysunki dzięki zapamiętanym ruchom ręki. Rezultatem były niewyraźne, lecz rozpoznawalne wizerunki zwierząt, które niegdyś wychodziły jej doskonale. Jednak w chwili, gdy LuLing próbowała nieznanego, jej dłoń drżała tak jak jej myśli, a Ruth cierpiała tak samo jak ona, choć starała się tego nie okazywać. Ilekroć LuLing kończyła rysunek, Ruth chwaliła ją, zabierała gotowy obrazek i proponowała nowe zwierzę.

- Hipopotam? - LuLing zastanawiała się nad usłyszanym słowem. - Jak to po chińsku?

- Nieważne - mówiła Ruth. - Może słoń? Zrób słoń, wiesz, takiego z długą trąbą i

wielkimi uszami. LuLing jednak nadal marszczyła brwi.

- Czemu dajesz spokój? Coś trudnego może warte więcej niż łatwe. Hipopotam, jak wygląda? Ma róg tutaj? - Stuknęła się w czubek głowy.

- To nosorożec. Też dobry. W takim razie zrób nosorożca.

- Nie hipopotama?

- Nie przejmuj się hipopotamem.

- Ja nie przejmuję! Ty przejmujesz! Widzę. Zobacz swoją twarz. Nie umiesz ukryć, wiem. Jestem twoją matką! Dobrze, dobrze, nie przejmuj hipopotama, ja się przejmuję. Potem przypomnę sobie, powiem ci, będziesz zadowolona. Dobrze już? Już nie krzycz.

Matka umiała być cicho, kiedy Ruth pracowała. "Ucz się" - mówiła szeptem. Ale gdy Ruth oglądała telewizję, LuLing jak zawsze uważała, że nie robi nic ważnego. Matka zaczynała trajkotać o GaoLing, wracając do dawnych przykrości, jakich doznała od siostry w ciągu wielu lat.

- Chciała, żebym statkiem płynęła w rejs na Hawaje. Pytam, skąd takie pieniądze? Moje ubezpieczenie społeczne tylko siedemset pięćdziesiąt dolarów. Mówi, skąpa jesteś. Mówię, nie skąpa, tylko biedna. Ja niebogata wdowa. Hnh! Zapomina, sama chciała się żenić z moim mężem. Jak umarł, mówi mi, na szczęście wybrałam drugiego brata...

Czasem Ruth słuchała z zaciekawieniem, starając się ustalić, czy za każdym razem LuLing zmienia jakąś część opowieści, ale z ulgą stwierdzała, że kolejne wersje nie różnią się od siebie. Bywały chwile, że Ruth irytowała konieczność wysłuchiwanie matki, i ta irytacja dawała jej dziwne poczucie zadowolenia - wszystko było tak jak przedtem, w porządku.

- Ta dziewczyna na dole prawie codziennie je popcorn! Dymi, włącza alarm pożarowy. Nie wie, że czuję! Śmierdzi! Tylko popcorn, nic więcej! Dlatego taka chuda. Potem mówi, to nie tak, tamto nie tak. Ciągłe narzeka, grozi mi "proces za szkody", "naruszenie przepisów"...

Leżąc nocą w swym starym łóżku, Ruth miała wrażenie, jak gdyby wróciła do okresu dojrzewania w przebraniu dorosłej osoby. Była tą samą osobą, a jednocześnie inną. A może była dwiema wersjami samej siebie, Ruth '69 i Ruth '99 - jedna była niewinna, druga bardziej spostrzegawcza, jedna potrzebująca wsparcia, druga bardziej niezależna, lecz obydwie były pełne obaw. Była dzieckiem swojej matki, a jednocześnie matką dziecka, jakim stała się matka. Tyle kombinacji tych samych na pozór prostych elementów, które łączyły się na różne sposoby, jak w chińskich nazwach i znakach. To było łóżko z jej dzieciństwa i wciąż przeżywała w nim podobne chwile, co w młodości tuż przed zaśnięciem, kiedy cierpiała w samotności, zastanawiając się: co

się stanie. I tak jak w dzieciństwie, słuchała własnego oddechu, bojąc się myśli, że oddech matki może pewnego dnia ustać. Kiedy to sobie uświadamiała, każdy wdech był dla niej wielkim wysiłkiem. Wydech był łatwiejszy, wystarczyło się rozluźnić. Ruth bała się stracić nad tym kontrolę.

Kilka razy w tygodniu LuLing i Ruth rozmawiały z duchami. Ruth zdejmowała starą tacę z piaskiem, która wciąż stała na lodówce i proponowała, że napisze do Drogiej Cioci. Matka reagowała uprzejmie, jak ktoś poczęstowany czekoladkami: "Och... nie wiem, może trochę". LuLing chciała wiedzieć, czy książka dla dzieci przyniesie Ruth sławę. Ruth kazała powiedzieć Drogiej Cioci, że to LuLing przyczyni się do tego.

LuLing pytała także o aktualne tendencje giełdowe.

- Dow Jones w górę czy w dół? - spytała któregoś dnia. Ruth narysowała strzałkę w górę.
- Sprzedać Intel, kupić Intel?

Ruth wiedziała, że śledzenie notowań jest dla matki głównie rozrywką. Nie znalazła u niej żadnej poczty, nawet przesyłek reklamowych od firm maklerskich. Kupić taniej, napisała w końcu.

LuLing skinęła głową.

- Och, zaczekać, aż pójdzie w dół. Droga Ciocia bardzo mądra.

Pewnego wieczoru, gdy Ruth trzymała w pogotowiu pałeczkę, by udzielać odpowiedzi z tamtego świata, LuLing zapytała nagle:

- Czemu kłóćcie z Artiem?
- Nie kłócimy się.
- To czemu nie mieszkanie razem? Przeze mnie? Moja wina?
- Oczywiście, że nie. - Ruth powiedziała to odrobinę za głośno.
- Ja myślę, chyba tak. - Spojrzała na Ruth, jak gdyby nic nie można było przed nią ukryć. -

Dawno temu, jak poznałaś go, mówię, czemu najpierw razem mieszkać? Zrobisz to, on nigdy nie ożeni się z tobą. Pamiętasz? Teraz myślisz, ach, matka miała rację. Mieszkać razem, teraz jak ostatni śmieć, łatwo wyrzucić. Nie wstydz się. Bądź szczerą.

Ruth przypomniała sobie z rozgoryczeniem, że matka rzeczywiście tak mówiła. Chcąc zająć czymś ręce, zaczęła strzepywać ziarenka piasku z brzegów tacy. Była zaskoczona, że LuLing pamięta takie rzeczy, i wzruszona jej troską. To, co matka mówiła o Arcie, nie było do końca prawdą, ale dotknęła sedna - Ruth rzeczywiście czuła się niepotrzebna, jakby stała ostatnia w kolejce, czekając na porcję tego, co akurat podawano.

Coś w jej związku z Artem było nie tak. Czowała to dotkliwiej podczas próbnej separacji - czy chodziło właśnie o to, o czym mówiła matka? Zdała sobie sprawę ze swego nastawienia emocjonalnego, z tego, że próbowała przystosować się do niego, nawet gdy tego nie wymagał. Myślała kiedyś, że wszystkie pary, małżeńskie czy nie, dostosowują się do

siebie, z własnej woli lub niechętnie, z konieczności. Czy jednak Art także przystosował się do niej? Nawet jeśli tak, niczego nie zauważyła. Teraz, gdy byli z dala od siebie, czuła się wolna od pęt i ciężarów. Tak kiedyś wyobrażała sobie swoje prawdopodobne odczucia po stracie matki. Teraz pragnęła kurczowo trzymać się matki, jak gdyby ta była jej kołem ratunkowym.

- Niepokoi mnie, że bez Arta nie czuję się wcale bardziej samotna - wyznała Wendy przez telefon. - Czuję się bardziej sobą.

- Tęsknisz za dziewczynkami?

- Nie tak bardzo, w każdym razie na pewno nie za ich hałaśliwością i energią. Sądzisz, że uczucia mi się stępiły czy coś w tym rodzaju?

- Sądzę, że jesteś wyczerpana.

Dwa razy w tygodniu Ruth chodziła z matką na Yallejo Street na kolację. Mieszkając z matką, musiała kończyć pracę wcześniej, a potem iść na zakupy. Nie chciała zostawiać LuLing samej, więc zabierała ją ze sobą do sklepu. Podczas zakupów matka komentowała cenę każdego produktu, zastanawiając się głośno, czy Ruth nie powinna zaczekać na spadek cen. Przyjeżdżając do domu - tak, Ruth powtarzała sobie, że mieszkanie przy Yallejo Street nadal jest jej domem - sadzała matkę przed telewizorem, a sama przeglądała pocztę adresowaną do niej i Arta. Widziała, jak niewiele listów przychodziło do nich obojga, a większość rachunków za naprawy wystawiano na jej nazwisko. Pod koniec wieczoru Ruth była skonana, przygnębiona i z ulgą wracała do domu matki i swojego łóżeczka.

Pewnego wieczoru, gdy kroїła w kuchni warzywa, pod - kradł się do niej Art i pogłodził ją po pupie.

- Poproś GaoLing, żeby zaopiekowała się dzisiaj twoją mamą. Mogłabyś złożyć mi wizytę małżeńską.

Zarumieniła się. Chciała go wziąć w ramiona, ale bała się tego jak skoku ze stromego urwiska.

Pocałował ją w szyję.

- Albo zostaw to na chwilę i wymknijmy się do łazienki na jeden szybki.

Zaśmiała się nerwowo.

- Domyśla się, co robimy.

- Nie, nie domyśla się. - Art oddychał jej prosto do ucha.

- Moja matka wie wszystko, wszystko widzi. Art puścił ją, a Ruth poczuła się zawiedziona.

W drugim miesiącu oddzielnego mieszkania powiedziała do Arta:

- Jeżeli naprawdę chcesz, żebyśmy zjedli razem kolację, może powinieneś dla odmiany przyjść do mojej matki. Cały czas muszę się tłuc tutaj, to dość męczące.

Tak więc Art i dziewczynki zaczęli przychodzić dwa razy w tygodniu do domu LuLing.

- Ruth - jęknęła pewnego dnia Dory, przyglądając się, jak Ruth robi sałatkę. - Kiedy wrócisz do domu? Tato jest okropnie nudny, a Fia ciągle powtarza: "Tato, nie ma nic do roboty, nie ma nic dobrego do jedzenia".

Ruth zrobiło się miło, że za nią tęsknią.

- Nie wiem, skarbie. Waipo mnie potrzebuje.

- My też cię potrzebujemy. Ruth poczuła ściśnięcie serca.

- Wiem, ale waipo jest chora. Muszę być z nią.

- To mogę przyjechać i zostać z wami tutaj? Ruth roześmiała się.

- Chciałabym, ale będziesz musiała zapytać tatę. Dwa tygodnie później przyjechały Fia i Dory z nadmuchiwanymi materacami. Nocowały w pokoju Ruth.

- Tylko dla dziewczynek - upierała się Dory, więc Art musiał wrócić do domu.

Wieczorem Ruth i dziewczynki oglądały telewizję i rysowały sobie nawzajem tatuaże na rękach. W następny weekend Art zapytał, czy będzie w programie nocleg dla chłopców.

- Chyba da się załatwić - odrzekła wstydliwie Ruth.

Art przyniósł szczoteczkę do zębów, ubranie na zmianę i przenośny odtwarzacz z płytą Michaela Feinsteina z muzyką Gershwina. Wieczorem wcisnął się z Ruth do wąskiego łóżka. Ale obecność LuLing za ścianą sprawiła, że Ruth nie była w miłosnym nastroju. Powiedziała o tym Artowi.

- No to się tylko przytulmy - zaproponował. Ruth cieszyła się, że nie wypytywał jej o nic. Oparła twarz o jego pierś. Późno w nocy słuchała jego donośnego oddechu i dalekiego ryku syren. Po raz pierwszy od dawna czuła się bezpieczna.

Pod koniec wyznaczonych dwóch miesięcy do Ruth zadzwonił pan Tang.

- Jest pani pewna, że to cały tekst?

- Obawiam się, że tak. Sprzątałam dom mojej matki, szuflada po szufladzie, pokój po pokoju. Odkryłam nawet tysiąc dolarów pod podłogą. Gdyby było coś jeszcze, na pewno bym znalazła.

- Wobec tego skończyłem. - W głosie pana Tanga pobrzmiwał smutek. - Na kilku stronach wielokrotnie powtarzają się te same zdania, w których matka pani pisze o swoich obawach, że wiele rzeczy już zapomina. Pismo w tej części jest dość niewyraźne. Sądzę, że to najświeższe zapiski. Mogą być dla pani przygnębiające. Mówię o tym zawczasu, żeby panią przygotować.

Ruth podziękowała mu.

- Czy mogę złożyć pani wizytę, aby przekazać swoją pracę? - zapytał oficjalnie. - Nie ma pani nic przeciwko temu?

- Nie chcę sprawiać panu kłopotu.

- To będzie dla mnie zaszczyt. Szczerze mówiąc, bardzo chciałbym poznać pani matkę. Tyle dni i nocy czytałem jej słowa, że mam wrażenie, jak gdybym znał ją od dawna, i zaczynam za nią tęsknić.

- Nie pozna pan w niej tej samej kobiety, która to napisała - ostrzegła go Ruth.

- Być może... ale na swój sposób ją poznam.

- Może zechciałby pan przyjść dziś na kolację? Ruth żartowała z matką, że przyjdzie ją odwiedzić wielbiciel, więc powinna ubrać się bardzo elegancko.

- Nie! Nikt nie przychodzi. Ruth skinęła z uśmiechem głową.

- Kto?

- Dawny przyjaciel twojego dawnego przyjaciela z Chin - odparła wymijająco Ruth.

LuLing głęboko się zamyśliła.

- Ach, tak. Pamiętam teraz.

Ruth pomogła się jej wykąpać i ubrać. Zawiązała jej na szyi szal, uczesała włosy, podkreśliła usta pomadką.

- Jesteś piękna - powiedziała zgodnie z prawdą.

LuLing przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze.

- Jak okrągły Budda. Źle, że GaoLing nie taka ładna jak ja.

Ruth wybuchnęła śmiechem. Matka nigdy nie była próżna i nie komentowała własnej urody, lecz widocznie przy demencji gorzej działały hamulce skromności. De - mencja przypominała serum prawdy.

Punktualnie o siódmej zjawił się pan Tang z zapiskami LuLing i swoim przekładem. Był szczupłym mężczyzną o siwych włosach i miłej twarzy, poznaczonej głębokimi zmarszczkami od częstego uśmiechania się. Przyniósł torbę pomarańczy dla LuLing.

- To bardzo uprzejmie - powiedziała odruchowo, sprawdzając, czy owoce są twarde. Zganiła Ruth po chińsku: - Weź jego płaszcz. Poproś, żeby usiadł. Podaj coś do picia.

- Proszę sobie nie robić kłopotu - rzekł pan Tang.

- Och, mówi pan w pekińskim dialekcie, bardzo wytwornie - powiedziała LuLing.

Zachowywała się jak nieśmiała dziewczyna, co rozbawiło Ruth. Pan Tang był z kolei czarujący: odsuwał krzesło dla LuLing, by usiadła, nalewał jej pierwszej herbaty, napełniał filiżankę, gdy była w połowie opróżniona. Matka i pan Tang rozmawiali po chińsku i przysłuchując się im, Ruth odniosła wrażenie, że LuLing mówi logiczniej, jak gdyby jej myśli były bardziej uporządkowane.

- Z której części Chin pan pochodzi? - pytała LuLing.

- Z Tianjinu. Później pojechałem studiować na Uniwersytecie Yenching.

- Och, mój pierwszy mąż uczył się tam, bardzo mądry chłopiec. Pan Kai Jing. Znał go pan?

- Słyszałem o nim - odparł pan Tang. - Studiował geologię, prawda?

- Zgadza się! Pracował nad wieloma ważnymi sprawami. Słyszał pan o Człowieku z Pekinu?

- Oczywiście, Człowiek z Pekinu jest słynny na cały świat.

Na twarzy LuLing odmalowała się melancholia.

- Zginął, pilnując tych starych kości.

- Był wielkim bohaterem. Inni podziwiali jego odwagę, ale pani na pewno cierpiała.

Ruth słuchała zafascynowana. Rozmawiali, jakby pan Tang znał matkę od lat. Bez kłopotów naprowadził ją na dawne wspomnienia, których choroba jeszcze nie naruszyła. Nagle usłyszała, jak matka mówi:

- Moja córka Luyi też z nami pracowała. Chodziła do tej samej szkoły, gdzie mieszkałam po śmierci Drogiej Cioci.

Ruth odwróciła się, zaskoczona, a potem wzruszona, że matka włączyła ją do przeszłości.

- Tak, z przykrością dowiedziałem się o losie pani matki. To była wspaniała kobieta. Wielkiej mądrości.

LuLing przechyliła głowę i zdawała się walczyć ze smutkiem.

- Była córką nastawiacza kości. Pan Tang skinął głową. :

- Bardzo znanego lekarza.

Pod koniec wieczoru pan Tang w kwiecistych słowach dziękował LuLing za uroczę godziny wspomnienia starych czasów.

- Czy będę miał zaszczyt odwiedzić jeszcze panią? LuLing zachichotała. Uniosła brwi, spoglądając na Ruth.

- Jest pan zawsze mile widzianym gościem - powiedziała Ruth.

- Jutro! - wyrzuciła z siebie LuLing. - Proszę przyjść jutro.

Ruth całą noc czytała przekład pana Tanga. Opowieść zaczynała się od części pod tytułem "Prawda". Zaczęła liczyć wszystkie prawdziwe rzeczy, jakich się dowiedziała, ale wkrótce straciła rachubę, ponieważ każdy fakt rodził kolejne pytania. Matka rzeczywiście była o pięć lat starsza, niż Ruth zawsze myślała. Oznaczało to, że podała doktorowi Hueyowi prawdziwy wiek! Miała też rację, twierdząc, że nie jest prawdziwą siostrą GaoLing. Jednak matka i GaoLing były siostrami, i to w większym stopniu, niż Ruth kiedykolwiek sądziła. Miały wiele powodów, by wyprzeć się pokrewieństwa, lecz zawsze pozostawały wobec siebie lojalne, a połączyły je nierozzerwalne więzy wzajemnych uraz, długów i miłości. Ruth czytała o tym z prawdziwą radością.

Fragmety opowieści matki zasmuciły ją. Dlaczego LuLing sądziła, że nigdy nie będzie mogła powiedzieć Ruth, że Droga Ciocia była jej matką? Obawiała się, że jej własna córka będzie się wstydzić, iż LuLing pochodzi z nieprawego łóżka? Ruth mogłaby ją uspokoić, że nie ma w tym żadnego wstydu, a dziś jest nawet w modzie przyjść na świat jako nieślubne dziecko. Ale przypomniała sobie że jako mała dziewczynka panicznie bała się Drogiej Cioci. Była oburzona jej wieczną obecnością w ich życiu, obwiniała ją o dziwactwa matki i jej fatalizm. Drogiej Cioci nie rozumiała ani córka, ani wnuczka. A jednak bywały chwile, w których Ruth miała wrażenie, że Droga Ciocia ją obserwuje i wie, kiedy Ruth cierpi.

Myślała o tym wszystkim, leżąc w swoim łóżku z dzieciństwa. Zrozumiała, dlaczego matka zawsze chciała odnaleźć kości Drogiej Cioci i pogrzebać je we właściwym miejscu. Też zapragnęła iść na Koniec Świata i wszystko naprawić. Chciała powiedzieć matce: "Przepraszam i tobie też wybaczam".

Następnego dnia Ruth zatelefonowała do Arta, aby mu powiedzieć, co przeczytała.

- Mam wrażenie, jakbym znalazła czarodziejską nić, którą mogę zszyć rozdartą kołdrę. To wspaniałe i smutne jednocześnie.

- Chciałbym to przeczytać. Pozwolisz?
- Chcę, żebyś przeczytał. - Ruth westchnęła. - Powinna mi opowiedzieć o wszystkim już wiele lat temu. Byłoby zupełnie inaczej...

- Są rzeczy, które też powinienem ci powiedzieć wiele lat temu - przerwał jej Art.

Ruth zamilkła w oczekiwaniu.

- Myślałem o twojej matce, myślałem także o nas. Serce Ruth zaczęło mocno walić.

- Pamiętasz, co mówiłaś, kiedy się poznaliśmy? Ze nie chcesz przyjmować żadnych założeń na temat miłości?

- To ty mówiłaś, nie ja.

- Ja?

- Z całą pewnością. Pamiętam.

- Zabawne, mnie się wydawało, że to ty.

- Aha, tak założyłaś! Parsknął śmiechem.

- Nie tylko twoja matka ma kłopoty z pamięcią. Cóż, jeżeli tak powiedziałem, myliłem się, bo wydaje mi się, że trzeba przyjąć pewne założenia - po pierwsze, że osoba, z którą jesteś, będzie przy tobie długo i zaopiekuje się tobą z całym dobrodziejstwem inwentarza, czyli matką i wszystkimi, którzy są dla ciebie ważni. Z powodu tego, co powiedziałem o założeniach w miłości, albo dlatego, że się ze mną zgodziłaś, wydawało mi się, że świetnie jest mieć miłość tak niewielkim kosztem. Nie wiedziałem, co mogę stracić, dopóki się nie wyprowadziłaś.

Art zamilkł. Ruth wiedziała, że czeka na jej reakcję. Miała wprawdzie ochotę krzyknąć z wdzięczności, że wypowiedział to, co od dawna przeczuwała, lecz czego nie potrafiła wyrazić. Jednak bała się, czy nie powiedział tego za późno. Jego wyznanie nie wzbudziło w niej radości. Czowała smutek.

- Nie wiem, co powiedzieć - przyznała w końcu.

- Nie musisz nic mówić. Chciałem tylko, żebyś wiedziała... Jeszcze jedno. Naprawdę martwię się, czy będziesz w stanie opiekować się matką przez dłuższy czas. Wiem, że tego chcesz, to ważne, a matka potrzebuje opieki. Ale oboje dobrze wiemy, że choroba się rozwinie. Matka będzie wymagała coraz więcej troski, nie poradzi sobie sama, ty też nie. Masz swoją pracę i swoje życie, a twoja matka na pewno nie zniosłaby myśli, że zrezygnowałabyś z tego dla niej.

- Nie mogę zatrudniać nowych kobiet do pomocy.

- Wiem... Dlatego przeczytałem trochę o chorobie Alz - heimera, o kolejnych stadiach,

potrzebnym leczeniu, grupach wsparcia. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, który może być dobrym rozwiązaniem... dom stałego pobytu z opieką.

- To nie jest rozwiązanie. - Ruth poczuła się tak samo jak wówczas, gdy matka pokazała jej czek na dziesięć milionów dolarów z gazetowej loterii.

- Dlaczego nie?

- Bo nie spodoba się mojej matce. Mnie też się nie podoba. Pomyślałaby, że wysłałam ją do jakiegoś schroniska dla psów. Codziennie groziłaby, że się zabije...

- Nie mam na myśli domu starców i basenów przy łóżkach. To mieszkanie z opieką. Najnowsza koncepcja, fala przyszłości dla urodzonych w wyżu demograficznym, coś w rodzaju Club Med dla seniorów - posiłki, obsługa pokojówek, pralnia, transport, organizowane wyjścia, ćwiczenia, nawet tańce. Dwudziestoczerogodzinny nadzór. Mieszkają tam ludzie z wyższych sfer, to naprawdę nie jest przygnębiające miejsce. Sprawdziłem już sporo takich domów i znalazłem wspaniały, całkiem niedaleko domu twojej matki...

- Daj spokój. Dla wyższych czy niższych sfer matka nigdy nie zamieszka w takim miejscu.

- Ma tylko spróbować.

- Powtarzani, daj sobie spokój. Nie zgodzi się.

- Hej, chwileczkę. Zanim zupełnie skreślisz ten pomysł, powiedz mi, co masz przeciwko niemu. Może uda się nam dojść do porozumienia.

- Nie będzie żadnego porozumienia. Ale skoro musisz wiedzieć, po pierwsze, matka nigdy nie zostawi swojego domu. Po drugie, koszty. Przypuszczam, że pobyt w takim domu nie jest darmowy, a to musiałby być warunek, żeby w ogóle zastanowiła się nad taką możliwością. A gdyby był darmowy, pomyślałaby, że to z opieki społecznej, i na tej podstawie nie zgodziłaby się.

- W porządku. Z tymi sprawami dam sobie radę. Co jeszcze?

Ruth głęboko nabrała powietrza.

- Musiałoby się jej naprawdę spodobać. Musiałaby sama chcieć tam zamieszkać, a nie dlatego, że ty albo ja chcemy ją tam wysłać.

- Zrobione. I będzie mogła wrócić do ciebie i do mnie, gdy tylko zechce.

Ruth zauważyła, że powiedział "ciebie i mnie". Opuściła gardę. Art próbował. Mówił jej, że ją kocha, jak umiał najlepiej.

Dwa dni później LuLing pokazała Ruth pismo z urzędowym nagłówkiem Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego Kalifornii, które w rzeczywistości powstało na komputerze Arta.

- Wyciek radonu! - wykrzyknęła LuLing. - Co to - wyciek radonu?

- Pokaż - powiedziała Ruth. Przebiegła wzrokiem list. Art wykazał się wielką pomysłowością. Ruth przyjęła ustalone przez niego reguły gry. - Mhm. Napisali tu, że to ciężki gaz, radioaktywny, niebezpieczny dla płuc. Firma gazownicza wykryła go w trakcie rutynowej kontroli zagrożenia trzęsieniem ziemi. Wyciek nie pochodzi z rury, ale z gleby i skał pod domem. Piszą, że musisz się wyprowadzić na trzy miesiące, żeby mogli dokonać oceny stanu środowiska i usunąć zagrożenie metodą intensywnej wentylacji.

- Aj-ja! Ile będzie kosztować?

- Hm. W ogóle nie ma o tym mowy. Miasto zrobi to za darmo. Popatrz, zapłacą nawet rachunki za pobyt w miejscu, gdzie zamieszkaż w czasie prac. Trzy miesiące darmowego mieszkania... i jedzenia. Dworek Mira Mar, "zlokalizowany niedaleko pani obecnego miejsca zamieszkania", piszą, "ze wszystkimi urządzeniami typowymi dla pięciogwiazdkowego hotelu". To najwyższa kategoria, pięć gwiazdek. Proszą cię, żebyś pojechała tam jak najprędzej.

- Pięć gwiazdek za darmo? Dla dwóch osób? Ruth udawała, że szuka w drobnym druku szczegółowych informacji.

- Nie. Zdaje się, że to tylko dla jednej osoby. Ja nie mogę tam jechać. - Westchnęła z udawanym zawodem.

- Hnh! Nie myślę o tobie! - wykrzyknęła matka. - A dziewczyna z dołu?

- Ach, racja. - Ruth zapomniała o lokatorce. Widocznie Art także. A matka, mimo choroby mózgu, zachowała czujność i pamiętała.

- Jestem pewna, że dostała podobne pismo. Nie pozwoliliby nikomu zostać w budynku, jeśli groziłoby to chorobą płuc.

LuLing zmarszczyła brwi.

- To będzie mieszkać w tym samym hotelu?

- Och... Nie, prawdopodobnie w innym, pewnie nie tak ładnym, bo przecież ty jesteś właścicielką, a ona tylko wynajmuje u ciebie mieszkanie.

- Ale ciągle będzie płacić czynsz?

Ruth znów zerknęła do listu.

- Oczywiście. Zgodnie z prawem

LuLing pokiwała głową z zadowoleniem.

- No to dobrze.

Ruth poinformowała Artę przez telefon, że jego plan chyba się powiódł. Cieszyła się, że mimo wszystko nie wydawał się zadowolony z siebie.

- Trochę niepokojące, że tak łatwo dała się nabrać - rzekł. - W ten sposób wielu starszych ludzi daje sobie odbierać domy i oszczędności.

- Czuję się teraz jak szpieg - dodała Ruth. - Jakbyśmy szczęśliwie przeprowadzili tajną misję.

- Sądzę, że twoja matka i wielu innych ludzi chętnie zgodzi się dostać coś za darmo.

- Skoro o tym mowa, ile będzie nas kosztować pobyt w Mira Mar?

- Nie przejmuj się kosztami.

- Daj spokój. Powiedz.

- Zajmę się tym. Jeżeli się jej spodoba i postanowi zostać, będziemy się martwić później.

Jeśli się jej nie spodoba, funduję te trzy miesiące. Będzie mogła wrócić do dawnego domu i wymyślimy coś innego.

Ruth z wdzięcznością zauważyła, że znów zaczął mówić "my".

- Dobrze, w takim razie podzielimy się kosztem tych trzech miesięcy.

- Może jednak zostawisz to mnie?

- Dlaczego?

- Bo wydaje mi się, że to najważniejsza rzecz, jaką robię od bardzo dawna. Możesz to potraktować jak dobry uczynek harcerza. Albo wypełnianie boskich przykazań, albo krótki kurs ludzkich uczuć. Chwilowe szaleństwo. Dzięki temu czuję się dobrze jako człowiek. Jestem szczęśliwy.

Szczęśliwy. Gdyby tylko matka odnalazła szczęście, mieszkając w Dworku Mira Mar. Ruth zastanawiała się, co sprawia, że ludzie są szczęśliwi. Czy można znaleźć szczęście w miejscu? W innym człowieku? A co ze szczęściem dla samej siebie? Czy wystarczy wiedzieć, czego się chce, i wyciągnąć po to dłoń, nie zważając na otaczającą mgłę?

Gdy parkowali przed trzypiętrowym krytym gontem budynkiem, Ruth z ulgą stwierdziła, że dom wcale nie wygląda jak przytułek. LuLing pojechała na weekend do siostry, a Art wpadł na pomysł, żeby odwiedzili Dworek Mira Mar bez niej, aby móc przewidzieć jej ewentualne zastrzeżenia. Wychodzący na ocean budynek otaczały drzewa cyprysowe, osłaniające go przed wiatrem. Na ogrodzeniu z kutego żelaza umieszczono tablicę, która głosiła, że dom jest zabytkiem San Francisco, został wzniesiony po wielkim trzęsieniu ziemi w 1906 roku i mieścił się w nim kiedyś

sierociniec.

Wprowadzono Ruth i Arta do wyłożonego dębem gabinetu i powiedziano im, że niebawem przyjdzie dyrektor zespołu opieki. Usiedli sztywno na skórzanej kanapie naprzeciw masywnego biurka. Na ścianie wisiały oprawione w ramki dyplomy i certyfikaty organizacji zdrowia oraz fotografie budynku w jego dawnej roli, z rozpromienionymi dziewczętami w białych fartuszkach.

- Przepraszam, że musieli państwo czekać - powiedział czyjś głos z brytyjskim akcentem.

Odróciwszy się, Ruth ze zdumieniem ujrzała młodego Hindusa o ujmującym wyglądem, ubranego w garnitur i krawat.

- Edward Patel - przedstawił się z życzliwym uśmiechem. Uścisnął im dłonie i obojgu wręczył po wizytówce.

Może mieć najwyżej trzydzieści kilka lat, pomyślała Ruth. Wyglądał jak makler giełdowy, a nie ktoś, kto musi się zajmować środkami przeczyszczającymi i lekami na artretyzm.

- Chciałbym, żebyśmy zaczęli tutaj - mówił Patel, prowadząc ich z powrotem do holu. - Ponieważ jest to pierwszy widok, z jakim stykają się nasi seniorzy. - Zaczął mówić, jak gdyby wygłaszał wyuczoną formułkę reklamową: - Tu, w Dworku Mira Mar, uważamy, że dom to coś więcej niż miejsce do spania. To cała koncepcja.

Koncepcja? Ruth spojrzała na Arta. To się nigdy nie uda.

- Co oznaczają litery P i F w nazwie "Usługi Medyczne P i F"? - zapytał Art, spoglądając na wizytówkę.

- Patel i Finkelstein. Założycielem firmy był jeden z moich wujów. Od dawna pracuje w podobnej branży, hotelowej. Morris Finkelstein jest lekarzem. Jego matka jest naszą pensjonariuszką.

Ruth zdumiała się, że Żydówka pozwoliła własnemu synowi umieścić się w takim zakładzie. To był atest co się zowie.

Przez oszklone drzwi weszli do ogrodu otoczonego żywopłotem. Z obu stron stały cieniste altanki z kratownic oplecionych jaśminem. Stały w nich wyściełane krzesła i stoliki z blatami z matowego szkła. Kilka kobiet, ujrawszy ich, przerwało rozmowę.

- Witaj, Edwardzie! - zawołały trzy z nich.

- Dzień dobry, Betty, Dorothy i Rosę. Och, Betty, naprawdę cudownie ci w tym kolorze.

- Uważaj, młoda damo - zwróciła się do Ruth starszka, przybierając surową minę. - Sprzedałby twoją ostatnią koszulę, gdyby tylko mógł.

Patel wybuchnął serdecznym śmiechem, a Ruth zastanawiała się, czy kobieta rzeczywiście tylko żartowała. Cóż, przynajmniej znał ich imiona.

Przez środek ogrodu biegła rudawa ścieżka, wzdłuż której stały ławeczki, niektóre ocienione płóciennym daszkiem. Patel wskazywał urządzenia, których niewprawne oko mogłoby w pierwszej chwili nie zauważyć. Miał donośny głos, mówił rzeczowo, ze znajomością tematu, jak nauczyciel, który uczył kiedyś Ruth angielskiego. Ścieżka, tłumaczył, ma taką samą nawierzchnię jak bieżnie halowe, nie ma tu żadnych luźnych kawałków cegły czy kamieni, o które mógłby się potknąć nieuważny spacerowicz, ani odrobiny twardego betonu. Oczywiście, gdyby któraś z senierek upadła, mogłaby złamać sobie biodro, ale raczej nie rozsypałoby się na tysiące kawałeczków.

- Badania wykazują, że to właśnie jest najniebezpieczniejsze dla osób w tym wieku. Jeden upadek i trach! - Patel pstryknął palcami. - Często zdarza się tak, kiedy starszy człowiek mieszka samotnie, w domu, który nie został przystosowany do jego potrzeb. Bez pochylni i poręczy.

Patel wskazał kwiaty w ogrodzie.

- Wszystkie bez kolców i nietoksyczne. Nie mamy trujących oleandrów ani naparstnicy, które mogłaby skubnąć jakaś zdeorientowana starsza osoba. - Każda roślina była opatrzona tabliczką z nazwą umieszczoną na wysokości oczu, żeby nie trzeba się było schylać. - Nasi seniorzy uwielbiają nadawać ziołom nazwy. W poniedziałki po południu mamy zbieranie ziół. Jest tu rozmaryn, pietruszka, oregano, tymianek cytrynowy, bazylia, szalwia. Mieli jednak spore problemy ze słowem Echinacea. Jedna pani nazywa ją "chińska cecha". Teraz wszyscy tak nazywamy tę roślinę.

Patel dodał, że ziół z ogrodu używa się przy sporządzaniu posiłków.

- Panie nadal szczyć się swymi umiejętnościami kulinarnymi. Uwielbiają nam przypominać, żeby dodawać tylko szczyptę oregano albo że należy natrzeć kurczaka szalwią od wewnątrz, nie z zewnątrz, i tak dalej.

Ruth wyobraziła sobie kilkadziesiąt pań narzekających na jedzenie i matkę przekrzykującą resztę, że wszystko jest za słone.

Szli dalej ścieżką w kierunku szklarni w głębi ogrodu.

- Nazywamy to Szkółką Miłości - rzekł Patel, gdy weszli w eksplozję kolorów - jaskrawego różu i pomarańczowo szafranowej barwy szat buddyjskich mnichów.

- Każdy mieszkaniec ma swoją orchideę. Na doniczkach wymalowane są imiona, jakie

nadali swoim kwiatom. Jak zapewne państwo zauważyli, około dziewięćdziesięciu procent naszych pensjonariuszy to kobiety. Bez względu na podeszły wiek, wiele z nich nadal ma silny instynkt opiekuńczy. Są zachwycone, mogąc codziennie podlewać swoje orchidee. Uprawiamy tu storczyki z rodzaju *Dendrobium* znane jako *Cuthbertsoni*. Kwitną niemal cały rok bez przerwy i znoszą codzienne podlewanie, w przeciwieństwie do innych orchidei. Wiele naszych pań nadało kwiatom imiona mężów, dzieci lub innych członków rodziny, którzy już odeszli. Często rozmawiają z roślinami, dotykają płatków i całują je, troszczą się o kwiaty i dogadzają im. Dajemy im małe kropplomierze i wiadro wody, którą nazywamy "eliksirem miłości". Często mówią: "Mama idzie, mama idzie". Wzruszający widok, gdy karmią swoje orchidee.

Oczy Ruth napęłniły się łzami. Dlaczego miała ochotę płakać? Przestań, powiedziała sobie, jesteś głupia i roztkliwiasz się byle czym. Na litość boską, facet mówi o biznesplanie i formach szczęścia przewidzianych w jego koncepcji. Odwróciła się, jak gdyby chciała się przyjrzeć rzędom orchidei. Kiedy się już opanowała, zauważyła:

- Pewnie bardzo im się tu podoba.
- Owszem. Staraliśmy się pomyśleć o wszystkim, o co zatroszczyłaby się rodzina.
- Albo o czym zapomniałaby rodzina - rzekł Art.
- Trzeba myśleć o wielu rzeczach - odparł ze skromnym uśmiechem Patel.
- Zdarza się, że ktoś nie ma ochoty tu mieszkać, zwłaszcza na początku?
- Och, ależ oczywiście. To naturalne. Nie chcą się wyprowadzać ze starych domów,

ponieważ wiążą się z nimi ich wszystkie wspomnienia. I nie chcą wydawać spadku dzieci. Nie uważają wcale, że są starzy - nie aż tak, jak mówią. Jestem pewien, że w ich wieku będziemy mówić to samo.

Ruth zaśmiała się przez grzeczność.

- Być może będziemy się musieli uciec do fortelu, żeby matka tu przyjechała.
- Cóż, nie będą państwo pierwsi - powiedział Patel. - O różnych oryginalnych podstępach, jakich ludzie używają, chcąc tu umieścić rodziców, można napisać grubą książkę.

- Na przykład? - spytała Ruth.

- Mamy tu kilka osób, które są przekonane, że ich pobyt tutaj nic nie kosztuje.

- Doprawdy? - wykrzyknął Art, mrugając do Ruth.

- Tak jest. Ich pojęcie o ekonomii zatrzymało się na czasach wielkiego kryzysu. Płacenie czynszu to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Są przyzwyczajeni do własnego domu, nieobciążonego

żadnymi splątami.

Ruth skinęła głową. Dom jej matki został splacony w zeszłym roku. Wrócili alejką do holu i skierowali się w stronę jadalni.

- Jednym z naszych pensjonariuszy jest dziewięćdziesięcioletni były profesor socjologii - dodał Patel. - Wciąż bardzo sprawny umysłowo. Ale sądzi, że uczelnia przysłała go tu na stypendium, żeby badał efekty starzenia się. Inna kobieta, dawna nauczycielka gry na fortepianie, jest przekonana, że zatrudniono ją, aby co wieczór grała po kolacji. Zresztą gra całkiem nieźle. Zwykle wystawiamy rachunki rodzinom, więc rodzice nie wiedzą nawet, ile wynoszą opłaty.

- To zgodne z prawem? - zapytała Ruth.

- Najzupełniej, o ile rodzina ma pełnomocnictwo albo sprawuje nadzór nad środkami finansowymi. Niektórzy biorą kredyt pod zastaw domu albo sprzedają domy rodziców i płacą powierzonymi sobie pieniędzmi. W każdym razie dobrze znam kłopoty, jakie mogą się pojawić przy próbie nakłonienia seniorów do zamieszkania czy nawet rozważenia możliwości przeprowadzki do takiej instytucji jak nasza. Zaręczam jednak państwu, że gdy państwa matka będzie u nas miesiąc, nie będzie już chciała stąd wyjeżdżać.

- A to dlaczego, szpikujecie czymś jedzenie? - zażartowała Ruth.

Patel nie zrozumiał.

- Ze względu na rygory dietetyczne nie możemy podawać naszym pensjonariuszom żadnych ostrych potraw. Mamy własnego dietetyka, który co miesiąc przygotowuje menu. Wiele posiłków ma niską zawartość tłuszczu i cholesterolu. Proponujemy także dania wegetariańskie. Nasi seniorzy codziennie otrzymują wydrukowane menu. - Wziął kartę z najbliższego stolika.

Ruth przejrzała listę dań. W menu był kotlet z indyka, potrawka z tuńczyka albo fajitas z tofu, a do tego sałatka, bułeczki, świeże owoce, sorbet z mango i makaroniki. Nagle pojawił się nowy problem: nie było chińskich potraw.

Ale kiedy zwróciła na to uwagę, Patel miał gotową odpowiedź:

- Zetknęliśmy się już wcześniej z podobnymi kłopotami. Chodziło o dania chińskie, japońskie, koszerne i tak dalej. Mamy dowóz ze sprawdzonych restauracji. Mieszka tu dwójka Chińczyków, którzy dwa razy w tygodniu dostają potrawy z chińskiej restauracji, więc pani matka może wybrać z tej oferty coś dla siebie. Jedna z naszych kucharek jest również Chinką. W weekend przygotowuje kleik ryżowy na śniadanie. Kilku naszych pensjonariuszy nie - - Chińczyków także zasmakowało w tym daniu. - Patel gładko wrócił do wyuczonej prezentacji: - Bez względu na dietę

wszystkim bardzo się podoba obsługa kelnerów, obrusy i nakrycia, jak w wykwintnej restauracji. Dawanie napiwków nie jest konieczne, a nawet niewskazane.

Ruth skinęła głową. Sowity napiwek - według LuLing - to jeden dolar.

- Mają naprawdę bez troskie życie, takie jak powinni mieć w tym wieku, nie uważa pani? - Patel spojrział na Ruth. Chyba wyczuł jej opory. Jak się domyślił? Czyżby miała zmarszczkę między brwiami? Nie ulegało wątpliwości, że Art jest zachwycony tą instytucją.

Ruth uznała, że powinna myśleć trzeźwo i praktycznie.

- Czy wśród tych ludzi są... hm, tacy jak moja matka? Czy ktoś z nich ma... pewne kłopoty z pamięcią?

- Śmiało można stwierdzić, że połowa osób po osiemdziesiątym piątym roku życia zaczyna przejawiać problemy z pamięcią. A przecież przeciętna wieku naszych pensjonariuszy to osiemdziesiąt siedem lat.

- Nie miałam na myśli zwykłych kłopotów z pamięcią. Chodzi mi o coś poważniejszego...

- Na przykład o chorobę Alzheimera? O demencję? - Patel poprowadził ich do innej dużej sali. - Za chwileczkę wrócę do pani pytania. Oto nasza główna sala do zajęć.

Kilka osób uniosło wzrok znad plansz do gry w bingo, którą prowadził jakiś młody człowiek. Ruth zauważyła, że większość starszych osób jest gustownie ubrana. Jedna z pań miała na sobie szarobłękitny spodniom, naszyjnik z pereł oraz kolczyki, jak gdyby się wybierała na nabożeństwo wielkanocne. Mrugnął do niej mężczyzna o haczykowatym nosie i w eleganckim berecie na głowie. Ruth wyobraziła go sobie w wieku trzydziestu lat jako przebojowego biznesmena, pewnego swojej pozycji i powodzenia u pań.

- Bingo! - krzyknęła kobieta, która prawie nie miała podbródka.

- Jeszcze nie padło tyle liczb, Anno - rzekł łagodnie młody człowiek. - Aby wygrać, musisz mieć co najmniej pięć. Na razie wyciągnęliśmy tylko trzy.

- Sama nie wiem. Może jestem głupia.

- Nie! Nie! Nie! - zawołała kobieta w szalu. - Nie waż się używać tu tego słowa.

- Masz rację, Loretto - dodał młody człowiek. - Nikt z nas nie jest głupi, może czasem bywa troszkę zdezorientowany, nic więcej.

- Głupia, głupia, głupia - mamrotała pod nosem Anna, jak gdyby przeklinając. Posłała Lorecie złe spojrzenie. - Głupia!

Patel nie wydawał się wcale zmieszany. Cicho poprowadził Ruth i Artę z sali do windy.

Odezwał się dopiero, gdy ruszyli w górę:

- Odpowiadając na pani pytanie - nasi pensjonariusze są ludźmi "kruchymi i starszymi", jak mówimy. Zdarzają się im kłopoty ze wzrokiem czy słuchem, niektórzy nie potrafią się poruszać bez laski lub balkoniku. Jedni mają umysł bardziej przenikliwy niż państwo czy ja, inni są bardziej rozkojarzeni i zdradzają oznaki demencji spowodowanej chorobą Alzheimera czy inną przypadłością. Czasami zapominają wziąć tabletki, dlatego też my wydajemy wszystkie leki. Ale zawsze wiedzą, jaki jest dzień, czy czas na niedzielny film, czy poniedziałkowe zbieranie ziół. A jeżeli nie pamiętają, który mamy rok, po co właściwie mają to wiedzieć? Niektóre pojęcia dotyczące czasu są zupełnie nieistotne.

- Może zdradzimy panu nasz fortel - rzekł Art. - Pani Young myśli, że przyjedzie tu z powodu wycieku radonu w jej domu. - Pokazał kopię spreparowanego przez siebie listu.

- Coś nowego - przyznał Patel, śmiejąc się z uznaniem. - Zapamiętam to, w razie gdyby ktoś jeszcze musiał dać rodzicom bodziec. Ach tak, darmowe mieszkanie dzięki uprzejmości Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego Kalifornii. Takie pismo urzędowe to świetny pomysł - wygląda poważnie i oficjalnie, jak wezwanie. - Otworzył drzwi. - Oto zwolniony niedawno apartament.

Weszli do pokoju, którego okna wychodziły na ogród: zgrabny salonik, sypialnia i łazienka, nieumeblowane i pachnące świeżą farbą oraz nowymi dywanami. Ruth zrozumiała nagle, co Patel miał na myśli, mówiąc "niedawno zwolniony" - ostatni lokator zmarł. Pogodny apartament nagle wydał się jej ponury, jakby pod kolorową fasadą ukrywała się mroczna prawda.

- To jeden z najładniejszych pokoi - rzekł Patel. - Mamy mniejsze i tańsze apartamenty i pojedyncze pokoje, niektóre bez widoku na ocean lub ogród. Jeden z nich powinien być wolny za mniej więcej miesiąc.

Boże! Ktoś miał niedługo umrzeć. I Patel mówił o tym tak zwyczajnie i beznamiętnie! Ruth poczuła się, jakby wpadła w pułapkę bez wyjścia. Ten dom był jak wyrok śmierci. Czy matka będzie miała podobne wrażenie? Nie wytrzyma tu miesiąca, a co dopiero mówić o trzech.

- Możemy dostarczyć meble bez dodatkowych opłat - powiedział Patel. - Ale zazwyczaj pensjonariusze wolą mieć własne. Wówczas czują się jak u siebie w domu. Zachęcamy do tego. Każdym piętrem zajmuje się ten sam personel, dwoje opiekunów na piętrze, w dzień i w nocy. Każdy zna ich po imieniu. Jedna z opiekunek mówi po chińsku.

- Po kantońsku czy mandaryńsku? - spytała Ruth.

- Dobrze pytanie. - Patel wyjął cyfrowy dyktafon i powiedział do niego: - Sprawdzić, czy Janie mówi po kantońsku, czy po mandaryńsku.

- Przy okazji - odezwała się znów Ruth. - Ile wynoszą opłaty?

Patel odrzekł bez wahania:

- Od trzech tysięcy dwustu do trzech tysięcy ośmiuset dolarów miesięcznie, zależnie od pokoju i standardu obsługi. W cenie jest dowóz na comiesięczne badania lekarskie. Na dole pokażę państwu szczegółowy harmonogram.

Ruth nie mogła się otrząsnąć ze zdumienia, jakie wywołała w niej wiadomość o kosztach.

- Wiedziałaś o tym? - spytała Art.

Skinął głową. Była wstrząśnięta ogromnym wydatkiem i zaskoczona, że Art jest gotów zapłacić niemal dwanaście tysięcy dolarów za trzy miesiące. Wpatrywała się w niego osłupiałym wzrokiem.

- Warto tyle wydać - szepnął.

- To szaleństwo.

Powtórzyła te słowa jeszcze później, kiedy Art odwoził ją do domu matki.

- Nie możesz traktować tego podobnie jak wysokości czynszu - odparł Art. - W cenie jest wyżywienie, mieszkanie w apartamencie, całodobowa opieka pielęgniarska, pomoc w podawaniu leków, pranie...

- Zgoda, a do tego bardzo droga orchidea! Nie pozwolę ci płacić, w każdym razie nie za trzy miesiące.

- Warto - powtórzył.

Ruth głośno wypuściła powietrze z płuc.

- Posłuchaj, zapłacę połowę, a jeżeli się uda, oddam ci resztę.

- Już to przerabialiśmy. Żadnego pół na pół i nie ma mowy o oddawaniu. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy i chcę to zrobić. Nie zamierzam w ten sposób pozbywać się twojej matki ani skłonić cię do powrotu do mnie. To nie ma być żaden warunek. Nie chcę wywierać na tobie presji, żebyś w końcu podjęła decyzję. Nie spodziewam się niczego w zamian.

- Jestem ci wdzięczna za intencje, ale...

- To nie tylko intencje, ale mój podarunek dla ciebie. Musisz się nauczyć je czasem przyjmować, Ruth. Odmawiając, wyrządzasz sobie samej krzywdę.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że chcesz od ludzi jakiegoś dowodu miłości, lojalności albo wiary w siebie. Spodziewasz się jednak, że niczego takiego nie dostaniesz. A kiedy ktoś daje ci dowód, nie rozumiesz tego. Albo się opierasz i odmawiasz przyjęcia.

- Wcale nie...

- Jesteś jak chory na kataraktę, który bardzo chce widzieć, ale sprzeciwia się operacji, bo boi się oślepnąć. Wolisz powoli ślepnąć niż podjąć ryzyko. A potem nie widzisz, że odpowiedź masz przed sobą, na wyciągnięcie ręki.

- To nieprawda - zaprotestowała. Jednak wiedziała, że w tym, co mówi Art, tkwi ziarno prawdy. Może nie miał do końca racji, lecz część z tego, co mówił, wydawała się znajoma jak potężna fala z jej snów. Odwróciła się do niego. - Zawsze tak o mnie myślałeś?

- Może nie ujmowałem tego zbyt precyzyjnie. Tak naprawdę zacząłem nad tym rozmyślać przed kilkoma miesiącami, kiedy się wyprowadziłaś. Zastanawiałem się, czy to, co o mnie mówiłaś, jest prawdą. I zdałem sobie sprawę, że rzeczywiście jestem egocentryczny i przyzwyczailem się stawiać siebie na pierwszym planie. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że ty zwykle stawiasz siebie na drugim. Jak gdybyś wyraziła zgodę, żebym był mniej odpowiedzialny. Nie twierdzę, że to twoja wina. Ale musisz się nauczyć przyjmować, brać to, co ci proponują. Nie broń się przed tym. Nie napinaj się jak struna, myśląc, że to zbyt skomplikowane. Po prostu bierz, a jeżeli chcesz być uprzejma, podziękuj.

Ruth miała w głowie mętlik. Jej myśli biegły gdzieś na oślep, przejmując ją lękiem.

- Dziękuję - powiedziała w końcu.

Ku zdziwieniu Ruth, matka nie miała nic przeciwko zamieszkaniu w Mira Mar. Właściwie dlaczego miałyby oponować? LuLing sądziła, że to tylko na pewien czas i za darmo. Kiedy obejrzała dom, Ruth i Art zabrali ją do pobliskiego lokaliku na lunch i żeby wysłuchać jej opinii.

- Tylu starych ludzi ma wyciek radonu - mruknęła ze zgrozą.

- Tak naprawdę nie wszyscy tam są z powodu wycieku radonu - rzekł Art.

Ruth zastanawiała się, czym skończy się ta rozmowa.

- Och. Mają inny kłopot w domu?

- Nie, nie mają kłopotów. Po prostu spodobało im się tam.

LuLing prychnęła.

- Czemu?

- Cóż, bo tak wygodniej, bo odpowiadają im warunki. Mają tam towarzystwo. W pewnym

sensie przypomina to statek wycieczkowy.

Twarz LuLing wykrzywiła się w grymasie niesmaku.

- Statek wycieczkowy! GaoLing zawsze chce, żebym płynęła w rejs statkiem. Jesteś za skąpa, mówi. Ja nie skąpa! Biedna, nie mam pieniędzy, żeby wyrzucać w ocean...

Ruth miała wrażenie, że Art wszystko zepsuł. Statek wycieczkowy. Gdyby słuchał narzekań matki przez kilka ostatnich miesięcy, wiedziałby, że nie mógł znaleźć gorszego porównania.

- Kto może sobie pozwolić na statek? - gderała matka.

- Dla wielu osób mieszkanie w Dworku Mira Mar jest tańsze niż mieszkanie we własnym domu - powiedział Art. LuLing uniosła jedną brew.

- Jak tanio?

- Mniej więcej tysiąc dolarów miesięcznie.

- Tysiąc! Aj-ja! Za dużo!

- Ale w cenie jest mieszkanie, jedzenie, filmy, taniec, korzystanie z wielu usług, a telewizja kablowa jest gratis.

LuLing nie miała w domu telewizji kablowej. Często mówiła o instalacji, ale zmieniła zdanie, dowiedziawszy się, ile to kosztuje.

- Chiński program też?

- Tak. Nawet kilka. I nie płaci się podatku majątkowego.

To także zainteresowało LuLing. W rzeczywistości płaciła niski podatek majątkowy, utrzymywany na tym poziomie przez prawo stanowe, które chroniło stan posiadania ludzi starszych. Mimo to co roku, gdy dostawała zawiadomienie podatkowe, kwota wydawała jej się zawrotna.

- Nie wszystkie pokoje kosztują tysiąc miesięcznie - ciągnął Art. - Twój jest droższy, bo to apartament pierwszej kategorii z najlepszym widokiem, na najwyższym piętrze. Mamy szczęście, że dostał ci się za darmo.

- Ach, najlepszy.

- Pierwszej kategorii - podkreślił Art. - Mniejsze są tańsze... Skarbie, o jakiej sumie wspominał pan Patel?

Zaskoczył Ruth tym pytaniem. Udawała, że sobie przypomina.

- Chyba mówił siedemset pięćdziesiąt.

- Tyle dostaję z ubezpieczenia społecznego! - odrzekła z zadowoleniem LuLing.
- Pan Patel mówił też, że osoby, które mniej jedzą, mogą uzyskać zniżkę - dodał Art.
- Ja jem mniej. Nie jak Amerykanie, co zawsze biorą duże porcje.
- A więc prawdopodobnie mogłabyś się kwalifikować. Ważysz chyba mniej niż sto dwadzieścia funtów...

- Nie, Art - przerwała mu Ruth. - Patel mówił, że górna granica wynosi sto funtów.
- Ja tylko osiemdziesiąt pięć.
- W każdym razie - uciął krótko Art - ktoś taki jak ty mógłby mieszkać w apartamencie pierwszej kategorii za tyle samo, ile dostajesz co miesiąc z ubezpieczenia społecznego. To tak, jakbyś mieszkała tam za darmo.

W trakcie lunchu Ruth zauważyła, że matka dodaje w myślach DARMOWĄ telewizję kablową, WIELKIE zniżki, NAJLEPSZY apartament - wszystkie pokusy, którym nie sposób się oprzeć.

Po chwili LuLing odezwała się tryumfalnym tonem: - Pewnie GaoLing pomyśli, że mam dużo pieniędzy, żeby tam mieszkać. Jak na statek.

Świętowali siedemdziesiąte siódme urodziny cioci Gal - właściwie osiemdziesiąte drugie, gdyby wszyscy znali prawdę, ale o tym wiedziały tylko ona, LuLing i Ruth.

Rodzina Youngów zebrała się w parterowym domu GaoLing i Edmunda w Saratodze. Ciocia Gal miała na szyi hawajskie lei z jedwabnych kwiatów i była ubrana w suknię muumuu haftowaną w kwiaty hibiskusa, odpowiednią do uczyty hawajskiej luau, głównego punktu przyjęcia. Wuj Edmund miał na sobie koszulę w ukulele. Oboje właśnie wrócili ze swojego dwunastego rejsu na Hawaje. LuLing, Art, Ruth i różni kuzyni siedzieli nad basenem za domem - albo na lanai, jak nazywała tę część ciocia Gal - gdzie wuj Edmund rozpalił grilla, aby upiec tyle kawałków żeberek, by wszystkich gości przyprawić o niestrawność. Nad rzeźbionymi pochodniami na gaz unosiło się ciepło, sprawiając, że powietrze wydawało się łagodne i przyjemne. Jednak dzieci nie dały się na to nabrać. Uznały, że na basen jest za zimno, więc zaimprovizowały mecz piłki nożnej na trawniku. Co kilka minut musiały wyławiać piłkę z wody siatką na długim uchwycie.

- Za dużo plusku - narzekała LuLing.

Kiedy GaoLing poszła do kuchni przygotować ostatnie przystawki, Ruth ruszyła za nią. Od dawna czekała na okazję by porozmawiać z ciotką na osobności.

- Zobacz, jak się robi herbaciane jajka - powiedziała ciocia Gal, gdy Ruth obierała ugotowane na twardo jaja. - Trzeba wziąć dwie szczypty liści czarnej herbaty. Musi być czarna, nie zielona japońska ani żadna ziołowa, jaką wy, dzieci, pijecie na różne dolegliwości. Włóż liście do gazy i mocno zawiąż. Teraz włóż ugotowane jajka do garnka razem z liśćmi herbaty, dodaj pół filiżanki sosu sojowego na dwadzieścia jajek i sześć nasion badianu - ciągnęła GaoLing. Wsypała do garnka sporą ilość soli. Swoją długowieczność musiała zawdzięczać cechom genetycznym, na pewno nie diecie. - Gotuj przez godzinę - powiedziała, stawiając garnek na wolnym ogniu. - Kiedy byłaś małą dziewczynką, uwielbiałaś takie jajka. Nazywaliśmy je jajkami na szczęście. Dlatego twoja mama i ja zawsze je robiłyśmy. To przysmak wszystkich dzieci. Ale pewnego razu zjadłaś pięć i rozchorowałaś się. Nabrudziłaś mi na kanapę. Potem mówiłaś, żadnych jajek, już nigdy więcej. Rok później nie chciałaś ich jeść. Ale potem jajka znowu były pyszne, mniem - mniem.

Ruth w ogóle tego nie pamiętała. Zastanawiała się, czy GaoLing nie myli jej ze swoją córką. Czyżby ciotka też zaczynała cierpieć na demencję?

Ciocia Gal wyciągnęła z lodówki miseczkę sparzonego selera, pokrojonego w paski. Nie zawracając sobie głowy odmierzaniem, skropiła seler olejem sezamowym i sosem sojowym, cały czas mówiąc, jak gdyby występowała w telewizyjnym programie kulinarnym.

- Tak sobie myślałam, że kiedyś mogę napisać książkę. Mam nawet tytuł: "Kulinarna droga do Chin" - jak sądzisz, dobry? Proste przepisy. Może pomogłabyś mi napisać, gdybyś miała chwilkę. Oczywiście, większość słów mam w głowie, tutaj. Chcę tylko, żeby ktoś je spisał. Zapłaciłabym ci, nie ma znaczenia, że jestem twoją ciocią.

Ruth nie miała ochoty kontynuować tego wątku.

- Robiłaś takie same jajka, kiedy mieszkałaś z mamą w sierocińcu?

GaoLing przestała mieszać. Uniosła głowę.

- Ach, matka mówiła ci o tym domu? - Spróbowała kawałek selera i dodała więcej sosu sojowego. - Przedtem nie chciała nikomu mówić, dlaczego poszła do szkoły w sierocińcu. - GaoLing umilkła, zaciskając usta, jak gdyby wyjawiała za dużo.

- Masz na myśli to, że jej matką była Droga Ciocia? GaoLing cmoknęła.

- Ach, a więc ci powiedziała. To dobrze, cieszę się. Lepiej powiedzieć prawdę.

- Wiem też, że obie z mamą jesteście pięć lat starsze, niż wszyscy myśleliśmy. I że twoje prawdziwe urodziny przypadają cztery miesiące wcześniej, tak?

GaoLing próbowała się roześmiać, ale zdawało się, że szuka wykrętu.

- Zawsze chciałam być uczciwa. Ale twoja mama bała się wielu rzeczy - och, mówiła, że władze odeślą ją do Chin, jeżeli się dowiedzą, że nie jest moją prawdziwą siostrą. I może Edwin nie ożeniłby się z nią, bo była za stara. Poza tym mogłabyś się wstydzić, gdybyś wiedziała, że twoją babką była niezamężna kobieta z okaleczoną twarzą, traktowana przez wszystkich jak służąca. A ja? Przez te lata zaczęłam myśleć nowocześniej. Dawne tajemnice? Nikt się tu nimi nie przejmuje! Niezamężna matka? Tak jak Madonna. Ale twoja mama ciągle błagała: "Nie, przyrzeknij, że nikomu nie powiesz".

- Ktoś jeszcze o tym wie? Wuj Edmund, Sally, Billy?

- Nie, nie, nikt. Przyrzekłam twojej matce... Oczywiście, wuj Edmund wie. Nie mamy przed sobą tajemnic. Mówię mu o wszystkim... No, nie wie o moim wieku. Ale nie skłamałam. Po prostu zapomniałam. Naprawdę! Nie czuję się nawet na siedemdziesiąt siedem lat. Najwyżej na sześćdziesiąt. Ale teraz mi przypomniałaś, że jestem jeszcze starsza - to ile mam?

- Osiemdziesiąt dwa.

- Wa. - Ramiona jej opadły, kiedy się nad tym zamyśliła. - Osiemdziesiąt dwa. To tak, jakby się okazało, że mam mniej pieniędzy na koncie.

- I tak wyglądasz na dwadzieścia lat mniej. Mama także. Nie martw się, nikomu nie powiem, nawet wujowi Edmundowi. Zabawne, kiedy w zeszłym roku powiedziała lekarzowi, że ma osiemdziesiąt dwa lata, pomyślałam, że coś złego dzieje się z jej umysłem. Potem okazało się, że jest chora na chorobę Alzheimera, ale nie myliła się co do swojego wieku. Po prostu zapomniała skłamać...

- Nie skłamać - poprawiła ją GaoLing. - To była tajemnica.

- To właśnie mam na myśli. Nie wiedziałabym, ile ma lat, gdybym nie przeczytała jej zapisków.

- Napisała o tym - o swoim wieku?

- O wielu rzeczach, zapisała taki gruby plik kartek. To coś w rodzaju historii jej życia, wszystko, o czym nie chciała zapomnieć. O czym nie chciała mówić. O swojej matce, sierocińcu, swoim pierwszym mężu, twoim.

Ciocia Gal czuła się chyba coraz bardziej nieswojo.

- Kiedy to napisała?

- Zapewne siedem czy osiem lat temu, kiedy prawdopodobnie zaczęła się niepokoić, że coś złego dzieje się z jej pamięcią. Jakiś czas temu dała mi część zapisków, ale były po chińsku, więc

nigdy nie miałam czasu, żeby zacząć to czytać. Kilka miesięcy temu znalazłam tłumacza.

- Dlaczego nie poprosiłaś mnie? - GaoLing udawała urażoną. - Jestem twoją ciotką, a ona jest moją siostrą. Jesteśmy spokrewnione, mimo że nie miałyśmy tej samej matki.

W rzeczywistości Ruth bała się, że matka mogła napisać kilka niepochlebnych uwag na temat GaoLing. Przyszło jej teraz do głowy, że GaoLing mogłaby ocenzurować fragmenty dotyczące jej własnych tajemnic, na przykład małżeństwa z narkomanem.

- Nie chciałam robić ci kłopotu - odrzekła Ruth. Ciotka pociągnęła nosem.

- A od czego są krewni, jeśli nie od kłopotów?

- To prawda.

- Dobrze wiesz, że zawsze możesz do mnie zadzwonić. Masz ochotę na chińskie jedzenie, zaraz ci ugotuję. Przetłumaczyć chińskie pismo, proszę bardzo. Chcesz, żebym została z twoją mamą, nie musisz pytać, po prostu ją przywieź.

- Pamiętasz naszą rozmowę o przyszłych potrzebach mamy? Odwiedziliśmy z Artem jedno miejsce, Dworek Mira Mar, to dom stałego pobytu z opieką, naprawdę ładny. Personel czuwa dwadzieścia cztery godziny na dobę, organizują zajęcia, mają pielęgniarkę, która podaje lekarstwa...

GaoLing zmarszczyła brwi.

- Jak możesz wysyłać mamę do domu starców? Nie, to nie jest w porządku. - Pokręciła głową, zaciskając mocno usta.

- To nie tak, jak myślisz...

- Nie rób tego! Jeżeli nie możesz zająć się mamą, niech zamieszka u mnie.

Ruth wiedziała, że GaoLing z trudem radzi sobie z LuLing nawet przez kilka dni. Ostatnią wizytę LuLing określiła słowami: "O mało nie dostałam zawału". Mimo to Ruth poczuła wstyd, że ciotka uważa ją za niedobrą córkę, zaniedbującą swe obowiązki. Wróciły wszystkie wątpliwości, jakie miała wcześniej w związku z Mira Mar. Znów nie była pewna własnych intencji. Czy to istotnie najlepsze wyjście ze względu na bezpieczeństwo i zdrowie matki? A może porzuca matkę dla własnej wygody? Zastanawiała się, czy nie zgodziła się po prostu z rozumowaniem Arta, jak w przypadku wielu spraw dotyczących ich obojga. Miała wrażenie, jakby zawsze żyła dzięki innym i dla innych.

- Po prostu nie wiem, co innego miałabym zrobić - powiedziała głosem drgającym od rozpacz, którą starała się zdławić. - To okropna choroba i rozwija się szybciej, niż sądziłam.

Mama nie może zostać sama. Wtedy wychodzi z domu i gubi się. Nie wie, czy jadła przed dziesięcioma minutami czy dziesięcioma godzinami. Nie może się sama kąpać. Boi się kranów...

- Wiem, wiem. Trudno, to bardzo smutne. Dlatego mówię, jeżeli już nie możesz tego wytrzymać, przywoź ją do nas. Trochę będzie tutaj, trochę u ciebie. Wtedy będzie łatwiej.

Ruth spuściła głowę.

- Mama już była w Dworku Mira Mar. Spodobało jej się, mówiła, że przypomina trochę statek wycieczkowy.

GaoLing sapnęła z powątpiewaniem.

Ruth chciała usłyszeć od ciotki zgodę. Wyczuwała też, że GaoLing chce, aby o nią poprosiła. Zawsze ochraniały się nawzajem z matką. Ruth spojrzała GaoLing w oczy.

- Nie podejmę żadnej decyzji, dopóki nie będziesz przekonana, że postępuję słusznie. Chciałabym jednak żebyś ty także odwiedziła ten dom. Jeżeli tam pojedziesz' dam ci kopię zapisków mamy.

To wzbudziło zainteresowanie GaoLing.

- Skoro o tym mowa - ciągnęła Ruth - zastanawiałam się, co się stało z tymi ludźmi w Chinach, których znałyście z mamą. Mama nie pisała nic o swoim życiu po wyjeździe z Hongkongu. Co się stało z tym człowiekiem, za którego wyszłaś, Fu Nanem, i jego ojcem? Zatrzymali sklep z tuszem?

GaoLing rozejrzała się, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby usłyszeć.

- Ci ludzie byli okropni. - Skrzywiła się. - Tak źli, że sobie nawet nie wyobrażasz. Fu Nań miał dużo kłopotów. Matka o tym pisała?

Ruth skinęła głową.

- Był uzależniony od opium.

GaoLing przez chwilę wyglądała na zupełnie zaskoczoną, uświadamiając sobie, że opowieść LuLing musi być niezwykle szczegółowa.

- To prawda - przyznała. - Później zmarł, może w 1960 roku, choć nikt nie wie na pewno. Ale właśnie wtedy przestał pisać i dzwonić do różnych ludzi, których pogroźkami zmuszał do wysyłania pieniędzy.

- Wuj Edmund wie o nim? GaoLing sapnęła ze wzburzeniem.

- Jak mogłam mu powiedzieć, że jestem mężatką? Wówczas twój wuj mógłby zacząć wątpić, czy naprawdę jesteśmy małżeństwem, czy nie jestem bigamistką, czy nasze dzieci nie są...

hm, takie jak twoja matka. Potem zapomniałam mu powiedzieć, a kiedy się dowiedziałam, że mój pierwszy mąż prawdopodobnie nie żyje, było już za późno na tłumaczenie rzeczy, o których i tak należało zapomnieć. Rozumiesz.

- Tak samo jak z twoim prawdziwym wiekiem.

- Tak jest. Natomiast stary Chang... cóż, w 1950 roku komuniści rozprawili się ze wszystkimi posiadaczami. Wsadzili Changa do więzienia, gdzie po torturach przyznał się, że jest właścicielem wielu firm, ma na sumieniu oszustwa i handel opium. Orzekli, że jest winny, i rozstrzelali go w publicznej egzekucji.

Ruth wyobraziła to sobie. Choć z zasady była przeciwniczką kary śmierci, poczuła satysfakcję, że człowieka, który przysporzył jej babce i matce tylu cierpień, spotkał zasłużony koniec.

- Lud skonfiskował też jego dom, zmusił żonę do zmiatania ulic, a wszystkich synów wysłano do pracy na powietrzu w Wuhanie, gdzie jest tak gorąco, że ludzie woleliby wykąpać się w kadzi wrzącego oleju niż tam jechać. Mój ojciec i matka cieszyli się, że już są biedni i ominęła ich taka kara.

- A Siostra Yu, Nauczyciel Pan? Miałaś od nich jakieś wiadomości?

- Mój brat miał - wiesz, Jiu Jiu w Pekinie. Pisał, że Siostra Yu wiele razy awansowała, osiągając w końcu bardzo wysokie stanowisko w partii komunistycznej. Nie wiem, jaki miała tytuł, coś z właściwą postawą i reformami. Ale podczas rewolucji kulturalnej wszystko przewróciło się do góry nogami i Siostrę Yu okrzyknęli przykładem złej postawy, bo w przeszłości pracowała u misjonarek. Rewolucjoniści wsadzili ją do więzienia i trzymali tam długo, traktując ją bardzo źle. Jednak kiedy wyszła, nadal cieszyła się, że jest komunistką. Potem chyba umarła ze starości.

- A Nauczyciel Pan?

- Jiu Jiu pisał, że któregoś roku w kraju urządzono wielką uroczystość na cześć Chińczyków, którzy pracowali przy odkryciu Człowieka z Pekinu. W artykule z gazety, który mi przysłał, pisano, że Pan Kai Jing - pierwszy mąż twojej matki - zginął jako bohater, nie chcąc zdradzić kryjówki partii komunistycznej, a jego ojciec, Nauczyciel Pan, przybył na uroczystość, żeby odebrać honorową nagrodę. Nie wiem, co się z nim potem stało. Teraz na pewno już nie żyje. To takie smutne. Kiedyś byliśmy jak jedna rodzina. Poświęciliśmy się dla siebie nawzajem. Siostra Yu mogła pojechać do Ameryki, ale dała tę szansę mnie i twojej mamie. Dlatego mama dała ci po niej imię.

- Myślałam, że po Ruth Grutoff.

- Po niej również. Ale twoje chińskie imię jest po Siostrze Yu. Yu Luyi. Luyi znaczy "wszystko, czego sobie życzysz".

Ruth zdziwiła się i zrobiło się jej bardzo miło, że matka włożyła tyle serca w nadanie jej imienia. Przez większą część dzieciństwa nie cierpiała obu swoich imion, amerykańskiego i chińskiego. "Ruth" brzmiało staroświecko i matka nie potrafiła go nawet wymówić, a "Luyi" bardziej pasowało do chłopca, boksera albo zbira.

- Wiedziałaś, że twoja mama zrezygnowała z wyjazdu do Ameryki, żeby ja mogła jechać pierwsza?

- Mniej więcej. - Bała się dnia, w którym GaoLing przeczyta we wspomnieniach matki dokładny opis, jakim sposobem uzyskała zgodę na swój wyjazd do Stanów.

- Dziękowałam jej wiele razy i zawsze mówiła: "Nie, nie wspominaj o tym, bo będę na ciebie zła". Nieraz próbowałam jej się odwdziaczyć, ale zawsze odmawiała. Co roku zapraszamy ją, żeby pojechała z nami na Hawaje. I co roku mówi mi, że nie ma pieniędzy.

Ruth kiwała głową. Ile to razy musiała wysłuchiwać utyskiwań matki na ten temat.

- Za każdym razem mówię jej: "Zapraszam cię, po co pieniądze?". A ona na to, że nie pozwoli mi płacić za nią. Nie ma mowy! No więc mówię: "Weź pieniądze z konta Charlesa Schwaba". Nie, ona nie chce tych pieniędzy. Jeszcze nie będzie ich wydawać.

- Co to za konto Charlesa Schwaba?

- O tym ci nie powiedziała? Jej połowa pieniędzy twoich dziadków, które dostała po ich śmierci.

- Myślałam, że zostawili jej tylko trochę.

- Tak, źle postąpili. Bardzo staroświecko. Rozgniewali twoją mamę. Dlatego nie chciała brać tych pieniędzy, nawet kiedy wuj Edmund i ja powiedzieliśmy, że i tak podzielimy je na pół. Dawno temu zamieniliśmy jej połowę na weksle skarbowe. Twoja mama zawsze udawała, że o tym nie wie. Ale później powiedziała coś w rodzaju: "Słyszałam, że więcej pieniędzy można zarobić, inwestując w akcje". Otworzyliśmy więc rachunek giełdowy. Później mówiła: "Słyszałam, że te akcje są dobre, a te nie". Stąd wiedzieliśmy, co makler ma kupić, a co sprzedać. Potem powiedziała: "Słyszałam, że lepiej inwestować samemu, mniejsze opłaty". Wtedy otworzyliśmy rachunek Charlesa Schwaba.

Przez ramiona Ruth przebiegł dreszcz.

- Wspominała coś o akcjach takich firm jak IBM, US Steel, AT&T albo Intel? GaoLing skinęła głową.

- Źle, że wuj Edmund nie słuchał jej rad. Zawsze rzucał się na oferty po cenie emisyjnej.

Ruth przypomniała sobie teraz, ile razy matka prosiła Drogą Ciocię o wskazówki dotyczące giełdy, których ona udzielała za pośrednictwem tacy z piaskiem. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że odpowiedzi mogą mieć takie znaczenie, skoro matka nie miała pieniędzy, żeby grać naprawdę. Sądziła, że LuLing śledzi notowania giełdowe, tak jak inni ludzie śledzą fabuły seriali. I kiedy matka przedstawiała jej kilka akcji do wyboru, Ruth zawsze pisała na piasku najkrótszą nazwę. A może matka podejmowała decyzję na innej podstawie? Może dostawała rekomendacje od kogoś innego?

- A więc wybór tych akcji okazał się trafny? - spytała z mocno bijącym sercem Ruth.

- Lepszy niż S i P, lepszy niż wuja Edmunda - twoja mama jest jak geniusz Wall Street! Co roku rachunek rósł coraz większy. Nie brała z niego ani grosza. Mogła popłynąć na mnóstwo rejsów, kupić wielki dom, piękne meble, duży samochód. Ale nie. Chyba oszczędzała dla ciebie... Nie chcesz wiedzieć, ile jest na tym rachunku?

Ruth pokręciła głową. Już i tak było tego za dużo.

- Później mi powiesz.

Zamiast ucieszyć się z pieniędzy, Ruth z bólem uświadomiła sobie, że matka odmawiała sobie szczęścia i przyjemności. Z miłości została w Hongkongu, aby GaoLing pierwsza mogła skorzystać z wolności. Jednak nie potrafiła przyjąć miłości od innych. Skąd to się u niej wzięło? Czy powodem było samobójstwo Drogiej Cioci?

- Przy okazji - przypomniała sobie Ruth. - Jak brzmiało prawdziwe imię Drogiej Cioci?

- Drogiej Cioci?

- Bao Bomu.

- Och, Bao Bomu! Tylko twoja matka tak ją nazywała. Wszyscy inni mówili do niej Bao Mu.

- Jaka jest różnica między "Bao Bomu" a "Bao Mu"?

- Bao może znaczyć "drogi" albo "chronić". Obydwa słowa wymawia się w trzecim tonie: baaaaooo. Sylaba mu znaczy "matka", ale kiedy jest napisane bao mu, przed sylabą mu jest dodatkowy element, więc słowo oznacza kogoś w rodzaju służącej. Bao mu to "opiekunka" albo "piastunka". A bomu znaczy "ciocia". To chyba matka nauczyła ją mówić i pisać o sobie w ten

szczególny sposób.

- Jak więc brzmiało jej prawdziwe imię? Mama nie pamięta i bardzo się tym dreczy.

- Ja też nie pamiętam... nie wiem.

Ruth ogarnęło przygnębienie. Już nigdy się nie dowie, jak nazywała się jej babka. Nikt się nie dowie. Przecież istniała, a jednak bez imienia i nazwiska brakowało dużej części jej istnienia - nie można jej było skojarzyć z twarzą ani powiązać z żadną rodziną.

- Wszyscy nazywaliśmy ją Bao Mu - ciągnęła GaoLing - ale z powodu okaleczonej twarzy nadawaliśmy jej także dużo brzydkich przezwisk w rodzaju "Spalone Drewno", "Smażone Usta". Nikt nie chciał być złośliwy, to miały być żarty... Teraz myślę, że to było złe, bardzo złe. Robiliśmy jej krzywdę.

Ruth słuchała tego z bólem serca. Czuła rosnący ucisk w gardle. Zapragnęła powiedzieć tamtej kobiecie z przeszłości, że jej wnuczka o niej myśli, że chce wiedzieć, gdzie są jej kości, podobnie jak matka.

- A dom w Nieśmiertelnym Sercu? - zapytała Ruth. - Jeszcze tam stoi?

- W Nieśmiertelnym Sercu?... Ach, pytasz o naszą wioskę - znam tylko chińską nazwę. Xian Xin - wymówiła śpiewnie. - Tak, chyba tak to można przetłumaczyć. "Serce nieśmiertelnego" albo coś w tym rodzaju. W każdym razie domu już nie ma. Dowiedziałam się od brata. Po kilku latach suszy przyszła wielka burza. Z góry zsunęło się błoto i zalało wąwóz, podmywając zbocza. Ziemia, na której stał dom, zaczęła odpadać, kawałek po kawałku. Najpierw zabrało pokoje z tyłu, potem studnię, aż zostało tylko pół domu. Stał tak jeszcze kilka lat, a w 1972 roku nagle runął i przykryła go ziemia. Brat pisał, że właśnie to zabiło naszą matkę, mimo że od wielu lat nie mieszkała już w domu.

- Czyli dom leży teraz na Końcu Świata?

- Końcu... czego?

- W wąwozie.

GaoLing wymówiła cicho parę chińskich sylab, a potem zaśmiała się.

- Racja, tak go nazywaliśmy, gdy byliśmy dziećmi. Koniec Świata. Dlatego że słyszeliśmy, jak rodzice mówią, że im bliżej domu podchodzi krawędź urwiska, tym prędzej czeka nas koniec świata. Chodziło im o koniec naszego szczęścia. I mieli rację! W każdym razie nadawaliśmy temu miejscu różne nazwy. Niektórzy ludzie nazywali je "Końcem Ziemi", podobnie jak część San Francisco, gdzie mieszka twoja mama - Land's End. Czasem moi wujowie w żartach mówili na

urwisko momo meiyou, co oznaczało "osunąć się i zniknąć bez śladu". Ale dla większości ludzi z wioski było to po prostu wysypisko śmieci. Wtedy nikt nie przyjeżdżał raz na tydzień, żeby zabrać z domu odpadki i śmieci, nic podobnego. Kości i zepsute jedzenie rzucano świniom i psom. Stare ubrania reperowało się i dawało młodszym dzieciom. Nawet jeżeli rzeczy były tak zniszczone, że nie można już ich było naprawić, darliśmy je na paski i wyplataliśmy z nich warstwę ocieplającą do ubrań zimowych. Z butami tak samo. Zalepiało się dziury, łątało podeszwy. Rozumiesz już, że ludzie pozbywali się tylko najgorszych rzeczy, zupełnie bezużytecznych. Kiedy byliśmy mali i niegrzeczni, rodzice straszili, że wrzucą nas do wąwozu - jak gdybyśmy też byli zupełnie bezużyteczni! Gdy podrośliśmy, chcieliśmy się bawić na dole, ale wtedy było inaczej. Ludzie mówili, że na dnie czyha wszystko, czego się boimy...

- Ciała?

- Ciała, duchy, demony, dusze zwierząt, żołnierze japońscy, wszystkie strachy.

- Naprawdę zrzucano tam ciała? GaoLing odpowiedziała po chwili milczenia. Ruth była pewna, że wróciło do niej złe wspomnienie.

- Wtedy wszystko wyglądało zupełnie inaczej... Widzisz, nie każdy mógł sobie pozwolić na pogrzeb albo miejsce na cmentarzu. Pogrzeby kosztowały dziesięć razy więcej niż wesela. Ale nie chodziło tylko o koszt. Czasami nie można było kogoś pochować z innych powodów. Zrzucenie ciała w przepaść było złe, ale nie tak, jak myślisz, to wcale nie znaczyło, że nie zależało nam na zmarłym.

- A ciało Drogiej Cioci?

- Aj-ja. Twoja mama o wszystkim napisała! Tak, moja matka postąpiła bardzo źle. Ale wtedy oszalała ze strachu, że Bao Mu rzuci klątwę na całą naszą rodzinę. Kiedy jej ciało znalazło się na dnie wąwozu, pojawiło się stado czarnych ptaków. Miały skrzydła wielkie jak parasole. Prawie zasłoniły słońce, tyle ich było. Krążyły w górze, czekając, aż dzikie psy uporają się z ciałem. A jeden z naszych służących. ..

- Stary Kucharz.

- Tak, Stary Kucharz, to on zrzucił w przepaść ciało. Pomyślał, że ptaki są duszą Bao Mu, jej armią duchów, i że schwycą go w szpony i porwą, jeżeli należycie jej nie pochować. Wziął więc tęgi kij i odegnał dzikie psy, a ptaki dalej nad nim krążyły, przyglądając się, jak usypuje na zwłokach kamienie. Mimo że to zrobił, nad naszym domem nadal wisiała klątwa.

- Wierzyłaś w to?

GaoLing zastanowiła się przez chwilę.

- Pewnie tak. Wtedy wierzyłam we wszystko, w co wierzyła moja rodzina. Nie wątpiłam. Zresztą Stary Kucharz zmarł już po dwóch latach.

- A teraz?

GaoLing długo milczała.

- Teraz wydaje mi się, że Bao Mu zostawiła po sobie dużo smutku. Jej śmierć przypominała ten wąż. Winę za wszystko, czego nie chcieliśmy i czego się baliśmy, zrzucaliśmy na nią.

Do kuchni wpadła Dory.

- Ruth! Ruth! Chodź prędko! Waipo wpadła do basenu. O mało się nie utopiła.

Gdy Ruth wybiegła na podwórko, Art już wychodził po schodkach z płytkiej strony basenu, niosąc na rękach matkę. LuLing kaszlała i drżała z zimna. Z domu wybiegła Sal - ly z naręczem ręczników.

- Nikt na nią uważał? - krzyknęła Ruth. Była zbyt zdenerwowana, by zachowywać się taktownie.

LuLing spojrzała na Ruth, jak gdyby te ostre słowa były skierowane do niej.

- Aj-ja, taka głupia.

- Nic nam nie jest - uspokoił Ruth spokojnym głosem .Art. - Po prostu chwila nieuwagi. Jest cała.

- Była tylko dziesięć stóp od nas - mówił Billy. - I nagle weszła do wody, zanim zdążyliśmy się zorientować. Art od razu się za nią rzucił, nie wypuszczając z ręki piwa.

Ruth owinęła matkę szczelnie ręcznikami i zaczęła energicznie rozcierać jej ciało, by pobudzić krążenie.

- Zobaczyłam ją tam - jęknęła po chińsku LuLing między jednym a drugim kaszlnięciem. - Prosiła mnie, żebym jej pomogła wydostać się spod kamieni. Potem ziemia stali się niebem i upadłam w deszczową chmurę i leciałam, leciałam, leciałam. - Odwróciła się, by pokazać miejsce, gdzie ujrziała zjawę.

Patrząc w kierunku wskazanym przez matkę, Ruth zobaczyła ciotkę Gal, która przyglądała się siostrze z taką miną, jakby nareszcie wszystko zrozumiała.

Ruth zostawiła matkę u ciotki Gal i następnego dzień spędziła w domu LuLing, wybierając rzeczy, które należało przewieźć do Mira Mar. Zdecydowała się na większość mebli z sypialni oraz pościel i ręczniki, których matka nigdy nie używała. Co z malowidłami na zwojach, tuszem i

pędzelkami? Patrząc na dowody swej dawnej sprawności, matka mogłaby odczuwać rozgoryczenie. Jednego Ruth była pewna: nie ruszy stąd rozkładanego fotela winylowego. Ten mebel pójdzie na śmietnik. Ona kupi matce nowy fotel, o wiele ładniejszy, wyściełany miękką skórą w kolorze burgunda. Na samą myśl o tym Ruth zrobiło ń przyjemnie. Już sobie wyobrażała, jak oczy matki błyszczą zdumieniem i wdzięcznością, jak wypróbowuje skrzypiące siedzisko fotela, mrużąc: "Jak miękko, jak dobrze".

Wieczorem Ruth pojechała do klubu Bruno, gdzie miała się zobaczyć z Artem. Przed laty często tam chodzili, czyniąc z wizyty w restauracji prelude do upojnej nocy. Ciasne przegródki pozwalały im siadać bardzo blisko siebie i oddawać się ukradkowym pieszczotom.

Zaparkowała przecnicę wcześniej i zerknąwszy na zegarek, stwierdziła, że przyjechała piętnaście minut przed czasem. Nie miała ochoty sprawiać wrażenia zbyt gorliwej. Wstąpiła do księgarni Modern Times. Jak zwykle najpierw podeszła do stolika z przecenionymi końcówkami nakładów, gdzie obniżone do trzech dolarów dziewięćdziesięciu ośmiu centów ceny wypisano na jaskrawozielonych naklejkach, przypominających do złudzenia karteczki identyfikacyjne na zwłokach w kostnicy. Były tu tradycyjnie książki o sztuce, biografie i najskrytsze wyznania sezonowych gwiazd. Nagle wzrok Ruth zatrzymał się na tytule "Sieć nirwany: cyberłącza z wyższą świadomością". Ted, autor "Duchowości Internetu", miał rację. Ten temat musiał trafić w swój czas. Który widocznie już się skończył. Nie bez wyrzutów sumienia poczuła dreszcz radości. Na stoliku z beletrystyką leżał duży wybór współczesnych powieści autorów niezbyt znanych szerokiej rzeszy czytelników. Ruth wzięła cienką książeczkę, która posłusznie ułożyła się jej w dłoni, jak gdyby zapraszała, by ścisnąć ją w łóżku w przytłumionym świetle lampki. Wzięła drugą, przewróciła kilka stron, zatrzymując oko i wyobrażnię na przypadkowych liniijkach. Przyciągały ją wszystkie, te pryzmaty innego życia i czasu. Współczuła im jak psom w schronisku, porzuconym bez powodu, które mimo to nadal miały nadzieję, że ktoś je pokocha. Wyszła ze sklepu z pięcioma książkami w torbie.

Restauracja retro była utrzymana w uroczym stylu lat pięćdziesiątych. Art siedział przy barze.

- Wyglądasz na zadowoloną - powitał ją.

- Naprawdę? - Natychmiast poczuła się skrepowana. Ostatnio Wendy, Gideon i inni wciąż jej mówili, jakie uczucia zdradza jej wygląd - że wydaje się zmartwiona, zdenerwowana, zamyślona albo zdziwiona. Za każdym razem Ruth w ogóle nie była świadoma żadnego z tych

uczuć. Oczywiście, że jej twarz musiała coś zdradzać. Ale jak ona sama mogła nie wiedzieć, co czuje?

Szef sali zaprowadził ich do przegródki ze stolikiem. Kanapki obito niedawno elegancką klubową skórą. Właściwie wszystko w restauracji wyglądało tak, jakby przez pięćdziesiąt lat nic się nie zmieniło, z wyjątkiem cen oraz włączenia do karty przystawek uni i dań z ośmiornicy. Gdy przeglądali menu, zjawił się kelner z butelką szampana.

- To ja zamówiłem - szepnął Art. - Na naszą rocznicę... Nie pamiętasz? Joga bez togi? Twój kumpel gej? Poznaliśmy się dziesięć lat temu.

Ruth zaśmiała się. Nie pamiętała. Kiedy kelner zaczął nalewać, odpowiedziała szeptem:

- Wydawało mi się, że masz za ładne stopy jak na zbrojeńca.

Zostali sami i Art wzniosł wąski kieliszek.

- Za dziesięć lat, z których niemal wszystkie, z dyskusyjnymi wyjątkami, były fantastyczne, i za nadzieję, że wrócimy tam, gdzie powinniśmy być. - Kładąc dłoń na jej udzie, dodał: - Powinniśmy kiedyś spróbować.

- Czego?

- Jogi bez togi.

Zalała ją fala gorąca. Kilka miesięcy mieszkania z matką sprawiły, że czuła się jak dziewczica.

- Hej, maleńka, chcesz potem iść do mnie?

Na myśl o tym przebiegł ją dreszcz podniecenia.

Znow stanął przed nimi kelner, czekając na zamówienie.

- Pani i ja chcielibyśmy na początek ostrygi - rzekł Art. - To nasza pierwsza randka, więc najlepsze będą takie, które działają jak afrodyzjak. Jakie pan poleca?

- Kuamamoto - odparł bez drgnienia powieki kelner.

W nocy nie kochali się od razu. Art tulił ją w łóżku, okna sypialni były otwarte, słyszeli syreny ostrzegające statki.

- Przez te dziesięć lat - powiedział Art - chyba nie poznałem ważnej części ciebie. Trzymasz dla siebie tajemnice. Ukrywasz je. To tak jakbym nigdy nie widział cię nago i musiał sobie wyobrażać, jak wyglądasz pod tymi zasłonami.

- Nie ukrywam niczego świadomie. - Powiedziawszy to, Ruth zaczęła się zastanawiać, czy to prawda. Ale przecież kto ujawnia wszystko - każdą złość i każdy lęk? To by było nie do

zniesienia. Co miał na myśli, mówiąc o tajemnicach?

- Chciałbym, żebyśmy byli sobie bliżsi. Chcę wiedzieć, czego chcesz. Nie tylko od naszego związku, ale od życia. Kiedy jesteś najszczęśliwsza? Robisz to, co chcesz robić?

Wybuchnęła nerwowym śmiechem.

- Właśnie o tym piszę dla innych, o tajemnicach duszy. Potrafię opisać w dziesięciu rozdziałach, jak odnaleźć szczęście, ale wciąż nie wiem, co to jest.

- Dlaczego ciągle mnie odpychasz?

Ruth wzdrygnęła się. Nie lubiła, gdy Art zachowywał się, jakby znał ją lepiej niż ona sama. Poczowała, że lekko potrząsa ją za ramię.

- Przepraszam. Nie powinienem tego mówić. Nie chcę, żebyś była spięta. Po prostu próbuję cię poznać. Kiedy powiedziałem kelnerowi, że to nasza pierwsza randka, naprawdę tak myślałem, w pewnym sensie. Chciałbym udawać, że dopiero cię poznałem, zakochałem się od pierwszego wejrzenia i chcę wiedzieć, kim jesteś. Kocham cię, Ruth, ale cię nie znam. Chcę wiedzieć, kim jest kobieta, którą kocham. Nic więcej.

Ruth opadła na jego pierś.

- Nie wiem, nie wiem - powiedziała cicho. - Czasem czuję się jak para oczu i uszu, staram się tylko pilnować, żeby nie stało mi się nic złego, i zrozumieć, co się dzieje. Wiem, czego unikać, a o co się martwić. Przypominam dzieci, wokół których trwa ciągła strzelanina. Nie chcę bólu. Nie chcę umrzeć. Nie chcę patrzeć, jak inni wokół mnie umierają. Ale nie potrafię już ustalić, gdzie jest moje miejsce ani czego chcę. Jeżeli czegoś chcę, to wiedzieć, czego mogłabym chcieć.

W pierwszej sali Muzeum Sztuki Azjatyckiej Ruth zobaczyła, jak pan Tang całuje jej matkę w policzek. LuLing śmiała się niczym nieśmiała pensjonarka, a potem, trzymając się za rękę, przeszli wolnym krokiem do następnej galerii.

Art szturchnął Ruth w bok i podał jej ramię.

- Chodź, nie mam ochoty, żeby okazali się lepsi od nas.

Dogonili LuLing i jej towarzysza, którzy zasiedli na ławce przed dzwonkami z brązu, zawieszonymi w dwóch rzędach na olbrzymiej ramie wysokości chyba dwunastu stóp i długości dwudziestu pięciu.

- Wygląda jak ksylofon bogów - szepnęła Ruth, sadowiąc się obok pana Tanga.

- Każdy dzwonek wydaje dwa różne dźwięki. - Głos pana Tanga był łagodny, lecz brzmiał

w nim autorytatywny ton. - Pałeczka uderza w dół i prawą stronę dzwonka. A kiedy gra na nich wielu muzyków, powstaje bardzo bogata melodia, złożona z warstw tonalnych. Niedawno miałem przyjemność słyszeć ich brzmienie, gdy chińscy muzycy grali na nich na bardzo szczególnej uroczystości. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - W myślach cofnąłem się w czasie o trzy tysiące lat. Słyszałem to samo, co ktoś w tamtej dalekiej przeszłości, przeżywałem ten sam zachwyty. Wyobraziłem sobie osobę, która mogła wówczas słuchać tej muzyki, kobietę, bardzo piękną kobietę. - Ucisnął dłoń LuLing. - I pomyślałem sobie, za następne trzy tysiące lat inna kobieta usłyszy te dźwięki i pomyśli, że byłem przystojnym mężczyzną. Choć się nie znamy, łączy nas muzyka. Nie sądzi pani? - Spojrzał na LuLing.

- Jak okrągły Budda - odrzekła.

- Pani matka i ja myślimy podobnie - zwrócił się do Ruth pan Tang.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Zorientowała się, że pan Tang pełni funkcję tłumacza LuLing, tak jak kiedyś ona. Nie przejmował się jednak precyzyjnym znaczeniem słów. Przekładał to, co LuLing miała w sercu: jej szlachetne intencje, jej nadzieje.

Przez ubiegły miesiąc LuLing mieszkała w Dworku Mira Mar, a pan Tang odwiedzał ją kilka razy w tygodniu. W soboty zabierał ją na wycieczki - na popołudniowe spektakle, darmowe próby orkiestry symfonicznej, na spacer w arboretum. Dziś wybrał chińską wystawę archeologiczną, zapraszając także Ruth i Arta.

- Chciałbym wam pokazać coś bardzo interesującego - powiedział tajemniczo przez telefon. - Naprawdę warto to zobaczyć.

Ruth uznała, że przede wszystkim warto było zobaczyć szczęśliwą matkę. Szczęśliwą. Zamyśliła się nad znaczeniem tego słowa. Do niedawna nie wiedziała, czym dla LuLing jest szczęście. Owszem, matka nadal narzekała. Jedzenie w Mira Mar było, tak jak się Ruth spodziewała, "za słone", a obsługa jak w restauracji - "taka wolna, że na stole jedzenie już zimne". LuLing bardzo nie spodobał się skórzany fotel, który Ruth jej kupiła. Trzeba było go wymienić na stary z winylu. LuLing pozbyła się jednak większości dawnych zmartwień i utrapień: nie przejmowała się już lokatorką z dołu, nie bała się, że ktoś kradnie jej pieniądze, przestała myśleć, że nad jej życiem wisi klątwa i jeśli nie będzie stale się mieć na baczości, czeka ją tragedia. A może po prostu zapomniała? Być może pokrzepiło ją uczucie. Albo to zmiana otoczenia sprawiła, że przykre wspomnienia minionych lat przestały do niej wracać. Nadal jednak opowiadała o dawnych czasach, nawet częściej niż poprzednio, lecz teraz przeszłość okazywała się lepsza.

Przede wszystkim dlatego, że jej częścią stał się pan Tang. LuLing zachowywała się tak, jakby znali się od wieków, a nie od mniej więcej miesiąca.

- To samo on i ja widzieliśmy dawno temu - powiedziała głośno, gdy podziwiali dzwonki. - Tylko teraz jesteśmy starsi.

Pan Tang pomógł LuLing wstać i razem z Ruth i Artem ruszyli ku następnemu eksponatowi umieszczonemu pośrodku sali.

- Oto przedmiot wysoko ceniony przez chińskich uczonych - rzekł. - Wielu zwiedzających chciałoby oglądać rytualne naczynia na wino i ceremonialne kawałki nefrytu, używane podczas pogrzebu. Ale dla prawdziwego uczonego to jest prawdziwy okaz. - Ruth zajrzała do gabloty. Okaz wyglądał, jej zdaniem, jak duży wok z jakimś napisem.

- Oto mistrzowskie naczynie z brązu - ciągnął pan Tang. - Ale na uwagę zasługuje także inskrypcja. To poemat epicki napisany przez wielkich uczonych o wielkich władcach, którzy żyli w ich czasach. Jednym z opiewanych cesarzy jest Zhou, tak, ten sam Zhou, od którego nazwę wzięło Zhoukoudian - gdzie kiedyś mieszkała pani matka i gdzie znaleziono Człowieka z Pekinu.

- Usta Góry? - spytała Ruth.

- Nie inaczej. Chociaż Zhou wcale tam nie mieszkał. Wiele miejsc nosi jego imię, podobnie jak w każdym miasteczku amerykańskim jest ulica Washingtona... Chodźmy teraz tędy. W następnej sali kryje się powód, dla którego zaprosiłem was do galerii.

Po chwili znaleźli się przed następną gablotą.

- Proszę jeszcze nie patrzeć na opis po angielsku - rzekł pan Tang. - Jak pani sądzi, co to jest?

Ruth ujrzała przedmiot barwy kości słoniowej, o spłaszczonym, łopatkowatym kształcie, spękany i podziurawiony. Plansza do starożytnej gry go? Narzędzie kuchenne? Obok leżał mniejszy przedmiot, jasnobrązowy i owalny, z wystającym brzegiem, a zamiast otworków miał napis. Od razu się domyśliła, lecz nim zdążyła się odezwać, LuLing powiedziała po chińsku:

- Kość wróżebna.

Ruth była zdumiona pamięcią matki. Wiedziała, że nie należy się spodziewać, by LuLing pamiętała umówiony

termin albo niedawne wydarzenie, kto gdzie był, gdzie coś się zdarzyło. Matka natomiast często zaskakiwała ją zrównoważonymi emocjami, gdy mówiła o swojej młodości, a duch opowieści przypominał ten z jej pamiętnika. Był to dla Ruth dowód, że matka potrafi się jeszcze

poruszać ścieżkami własnej przeszłości, choć gdzieś były zryte i poprzecinane bocznymi drózkami. Czasem mieszała przeszłość ze wspomnieniami z innego okresu własnego życia. Mimo to nawet wtrącona opowieść była prawdziwą skarbnicą, z której LuLing mogła czerpać i dzielić się swym bogactwem z innymi. Nie miało znaczenia, że szczegóły zacierają się w jej pamięci. Przeszłość, nawet poprawiona, miała swój głęboki sens.

W ostatnich tygodniach LuLing kilka razy opowiadała, jak dostała pierścień z zielonym nefrytem, który Ruth wydobyla wcześniej ze skrzyni winylowego fotela.

- Weszliśmy do sali tanecznej, ty i ja - mówiła po chińsku. - Zeszliśmy po schodach i przedstawiłaś mnie Edwi - nowi. Utkwił spojrzenie w moich oczach i bardzo długo nie odwracał wzroku. Zobaczyłam twój uśmiech, a potem zniknął. To było nieprzyzwoite. Wiedziałam, co sobie pomyślałaś! Poprosił mnie, żebym za niego wyszła, i dał mi pierścionek.

Ruth przypuszczała, że to GaoLing przedstawiła ich sobie.

Teraz usłyszała, jak LuLing mówi po mandaryńsku do Artę:

- Podobną znalazła moja matka. Były na niej wyryte piękne słowa. Dała mi ją, gdy była pewna, że nie zapomnę, co jest ważne. Nie chciałam nigdy stracić tej kości.

Art kiwał głową, jak gdyby wszystko zrozumiał, a potem LuLing przetłumaczyła panu Tangowi na angielski:

- Mówię mu, taką kość dostałam od matki.

- Bardzo znaczący dar - odrzekł - zwłaszcza że pani matka była córką lekarza kości.

- Sławnego - dodała LuLing.

Pan Tang skinął głową, jak gdyby też pamiętał.

- Przychodzili do niego wszyscy z okolicznych wiosek. Pani ojciec przyszedł ze złamaną stopą. Nadepnął go koń. Tak właśnie poznał pani matkę. Przez konia.

Wzrok LuLing stał się szklisty. Ruth przestraszyła się, że matka zaraz się rozpłacze. LuLing jednak rozpromieniła się i powiedziała:

- Liu Xing. Tak ją nazywał. Moja matka mówiła, że pisał wiersz miłosny o tym.

Art spojrział na Ruth, czekając, by potwierdziła, czy to prawda. Czytał fragmenty zapisków LuLing, lecz nie potrafił połączyć chińskiego słowa z przedmiotem czy osobą, do której się odnosiło.

- To znaczy "spadająca gwiazda" - szepnęła Ruth. - Później ci wytłumaczę. - Następnie zwróciła się do LuLing z pytaniem: - A jak brzmiało nazwisko twojej matki?

Ruth miała świadomość, że ryzykuje, ale umysł matki właśnie wkroczył na terytorium imion. Być może czekają tam inne, jak znaki orientacyjne, wystarczy sięgnąć.

Matka odpowiedziała po chwili wahania:

- Nazwisko Gu. - Patrzyła na Ruth surowo. - Mówię tyle razy, nie pamiętasz? Jej ojciec doktor Gu. Ona córka doktora Gu.

Ruth chciała krzyknąć z radości, ale w następnej chwili zdała sobie sprawę, że matka powiedziała po chińsku "kość". Doktor Gu, Doktor Kość, Lekarz Kości. Art uniósł brwi, spodziewając się, że odnaleziono poszukiwane od dawna nazwisko rodu.

- Później ci wytłumaczę - powtórzyła Ruth, ale tym razem jej głos brzmiał apatycznie.

- Och. ; Pan Tang kreślił w powietrzu chińskie znaki.

- Takie gu? Czy takie?

Matka zrobiła strapioną minę.

- Nie pamiętam.

- Ja też nie - odrzekł szybko pan Tang. - Cóż, nieważne.

- Co oznacza napis na kości? - zmienił temat Art.

- To pytania, jakie cesarze zadawali bogom - odparł pan Tang. - Jaka jutro będzie pogoda, kto wygra wojnę, kiedy należy obsadzić pola. Chcieli uzyskać wiadomości jak w serwisie radiowym, tylko z dużym wyprzedzeniem.

- I otrzymywali prawdziwe odpowiedzi?

- Kto może wiedzieć? Odczytywano je z tych pęknięć, które widać obok czarnych plamek. Wróżbici robili je rozgrzanym gwoździem. Przykładali go do kości i - trach! Potem interpretowali pęknięcia jako odpowiedzi z nieba. Jestem pewien, że najlepsi wróżbici umieli udzielić odpowiedzi, jakie cesarze chcieli usłyszeć.

- Wielka zagadka językoznawcza - powiedział Art.

Ruth myślała o tacy z piaskiem, której przez wiele lat używały z matką. Ona także starała się odgadnąć, co mogło uspokoić matkę, szukając słów, które zdołają rozwiązać jej obawy i nie od razu wyjdzie na jaw, że są zmyślone. Czasem decydowała się na odpowiedzi korzystne dla siebie. Ale bywały okazje, gdy naprawdę próbowała napisać to, co matka chciała usłyszeć. Pocieszała ją, że mąż za nią tęskni, że Droga Ciocia się nie gniewa.

- Skoro mowa o zagadce - powiedziała Ruth - wspominał pan kiedyś, że nigdy nie odnaleziono kości Człowieka z Pekinu.

LuLing ożywiła się.

- Nie Człowieka, kobiety też.

- Masz rację, mammo - Kobiety z Pekinu. Ciekawe, co się z nią stało? Czy kości zostały rozjechane przez pociągi na torach prowadzących do Tianjinu? A może zatoniły razem z łodzią?

- Nikt nie wie, czy kości jeszcze istnieją - odparł pan Tang. - Chociaż co parę lat czyta się o nich w gazetach. Ktoś umiera, żona amerykańskiego żołnierza, były oficer japoński, jakiś archeolog na Tajwanie albo w Hongkongu. Potem czytamy w artykule, że kości znaleziono w drewnianej skrzyni, takiej samej jak te, do których spakowano je w 1941 roku. Potem rozpusza się plotkę, że są to kości Człowieka z Pekinu. Ustala się wszystkie szczegóły, płaci okup czy co tam jeszcze. Ale potem kości okazują się ogonami wołowymi. Albo gipsowymi odlewami oryginałów. Albo znikają przed ich zbadaniem. W jednej z wersji osoba, która ukradła kości, wiozła je na wyspę, by sprzedać handlarzowi, ale samolot wpadł do oceanu.

Ruth rozmyślała nad klątwą duchów, które rozgniewały się, że oddzielono kości od reszty ich śmiertelnych ciał.

- A pan w którą wersję wierzy?

- Nie wiem. W historii tyle jest tajemnic. Nie wiemy, co przepadło na zawsze, a co wypłynie jeszcze na powierzchnię. Wszystkie przedmioty istnieją w określonym czasie, a ów fragment czasu zostaje zachowany, stracony albo w tajemniczy sposób odnaleziony. Tajemnica to wspaniała część życia. - Pan Tang mrugnął do LuLing.

- Wspaniała - powtórzyła jak echo.

Pan Tang spojrział na zegarek.

- Co państwo powiedzą na wspaniały lunch?

- Wspaniale - odrzekli.

Leżąc już z Artem w łóżku, Ruth rozmyślała głośno o czułym zainteresowaniu pana Tanga jej matką.

- Rozumiem, że go zaintrygowała, ponieważ pracował nad przekładem jej wspomnień. Ale to erudyta żywo zainteresowany kulturą, muzyką, poezją. Matka nie jest w stanie dotrzymać mu kroku, poza tym jej stan się pogarsza. Po jakimś czasie nie będzie nawet wiedziała, kim on jest.

- Jest w niej zakochany od czasów, gdy była małą dziewczynką - odrzekł Art. - Dla niego to nie jest tylko przelotna znajomość. Kocha ją taką, jaka była, jaka jest i jaka będzie. Wie o niej więcej niż większość ludzi o swoich małżonkach. - Przyciągnął Ruth bliżej. - Mam nadzieję, że i

my możemy podjąć takie zobowiązanie. Razem na zawsze, wspólna przeszłość, teraźniejszość, przyszłość... małżeństwo.

Ruth wstrzymała oddech. Tak długo wzbraniała się przed tą myślą, że miała wrażenie, jak gdyby sam pomysł był czymś zakazanym i niebezpiecznym.

- Próbowałem kiedyś związać nas ze sobą, proponując ci współwłasność domu, z czego jeszcze nie skorzystałaś.

Ach, więc po to miał być współdziałanie we własności domu? Zmieszała się na myśl o powodach, dla których broniła się przed jego propozycją.

- To tylko pomysł - rzekł niezręcznie Art. - Nie naciskam cię. Chciałem tylko wiedzieć, co byś pomyślała. Przytuliła się mocniej, całując go w ramię.

- Wspaniale - odrzekła.

- Nazwisko, znam nazwisko rodzinne twojej matki. - GaoLing dzwoniła do Ruth z niewiarygodną nowiną.

- Boże, jak brzmi?

- Najpierw musisz wiedzieć, jakie miałam kłopoty z jego ustaleniem. Kiedy mnie poprosiłaś, napisałam do Jiu Jiu do Pekinu. Nie wiedział, ale odpisał, że spyta żonę kuzyna, którego rodzina nadal mieszka tam, gdzie urodziła się twoja babcia. Trochę to musiało potrwać, bo ludzie, którzy mogli wiedzieć, w większości już nie żyją. Ale wreszcie odnaleźli starą kobietę, której dziadek był wędrownym fotografem. Wciąż miała wszystkie jego stare szklane płytki. Leżały w piwniczce i na szczęście niewiele uległo zniszczeniu. Jej dziadek doskonale prowadził księgi, dokładnie zapisywał, kto za co płacił, miał nazwiska osób, które fotografował. Tysiące płytek i zdjęć. W każdym razie starsza pani przypomniała sobie, jak dziadek pokazywał jej fotografię pięknej dziewczyny w ładnym czepku i kaftanie z wysokim kołnierzem.

- Zdjęcie Drogiej Cioci, które ma mama?

- Pewnie to samo. Starsza pani mówiła, że to było bardzo smutne, bo niedługo po zrobieniu zdjęcia dziewczyna okaleczyła sobie twarz i miała blizny do końca życia, umarł jej ojciec, zginęła cała rodzina. Ludzie we wsi powiadali, że dziewczynę od początku prześladował pech...

Ruth nie mogła dłużej wytrzymać.

- Jak brzmi to nazwisko?

- Gu.

- Gu? - Ruth poczuła ogromny zawód. Znow ten sam błąd. - Gu to po chińsku "kość" -

powiedziała. - Pewnie ta kobieta myślała: "lekarz kości" czyli "doktor Kość".

- Nie, nie - odrzekła GaoLing. - Gu jak "wąwóz". To inne gu. Brzmi tak samo jak gu "kość", ale inaczej się pisze. Gu w trzecim tonie może oznaczać wiele rzeczy: "stary", "wąwóz", "kość", a także "udo", "ślepy", "ziarno", "kupiec", wiele rzeczy. Znak "kość" może też oznaczać "charakter". Stąd wyrażenie: "Masz to w kościach". Znaczy to: "Taki masz charakter".

Ruth myślała kiedyś, że chiński ma tak niewiele dźwięków, że trudno go zrozumieć. Teraz zdawało jej się, że dzięki wielości znaczeń jest bardzo bogaty. Ślepy lekarz kości z wąwozu naprawił udo starego handlarza ziarna.

- Jesteś pewna, że to jest Gu?

- Tak było napisane na płytce ze zdjęciem.

- Było też imię?

- Liu Xin.

- Spadająca Gwiazda?

- Nie, to liu xing, brzmi prawie tak samo, xing to "gwiazda", a xin - "prawda". Liu Xin oznacza "pozostać prawdziwym". Ale słowa brzmiały podobnie, więc ludzie, którzy jej nie lubili, nazywali ją Liu King. "Spadająca gwiazda" może mieć złe znaczenie.

- Dlaczego?

- Trudno powiedzieć dlaczego. Uważa się, że widok miotłastej gwiazdy źle wróży. To inna gwiazda, z długim i wolnym ogonem, krążąca.

- Kometa?

- Tak, kometa. Kometa oznacza, że zdarzy się wyjątkowe nieszczęście. Niektórzy ludzie myślą jednak miotłastą gwiazdę ze spadającą gwiazdą, więc choć spadająca gwiazda nie przynosi pecha, myślą, że przynosi. Ta też nie jest dobra - szybko płonie, jednego dnia jest, drugiego nie ma po niej śladu, tak jak stało się z Drogą Ciocią.

Ruth przypomniała sobie, że matka o tym pisała. Gdy LuLing była mała, Droga Ciocia opowiedziała jej, że patrzyła w nocne niebo i ujrzała spadającą gwiazdę, która wpadła jej do otwartych ust.

Ruth zaczęła płakać. Jej babcia miała imię i nazwisko. Gu Liu Xin. Istniała. Nadal istniała. Droga Ciocia należała do rodziny. LuLing należała do tej samej rodziny, a Ruth należała do nich obu. Nazwisko rodziny nigdy nie przypadło, przypominało kość, która utknęła w skalnej szczelinie wąwozu. LuLing wywróżyła je, patrząc na kość w muzeum. I nazwisko rozbłysło przed nią na

króciutką chwilkę, jak spadająca gwiazda, która weszła w ziemską atmosferę, pozostawiając w duszy Ruth wyraźny, nieusuwalny ślad.

Jest dwunasty sierpnia i Ruth siedzi w swoim Kąciku. W nocnej ciszy brzmia syreny, witając zawijające do zatoki statki.

Ruth nie straciła jeszcze głosu. Na jej zdolność mowy nie mają wpływu klątwy ani spadające gwiazdy, ani choroba. Wie już o tym na pewno. Ale nie musi wcale mówić. Może pisać. Przedtem nigdy nie miała powodu pisać dla samej siebie, tylko dla innych. Teraz ma powód.

Stoi przed nią fotografia babci. Ruth patrzy na nią co dzień. Dzięki niej ogląda terazniejszość z perspektywy przeszłości. Czy babcia kiedykolwiek sobie wyobrażała, że będzie mieć taką wnuczkę jak ona - kobietę, która ma kochającego męża, dwie uwielbiające ją córki, dom, którego jest współwłaścicielką, oddanych przyjaciół i życie, w którym największym zmartwieniem jest przeciekający kran lub za dużo kalorii?

Ruth przypomina sobie, jak matka mówiła o śmierci, albo z własnej ręki, albo spowodowanej klątwą. Ten zamiar nigdy jej nie opuścił, aż do chwili gdy zaczęła tracić władzę nad umysłem i z jej pamięci niczym z dziurawej sieci zaczęły umykać wszystkie dawne żale. I choć matka nie zapomniała jeszcze przeszłości, zaczęła ją zmieniać. Nie wraca już do smutnych chwil. Wspomina tylko, że była bardzo mocno kochana. Pamięta, że dla Bao Bomu była jedynym sensem życia.

Parę dni temu matka zadzwoniła do Ruth. Jej głos brzmiał jak dawniej, słyhać w nim było nerwowość i obawę.

- Luyi - powiedziała, po czym zaczęła szybko mówić po chińsku: - Martwię się, że sprawiałam ci dużo przykrości, kiedy byłaś mała, że wyrządziłam ci dużo krzywd. Ale nie pamiętam, co zrobiłam...

- Nie masz czym... - zaczęła Ruth.

- Chciałam tylko powiedzieć, że mam nadzieję, że zapomnisz, tak jak ja zapomniałam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, bo jeżeli cię skrzywdziłam, przepraszam.

Odłożywszy słuchawkę, Ruth przez godzinę płakała ze szczęścia. Okazało się, że jeszcze nie jest za późno, by sobie nawzajem wybaczyły.

Patrząc na zdjęcie, Ruth rozmyśla o dzieciństwie matki i młodości babci. Oto dwie kobiety, które ukształtowały jej życie, kobiety, które "ma w kościach". To przez nie zaczęła zadawać sobie pytania, czy porządek lub nieporządek panujący w jej życiu wynika z przeznaczenia czy pecha, jej

własnej woli czy działań innych. Nauczyły ją niepokoju. Ruth wiedziała już jednak, że przekazywały jej te ostrzeżenia nie po to, aby ją przestraszyć, lecz żeby ją uchronić przed pójściem w ich ślady i aby mogła mieć nadzieję na lepszy los. Chciały, by uwolniła się od klątw.

W Kąciku Ruth wraca do przeszłości. Jej laptop przeistacza się w tacę z piaskiem. Ruth znów ma sześć lat, jest tym samym dzieckiem, właśnie zrosła jej się złamana ręka, a w drugiej trzyma paleczkę, gotowa odgadywać odpowiednie słowa. Jak zawsze przychodzi Bao Bomu i siada obok niej. Ma gładką twarz, tak piękną jak na fotografii. Rozciera paleczkę tuszu na kamieniu z duan.

- Myśl o swoich intencjach - mówi Bao Bomu. - Co masz w sercu, co chcesz wlać w serca innych.

I Ruth zaczyna pisać wspólnie ze swoją babcią. Płyną słowa. Obie stają się tą samą osobą, sześćioletnią, potem szesnastoletnią, później mają czterdzieści sześć i osiemdziesiąt dwa lata. Piszą o tym, co się wydarzyło, dlaczego tak się stało, o przyszłych zdarzeniach, które zależą od nich. Opowiadają o tym, co jest, ale co nigdy nie powinno mieć miejsca. Piszą o tym, co mogło kiedyś być i co może jeszcze nastąpić. Piszą o przeszłości, którą można zmienić. Czymże w końcu jest przeszłość, mówi Bao Bomu, jeśli nie tym, co sami postanawiamy pamiętać? Postanawiają nie ukrywać przeszłości, dotknąć bolesnych miejsc i cierpieć, wiedząc, że ból przeminie. Wiedzą, gdzie szukać szczęścia - nie w jaskini ani kraju, lecz w miłości, swobodzie dawania i brania tego, co jest i było zawsze.

Ruth pamięta o tym, pisząc opowieść. Píše dla babci, dla siebie, dla małej dziewczynki, która stała się jej matką.